



GORZKA
CZEKOLADA



URSULA POZNANSKI
polowanie

Media Rodzina

URSULA POZNANSKI
polowanie

Tłumaczyli
Anna i Miłosz Urbanowie

Media Rodzina

Prolog

Miejsce, z którego jeszcze niedawno wyrastało jego ucho, pulsowało w rytm uderzeń serca. Szybko, panicznie. Jego oddech był głośny, gwałtowny i urywany. Kilka kroków dalej Nora pochylała się nad stołem, na którym leżały pistolet i nóż. Jej twarz wykrzywił grymas, lecz już nie płakała.

– Błagam... – wyszeptał chrapliwie. – Nie rób tego, błagam!

Jej ciałem wstrząsnął krótki szloch bez łez.

– Uspokój się.

– Dlaczego mnie nie uwolnisz? Przecież mielibyśmy jeszcze szansę...

Uwolnij mnie, proszę, dobrze?

Nie odpowiedziała. Jej prawa dłoń drżała, kiedy wahała się między matowym pistoletem a klingą błyszczącą w świetle nagiej żarówki.

Strach sprawiał, że jego ciało wyginały skurcze. Skulił się na krześle, na ile pozwalały mu więzy. Plastik ciął skórę na jego nadgarstkach, wytrzymały jak stalowe kajdany.

„To nie moja wina... to nie moja wina... to nie moja...”

Zacisnął powieki, by po chwili szybko je unieść. Musiał widzieć, co się stanie. Nora położyła dłoń na nożu.

– Nie! – wrzasnął, a przynajmniej spróbował wrzasnąć. – Pomocy! Czy nikt mnie nie słyszy?!

Dlaczego akurat teraz głos odmówił mu posłuszeństwa? Stracił go, a zaraz straci wszystko, już na zawsze; oddech, puls, każdą myśl. Wszystko.

Obraz rozmywał mu się przed oczyma, bo nie mógł wytrzeć łez. Widział jedynie, że Nora dalej stoi przy stole. Z jej gardła wydobył się bolesny skowyt pełen skargi, zbyt cichy na krzyk i zbyt głośny na jęk. Zamrugął.

Wybrała pistolet. Nie mogła opanować drżenia dłoni.

– Wybacz – powiedziała.

Rzucił się rozpaczliwie do przodu i w tył, lecz tylko niemal przewrócił krzesło. Poczł zimny metal przyciśnięty do skroni. Znieruchomiał.

– Zamknij oczy – poradziła.

Położyła miękko dłoń na jego głowie. Czł jej strach. Bała się tak samo jak on. Tylko że ona będzie mogła dalej oddychać, mówić i myśleć. Życ.

– Nie... – Poruszył bezgłośnie ustami i uniósł wzrok.

Nora stała naprzeciwko. Żałował, że w ogóle się poznali.

47°35,285'N 13°17,278'E

Poranna mgła otulała zwłoki niczym mokry całun. Martwa kobieta leżała na brzuchu. Trawa pod nią była wilgotna od rosy i krwi. Krowy nie chciały się tam paść. I nie musiały, bo pastwisko było duże i mogły pójść gdzie indziej, a to coś nieruchomego, skulonego w cieniu skalnej ściany napawało je niepokojem. Tuż po wschodzie słońca brązowa jałówka podeszła sprawdzić, co to. Spuściła ciężki łeb i chropowatym jęzorem przesunęła po włosach w kolorze lnu, a kiedy uznała, że znalezisko nie nadaje się do jedzenia, wróciła do stada.

Zwierzęta trzymały się z daleka, a te, które leżały i przeżuwały, i tak wołały patrzeć na wodę.

Jednak okolic skalnej ściany unikały nawet te, które przesuwały się w poszukiwaniu najsmaczniejszej trawy. Niepokoił je zapach martwego zwierzęcia. Wołały paść się tam, gdzie przez poranną mgłę przedzierały się pierwsze promienie wschodzącego słońca, znacząc łąkę jaśniejszymi plamami.

Brązowa ruszyła do wodopoju. Przy każdym kroku serce dzwonka uwiązanego na jej szyi uderzało o metalowe ścianki. Koleżanki z pastwiska zupełnie nie zwracały na nią uwagi. Ze stoickim spokojem spoglądały na rzekę, nieprzerwanie poruszając szczękami, przeżuwały trawę i raz po raz ogonami przeganiały pierwsze muchy.

Nad łąką zawiał wiatr i poruszył włosami kobiety, odsłaniając jej twarz. Mały, lekko zadarty nos. Znamię nad prawym kącikiem ust. Zdecydowanie zbyt blade usta. I tylko czoło pozostało zakryte, bo tam włosy były mokre od krwi i lepiły się do skóry.

Poranna mgła unosiła się powoli, a z miejsc, w których udało jej się ostać, przegonił ją wiatr. W końcu widać było całą łąkę, ze wszystkimi zwierzętami i prezentem, którym zostały obdarowane, choć wcale o niego nie prosiły. Krowy powitały dzień głuchym muczeniem.

Beatrice przeskakiwała po dwa stopnie naraz. Kilkoma ślizgami pokonała korytarz, byle szybciej minąć drugie drzwi po lewej stronie. Potem już tylko siedem kroków. Sześć. W końcu dotarła do swojego biura. W środku zastała jedynie Florina. Bogu niech będą dzięki.

– Był już? – Cisnęła plecak na obrotowe krzesło, a teczkę z dokumentami na biurko.

– Ciebie też miło widzieć!

O, jak cudownie. Po prostu wcielenie spokoju i opanowania. Rzuciła marynarkę w stronę wieszaka, lecz chybiła, więc zakłęła.

– No dobra, to teraz usiądź i odetchnij. – Florin wstał zza biurka, podniósł

z ziemi marynarkę i powiesił starannie na wieszaku.

– Dzięki. – Włączyła komputer i nerwowymi ruchami rozłożyła zawartość teczki na blacie przed sobą. – Byłabym szybciej, ale dopadła mnie nauczycielka Jakoba.

Florin stał odwrócony do niej plecami i uruchamiał ekspres do kawy. Dostrzegła, że potakuje.

– Co tym razem?

– Napad złości. Klasowa maskotka przyplącała to życiem.

– Ups. Coś żywego?

– Nie. Pluszowa sowa Elvira. Tragedia, mówię ci. Dziesięcioro dzieciaków zalanych łzami. Zapropnowałam nauczycielce, że przyślemy do klasy zespół interwencji kryzysowej, ale chyba nie była w humorze. Mam czas tylko do piątku, żeby znaleźć godne zastępstwo Elviry.

– To dopiero wyzwanie.

Spienił mleko, wybrał opcję podwójnego espresso, efekt swojej pracy uzupełnił szczyptą kakao. W końcu jego spokój i opanowanie udzieliły się także Beatrice. Kiedy Florin postawił przed nią parującą filiżankę, uświadomiła sobie, że na jej twarzy pojawił się uśmiech.

Usiadł naprzeciwko i przyjrzał się jej uważnie.

– Wyglądasz, jakbyś dzisiaj niewiele spała – stwierdził z poważną miną.

„Żebyś wiedział, jak niewiele!” – pomyślała.

– Nie, nie, wszystko w porządku – mruknęła i skupiła się na kawie. Miała nadzieję, że ta zdawkowa odpowiedź zaspokoi ciekawość Florina.

– Żadnych nocnych telefonów?

Otóż były. Pierwszy jakieś trzydzieści minut przed północą, a kolejny o trzeciej nad ranem. Ten drugi obudził Minę, która przez następną godzinę nie mogła zasnąć.

Beatrice wzruszyła ramionami.

– Kiedyś da sobie spokój.

– Powinnaś w końcu zmienić numer, Bea. Nie wystawiaj mu się. Chryste, jesteś przecież policjantką! Możesz podjąć przeciwko niemu formalne kroki.

Kawa smakowała wybornie. W ciągu tych dwóch lat, które razem przepracowali, Florin krok po kroku zbliżał się do doskonałości, aż w końcu ustalił idealne proporcje zmielonych ziaren kawy, mleka i cukru. Beatrice oparła się wygodnie i na kilka sekund zamknęła oczy. Tęskniła za chwilą odprężenia, choćby nawet krótką.

– Jeśli zmienię numer, zaraz będę go miała pod drzwiami. Poza tym jest ojcem, ma prawo do kontaktu z dziećmi.

Usłyszała, jak Florin wzdycha.

– Przy okazji... – zaczął. – Hoffmann już oczywiście był.

Szlag by to trafił.

– Serio? A mimo to mój monitor nie jest zaklejony tysiącem żółtych karteczek?

– Uspokoilem go i zapewniłem, że dzwoniłaś, a w tej chwili jesteś w terenie. Nie skomentował tego, tylko się skrzywił i poszedł. Dzisiaj będziemy mieli spokój, bo przez cały dzień ma jakieś spotkania i odprawy.

Fantastyczna wiadomość. Beatrice odstawiła filiżankę i próbując rozluźnić napięte mięśnie pleców, zajęła się porządkowaniem papierów na biurku. Może w końcu zdoła skończyć raport z bójki na noże. Z powodu jego braku Hoffmann bezustannie suszył jej głowę. Spojrzała na Florina. Mężczyzna siedział skoncentrowany przed komputerem i sprawiał wrażenie nieco bezradnego. Kosmyk ciemnych włosów zsunął mu się niemal na oczy. Klik, klik, klik, klik. Beatrice zatrzymała wzrok na jego dłoni, spoczywającej luźno na myszce. Piękne męskie dłonie. Jej wielka słabość.

– Jakiś problem? – zapytała.

– I to nierozwiązywalny.

– Mogę pomóc?

Między jego brwiami pojawiła się głęboka bruzda. Myślał.

– Sam nie wiem... Włoskie przystawki to nie jest coś, co można zlekceważyć i liczyć, że jakoś tam będzie.

Roześmiała się.

– Wszystko jasne. Na kiedy Anneke zapowiedziała wizytę?

– Będzie za trzy dni. Po zastanowieniu skłaniam się ku *vitello tonnato*. A może jednak *bruschetta* byłaby lepsza? Cholera, nie mam pojęcia, czy przypadkiem akurat nie je węglowodanów!

Rozmowa na tematy kulinarne, a zwłaszcza wspólne układanie menu, nie była najszczęśliwszym pomysłem, bo już po chwili żołądek Beatrice zaczął głośno przypominać o swoim istnieniu. Szybko się zastanowiła, usiłując wydobyć z pamięci wszystko, co tego dnia zjadła. Lista składała się z dwóch ciasteczek. Miała więc prawo czuć się głodna.

– Jeśli o mnie chodzi, to oddaję głos na *vitello tonnato* – podpowiedziała.
– A drugi głos na wypad do baru na dole.

– Już teraz? Tak wcześnie? – Podniósł wzrok i spojrzał na nią, po czym uśmiechnął się nieznacznie. – Nie ma sprawy. Daj mi tylko minutę, wydrukuję...

Dzwonek telefonu nie dał mu dokończyć. Już po kilku sekundach Beatrice dostrzegła, jak jego twarz poważnieje. Czyli nici z kanapki z tuńczykiem.

– Dobrze, zaraz będziemy. – Odłożył słuchawkę i podniósł wzrok. – Mamy zwłoki. Kobieta, niedaleko Abtenau. Wygląda na to, że spadła ze skały.

– Cholera, ale pech. Pewnie wypadek w czasie wspinaczki.

Florin zmarszczył ponuro brwi.

– Raczej nie. No chyba, że ktoś trenuje wspinaczkę ze związanymi rękoma.

Zwłoki były jaśniejszą plamą wśród zieleni, pilnowaną przez dwójkę umundurowanych funkcjonariuszy. Pracy policji przyglądał się potężny mężczyzna z nagim torsem i w ogrodniczkach. Stał na sąsiednim pastwisku i pilnował krów, żeby nie podchodziły. Na widok Beatrice i Florina uniósł dłoń, jakby chciał im pomachać na powitanie, lecz nagle zmienił zdanie i pospiesznie ją opuścił.

Kilka kroków dalej łąka kończyła się pionową ścianą skalną, wyrastającą na dobre dwadzieścia metrów – brutalny dysonans w tym pocztówkowym krajobrazie.

Drasche i Ebner z zespołu zabezpieczającego ślady wyprzedzili ich o kilka minut. Ubrani w kombinezony jednorazowe krzatali się ze swoim sprzętem wokół denatki. Skupieni, przywitali się jedynie zdawkowym skinieniem głów.

Przy płocie rozdzielającym pastwiska klęczał lekarz i wypełniał jakiś formularz. Wykorzystywał przy tym swoją walizeczkę w charakterze przenośnego stolika.

– Dzień dobry – przywitał się. – Jesteście państwo z policji kryminalnej?

– Zgadza się. Ja nazywam się Florin Wenninger, a to moja partnerka Beatrice Kaspary. Co udało się panu ustalić?

Lekarz westchnął i nałożył zatyczkę na długopis.

– Niewiele, niestety. To trzydziestopięcioletnia, może czterdziestoletnia kobieta. Moim zdaniem zeszłej nocy została zepchnięta ze skały. Przyczyną śmierci był najprawdopodobniej uraz czaszki albo pęknięcie aorty, bo o dziwo kręgosłup jest nieuszkodzony. Po dokładniejsze informacje trzeba będzie się zgłosić do lekarza medycyny sądowej.

– Czas zgonu?

Mężczyzna wydał policzki.

– Między drugą a czwartą nad ranem. Ale nie przywiązujcie się do tego zbyt. Ja mam tylko stwierdzić zgon.

Obok przeszedł Drasche, niosąc skrzynkę z utensyliami do zabezpieczania śladów.

– Kto dotykał zwłok?

Jeden z dwójki umundurowanych policjantów z wahaniem podniósł dłoń.

– Lekarz. I ja. Ale tylko po to, żeby sprawdzić puls. Szukałem też portfela albo portmonetki, ale niczego nie znalazłem. Nie zmienialiśmy położenia ciała.

– W porządku. – Drasche przywołał Ebnera, który czekał z aparatem.

Beatrice przyglądała się ciału, czekając, aż technicy porobią zdjęcia, pobierają dowody oraz próbki i pozamykają je w niewielkich pojemniczkach. Policjantka starała się zapomnieć o panującym wokół rozgardiaszu, o warkocie silników docierającym z trasy krajowej i blaszanym pobrząkiwaniu krowich dzwonek. Teraz liczyła się tylko martwa kobieta.

Leżała na brzuchu, z przekreśloną głową i nogami zgiętymi w prawo. Wyglądała, jakby znieruchomiała w trakcie biegu. Miała dłonie spętane na plecach; na wysokości nadgarstków ktoś zaciągnął grubą plastikową opaskę zaciskową.

Zamknięte oczy i rozchylone usta, jakby śmierć weszła jej w słowo.

Beatrice nie bronila się przed obrazami, które same zaczęły pojawiać się w jej głowie: ktoś ją ciągnie przez ciemność. Stoi nad przepaścią. Broni się, chce się cofnąć i zebrze o życie, lecz morderca trzyma ją mocno i pcha naprzód, na krawędź skały. Czeką, aż poczuje, że poniżej nic nie ma... i wtedy popycha ją lekko.

– Wszystko w porządku? – Dłoń Florina musnęła jej ramię.

– Pewnie.

– Pogadam z pozostałymi. Ty pewnie chciałabyś się jeszcze zanurzyć, co?

Zanurzenie. Tak to nazywa. Beatrice potakuje.

– Tylko nie za głęboko.

Kobieta odprowadziła go wzrokiem. Patrzyła, jak podchodzi do umundurowanych funkcjonariuszy i zaczyna z nimi rozmawiać. Potem wzięła głęboki oddech. Nie poczuła zapachu śmierci. Powietrze przesiąknięte było wonią krowiego łajna i polnych kwiatów. Przyglądała się, jak Drasche nasuwa plastikową torebkę na spętane dłonie martwej kobiety. Najchętniej przesłaby przez płotek oddzielający sąsiednie pastwiska, żeby z bliska przyjrzeć się denatce. Jednak technicy krzywo na to patrzyli, a Drasche w takich sytuacjach potrafił być naprawdę nieprzyjemny. Nie spuszczać wzroku z ciała, Beatrice ruszyła niewielkim łukiem wzdłuż ogrodzenia; chciała zobaczyć je z innej perspektywy.

Skupiła się na ubraniu denatki. Jasnoczerwona jedwabna marynarka, pod spodem bluzka w kwiatowy wzór. Drogie dzinsy. Brak butów. Stopy kobiety były bardzo brudne i lekko zakrwawione, jakby długo szła bosą. Pośród zaschniętego błota i zakrzepłej krwi ciemniejszy wzór. Drobne czarne znaczki na skórze stóp. Czyżby...

Beatrice przykucnęła i zmrużyła oczy, lecz z tej odległości nie mogła niczego dojrzeć.

– Hej! Gerd!

Drasche nawet na sekundę nie przerwał tego, co robił.

– Co jest?

– Mógłbyś przyjrzeć się stopom tej kobiety?

– Zaraz. – Z pietyzmem zabezpieczył przejrzysty woreczek taśmą klejącą i dopiero wtedy obejrzał nogi denatki.

– O cholera...

– Tam coś jest, prawda? Jakieś znaki?

Drasche gestem przywołał Ebnera i polecił dokładnie obfotografować stopy kobiety.

– No powiedz coś! – Beatrice uniosła drut, z którego było zrobione ogrodzenie, i przecisnęła się na drugą stronę. – Co to jest?

– Wygląda na cyfry. Na podbiciu każdej stopy inna kombinacja. Hej, zostań tam, gdzie byłaś, okej?

Beatrice z trudem się powstrzymywała.

– Pokażecie chociaż zdjęcia?

Drasche i Ebner wymienili pospieszne spojrzenia, w których irytacja mieszała się z rezygnacją.

– Pokaż jej – mruknął Drasche. – Inaczej nie odpuści.

Ebner przełączył aparat w tryb odtwarzania wykonanych zdjęć i pokazał policjantce ekranik.

Cyfry. Czwórka, siódemka i coś, co wyglądało jak niewielkie O niewprawnie przesunięte w górę. Potem znów czwórka, szóstka, jeszcze jedna szóstka, zero i pięć. Ale nie tylko cyfry. Ostatni znak na lewej stopie wyglądem przypominał literę N. Skośna kreska była przerwana w połowie i pociągnięta od nowa, jakby zapisana niepewną dłonią. Czarne znaki, nieregularne pismo.

Powiększyła obraz.

– Czym to jest zrobione? Markerem wodoodpornym?

Druga stopa. Ponownie cyfry. Jedyńka i trójka, potem znów niewielkie kółeczko nieumieszczone w linii, tylko powyżej, i pięć kolejnych cyfr. Dwa, jeden, siedem, jeden, osiem. Ostatnia znów była litera. Tym razem E z koślawymi kreskami.

– Nie, to nie marker – powiedział Drasche zachrypniętym głosem. – Moim zdaniem to tatuaż.

– Co? – Przyjrzała się uważniej zdjęciu. Teraz, kiedy padło to słowo, taka myśl nie wydawała się już niedorzeczna. Tatuaż. W takim miejscu. Miejmy nadzieję, że wykonany *post mortem*.

Przepisała obie kombinacje do notatnika.

47°46,605'N

13°21,718'E

Zapis wydał jej się znajomy, ale nie potrafiła sobie przypomnieć, gdzie już go widziała. Nie kojarzył jej się z komputerami, nie wyglądał na numer telefoniczny. Szlag by to trafił.

– Coś mi to przypomina... – mruknęła pod nosem, bardziej do siebie niż do obu techników.

– Pewnie, że tak – powiedział Drasche, nie zdejmując maseczki z ust. – Jak dasz słowo, że nie będziesz nam już przeszkadzała, to powiem ci, co.

– Słowo.

– Wprowadź te dane do nawigacji. To współrzędne.

Najchętniej od razu podzieliłaby się nowością z Florinem, lecz jej partner

zajęty był akurat rozmową z mężczyzną.

– Zobaczyłem ją, kiedy chciałem sprowadzić stado na dojenie o wpół do siódmej. Zaraz się połapałem, że nie żyje.

– Krowy zostają na noc na pastwisku?

– No a jak. Po wieczornym udoju wyprowadzam je tutaj i zostawiam do rana. Ze czterysta metrów będzie z obory, to i nie ma z tym problemu.

Zatem zwierzęta przez całą noc chodziły po pastwisku. To oznaczało, że raczej nie ma co liczyć na znalezienie przydatnych odcisków butów sprawcy, jeśli nawet kiedykolwiek tu były. Beatrice stanęła obok Florina i podała dłoń rolnikowi.

– Kaspary.

– Miło mi. Raininger. – Nie chciał puścić jej dłoni. – Pani też z policji?

– Tak, a co?

Krzywy uśmiech.

– Bo pani za ładna na taką paskudną robotę, co nie?

Pytanie było skierowane do Florina.

– Zapewniam pana, że poza wyjątkową urodą, pani Kaspary dysponuje również wyjątkową inteligencją. A to w naszej paskudnej – jak raczył pan zauważyć – pracy jest nie do przecenienia – oznajmił chłodno.

Jednak rolnik zdawał się tego nie zauważać. Uśmiechał się szeroko nawet wtedy, kiedy Beatrice zdecydowanym szarpnięciem uwolniła dłoń z jego uścisku.

– Chciałbym wrócić do naszej rozmowy, jeśli pan pozwoli. – Ton głosu Florina przywodził na myśl bourbona z lodem: zimny, miękki i zdecydowany.

– Czy wczoraj wieczorem wydarzyło się coś, co zwróciło pana uwagę?

– Nie, wszystko było jak zawsze.

– Rozumiem... A w nocy? Może coś pan usłyszał? Głośniejsze rozmowy, krzyki?

– Nie, nic. A ona to spadła z góry? Czy ktoś ją młotkiem stuknął? Bo na głowie to miała pełno krwi. – Rolnik nie krył ciekawości. Trudno się temu dziwić, bo przy najbliższym spotkaniu w karczmie będzie gwiazdą zasypywaną pytaniami o szczegóły.

– Jeszcze nie wiemy. Czy można się dostać na szczyt tej skalnej ściany?

Rolnik się zastanowił.

– Da radę. Tam z drugiej strony to jest nawet uliczka taka, prawie na samą górę.

Beatrice dostrzegła, jak jej partner zapisuje w notatniku: „Ślady opon!!!”. W jej notesie znajdowały się jedynie współrzędne geograficzne. Pod spodem dodała kilka haseł zapamiętanych z rozmowy z Rainingerem.

– Czy znał pan tę kobietę? Może gdzieś już ją pan widział? – zapytała.

Mężczyzna energicznie potrząsnął głową.

– Nie, pierwszy raz ją widzę. A ja mam dobrą pamięć do twarzy, mówię

pani. Panią na ten przykład na długo zapamiętam. I ten kolor włosów! Farbuje pani?

Kiedy uśmiechał się tak szeroko jak teraz, widać było, że brakuje mu zęba na górze po lewej stronie.

– Jeśli pan pozwoli – zaczęła Beatrice przesadnie grzecznym tonem – to my jesteśmy od zadawania pytań.

Jednak od rolnika nie dowiedzieli się już niczego ciekawego. Polecili mu zabrać krowy z pastwiska i zaprowadzić do obory. Mężczyzna ruszył do domu z ociąganiem i całą drogę oglądał się przez ramię.

Beatrice odczekała, aż znajdzie się poza zasięgiem słuchu.

– Jej stopy... – zaczęła w końcu.

– Co z nimi?

– Ma wytatuowane. Na podeszwach.

Momentalnie zrozumiał.

– Myślisz, że to pamiątka zostawiona przez mordercę?

– Całkiem możliwe. Ale moim zdaniem to wiadomość.

Pokazała mu przepisane tatuaże.

– I ona ma to wypisane na stopach?

– Zgadza się. Szerokość na lewej, długość na prawej.

Florin ruszył łąką w stronę miejsca znalezienia zwłok, nie zwracając najmniejszej uwagi na to, co się stanie z jego sztytami na miarę butami w przypadku bliskiego spotkania z krowią miną. Zatrzymał się przy ogrodzeniu i przekrzywił głowę.

Beatrice była tuż za nim, kiedy w kieszeni marynarki odezwał się jej telefon.

– Kaspary.

– Nie pozwolę ci robić ze mnie idioty! – Każde słowo wręcz ociekało pogardą.

– Achim. Nie teraz.

– Oczywiście, że nie. Zawsze jest nie w porę, prawda? Zawsze! – Zaraz zaczniesz krzyczeć. – Nieważne, czy chodzi o dzieci, czy...

– Z dziećmi wszystko jest w porządku, a ja się rozłączam.

– Nie masz prawa, ty...

Przerwała połączenie i schowała komórkę do kieszeni.

Głęboki wdech, wydech. Skupić się na czymś ważnym. Niech to szlag! Nie mogła opanować drżenia rąk. W ten sposób nie dało się normalnie pracować. Splotła palce obu dłoni i podeszła do Florina.

– Chciałbym wiedzieć, gdzie się podziały jej buty – mruknął. – Jeśli zgubiła je w trakcie upadku, powinny gdzieś tu leżeć. Hej, co się dzieje? Jesteś strasznie zdenerwowana!

Nie odpowiedziała. Florin pokiwał głową. Wiedział.

– Achim, prawda?

Przyjrzał się jej badawczo, a ona westchnęła, wyprostowała się i ściągnęła łopatkę.

– Dobra, buty – podjęła poruszony przez niego temat. – Drasche na pewno zbada też ścianę i okolice. Jeśli rzeczywiście spadła z tej skały, to może zostały gdzieś na górze?

Nawet na chwilę nie odwrócił wzroku.

– Cholera, ale ze mnie idiota! – stwierdził.

– A to dlaczego? Kwestia butów nie jest przecież oczywista i nie wiadomo, czy w ogóle coś tam znaj...

– Nie, nie o to mi chodziło. Od rana nic nie jadłaś i zaraz padniesz mi tu z głodu.

– Aaa. – Przypomniała sobie o pustym żołądku. Rzeczywiście, czuła lekki ucisk, może nawet głód, ale w żadnym razie nie apetyt. – Spokojnie, z tym się nie spieszy. Świeże zwłoki zawsze zagłuszają zew żołądka.

Byłe tylko nie zgłębiać tego tematu. Delikatny powiew wiatru zaszeleścił cienką foliową torebką na dłoniach zmarłej, lecz wyglądało to tak, jakby kobieta poruszyła palcami.

Wyboistą polną drogą posuwał się samochód do transportu zwłok. Kilka chwil później z jego wnętrza wyjęto szarą metalową trumnę. Drasche skinął głową, wyrażając zgodę na odtransportowanie denatki. Kiedy ją podnoszono, wiatr rozwał jej włosy. Po raz ostatni. Beatrice odwróciła głowę.

Zanim samochód ruszył w drogę do Instytutu Medycyny Sądowej, Florin nachylił się do otwartego okna od strony pasażera.

– Przekażcie, proszę, doktorowi Vogtowi, że jeśli da radę, jeszcze dzisiaj chciałbym zobaczyć wyniki sekcji.

Beatrice poczuła wibrowanie komórki w kieszeni marynarki. Była gotowa się założyć, że to znów Achim. Nie, tym razem po prostu nie odbierze. Chcąc się upewnić, wyjęła telefon i spojrzała na ekran. Westchnęła ciężko, bo rozpoznała numer szkoły.

– Wylał cały kartonik mleka do doniczek z kwiatami. Mam nadzieję, że rozumie pani, że tak nie można! Rośliny należą do całej klasy i jeśli uschną, będzie musiała je pani odkupić.

– Oczywiście. Proszę o informację, jak to będzie konieczne.

– Pani syn naprawdę nie jest łatwym dzieckiem. – Nauczycielka westchnęła.

– Proszę z nim porozmawiać. Musi się w końcu nauczyć, że są zasady, które obowiązują wszystkich.

– Dobrze, porozmawiam z nim. Czy zapytała pani, dlaczego to zrobił?

Prychnięcie.

– Owszem. Stwierdził, że woda to za mało, więc chciał dać kwiatom coś

treściwszego.

Jakob, mój skarb. Mój kochany, słodki Jakob.

– Rozumiem. Czyli nie miał nic złego na myśli.

– Prawdopodobnie nie. Ale na Boga, chłopak ma już siedem lat! Musi zacząć robić to, co się do niego mówi, i przestać łamać zakazy!

Beatrice ugryzła się w język, bo miała wielką ochotę nakrzyczeć na nauczycielkę syna.

– Dobrze, wszystko zrozumiałam. Dzisiaj z nim porozmawiam.

– Dziękuję. Miejmy nadzieję, że to coś da. – Rozłączyła się.

Beatrice wsunęła telefon do kieszeni. Czowała, jak ogarnia ją poczucie wyczerpania i bezradności.

Florin się uparł, żeby nie jechać prosto do biura, więc zahaczyli o bistro Ginzkeys.

– Curry warzywne pomaga odzyskać równowagę wewnętrzną – wyjaśnił z poważną miną i zamówił dwie porcje, choć Beatrice miała wrażenie, że nie przełknie ani kęsa. Dopiero kiedy stanął przed nią smakowicie pachnący talerz i wsunęła pierwszy widelec do ust, głód dał o sobie znać ze zdwojoną siłą. Pochłonęła całą porcję, a potem zamówiła jeszcze ciastko i gorącą czekoladę.

– Właściwości terapeutyczne cukru – wyjaśniła. – Wywołuje tymczasowe poczucie szczęścia. Poza tym, kiedy zrobi mi się niedobrze z przejedzenia, nie będę myślała o innych problemach.

Z wdzięcznością przyjęła jego rozbawiony uśmiech.

– Zepsuję ci apetyt, jeśli będę chciał porozmawiać trochę o naszej sprawie? – zapytał.

– Nic a nic. Gdy tylko wrócimy do biura, przejrzę rejestr osób zaginionych. Dopóki się nie dowiemy, z kim mamy do czynienia, nie będziemy mieli pojęcia, czego i gdzie szukać.

– Niezupełnie. Głównie dzięki twojemu odkryciu.

– Myślisz, że te współrzędne mają coś wspólnego z jej śmiercią? Ten tatuaż mogła sobie zrobić już lata temu. Poczekajmy może na jakieś info z Instytutu Medycyny Sądowej.

– Pewnie. – Florin wychylił espresso jednym haustem. – Mimo wszystko sprawdzę te współrzędne w mojej nawigacji. A nuż się nam poszczęści.

Na zewnątrz niebo zasnuło się chmurami. Pospiesznie wrócili do biura, gdzie czekała już na nich wiadomość od Hoffmanna – oczekiwał, że zostanie wprowadzony w temat nowej sprawy. Florin wyszedł poszukać przełożonego. Beatrice włączyła komputer i załadowała stronę z danymi osób zaginionych.

Pięćdziesięcioletnia o krótkich siwawych włosach, która zniknęła z zakładu psychiatrycznego. Nie. Dwudziestodwuletnia bezrobotna, która groziła

popętnieniem samobójstwa. Też nie.

Trzecie zgłoszenie wywołało w niej znajomy dreszcz, jakby poraził ją prąd: kobieta, lat trzydzieści dziewięć, włosy blond, oczy zielone, wzrost metr siedemdziesiąt, szczupłej budowy ciała. Znaki szczególne: ciemnobrązowe znamię nad prawym kącikiem ust. I tyle. Ani słowa o tatuażach.

Nazwisko: Nora Papenberg.

Miejsce zamieszkania: Salzburg, ulica Nesselthalerstrasse.

Zgłoszenie zaginięcia wpłynęło cztery dni wcześniej, a zgłaszającym był mąż. Dopiero na samym końcu Beatrice przyjrzała się fotografii. Zdjęcie zupełnie nie nadawało się do celu, w jakim zostało użyte, bo przedstawiało roześmianą i rozbawioną kobietę. Do tego miała półprzymknięte oczy, a w prawej dłoni trzymała kieliszek wina.

Otwarte usta, zamknięte oczy. Tak samo, jak na łące, a jednocześnie zupełnie inaczej...

Beatrice podświadomie zauważała wszystkie podobieństwa: zaokrąglona broda, zadarty nos i znamię nad kącikiem ust. Zwłoki zyskały imię i nazwisko.

Zaprezentowała swoje znalezisko Florinowi, kiedy ten wrócił z rozmowy z Hoffmannem.

– Nora Papenberg. Sprawdziłam ją w Google’u. Była copywriterką w niewielkiej agencji reklamowej. W sieci jest kilka zdjęć, więc nie ma mowy o pomyłce.

Przesunęła plik wydruków w stronę Florina.

– No, to możemy zaczynać. – Zapał w jego głosie zabrzmiał fałszywie.

Beatrice domyślała się, dlaczego: mieli przed sobą najgorszą i najbardziej niewdzięczną część policyjnej roboty. Rozmowa z bliskimi. Niedowierzenie. Łzy. Załamanie. Nie, to nieprawda! To nie może być mój syn, mój mąż, moja żona. To pomyłka! Musieliście się pomylić!

Już na moście Karolinenbrücke zaczynał się popołudniowy korek. Ukradkiem zerknęła za zegarek. Nie, nie ma szans, żeby dojechała na czas. Wyjęła z kieszeni komórkę.

– Mama?

– Bea! Jak miło cię słyszeć! Skończyłaś już na dzisiaj?

– Nie, niestety jeszcze nie. Mamy kolejną sprawę, morderstwo, i...

Po drugiej stronie rozległo się ciężkie westchnienie.

– Więc dzwonicz, żebym odebrała dzieci.

– Tak, gdybyś mogła. Pospieszę się. Nie musisz nic gotować, ja się tym zajmę zaraz po powrocie.

– Aha. Czyli odgrzejesz im mrożoną pizzę.

Beatrice zamknęła oczy. Zupełnie jakby miała za mało wyrzutów sumienia.

– Otóż nie. Planowałam zapiekankę z brokułów. Chwila i gotowe.

Jeśli brokuły nie udobruchają matki, to już nic jej nie udobrucha.

– No dobrze. Odbiorę je, ale byłabym wdzięczna, gdybyś następnym razem nieco wcześniej dała mi znać. Odbieranie twoich dzieci to nie jest moje jedyne zajęcie.

– Wiem, przepraszam. I dziękuję.

Skręcili w Aigner Strasse, tutaj samochody jeszcze się poruszały.

– Nie musisz nic mówić. – Florin nie odrywał wzroku od audi przed nimi.

– Ja się tym zajmę. Ty tylko rób notatki. A gdybym jednak przeoczył coś ważnego, to kopnij mnie w kostkę.

Najchętniej by go wyściskała. Celowo wyciągnął Czarnego Piotrusia. Jak ona, kiedy grając z dziećmi, sięgała po wystawioną kartę, żeby patrzeć, jak się cieszą z wygranej.

Czy Nora Papenberg miała dzieci?

Kiedy Florin parkował przed domem, Beatrice uważnie przyglądała się ogródkowi. Nie było w nim piaskownicy, pod ścianą nie stały dziecięce rowerki, a na trawniku brakowało trampoliny. Był za to ogród żwirowy w stylu japońskim, który układało się grabiami w różne wzory.

– Jesteśmy trochę za wcześnie, pewnie jeszcze nie ma go w domu – stwierdził Florin, wyłączając silnik.

Mimo to zadzwonili. Niemalże w tej samej chwili ktoś otworzył drzwi. W progu stanął mężczyzna w dżinsach i marynarce w kratę założonej na zieloną koszulkę polo.

– Pan Konrad Papenberg?

– Tak.

– Jesteśmy z policji.

Beatrice zauważyła, że mężczyzna drgnął, z rozpaczą szukając w ich twarzach śladu uśmiechu, czegokolwiek, co dawałoby mu nadzieję. W końcu zrozumiał.

– Chodzi o moją żonę?

– Tak jest. Niestety, przynosimy złe wiadomości.

– Proszę wejść. – Otworzył szerzej drzwi i odwrócił pobladłą twarz.

W chwili, kiedy jeszcze nic nie jest wypowiedziane i przesądzone, większość ludzi odwraca głowę, chcąc utrzymać niepewność, ostatnie sekundy łaskawej niewiedzy. Zaprowadził ich do salonu, wskazując miejsce na kanapie, a sam, nieproszony, poszedł do kuchni po wodę. Ręce drżały mu tak bardzo, że połowę rozlał po drodze.

Florin poczekał, aż usiądzie. Dopiero wtedy zaczął mówić:

– Mamy podstawy przypuszczać, że znaleźliśmy pańską żonę. Zgłoszenie przyszło dziś rano. Ktoś ją zauważył na pastwisku niedaleko Abtenau.

– Macie podstawy przypuszczać? To znaczy? – Jego głos brzmiał zaskakująco twardo.

– To znaczy, że na podstawie zdjęć dołączonych do zgłoszenia zaginięcia zidentyfikowaliśmy ją jako pańską żonę. Nie miała przy sobie dokumentów.

– Ale ona... nie rozstawała się z torebką... – Mężczyzna przełknął głośno ślinę i mocno zacisnął prawą dłoń na palcach lewej.

„Brak torebki!” – zanotowała Beatrice.

– Oczywiście kiedy tylko poczuje się pan na siłach, będzie pan mógł osobiście dokonać identyfikacji – zapewnił go Florin spokojnym tonem. – Proszę przyjąć wyrazy współczucia.

Papenberg nic nie powiedział. Wpatrywał się w jakiś punkt na stoliku kawowym, poruszał bezgłośnie ustami i delikatnie kręcił głową.

Niemal w dziewięćdziesięciu procentach przypadków mordercą jest mąż. Tak brzmiała zasada Hoffmanna i zwykle rzeczywiście znajdowała potwierdzenie w rzeczywistości. Jednak ten mężczyzna zareagował tak cicho i spokojnie... Wciąż nie mógł w to uwierzyć.

– Co... ale jak... co jej się...

– W tej chwili wychodzimy z założenia, że została zamordowana.

Roztrzęsione westchnienie.

– Nie. – Jego oczy wypełniły się łzami. Ukrył twarz w dłoniach.

Nie ponaglali go. Bea podała mu chusteczkę. Mężczyzna zauważył ją dopiero po kilku sekundach i z wahaniem przyjął.

– Żonę widział pan po raz ostatni w piątek, czy tak? – zapytał Florin.

Papenberg skinął głową. Zamrugął.

– Wieczorem wyszła na obiad z ludźmi z agencji, w której pracowała. Wiem, że dojechała na miejsce, ale potem, o wpół do dziesiątej, nagle wyszła. Rozmawiałem z jej koleżankami i kolegami... Nora powiedziała im, że wraca do domu. Podobno rozbolała ją głowa.

Wreszcie spojrział na Beatrice. Miał dziwnie ufne, pełne nadziei oczy, jakby liczył, że kobieta potrafi ze swoich notatek ułożyć równanie, które da logiczny wynik.

– Rosa, jej koleżanka, mówiła, że chwilę wcześniej rozmawiała z kimś przez telefon.

To ważne.

– My oczywiście również skontaktujemy się z pracownikami tej agencji – powiedziała Beatrice. – Jednak nie znaleźliśmy jej telefonu. Pamięta pan może, jakiego modelu aparatu używała?

– To była Nokia N osiem, którą... kupiłem jej na urodziny.

Tym razem nie wytrzymał. Głos mu się załamał. Mężczyzna zgiął się wpół, wstrząsany powstrzymanym szlochem.

Nie pośpieszali go. Dali mu czas, żeby choć trochę doszedł do siebie.

– Czy mógłby pan podyktować numer telefonu żony? Sprawdzimy, z kim wtedy rozmawiała.

Konrad Papenberg skinął głową i z kieszeni spodni wyjął własną komórkę. Potem wyświetlił kontakty i podsunął ekran Beatrice, żeby policjantka mogła spisać numer.

– Tamtej nocy dzwoniłem do niej przynajmniej ze trzydzieści razy. – Trudno było zrozumieć, co mówi zrozpaczony mężczyzna. – Ale wyłączyła telefon. Za każdym razem łączyłem się z pocztą głosową.

– Kiedy zgłaszał pan zaginięcie, podał pan, że żona poruszała się samochodem, prawda?

Skinął, nie patrząc w jej stronę. W dłoni gniótł jednorazową chusteczkę.

– Czerwoną hondą civic?

– Tak.

– Musimy jeszcze zapytać o coś ważnego...

– O co?

– Czy pańska żona miała jakieś... znaki szczególne?

Tym razem podniósł wzrok.

– Jakie znaki szczególne?

– Blizny, duże znamiona, tatuaże?

Drżącą dłonią przesunął po twarzy i wskazał na miejsce nad prawym kącikiem ust.

– Tutaj. Tutaj miała znamię. To chyba znak szczególny.

– Rozumiem... – Florin odchrząknął. – I to wszystko, tak? Żadnych tatuaży?

– Nie, nie miała tatuaży, bo uważała, że świadczą o złym guście. – W jego oczach pojawił się błysk nadziei. – Może to jednak nie ona?

Beatrice i Florin wymienili pośpieszne spojrzenia.

– Obawiam się, że tożsamość pańskiej żony nie budzi wątpliwości – powiedziała policjantka cicho. – I to nie tylko ze względu na znamię.

To wystarczyło na początek.

– Nie chcemy teraz zajmować więcej czasu. Czy moglibyśmy kogoś wezwać, żeby nie był pan sam? Może kogoś z ekipy interwencji kryzysowej?

– Brat – mówił Papenberg głuchym głosem. – Zadzwońię po brata.

Na czas rozmowy wyszli z pokoju i czekali na korytarzu. Na komodzie stały oprawione fotografie: Nora Papenberg w codziennych sytuacjach. Mocno opalona w letniej sukience na plaży. W butach turystycznych i z plecakiem na szczycie góry. W czapce i puchowej kurtce lepi z przyjaciółmi bałwana. Zawsze uśmiechnięta, zawsze w ruchu i bez najmniejszych wątpliwości ta sama Nora Papenberg, której ciało widzieli dziś na łące.

– Między jej zniknięciem a prawdopodobnym czasem śmierci minęło pięć

dni – zastanawiała się Beatrice na głos. – To bardzo długo.

– Długo – zgodził się Florin. – Wszystko wskazuje na to, że przed śmiercią była przetrzymywana. Co sądzisz o jej mężu? Bo moim zdaniem nie udawał.

– Odniosłam takie samo wrażenie.

– Tak czy inaczej będziemy musieli go starannie sprawdzić.

– Bez dwóch zdań.

Otworzyły się drzwi salonu. Papenberg wyszedł na korytarz. Miał zaczerwienione, spuchnięte oczy.

– Brat będzie za dwadzieścia minut. Jeśli to już wszystko...

– Tak, oczywiście. Nie będziemy panu zajmować więcej czasu.

Byli już przy drzwiach, kiedy Beatrice uświadomiła sobie, że wciąż jeszcze trzyma w dłoni zdjęcie, na którym Nora lepi bałwana. Poczowała, że się czerwieni. Chciała odstawić ramkę na komodę, lecz mąż zamordowanej wyjął jej zdjęcie z dłoni.

– To był piękny dzień, jak z bajki... – wyszeptał. – Tak powiedziała. Było mroźno, ale cudownie. A ona tak bardzo kocha śnieg, przyrodę i w ogóle...

– Proszę przyjąć wyrazy współczucia – mruknęła policjantka i poczuła złość na samą siebie, że użyła tak wyświechtanej frazy.

Jednak mąż ofiary jakby przestał zauważać ich obecność. Skinął jedynie głową, nie odrywając wzroku od twarzy żony, która znieruchomiała na tle błyszcząco białego śniegu, uśmiechnięta już na zawsze.

– To jest zajac wielkanocny, widzisz? A to aniołek, który zrobił dziurę w chmurach. I właśnie przez nią pada deszcz.

Jakob tak bardzo zbliżył rysunek do garnka z gotującymi się brokułami, że papier zaczął się zwijać pod wpływem pary. Beatrice delikatnie przesunęła go w kierunku lodówki, na której z pomocą dwóch magnesów zamieściła dzieło syna.

– Wspaniale. Narysowałeś to w szkole?

– Tak. Pani Sieber dała mi za to gwiazdkę. – Uśmiechnął się szeroko, a ona przykucnęła, żeby go lepiej objąć. Przynajmniej on odniósł dzisiaj jakiś sukces.

– O, patrz. – Uwolnił się z jej ramion i wsunął dwa palce do ust. Ruszający się zęb.

– No proszę! – wyraziła swój zachwyt.

W tej samej chwili usłyszała syk. Woda z garnka kipiała na ceramiczną płytę kuchenki, a stamtąd na podłogę. Beatrice zaklęła w duchu, odsunęła pospiesznie garnek i zmniejszyła stopień grzania.

– Pójdiesz pobawić się z Miną? Zawołam was, kiedy jedzenie będzie gotowe.

– Ale Mina nie lubi się ze mną bawić – zaprotestował Jakob. – Mówi, że jestem dzieciakiem i nic nie wiem. O niczym.

Mimo to ruszył do pokoju dziecięcego, wydając odgłosy ryczącego silnika.

Beatrice wytarła kuchenkę i sprzątnęła wodę z podłogi. Pokroiła szynkę, obrała ziemniaki i wstawiła zapiekankę do piekarnika, po czym wyczerpana osunęła się ciężko na krzesło. Na stole przed nią leżała koperta z listem z Kancelarii Prawniczej Schubert & Kirchner. Adwokaci Achima. Cisnęła nieotwartą kopertę na stos listów i pism czekających na swoją kolej i wyjęła notatnik.

Agencja reklamowa: Kto brał udział w obiedzie? Czy ktoś wyszedł razem z Norą Papenberg?

Telefon!!! Jak szybko wyszła? Co dokładnie powiedziała? Czy mogła się spotkać z kimś jeszcze?

Ustalić numer dzwoniącego.

Gdzie jest jej samochód?

Pięć dni do morderstwa – dlaczego tak długo???

Przerzuciła kilka kartek wstecz i wróciła do notatek, które zrobiła zaraz po tym, gdy opuścili miejsce znalezienia ciała.

Morderstwo w stylu egzekucji. Dlaczego ktoś zrzuca ofiarę ze skalnej ściany?

Po raz kolejny przeczytała zapiski z zeznań rolnika – nic nie widział, nic nie słyszał. Jak zwykle. Nad nimi współrzędne. Beatrice zamknęła oczy i przypomniała sobie, co wtedy zobaczyła: stopy leżące bokiem na ziemi, jakby szła, a na nich, od spodu, cyfra obok cyfry. Tatuaz nie wyglądał profesjonalnie, na pewno nie. Robiony w warunkach polowych. Przez mordercę. Czy może ofiarę? Otworzyła oczy, bo zaczął piszczeć zegarek kuchenny. Zapiekanka gotowa.

– Czy w weekend znów jedziemy do taty? – zapytała Mina, rozkawałkowując brokuł na mikroskopijne porcje.

– Tak się umówiliśmy. A co? Nie chcesz jechać?

– Chcę. – Któryś z minimalnych zielonych kawałeczków znalazł uznanie w jej oczach i powędrował na widelcu wprost do ust. – Powiedział, że może dostanę kotka. Jeśli będzie mieszkał u taty, to mogę częściej go odwiedzać?

Beatrice z trudem przełknęła kolejny kęs.

– Pomyślmy. – Kotek!

– To ja też! Mamo! Ja też chcę! – jęknął Jakob z pełnymi ustami.

– Zapomnij, głupku, to mój kotek.

– Sama jesteś głupia.

Mina go zignorowała.

– Jeśli dzisiaj w nocy tata znów zadzwoni, mogę z nim porozmawiać?

– Ja też! – Jakob nie chciał być gorszy.

– Nie. Żadnych telefonów po nocy. Tata wkrótce też to zrozumie.

Dopilnowała, żeby dzieci przygotowały się do snu, i położyła je do łóżek. Nie miała sił czytać im na dobranoc, więc włączyła audiobook. Potem z kieliszkiem czerwonego wina usiadła na balkonie. Po raz kolejny odczytała skromne notatki. Za każdym razem utykała na współrzędnych.

Smakowała wino. Szukała nuty porzeczek i tytoniu, których obecność zachwalano na etykiecie, jednak bez powodzenia. Jednym haustem dokończyła alkohol. Poczula, jak zmęczenie wyciąga po nią swoje ramiona.

Wyłączyła komórkę i wyjęła wtyczkę telefonu stacjonarnego. Tej nocy Achim będzie musiał znaleźć sobie jakieś zastępcze hobby.

Rankiem czekały na jej monitorze trzy żółte karteczki zabazgrane nieczytelnym pismem Hoffmanna. Raporty. Przewróciła oczyma.

– Przekaż papiery Stefanowi. Niech poćwicz, przyda mu się. Pisanie raportów to szkoła charakteru. Poza tym zajął się już załatwieniem listy połączeń z numeru Nory Papenberg. I zgadnij, co wyszło! – Florin zjawił się w pracy w nietypowym dla siebie outficie: bojówkach, T-shircie i butach trekkingowych. Kończył właśnie dzieło sztuki złożone z naparu kawy, spienionego mleka, cukru, udekorowane sproszkowanym kakao, które zamierzał podać Beatrice. – Połączenie, po którym nasza ofiara postanowiła opuścić firmową imprezę, zostało wykonane z budki telefonicznej przy ulicy Maxglaner Hauptstrasse. Wysłałem tam jednego z techników, żeby sprawdził, czy znajdzie jakieś ślady, ale, prawdę mówiąc, nie sądzę, żeby to cokolwiek dało. – Spojrzał na nią. – Skoro mowa o telefonach: jak minęła noc? Tym razem był spokój?

– Tak, ale chyba tylko dlatego, że wyłączyłam wszystko, co mogło zadzwonić. Za to rano w poczcie głosowej czekało na mnie siedem wściekłych wiadomości. Ponoć strasznie się bał o dzieci, bo do nikogo nie mógł się dodzwonić. – Upiła łyk kawy. Cudowny smak.

– Najważniejsze, że mogłaś się w końcu wyspać. Póki nie ma wyników sekcji zwłok, proponuję skoncentrować się na innym aspekcie dochodzenia.

– Masz na myśli współrzędne?

– Nie inaczej. – Pomachał komórką. – Zainstalowałem nową aplikację do nawigacji i wygląda na to, że czeka nas wycieczka na łono przyrody.

Rozłożył na stole mapę i wskazał palcem las w pobliżu jeziora Wolfgangsee.

– Tam? Jesteś pewny? – Beatrice nie miała pojęcia, czego konkretnie oczekiwała po miejscu, do którego zaprowadzą ich wytatuowane współrzędne, ale z całą pewnością czegoś bardziej spektakularnego niż drzew!

Pojechali autem Florina. Beatrice otworzyła okno po stronie pasażera. Dopiero co rozpoczął się maj, lecz wydawało się, że jest środek lata. Z głośników

saczyły się dźwięki argentyńskiego tanga. Przez chwilę bawiła się wyobrażeniem, że jadą na wycieczkę, na tylnym siedzeniu stoi pełen smakowitości kosz piknikowy, a oni mają tyle wolnego czasu, ile dusza zapagnie.

To sprawiło, że przyszła jej do głowy zupełnie nowa myśl.

– A jeśli się okaże, że to miejsce ma znaczenie czysto osobiste? Wiesz, większa kłótnia, pierwszy pocałunek albo jakaś obietnica? Może tam się po raz pierwszy kochali? Miejsce, w którym stało się coś, co nie zostawiło śladów w przyrodzie? Wtedy, nawet jeśli będzie to kluczem do rozwiązania sprawy, nigdy nie uda nam się odnaleźć zamka, do którego ten klucz pasuje.

Florin jedynie się uśmiechnął.

– Niewykluczone. Ale nie chcesz chyba powiedzieć, że powinniśmy zignorować te tatuaże, co? Bo jeśli mnie pytasz o zdanie, to nie wierzę, żeby nie popchnęły nas trochę naprzód.

Miał oczywiście rację. W najgorszym razie miło spędzą majowe przedpołudnie, spacerując po lesie, z dala od Hoffmanna i jego karteczek. Po stokroć się opłacało.

– Jak myślisz, co tam znajdziemy? – zapytała, kiedy pokonywali samochodem kolejne odcinki serpentyn na zboczach góry Heuberg.

Wzruszył ramionami.

– Poczekamy, zobaczymy. Jak się człowiek nastawi na coś konkretnego, może przeoczyć inne ważne rzeczy, tylko dlatego, że nie wyglądają tak, jak tego oczekiwał. A przy okazji, podjąłem już decyzję. I wiem, że ci się spodoba.

Brwi Florina powędrowały w górę, jakby chciały ją zachęcić, żeby zapytała, o co chodzi.

– Jaką to decyzję podjąłeś?

– *Carpaccio di Manzo*.

– Co proszę?

– Problem z przystawkami, nie pamiętasz? Rozwiązaniem okazało się *carpaccio*. Idealny pierwszy krok na drodze do spełnienia. Anneke będzie zachwycona.

Wiatr wpadający do auta pachniał świeżą ziemią i bzem.

– Z całą pewnością.

Zostawili samochód przed lokalną gospodą. Droga przed nimi prowadziła przez łąkę. Po jednej stronie mijali pojedyncze wille, a po drugiej cudownie odrestaurowane zabytkowe zabudowania gospodarstwa. Florin w wyciągniętej dłoni trzymał komórkę i nawigował nią niczym kompasem.

– Czteryście trzydzieści metrów w linii prostej na północny zachód. Mimo to trzymałbym się na razie drogi, zamiast od razu ruszać na przełaj przez krzaki.

Poza starszą parą wyposażoną w kijki do nordic walkingu nie spotkali

w lesie nikogo. Przeszli nad strumieniem o zaskakująco krystalicznej wodzie i skręcili w prawo, kierując się wskazaniem żółtej strzałki z napisem: „Kamienne szczeliny”.

– Już niedaleko. – Florin pokazał Beatrice komórkę. Na ekranie widać już było flagę w biało-czarną kratkę symbolizującą metę. Ścieżka wspinała się stromo między wysokimi skałami i połamanymi drzewami, których pnie porastały grzyby. Jedno z przewróconych drzew zbudowało naturalną bramę, pod którą trzeba było przejść.

– Przynajmniej możemy podziwiać okoliczności przyrody – mruknęła Beatrice. – Daleko jeszcze?

– Sto dwadzieścia metrów.

Zaczęła się rozglądać, szukając czegoś dziwnego, co nie pasuje do otoczenia, lecz nie mając pojęcia, co by to mogło być, trudno było cokolwiek znaleźć. Dookoła widzieli jedynie najróżniejszej wielkości skały. I kolejne koryta strumyka.

– Czterdzieści metrów – oznajmił Florin.

Wszędzie jak okiem sięgnąć gigantyczne kamienie, pojedyncze, wsparte na sobie i usypane w stosy. Spomiędzy obrośniętych mchem skałek wyrastały nawet pojedyncze drzewa.

– Piętnaście metrów. – Florin się zatrzymał. – Stąd powinniśmy już coś widzieć.

Ruszył dalej, lecz znacznie wolniej, koncentrując się na ekranie komórki. Beatrice walczyła z palącym rozczarowaniem. Niczego tu nie było – lecz może to tylko pozory? To przecież wcale nie musiało oznaczać, że współrzędne to czyjś wygłup. Spokojnie, teraz potrzebują trochę czasu, żeby zbadać okolicę. Potrzebują skrupulatności. Zakładają przecież, że za tatuażami kryje się coś więcej niż tylko morderca z fetyszem do ozdabiania stóp ofiar cyframi i symbolami.

– Jesteśmy na miejscu. – Florin znów stanął. – To musi być gdzieś w promieniu trzech metrów. Komórką dokładniej nie da się ustalić.

Pod nogami szeleściły stare liście i drobne gałązki, kiedy małymi krokami posuwali się naprzód. Ten prześwit nie odróżniał się niczym szczególnym od pozostałych w lesie. Drzewa. Formacje skalne. Spróchniałe pnie.

Beatrice wyjęła z plecaka aparat fotograficzny i zaczęła robić zdjęcia. Starła się niczego nie pomijać. Całkiem możliwe, że później zobaczą na nich więcej, niż stojąc tu i się rozglądając.

– Tam, przed nami, jest coś, co się nazywa Diabelskim Wąwozem – poinformował ją Florin. – Nazwa by pasowała, ale współrzędne nie te.

– Mimo to warto podejść i zobaczyć, co to. – Beatrice usiadła na sięgającym jej kolan odłamku skalnym i rozejrzała się uważnie. – Jestem w dobrym miejscu?

– Tak, raczej tak. To coś jest osiem metrów na wschód... cokolwiek to ma być.

Policjantka odetchnęła głęboko, rozkoszując się rozgrzanym słońcem i ciężkim od zapachów górskim powietrzem. Żywica, liście, ziemia.

Osiem metrów.

Uważnie przyglądała się ziemi dookoła. Nic. Wszystko wyglądało zupełnie normalnie. Same skały.

Ale zaraz... może chodziło o to, żeby podnieść wzrok? Może powinni szukać wyżej – pośród drzew?

Beatrice osłoniła dłonią oczy. Mrugając w oślepiającym słońcu, oglądała pnie i konary dookoła, lecz jedyne, co dostrzegła, to zwyczajny las.

Nic, od czego można by zacząć dalsze poszukiwania, żadnego punktu zaczepienia.

Wyraz twarzy Florina świadczył o równie dużym niezadowoleniu, lecz mimo to w jego głosie słychać było zdecydowanie i zapal.

– Pewnie znowu masz rację, Bea. Bóg jeden wie, jakie znaczenie ma dla tatuażysty to miejsce. Co tu przeżył, zobaczył albo usłyszał. I to pewnie lata temu.

– No właśnie. – Upiła trzy duże łyki wody z butelki, którą jej podał. Cały czas miała wrażenie, że coś jest nie tak.

Czuła, że coś ich tu czeka, ale nie potrafią tego dostrzec! To oni popełniają błąd!

„Jesteśmy ślepi”. – Ta myśl nie dawała jej spokoju. „Nie widzimy tego, bo nie chcemy tego zobaczyć? Czy dlatego, że się za mało staramy?”

Zatrzymała wzrok na jednej z wyższych skał w okolicy. Leżał na niej pojedynczy kamień. Niemal nie odróżniał się kolorystycznie od otoczenia, a jednak dało się dostrzec, że jest nieco jaśniejszy. Na dodatek, w odróżnieniu od innych skał, nie porastał go mech.

– Możliwe, że to coś zostało tu ukryte – powiedziała zdecydowanie.

– Słucham?

Beatrice wstała, podeszła kilka kroków do skał. Żeby dostać się do miejsca, które przykuło jej uwagę, musiała się kawałek wspinać. Przytrzymała się drzewa, które oplotło korzeniami odłamki skalne poniżej. Drugą dłonią zaczęła obmacywać pozbawiony mchu kamień. Tak, jak sądziła, był tam tylko położony, a za nim znajdowało się zagłębienie, pogrążona w mroku wnęka. Z niewielkiej odległości sfotografowała skałę, przez cały czas walcząc o zachowanie równowagi. Błysk lampy oświetlił na chwilę wnękę – w jej środku kryło się coś jaśniejszego.

– Trzymaj. – Florin wspinał się do Beatrice i podał jej z plecaka latarkę.

Snop światła padł na dno wnęki. Pokrywała ją ziemia i kilka zaschniętych liści, za które czmychnęły przerażone pająki. Jasny krąg przesunął się głębiej i zatrzymał na białym przedmiocie. Plastik.

Bez słowa oboje sięgnęli do kieszeni i nałożyli rękawiczki jednorazowe. Florin wsunął dłoń do szczeliny i wyjął z niej pudełko z biało-niebieskim

wieczkiem. Pojemnik do przechowywania żywności.

– Wygląda na nowy – stwierdziła Beatrice.

– I na pewno nie jest pusty, bo trochę waży. Obfotografowałaś wszystko? Świetnie, w takim razie schodzimy.

Przyklękli obok siebie na miękkiej ziemi, a Florin otworzył zatrzaski umieszczone na każdej z czterech krawędzi wieczka. Potem ostrożnie uniół pokrywkę.

Coś dużego, owiniętego w ręcznik kuchenny. Na wierzchu równo złożona kartka, a na niej jakaś wiadomość – nie zapisana odręcznie, a zadrukowana. Florin ją rozprostował, a Beatrice przysunęła się, by czytać równo z nim.

Gratulacje, znalazłeś!

Ten pojemnik jest częścią ogólnoswiatowej gry, przeznaczonej dla osób wyposażonych w odbiornik GPS. To coś w rodzaju współczesnego poszukiwania skarbów. Jeśli jesteś przypadkowym znalazcą, ta gra właśnie się dla Ciebie skończyła. Natychmiast zamknij pojemnik i odłóż go na miejsce, z którego go wzięłeś. Wierz mi, tak będzie dla Ciebie lepiej.

Jeśli szukałeś go celowo, to znaczy, że nie jesteś tak głupi jak pozostali przedstawiciele Twojego zawodu. Jestem przekonany, że zainteresuje Cię zawartość mojej „skrzyni ze skarbami”. Zgodnie z zasadami powinieneś odstawić skrzynkę w to samo miejsce, lecz zachęcam, byś tego nie robił. Weź ją ze sobą. Sprawdź, czy są na niej odciski palców. Wiem, że kilka na pewno znajdziesz.

TFTH

– Brzmi trochę tak, jakby zostawił to specjalnie dla nas – powiedział Florin powoli. Złożył ostrożnie kartkę z informacją i wsunął ją do plastikowej torebki.

Oboje wpatrywali się w plastikowy pojemnik na żywność i na to, co czekało jeszcze w jego wnętrzu, owinięte w ręcznik kuchenny. W końcu Florin sięgnął do środka i pochwycił materiał. Jakaś część Beatrice cały czas miała nadzieję, że wbrew rozsądkowi nie dowiedzą się, co jest w środku, lecz w tym momencie materiał się przesunął.

„Jakaś atrapa” – pomyślała w pierwszej chwili. „Zabawka na Halloween, oryginalnie zapakowana”. Jej żołądek zareagował szybciej niż głowa. Poczula mdłości, jeszcze zanim zrozumiała, co widzi.

– Cholera... – wyszeptał Florin.

– Myślisz, że jest prawdziwa?

Mężczyzna nabrał głęboko powietrza i przełknął.

– Tak. Widzisz poszarpane brzegi rany? Nie jestem medykiem sądowym, ale... to mi wygląda na uszkodzenia spowodowane cięciem piłą.

Techniką wypraktykowaną przez lata doświadczenia Beatrice wyłączyła wyobraźnię i skupiła się na rzeczowej ocenie.

Dłoń. Męska. Odcięta odrobinę poniżej nadgarstka. Zamknięta w zgrzewanej torebce z grubego plastiku. Wyglądała jak próżniowo zapakowane mięso, tak samo blade, z nieco niebieskawymi przebarwieniami na opuszkach palców i wokół paznokci.

Zmusiła się, żeby dokładniej obejrzeć ranę po amputacji. Z odciętego kawałka wystawały fragmenty kości i jakaś żyła.

– To by oznaczało, że mamy jeszcze drugie zwłoki – oznajmił Florin głuchym głosem. Słyszała go, jakby docierał gdzieś z bardzo daleka.

– Albo ofiarę ataku z jedną dłonią.

Skinął głową.

– Możliwe również, że ktoś zyskał dostęp do odpadów szpitalnych. Potrzebny nam Drasche. Zadzwońię po niego.

Beatrice pospiesznie wyciągnęła przed siebie aparat i raz za razem naciskała migawkę. Starła się, żeby jej zdjęcia przedstawiały jak najwięcej szczegółów. W pewnym momencie znieruchomiała.

– Florin! Tam jest coś jeszcze! Popatrz, pod dłonią... – Odłożyła aparat i opuszkami palców sięgnęła do środka, by wyjąć kolejną kartkę. Ostrożnie rozłożyła złożony papier. Florin schował telefon i podszedł, żeby przeczytać wraz z nią.

W przeciwieństwie do pierwszej wiadomości, ta została zapisana atramentem, odręcznym pismem pełnym łuków i zawijasów.

Stage 2

Szukasz śpiewaka, mężczyzny o imieniu Christoph i niebieskich oczach, który ma znamię na grzbiecie lewej dłoni. Jakiś czas temu – będzie pewnie z pięć czy sześć lat, był członkiem salzburskiego chóru, w którym śpiewał Mszę As-dur Schuberta, co budziło w nim dumę. Dwie ostatnie cyfry jego roku urodzenia to A. Podnieś A do kwadratu, dodaj 37, a następnie dodaj tę liczbę do szerokości geograficznej.

Policz sumę cyfr A, pomnóż przez dziesięć, a następnie pomnóż A przez wynik, który otrzymasz. Odejmij 229, a następnie odejmij otrzymany wynik od długości geograficznej. Witaj w Stage 2. Tam znów się spotkamy.

Przez dłuższy czas śpiew ptaków w koronach drzew był jedynym odgłosem w całej okolicy. Beatrice przeczytała wiadomość po raz drugi i trzeci. Mężczyzna imieniem Christoph? *Msza As-dur Schuberta?*

Nie, tylko się nie zagłębiać. Przeanalizować pierwsze wrażenia. Pismo zdecydowanie kobiece. Ona sama pisała podobnie: nieco mniej krągłości i mniej

zawijasów, ale równie zamasyście. Spojrzała na Florina.

– Rozumiesz coś z tego?

– Nic a nic. – Pokręcił głową, nie odrywając oczu od listu. – Pojemnik znaleźliśmy w miejscu, na które wskazywały współrzędne spisane ze zwłok.

– Zacisnął powieki, jakby każdy promień światła mógł mu przeszkodzić w analizie.

– Znajdujemy też wskazówki, za pomocą których mamy wyliczyć współrzędne kolejnego miejsca. I obcięta dłoń. Dlaczego? Co to ma oznaczać? Po co podsuwa nam ofiary, zamiast ukrywać ich istnienie?

– Bo uważa nas za idiotów. Tak napisał. Albo napisała.

– Ale dlaczego? Chce, żebyśmy go dopadli? A może uważa się za tak cwanego, że nic nie ryzykuje?

Beatrice zasłoniła obiektyw przykrywką.

– Diabli wiedzą... może podrzuca nam fałszywy trop?

– Kawalkiem zwłok?

Przyjrzała się martwej dłoni. Prawa. Na serdecznym palcu widać było wyraźne wgłębienie, szerokie może na trzy milimetry.

– Kawalkiem zwłok – powtórzyła zamyślona. – W ten sposób ma pewność, że pójdziemy we wskazanym kierunku.

Niecałą godzinę później na miejscu pojawił się Drasche. Technik przywitał ich kwaśną miną, jaką robił zawsze, ilekroć to nie jego palce pierwsze dotykały dowodów, na których mogłyby znajdować się ślady.

– Byliśmy bardzo ostrożni – zapewniła go Beatrice. – Wiadomo już coś w sprawie Nory Papenberg?

– Nie została zgwałcona i nie miała obcych tkanek pod paznokciami. W pobliżu miejsca znalezienia ciała i przede wszystkim na drodze prowadzącej na skalną ścianę zabezpieczyliśmy ślady opon, ale jak dotąd nic z nich nie wynika. Poszukiwanie odcisków butów sprawcy również bez rezultatu. Damy znać, jeśli będziemy coś mieli. Dobra, gdzie dokładnie znaleźliście ten pojemnik?

Beatrice wskazała mu wnękę.

– Zanim wyjęliśmy pojemnik, wszystko obfotografowałam.

– Lepsze to niż nic – burknął Drasche, wkładając rękawiczki lateksowe. – Sprawca bardzo poszedł mi na rękę, że tak powiem. Kto to widział, żeby hermetycznie zamykać obcięte części ciała ofiar? Sam zabezpieczył ślady, jeśli w ogóle jakieś zostawił.

W biurze Beatrice podłączyła aparat do komputera. Chwilę później, jedno po drugim, na ekranie zaczęły pojawiać się zdjęcia obciętej dłoni w plastikowym pojemniku. Kiedy ona zajęta była oglądaniem kolejnych ujęć, Florin zadzwonił po Stefana Gerlacha.

– Nawet Hoffmann zrozumie, że teraz naprawdę nie masz czasu na pisanie raportów – oznajmił, usiadł w fotelu i przesunął się na jej stronę biurka.

– Pudełko to Lock&Lock firmy isi. Masówka. – Beatrice wskazała ołówkiem na otwartą stronę internetową producenta. – Patrz, to dokładnie ten sam model, który znaleźliśmy. Pokrywka ma niebieską obwódkę i zamknięcie na bokach. „W pełni hermetyczne i wodoszczelne”, jak obiecuje producent. „Idealne do transportu płynów i przechowywania potraw o intensywnym zapachu. Już nie musisz się martwić, że coś przejdzie zapachem ryb czy sera”.

– Idealne do przechowywania szczątków zwłok. A i tak nasz sprawca chciał mieć absolutną pewność, więc na wszelki wypadek zamknął dłoń w plastikowej torebce.

Beatrice przeszła do zdjęć otwartego pudełka.

– Nie chciał, żeby ktoś postronny znalazł jego skrytkę – myślała na głos. – Ani pies, na przykład. A że, jak wynika z listu, nie ma dobrego zdania o inteligencji policji, założył, że dłoń będzie dłużej czekała na odkrycie.

Rozległo się pukanie do drzwi i w progu stanął Stefan.

– Podobno macie dla mnie jakąś nudną robotę przy raportach. Już się nie mogę doczekać.

– Jesteś skarbem.

Beatrice zebrała dokumenty w mniej więcej równy stos i chciała podać je młodszemu koledze, lecz Stefan stał zapatrzony w ekran jej komputera, na którym były wyświetlone zdjęcia pojemnika z dłonią.

– O kurczę. Nieźle. Co to?

– Sami chcielibyśmy wiedzieć.

– Dłoń? Tak po prostu sobie leżała? Zapakowana jak mięso u rzeźnika?

Dziwaczne.

Słowo „dziwaczne” dość dobrze opisywało ich znalezisko.

– Nie leżała tak sobie. Była dodatkowo zamknięta w plastikowym pudełku. Widzisz je po prawej stronie? – Beatrice dała mu przyjacielskiego kuksańca.

– Dobra, a teraz odmaszerować. Ty nie będziesz łamał sobie nad tym głowy. Ciesz się, że to nie twój problem.

A jednak Stefan nie mógł oderwać wzroku od ekranu.

– Cholernie dziwne, jeśli mam być szczerzy. Ale naprawdę niczego wam to nie przypomina?

– Nie, a powinno?

Stefan nachylił się i wskazał palcem na zagłębienie w skale, z którego wyjęli pudełko.

– Tutaj to było schowane?

– Tak jest.

Ze świstem nabrał głęboko powietrza.

– To najbardziej perwersyjny fant, jaki w życiu widziałem.
– Najbardziej perwersyjne co?
– Fant, coś na wymianę. No wiesz, wyjmujesz z pudełka jakąś rzecz, ale w zamian za to chowasz w niej coś innego. Tak to się robi.

Beatrice spojrzała na Florina. Z tego, jak policjant przysłuchiwał się ich rozmowie – przekrzywiając głowę i mrużąc oczy – wnioskowała, że był równie zagubiony jak ona.

– Sorry, to znaczy, że wy nigdy nie byliście na geocachingu, co?
– Na czym?

Stefan popatrzył na nią i przeniósł wzrok na Florina, po czym podsunął sobie krzesło.

– To taka gra dla poszukiwaczy. Ktoś coś ukrywa, a cała reszta usiłuje to znaleźć. To, co zostaje ukryte, nazywane jest *cache*, czyli kesz. A do zabezpieczenia kesza używa się między innymi takich pojemników, w jakim znaleźliście dłoń. Mogę?

Beatrice podała mu myszkę i odsunęła się, żeby zrobić mu miejsce pośrodku, między nią a Florinem.

– Czekaj, jeszcze raz, od początku. Jak to nazwałś? *Cash*? – zapytała. – Jak gotówka?

– Tak samo się wymawia, ale inaczej pisze – wyjaśniał Stefan. – Przez „ch”, *c-a-ch-e*. Pieniądzy tam raczej na pewno nie znajdziesz, ale poza tym możesz trafić naprawdę na wszystko.

– Czyli to taka zabawa w szukanie – podsumowała Beatrice. – Brzmi ciekawie. Korzysta się w niej z GPS-ów?

– Czyli jednak coś już wiecie... – mruknął Stefan, nie kryjąc rozczarowania.

– Nic a nic, spokojna głowa. Tylko strzeliłam. Mów dalej.

– Dobra. Na początek trzeba się zarejestrować na stronie internetowej geocaching.com. Tam można znaleźć wszystkie skrytki na całym świecie.

– No proszę... – Florin pokręcił głową. – I to jest popularna zabawa?

– I to jak! – zapewnił go Stefan. – Miliony ludzi się w to bawią, przede wszystkim w USA, ale u nas też zyskuje coraz większą popularność. Dobra, wracając do meritum. Najpierw trzeba się zarejestrować na stronie, podając jakiś nick. Ja na przykład funkcjonuję w tym środowisku jako Undercoverkeks.

Beatrice nie mogła powstrzymać uśmiechu.

– Ślicznie. Obawiam się, że już się nie pozbędziesz tego przezwiska. „Tajne Ciacho”.

Stefan nie dał się sprowokować.

– Potem wybiera się jakiś kesz w pobliżu, wprowadza się współrzędne do odpowiedniego urządzenia i można ruszać na poszukiwanie. Najczęściej znajduje się jakieś puszki, plastikowe pojemniczki i inne wodoszczelne pudełka, a w nich

tak zwany *logbook*, czyli dziennik znalezień, do którego trzeba się wpisać. W większych keszach trafiasz często na jakieś przedmioty, które można zabrać, jeśli włożysz coś w zamian. I właśnie to, moi drodzy, nazywamy fantem.

Współrzędne i wodoszczelne pojemniki. Wszystko się zgadzało. Beatrice otworzyła zdjęcie pierwszej wiadomości i powiększyła na tyle, żeby dało się ją odczytać.

– A takie listy są też normalne?

– Tak, całkiem popularne. To notka do kesza. – Uśmiechnął się szeroko do Beatrice, a potem do Florina. Nie dało się nie zauważyć dumy, z jaką im wszystko tłumaczył. – Takie wyjaśnienia można znaleźć właściwie w każdej skrytce. Specjalnie dla tych, którzy nie mieli wcześniej styczności z geocachingiem i przez przypadek znaleźli kesza. Owner tutaj też zresztą pisze o przypadkowych znaleziskach.

– Zaraz, sekunda... Owner to, jak rozumiem, osoba, która ukryła kesza, tak?

– Tak jest. – Stefan spojrział na policjantkę i uśmiechnął się przeproszająco.

– W geocachingu często używa się specyficznych nazw i skrótów. – Przesunął kursor myszki na zdjęcie notki. – Gdy on tutaj pisze, że znajdziecie odciski palców, to ma na myśli odciski palców tej odciętej dłoni? – zgadywał.

– Na to wygląda. – Beatrice niemal odruchowo sięgnęła po notes i zaczęła zapisywać wyjaśnienia Stefana. – Sprawca – albo sprawczyni – ma dość specyficzne i hermetyczne poczucie humoru.

– O tak. – Stefan wskazał ołówkiem na cztery duże litery, którymi podpisany był list. TFTH.

– Co to za skrót? – zapytał Florin. – Theodor Friedrich Thomas Heinrich? Nie, żartuję, pewnie kolejna zagadka, co?

– Nie, tym razem nie. To zwyczajowy akronim. Podziękowania. TFTH to pierwsze litery *Thanks for the hunt*, dosłownie: Dzięki za polowanie. Ale macie rację, facet ma trochę spalone poczucie humoru.

– Albo facetka. – Beatrice otworzyła kolejne zdjęcie, z listem zapisanym odręcznie kobiecym charakterem pisma, w którym Owner wysyłał ich na dalsze poszukiwania. – Coś ci to mówi? *Stage 2*. Drugi etap? Scena?

– Drugi etap. – Stefan sięgnął po mysz i powiększył zdjęcie. – Najwyraźniej mamy tu do czynienia z *multi-cache*'em. To oznacza, że ma kilka etapów. Znajdujesz pierwszą skrytkę, w niej czekają na ciebie wskazówki, jak dotrzeć do drugiej, a tam trafiasz na wskazówki, jak dotrzeć do trójki. I tak dalej, aż do ostatecznego celu. Z tym że na końcu zwykle trafia się na zwykłą puszkę.

– W tym przypadku raczej nie używajmy słowa „zwykle” – zauważył Florin. – Powinniśmy jeszcze o czymś wiedzieć?

Stefan się zamyślił.

– To nie tylko jest *multi-cache*, bo tu wystarczyłoby coś policzyć, nie wiem,

schody, drzewa, nagrobki, i w ten sposób dotrzeć do kolejnych współrzędnych. Natomiast wy dostaliście jeszcze łamigłówkę, czyli mamy do czynienia z *mystery cache*, tak zwaną skrytką zagadkową.

„*Mystery cache*” – zanotowała Beatrice.

– Dzięki, Stefan. Ogromnie nam pomogłeś. TFTH. *Thanks for the help*.

Młody policjant się ociągał.

– Moglibyście opowiedzieć mi coś więcej o tej sprawie? Jak w ogóle trafiliście na tę skrytkę? Zaraz, to musiała być ta kobieta z wczoraj, prawda? To ma z nią coś wspólnego? Kobieta z pastwiska? – Spoglądał na Beatrice i Florina błagalnym wzrokiem. – Nie przyda wam się wsparcie w śledztwie? Trzecia para rąk?

– Pogadam z Hoffmannem. Jeśli zdecyduje się nam kogoś przydzielić, jesteście pierwszy na liście.

To go uspokoiło. Wstał, wziął z biurka plik dokumentów i wyszedł.

Beatrice sięgnęła po jaskrawozielony zakreślacz i zabrała się do porządkowania swoich notatek.

– Popraw mnie, jeśli się mylę, ale nie byłoby rozsądnie ograniczyć poszukiwania do osób z grona ludzi bawiących się w geocaching? Nasz sprawca najwyraźniej obraca się w tym środowisku – sprawca albo sprawczyni. A może najpierw powinniśmy odcyfrować współrzędne dla drugiego etapu? Jeśli Stefan ma rację, dotrzemy w ten sposób do *stage* osiem, trzydzieści pięć albo dziewięćdziesiąt dwa i tam znajdziemy to, czego szukamy.

– W sensie, sprawcę? – Florin podrapał się za uchem. – Naprawdę myślisz, że podłoży się nam jako nagroda za to, że dzielnie i posłusznie podążaliśmy za podrzucanymi nam tropami?

Beatrice po raz kolejny przyjrzała się fotografii z dłonią.

– Może to tylko myślenie życzeniowe – powiedziała. – Ale przez to, jak to na razie wygląda, jestem gotowa pomyśleć, że tak właśnie będzie.

Wyniki badania ich znaleziska dotarły już następnego ranka, znacznie wcześniej niż wyniki sekcji Nory Papenberg.

– Nasze wyobrażenie o precyzyjnej amputacji możemy włożyć między bajki. – Florin z ponurą miną przeglądał raport z sekcji zwłok. – Dłoń została odcięta piłą do drewna, na szczęście *post mortem*, i natychmiast po tym zawinięta w folię. W ranie znaleziono sporo trocin. – Odłożył dokument na biurko i palcami zaczął masować oczy. – To jest chore, nie sądzisz? A jeszcze gorzej, że poza ręką nie znaleźliśmy żadnego okaleczonego ciała.

Jeszcze nie. Nie miała wątpliwości, że w końcu pojawią się kolejne zwłoki, a oni będą mieli do wyjaśnienia nie jedno, a dwa morderstwa. Chyba że sprawca pociął piłą kogoś, kto umarł śmiercią naturalną.

Sprawca. Owner.

– Dobra, w takim razie bierzemy się do poszukiwania skrytki numer dwa – zdecydowała.

Drukarka wypluwała właśnie drugi wydruk zdjęcia z odręcznie napisanym listem, kiedy do biura wpadł Hoffmann, jak zawsze bez pukania.

– Kaspary, co za miła niespodzianka! Zastać panią tu w godzinach pracy to naprawdę święto!

– Dzień dobry – odpowiedziała Beatrice. – Ja też już się za panem stęskniłam.

– Gdzie są moje raporty? Doszły mnie słuchy, że bez konsultacji ze mną zepchnęła je pani na młodego Gerlacha?

– Tak wyszło, bo był pan nieosiągalny. A Stefan nie miał nic przeciwko temu, żeby zająć się biurokracją.

I tak zawsze wykrzywione usta Hoffmanna przybrały kształt podkowy.

– Zawsze pani dobrze szło obarczanie innych nużącymi obowiązkami, prawda?

Beatrice nie odpowiedziała. Wstała i z tacki drukarki wzięła kopie zdjęcia. Na zwykłym biurowym papierze jakość nie była oszałamiająca, ale na początek musiała wystarczyć.

– Od rana mam na głowie prasę. Zapewne wiecie, że dziennikarze bombardują mnie pytaniami o tę martwą kobietę. Dlatego oczekuję szybkich postępów. Florian, liczę na pana! – Przeczesał dłonią przeredzone brudnożółte włosy i wyszedł.

– Lada chwila przejdziecie na ty – stwierdziła Beatrice. – Facet ma do ciebie słabość.

– Florian!

– Rany, nie bądź małostkowy! Szef nie będzie przecież zwracał uwagi na takie niuanse. Jedno a więcej czy mniej, nie bądź baba, Wenninger!

„Nie bądź baba!”. Tego powiedzenia Hoffmann używał bardzo często. Beatrice była w duchu przekonana, że to właśnie stąd brała źródło niechęć szefa – była babą. I to na dodatek taką, która mówi, co myśli.

Podala Florinowi jeden z wydruków. Na swoim zaznaczyła zielonym zakreślaczem kilka wyrazów: Christoph, znamię, salzburski chór i *Msza As-dur*.

– To wszystko, co mamy, co?

– Tak, ale to przecież niemało. Szkoda tylko, że w zasadzie każdy chór ma w repertuarze *Mszę As-dur*. – Dwa kliknięcia i otworzył YouTube'a, a z trzeszczących głośniczków komputerowych popłynęły pierwsze słowa utworu Schuberta.

– O rany, racja. To przebój. – Beatrice westchnęła ciężko.

– Zaczynam podejrzewać, że każdy mieszkaniec miasta śpiewa w jakimś

zespole – westchnął Florin pół godziny później. – Więcej chórów niż kościołów. Obstawiam, że skończymy z listą przynajmniej piętnastu Christophów, u których będziemy musieli przeprowadzić inspekcję lewej dłoni i zapytać o rok urodzenia.

Z blistra obok lampki wycisnął tabletkę i połknął ją, popijając sokiem pomarańczowym.

– Właśnie takie zadania sprawiają, że ludzie garną się do policji – mruknął z ironią.

– Boli cię głowa?

– Trochę. To przez Hoffmanna. Nie mogę znieść częstotliwości jego głosu.

– Albo jak zwykle kręgosłup szyjny. – Wstała, stanęła za Florinem i zaczęła masować mu kark.

Przez kilka sekund czuła, jaki jest zaskoczony, lecz potem poddał się jej dotykowi i rozluźnił mięśnie.

– Będziemy musieli pogadać z kierownikami wszystkich chórów, po kolei – powiedziała. – Ale przez telefon.

– Owner napisał, że ten Christoph był w chórze pięć czy sześć lat temu, dlatego uznałbym, że przestał się udzielać. Kawalek w lewo proszę... o tak... cudownie.

Westchnął.

Beatrice z uśmiechem uciskała kciukami łuki między ramionami a szyją.

– W takim razie będziemy musieli pytać nie tylko o obecnych Christophów, ale też o tych, którzy kiedyś śpiewali. I o *Mszę* Schuberta, którą przygotowywali ponad pięć lat temu.

Poszukiwania ciągnęły się w nieskończoność. Po dwóch godzinach rozmów telefonicznych Beatrice dotarła dopiero do połowy listy, odnajdując przy tym sześciu Christophów. Czterech wciąż śpiewało, a dwóch już nie udzielało się w chórze. Florin wynotował piątkę śpiewaków i jednego, co do którego kierownik chóru nie mógł sobie przypomnieć, czy przypadkiem nie miał na imię Christian.

Kończył robić notatki z ostatniej rozmowy, kiedy zadzwonił jego telefon.

– Tak? O, cześć. Macie już coś nowego?

Beatrice spojrzała na niego i uniosła brwi, na co on odpowiedział jej bezgłośnie, że dzwoni Instytut Medycyny Sądowej.

– Oczywiście, że jestem zainteresowany szczegółami. Sprawdziliście już ten tatuaż? – Skinął głową i zapisał coś na kartce, a potem nabrał głęboko powietrza.

– Dobra. A druga sprawa?

Ponownie zaczął notować, jednak w pewnej chwili przerwał i spojrzał na Beatrice, a na jego twarzy pojawił się wyraz skrajnego zaskoczenia.

– Co jest? – szepnęła policjantka, lecz on tylko pokręcił głową.

– Jesteście pewni, że to nie pomyłka? Nie? Okej... Dzięki. Teraz muszę to

jakoś ugryźć. Jak tylko będziecie mieli gotowy raport, natychmiast go nam przyślijcie. Tobie też miłego dnia.

Rozłączył się.

– Dalej, mów. – Beatrice nie mogła się doczekać. – Co ustalili w Instytucie?

Florin wciąż nie mógł się otrząsnąć z zaskoczenia i kręcąc głową, spoglądał na swoje notatki.

– Chodzi o tatuaże – zaczął powoli. – Zostały zrobione, kiedy Nora Papenberg jeszcze żyła, a dokładniej, jakieś osiem czy dziewięć godzin przed śmiercią.

– *O shit!* – Beatrice odruchowo zacisnęła palce w butach.

– To nie wszystko. Druga sprawa: na jej ubraniu znaleziono ślady krwi, ale nie należącej do niej. – Przesunął dłonią po kartce, jakby wyprostowanie jej mogło pomóc w zrozumieniu zapisanych informacji. – One... pochodzą od osoby, której ręka była w pudełku.

– Co?!

Skinął głową, niemal przepraszająco.

– Miała tę krew na kurtce, bluzce, spodniach i trochę też na dłoniach.

Obraz ostatnich godzin Nory Papenberg, który Beatrice zbudowała w swojej głowie, zaczynał pękać. Samotna, przerażona, zamknięta w jakimś ciemnym miejscu – najwyraźniej było inaczej. Kobieta miała na sobie plamy obcej krwi – krwi innego martwego człowieka.

– Jakies zadrapania? Obca tkanka pod paznokciami?

Florin pokręcił głową.

– Nie, niczego nie znaleźli. Trochę obić i rozciąć, ale powstałych najprawdopodobniej w wyniku upadku i uderzeń o skały. – Potarł twarz dłońmi. – Zakładałaś, że się broniła, prawda? Facet atakuje Norę, ona się nie daje, gość krwawi, ale co dalej? Zabija go i tnie na kawałki? Umieszcza jedną dłoń w plastikowym pudełku i idzie popełnić samobójstwo? Raczej mało prawdopodobne, jeśli chciałabyś poznać moje zdanie.

Mimo to Beatrice była gotowa przysiąc, że wiadomość znaleziona w pojemniku z dłonią została napisana przez kobietę.

– Uważam, że i tak powinniśmy poprosić męża Nory o próbkę jej pisma – mruknęła i jeszcze raz przyjrzała się kartce z wydrukowanym odręcznym listem. Okrągłe litery. Kobiece pismo, ba, wręcz dziewczęce. Żaden mężczyzna tak nie pisze. Zauważyła, że w kilku miejscach autorce listu musiała zadrzeć dłoń.

Przesunęła dłonią po wiadomości – „będzie pewnie z pięć czy sześć lat”.

Dlaczego te informacje były tak niedokładne? Czy właścicielowi skrytki chodziło o dodatkowe utrudnienie? Chciał zyskać w ten sposób trochę czasu? Przedłużyć poszukiwania drugiej skrytki?

Właścicielowi. Albo właścicielce. Która w dodatku mogła już nie żyć, ale za

to zostawiła im wyjątkowo oryginalny testament.

Beatrice oparła głowę na dłoniach i nachyliła się nad fotografią. Trzeba to dokładnie przemyśleć.

Przyjmijmy, że Nora Papenberg rzeczywiście zabiła mężczyznę, którego dłoń znajdowała się w plastikowym pudełku. Zabiła go, pocięła zwłoki, napisała wiadomość i schowała dla nich cache'a. Czy ofiara mogła jej wcześniej wytatuować stopy? Jeśli tak, na odciętej dłoni znajdowałyby się pewnie ślady jej krwi. Beatrice zapisała tę myśl w notatniku.

Kolejna hipoteza. Przyjmijmy, że to nie denat ją tatuował. Czy Nora mogła zrobić to sama? W tym momencie zaprotestował zmysł logiki. Dlaczego ktoś miałby wybrać do tego tak wrażliwe i bolesne miejsce jak spód stopy?

Wymierzenie sobie kary, to mogła być odpowiedź. Pokuta za, na przykład, zabicie i pokrojenie zwłok tego mężczyzny. A potem... co potem? Potem Nora związała sobie ręce na plecach i skoczyła ze skały.

Kompletna bzdura.

– Hej, powiedz, czy teoretycznie istnieje możliwość, żeby samemu związać sobie ręce opaską zaciskową?

Florin podniósł wzrok znad notatek.

– Pewnie. Ale z przodu. Trzeba by wtedy użyć zębów, żeby zacisnąć opaskę. Na plecach już raczej nie. Na pewno nie. No chyba że ktoś jest tak wysportowany, żeby związać ręce z przodu i przełożyć je na plecy, wiesz, jak na skakance... Albo... można by przymocować do czegoś koniec opaski i w ten sposób ją zacisnąć. – Zmarszczył czoło. – Tylko że wtedy kończymy z rękoma na plecach i przyczepioną do czegoś opaską. – Odsunął papiery na bok. – Zastanawiasz się, czy Nora Papenberg mogła to zrobić sama? Zainscenizować wszystko, od początku do samobójczej śmierci?

– Chcę tylko mieć pewność, że nie zlekceważyliśmy jakiejś możliwości. W tej chwili jest najwygodniejszą sprawczynią: krew drugiej ofiary została znaleziona na jej rzeczach i dłoniach, a w pudełku z dłonią był list, który własnoręcznie napisała.

– Spokojnie, to się dopiero okaże. – Zamyślony bawił się ołówkiem. – Jak dotąd Papenberg była czysta jak łąza. Nie zgarnęła nawet mandatu za złe parkowanie! Jeśli rzeczywiście zabiła, to jedynie w afekcie. Albo w obronie koniecznej.

– Trochę za dużo gdybania jak dla mnie. Ale niech będzie. Tylko trzymajmy się faktów: nieznamy, którego dłoń znaleźliśmy, umarł przed Norą, zgadzasz się? Dobrze. Logika podpowiada, że musiał być ktoś trzeci. – Opuszkami palców starła z zębów drobinki lakieru z ołówka, który żuła. – Ktoś dzwoni do Nory, kiedy ta jest na obiedzie z ludźmi z pracy. Założmy, że to kochanek. Kobieta udaje, że rozboleła ją głowa, wychodzi przed końcem imprezy i jedzie na spotkanie.

W czasie schadzki wpadają. Żona kochanka tatuuje Norze stopy, potem morduje męża, tnie jego ciało na kawałki, a dłoń chowa dla nas w lesie. Na koniec zrzuca Norę ze skały.

Jeszcze zanim skończyła mówić, zorientowała się, że coś się nie zgadza, i potrząsnęła głową.

– Tylko że kobiety tak nie działają. Rozczłonkowane zwłoki to raczej domena mężczyzn.

– Są wyjątki.

– Zgoda. Nie można tego wykluczyć. Ale i tak trochę przestrelona hipoteza.

– Beatrice zajrzała do notatnika. – Agencja reklamowa. Trzeba przepytąć wszystkich, którzy brali udział w tej imprezie. I przycisnąć Instytut, żeby pospieszyli się z badaniem dłoni. My w tym czasie zajmiemy się rozwiązaniem zagadki Ownera. – Spojrzała na Florina. Oczekiwała jakiegoś znaku akceptacji, lecz on siedział skupiony i myślał.

– Te pięć dni... – powiedział w końcu. – Strasznie dużo czasu między zaginięciem a śmiercią. Gdybyśmy tylko wiedzieli, co się wtedy wydarzyło...

Nie spuszczać z niego oczu, Beatrice wstała i do tablicy nad biurkiem przypięła wydrukowane powiększenie odręcznego listu.

– Masz rację – mruknęła. – Przez pięć dni człowiek może stać się kimś innym, jeśli zmuszą go do tego okoliczności. Musimy o tym pamiętać, kiedy będziemy szukali informacji o Norze Papenberg.

Przez kilka następnych godzin nie mogła uwolnić się od tej myśli. Pięć dni. Uzupełniła listę śpiewających Christophów i dzwoniła do kolejnych kierowników chórów, lecz pięć zagadkowych dni nie dawało jej spokoju.

– Dzień dobry, Beatrice Kaspary z tej strony, Krajowa Policja Kryminalna w Salzburgu. Czy rozmawiam z panem Gustavem Richterem?

– Eee... tak... ale o co...

– Spokojnie, nic się nie stało. Szukam tylko pewnych informacji. Prowadzi pan chór Arcadia, tak?

Pełne ulgi westchnienie.

– Zgadza się.

– Chciałabym zadać dwa z pozoru dziwne pytania. Czy w pańskim chórze śpiewa mężczyzna imieniem Christoph? Albo śpiewał w przeszłości? Chodzi mi przede wszystkim o okres mniej więcej ostatnich pięciu, sześciu lat.

– Dlaczego pani o to pyta?

– Mój telefon ma związek z prowadzonym przez nas dochodzeniem, ale, niestety, więcej nie mogę panu zdradzić.

– Rozumiem... no więc tak, mamy jednego Christopha. Moment, dwóch nawet. Christoph Harrer i Christoph Leonhart. Obaj są aktywnymi członkami

chóru. – Zawahanie. – Mają coś na sumieniu?

– Nie, w żadnym wypadku. Czy w ciągu ostatnich pięciu, sześciu lat pański chór wykonywał *Mszę As-Dur* Schuberta?

Tym razem odpowiedź padła bez chwili wahania.

– Tak, oczywiście. Proszę dać mi sekundę, policzę, kiedy to było... tak, niemal sześć lat temu.

Beatrice podkreśliła oba nazwiska żółtym markerem.

– Bardzo mi pan pomógł, dziękuję. – Jej dłoń znieruchomiała nad notatnikiem. Na końcu języka miała jeszcze jedno pytanie.

Odetchnęła głęboko.

– Czy to wszystko?

– Tak... albo nie, proszę zaczekać. Jeszcze jedna sprawa, która może się panu wydać dziwna, ale dla nas ma znaczenie. Czy któryś z wymienionych przez pana członków chóru ma na dłoni znamię? Raczej duże, rzucające się w oczy?

– Słucham? Do czego to pani potrzebne?

Beatrice westchnęła w duchu – liczyła się z taką reakcją.

– To szczegół, który może się okazać bardzo ważny dla dochodzenia.

– Znamię? – Tym razem w głosie mężczyzny słychać było irytację, jakby podejrzewał, że ktoś robi sobie z niego żarty. – Nie mam pojęcia, dlaczego to panią interesuje, ale niestety nie mogę pani pomóc. Bo widzi pani, w chórze zwracamy uwagę na głos, a nie na dłonie.

Trzy kolejne rozmowy przyniosły wynik w postaci jeszcze jednego Christopha. Na liście pozostały już tylko mniejsze chóry i kierownicy, którzy dotychczas nie odbierali telefonów.

– Jak dotąd mamy czternaście osób do sprawdzenia. – Beatrice rzuciła ołówek na biurko. – Przy moim szczęściu ostatni będzie tym, którego szukamy. Na dodatek żaden z kierowników nic nie wiedział o znamionach.

– Ja mam bardzo podobnie. – Florin sięgnął po notatki Beatrice. – Wrzucę wszystko do komputera i dam Stefanowi, żeby ustalił nam adresy.

– Super, bo ja umieram z głodu. Przynieść ci coś?

Florin bez słowa pokręcił głową, skupiony na ekranie komputera, gdzie wypełnił tabelę kolejnymi nazwiskami. Miał ponurą minę, która świadczyła o tym, że czuje się podobnie jak ona – czekał ich kolejny weekend w pracy.

Wracając do biura kanapkę z mięsem później, Beatrice wpadła na Stefana, który z daleka machał w jej stronę zadrukowaną kartką.

– Mam już dla was kilka adresów i godziny prób czterech chórów. Zainteresowana?

– No ba! Dzięki. – Spojrzała na informacje. Jeden z chórów miał próbę tego samego dnia wieczorem, o dziewiętnastej, w Uniwersytecie Mozarteum. Gdyby

udało jej się odebrać wcześniej dzieci, przygotować im coś do zjedzenia i ściągnąć Katrin, żeby przypilnowała ich przez godzinkę, miałyby szanse dojechać tam o czasie. Skarbonkę córki sąsiadów zasilila już kwotą, za którą dziewczyna mogłaby kupić sobie skuter.

– Świetnie. – Florin skinął głową, kiedy wyłuszczyła mu swój plan. – Będę po ciebie za piętnaście siódma.

Skleić grzbiet podręcznika, wstawić pranie, ugotować makaron z sosem carbonara. Potem szybki prysznic. Krótco przed siódmą Beatrice wsiadła do samochodu Florina. Miała nadzieję, że nie roztacza już woni smażonej cebuli i czosnku.

– Christoph Gorbach i Christoph Meyer. Niebieskie oczy i znamiona. – Oba nazwiska z listy wzięła w kóleczka. – To nie powinno potrwać długo.

– Nie – potaknął Florin.

Beatrice chciała dać mu przyjacielskiego kuksańca, ale się powstrzymała – w końcu trzymał kierownicę.

– Jesteś zły, bo miałeś inne plany na weekend, prawda? Anneke już wie, że masz kolejną sprawę?

Florin wzruszył ramionami.

– Zastanawiam się, czy nie zadzwonić, żeby nie przyjeżdżała. Bez sensu, żeby pokonała taki kawał drogi, jeśli będę musiał cały czas siedzieć w robocie.

– Skręcił w Paris-Lodron-Strasse.

– Ale dlaczego? Weźmiemy Stefana do zespołu. I tak nie może się już doczekać, a na dodatek zna sprawę. – Spojrzała z boku na Florina. – We dwójkę zajmiemy się odszukaniem właściwego Christopa i...

Florin zahamował gwałtownie, bo tuż przed nim zwolniło się miejsce przy krawężniku, i zaparkował.

– Nie przyszło ci do głowy – zaczął, spoglądając w lusterko wsteczne – że ta cała heca z poszukiwaniami i zgadywaniem służy tylko temu, żeby nas zmylić? To taka gierka sprawcy, który chce się nas pozbyć, więc wysyła nas na poszukiwania znamion?

Tak, przeszło jej to przez myśl. Wcześniej, kiedy brała prysznic, rozważała, czy to działanie nie jest przypadkiem obliczone na zyskanie czasu, żeby ktoś mógł w spokoju zatrzeć ślady.

– Zobaczymy. W najgorszym razie stracimy jedynie czas, jeśli nie trafimy na nikogo zgodnego z opisem podanym przez Ownera.

– Tylko że ten czas stracimy na jego korzyść – mruknął Florin.

Oczyma wyobraźni Beatrice znów ujrzała plastikowy pojemnik z odciętą dłonią. Martwa ręka.

– Nie mamy innego wyjścia, jak przystać na jego warunki i zagrać w tę chora

gierkę. I możesz wierzyć, że mi też się to zupełnie nie podoba.

Kiedy przechodzili przez ulicę, ujął ją pod rękę.

– Mnie w tym wszystkim najbardziej wkurza to – oznajmił – że on się chyba naprawdę dobrze bawi.

Pia mater, fons amoris

Męskie głosy, unisono. Powolne osuwanie się w rozpacz.

Beatrice zatrzymała się przed drzwiami do sali prób i położyła dłoń na klamce, lecz nie przemogła się, by ją nacisnąć. Że też musieli śpiewać akurat to...

Pia mater, fons amoris

Me sentire vim doloris

Do męskich głosów dołączyły kobiece, drżące i pełne nadziei.

Fac, ut tecum lugeam,

Fac, ut ardeat cor meum

In amando Christum Deum,

Ut sibi complaceam.

Od tamtego czasu nie słyszała tej pieśni ani razu, lecz każdy ton znała na pamięć i każdy detal wrył się w jej świadomość na zawsze. Woń kadzidła i kwiatów, i żaloby... i przede wszystkim gorzkawy posmak w ustach, który miał jej towarzyszyć przez następne miesiące. Wina zostawia po sobie ślad, którego nie da się łatwo zmyć.

– Piękne – szepnęła Florin. – Zupełnie się na tym nie znam. Czy to... Puccini?

– Nie. Joseph Rheinberger. *Stabat Mater*. – Przełknęła szybko. Zauważyła, że ta muzyka zmiękcza w niej coś, co miało pozostać nieporuszone.

– Jestem pod wrażeniem. Skąd wiesz?

– To się śpiewa na pogrzebach. – Szybko nacisnęła klamkę. – Dobra, ruszamy. Teraz nasza kolej.

Florin przeprosił obu śpiewaków i wyjaśnił im powód całego zamieszania, a Beatrice zajęła się w tym czasie niechcianymi wspomnieniami z przeszłości. Zebrała je i zamknęła w najdalszym zakątku świadomości, gdzie było ich miejsce. Dopiero wtedy mogła skupić się na pracy.

Szybko się okazało, że list od Ownera nie dotyczył żadnego z chórzystów. Christoph Gorbach należał do chóru od niecałych dwóch lat, a jego dłonie były wprawdzie mocno owłosione, lecz pozbawione znamion. Christoph Meyer opierał się z początku i nie chciał pokazać Beatrice dłoni, lecz to z powodu obgryzionych paznokci, a nie rzucających się w oczy zmian skórnych.

– Zbyt łatwo by nam poszło, co? – stwierdził Florin i uśmiechnął się słabo,

kiedy wyszli na dwór i wsiadali do samochodu. – Samolot Anneke ląduje w Monachium o wpół do trzeciej. Chciałbym ją odebrać.

Beatrice poczuła, że Florin spogląda na nią kątem oka, dlatego potaknęła.

– Rano weźmiemy się ostro do roboty, więc po prostu pojedziesz. A ja ze Stefanem poprowadzimy sprawę dalej przez cały weekend.

– Dacie radę?

– Jasne. Dzieci będą u Achima. – Gdzie pewnie dostaną kotka. Odwróciła głowę i wyjrzała przez okno.

Dotarli na miejsce. Florin zatrzymał się na ulicy przed wejściem do domu. Beatrice skinęła mu głową na pożegnanie i wysiadła.

– Hej, poczekaj, zapomniałem o czymś! – Odwrócił się i sięgnął z tylnej kanapy coś, co po ciemku wyglądało na bezkształtną plamę. – Tylko ostrzeż Jakoba, że ta jest pod ochroną.

Coś szarobrązowego. Z pluszu. I z ogromnymi oczyma z plastiku.

– Elvira dwa – mruknęła Beatrice. – Dzięki, uratowałeś nam tyłki. Na śmierć zapomniałam o zmasakrowanej sowie.

– Nie ma o czym mówić. – Miał zmęczone oczy, ale się uśmiechał. – Dobrej nocy.

Laptop terkotał tak głośno, że Beatrice się bała, że obudzi dzieci, które dopiero pół godziny wcześniej, głośno demonstrując niezadowolenie, pomaszerowały do łóżek. Jakob natychmiast chciał zaanektować Elvirę na własność i długo się opierał, żeby oddać ją klasie. W końcu, wyjąc wniebogłosy, się poddał, na co Mina nazwała go rozhisteryzowanym dzieciakiem.

Nie, coś wyraźnie było nie tak. Beatrice uderzyła dłonią w bok komputera. Terkotanie wprawdzie nie ucichło, lecz straciło na przenikliwości. Pewnie coś dostało się do środka przez wywietrzniki i rezonowało w systemie chłodzenia. Kolejny cios zmienił terkot w pisk, jednak znacznie cichszy. Tak mogło zostać.

Beatrice otworzyła pocztę, lecz na żaden z mejli nie musiała odpowiadać natychmiast, więc zamknęła program pocztowy i uruchomiła przeglądarkę.

W pasku adresu wpisała www.geocaching.com. Na ekranie pojawiła się wywołana strona. Po lewej stronie znajdowało się czteroczęściowe logo, a w centrum ekranu napis zachęcał: „Dołącz do największego na świecie polowania na skarby” i „Czym jest geocaching? (75 sekund)”. Link prowadził do filmu, który mniej więcej mówił o tym, czego już wcześniej dowiedzieli się od Stefana. Beatrice przyglądała się, jak dziewczyna wędruje w poszukiwaniu skrytki. Pomyślała o Ownerze. Kiedyś też musiał obejrzeć ten filmik. Czy już wtedy wpadł na pomysł z makabrycznymi keszami?

On... w zasadzie dlaczego zawsze zakładała, że to mężczyzna? Palcami bębniła po gładziku, a kursor skakał po ekranie jak oszalały. Proszę, po prawej

stronie znajdowała się zakładka, przez którą dało się wybrać konkretne kesze w najbliższej okolicy. Niestety, współrzędne mogli zobaczyć jedynie zalogowani użytkownicy.

„Utwórz darmowe konto geocaching” – informował radośnie baner na stronie. Beatrice kliknęła strzałkę i przeniosła się do formularza rejestracji.

Nazwa użytkownika. Natychmiast przypomniała sobie Undercoverkeks Stefana i uśmiechnęła się z rozbawieniem.

Zamyślona przesunęła opuszkami palców po klawiaturze. Coś zwykłego, coś, co nie rzuca się w oczy. Jej spojrzenie zatrzymało się na pluszowej sowie. Elvira. Doskonale – tyle że ta nazwa użytkownika była już zajęta.

– To za mało, żeby nas odstraszyć, co? – mruknęła i w odpowiednim polu wpisała Elvira die Zweite – Elvira Druga.

Proces rejestracji przebiegł szybko i płynnie, więc już po chwili zyskała dostęp do współrzędnych skrytek, ba, mogła nawet otworzyć dla każdej z nich mapkę Google Geocaching card.

Mapy były dla niej znacznie przydatniejsze niż współrzędne. Nie zastanawiając się długo, Beatrice namierzyła dolinę Lammertal i zaczęła szukać w niej miejsca niedaleko Abtenau, gdzie znaleziono zwłoki Nory Papenberg.

Nie, tamta łąka i skały nie skrywały żadnego kesza. Za to w okolicy znajdowało się kilka skrytek, na mapie oznaczonych jako białe skrzynki z zielonymi albo pomarańczowymi wieczkami. Po drugiej stronie rzeki dostrzegła niebieski znak zapytania – jak Stefan nazwał takie zagadkowe skrytki? – no tak, *mystery cache*. Tyle że w promieniu pięciuset metrów od miejsca znalezienia zwłok nie było ani jednego kesza. Beatrice oparła się wygodniej. Nie spuszczać wzroku z mapy, przesunęła kursor na wschód, przy czym straciła wyczucie i skokowo zwiększyła podziałkę, więc zakres wyszukiwania objął połowę Salzburga.

„Your search exceeded 500 caches” – poskarżył się program.

– Niech ci będzie – mruknęła. Przesunęła mapę, by widzieć odpowiedni fragment, i kółkiem myszki zaczęła go powiększać. To mniej więcej tam powinny znajdować się kamienne szczeliny. Niedaleko, tuż przy miejscu, w którym ona i Florin znaleźli pudełko z odciętą dłonią, był oznaczony zwykły *cache*.

Beatrice przeczytała opis właściciela skrzynki, który go ukrył, a potem meldunki kolejnych znalazców. Pojemnik został ukryty w zagłębieniu pod kamieniem, lecz najbardziej niesamowitym elementem jego zawartości była zezowata plastikowa świnka.

Beatrice pokręciła głową i znów opadła na krzesło. Czego się właściwie spodziewała? Że sprawca zostawi jakieś oczywiste ślady w Internecie?

Na chybił trafił zaczęła przeglądać profile użytkowników, którzy potwierdzili znalezienie kesza przy szczelinach. Odnalezienie większości z nich nie

nastęczałoby zbyt wielkich trudności, tym bardziej że niektórzy dodawali swoje zdjęcia – często zrobione na dworze, z brudną od ziemi skrzyneczką w dłoniach. Zdjęcie Nory Papenberg przy lepieniu bałwana w żaden sposób by się nie wyróżniało.

Beatrice przeglądała kolejne profile i czytała dodawane przez użytkowników opisy, aż w końcu rozboleły ją oczy. Stefan poświęcił część ostatniej nocy na przeszukiwanie forów związanych z geocachingiem, by wyłowić najbardziej charakterystycznych użytkowników z okolicy. Syzyfowa praca. Z drugiej strony, jeśli sprawca wywodził się z tej społeczności, nie dało się wykluczyć, że zdradził się w którymś z opublikowanych postów. Takich możliwości nie wolno było lekceważyć.

Policjantka po raz kolejny przesunęła mapę po ekranie i wybrała pierwszy niebieski znak zapytania, na jaki trafiła. Żeby otrzymać współrzędne skrytki, należało rozwiązać sudoku. Jak zazwyczaj wyglądały takie zagadki? Wybrała kolejny znak zapytania. Jej oczom ukazał się długi rząd cyfr ułożonych według klucza, którego nie potrafiła odgadnąć. *Mystery*.

Stłumiła ziewnięcie.

– Zawiała sprawa, Elviro.

Pluszowa sowa milcząco wpatrywała się przed siebie żółtymi plastikowymi oczyma.

Beatrice szukała dalej. Dość szybko trafiła na internetowy leksykon wyrażen stosowanych w geocachingu. Na samym początku znajdował się odnośnik do listy skrótów. Wśród nich dostrzegła TPTH – pozdrowienie, które Owner umieścił pod wiadomością do nich. „Świetnie” – pomyślała. „Jeszcze trochę czytania i w końcu do łóżka”. Z poczuciem spełnionego obowiązku i odprężenia, Beatrice nalala sobie kieliszek wina i odsunęła od siebie notatnik. Dziś nie miała już co liczyć na iluminację, nie spodziewała się też przełomowych pomysłów, którym groziłoby zapomnienie w strumieniu czerwonego wina.

Upiła pierwszy łyk. Skrót BYOP oznaczał *Bring Your Own Pen*, a stosowało się go przy opisie skrytek, które były zbyt małe, by pomieścić przybory piśmiennicze. HCC tłumaczyło się jako *Hard Core Caching*, a JAFT – *Just Another Fucking Tree* i opisywało skrytkę na drzewie, do której dało się dotrzeć, jedynie stosując techniki linowe. Beatrice zacisnęła powieki, żeby przegonić na razie delikatny ból głowy. Wiedziała, że czeka ją mozolna praca zaznajamiania się z tym środowiskiem i językiem przez nie używanym.

Pięć po wpół do jedenastej. Ziewnęła. Złapała się na tym, że najchętniej wzięłaby Elvirę do łóżka, wtuliła twarz w miękki materiał i... no właśnie, i co?

Przestraszył ją przenikliwy dzwonek telefonu. Poczowała ucisk w piersi. Zerwała się gwałtownie z krzesła, przebiegła przez cały salon i niemal wyrwała słuchawkę ze stacji dokującej. Czy dzieci dalej spały? Miała nadzieję, że tak.

Telefony o takiej porze oznaczały, że stało się coś złego. Znalaziono kolejne zwłoki... albo część zwłok...

Spodziewała się wszystkiego, tylko nie kolejnej porcji nocnego nękania ze strony Achima.

„Co za pieprzony skurwysyn!” – zaklęła w duchu.

– Dobrze, że w ogóle czasem odbierasz. – Jego głos ociekał pogardą. Jak zawsze zresztą. – Jutro, wpół do drugiej. Tylko punktualnie. I tym razem spakuj dzieciom chociaż kurtki. Każdemu jedną. Ostatnio Mina strasznie marzła.

Tylko nie dać się sprowokować.

– Oczywiście. Jutro, wpół do drugiej – powtórzyła oschle. – Ciepłe ubrania. I nie dzwoń więcej o tej porze, bo poza ciepłymi ubraniami dzieci potrzebują również snu.

– Nie masz prawa mnie pouczać!

Beatrice przerwała połączenie, to było niczym odruch. Kolejna rzecz, którą może wykorzystać przeciwko niej. Zmęczenie otulające ją miękko jeszcze kilka minut wcześniej zniknęło, pozostawiając ją z sercem walącym jak po wielokilometrowym biegu. Jedyne, z czego mogła się cieszyć, to z tego, że dzieci dalej spały. Do zakładek dodała stronę OpenGeoWiki, uśpiła komputer, wyjęła wtyczkę telefonu, wyłączyła komórkę i poszła umyć zęby. W pewnej chwili zorientowała się, że cały czas nuci jakąś smutną melodię, choć z początku nie wiedziała jaką. Dopiero po chwili sobie przypomniała: *Stabat Mater*.

– Dzień dobry, pan Papenberg? Przepraszam, że przeszkadzam, ale potrzebowalibyśmy pańskiej pomocy. – Beatrice starała się, by w jej głosie współczucie mieszało się w należytych proporcjach z rzeczowością. – Czy zechciałby pan udostępnić nam próbkę odręcznego pisma pańskiej żony? List, może dziennik... albo coś podobnego?

– Po co? – Mąż Nory był śmiertelnie zmęczony.

– Jesteśmy w posiadaniu pewnej notatki, która mogła wyjść spod ręki pańskiej żony. Chcemy przekazać ją wraz z próbkami jej charakteru pisma do analizy biegłego.

Słyszała, że przetyka ślinę, walcząc o zachowanie spokoju.

– Notatkę? Jaką? Mógłbym ją zobaczyć?

– Niestety nie, nie na tym etapie dochodzenia. Niektórych informacji nie możemy udostępniać nawet rodzinom. Jeszcze nie teraz.

– Rozumiem... – odparł głucho. – Wie pani co? Dzisiaj i tak muszę załatwić kilka spraw w mieście i to niedaleko od was, więc przywiozę pani tę próbkę.

– Wspaniale. Dziękuję bardzo.

Tego dnia Hoffmann namaścił Florina na szefa grupy zadaniowej o kryptonimie „Geocache”. Beatrice uśmiechnęła się i przez minutę nie mogła

powstrzymać wesołości, choć nie potrafiłaby wyjaśnić, co ją właściwie rozśmieszyło. Za Florinem do biura wszedł Stefan, nieogolony i uśmiechnięty od ucha do ucha.

– Jestem oficjalnie członkiem zespołu. Dajcie mi coś do roboty!

– Obyś nie pożałował tych słów! – Udając powagę, Beatrice podała mu listę chórzystów. – W większości przypadków nie wiemy, kiedy mają próby. Byłoby dobrze, gdyby udało ci się ustalić prywatne adresy tych, z którymi chcemy porozmawiać. Nie da się wykluczyć, że część chórów będzie występowała w najbliższą niedzielę. Przejdziemy się wtedy po kościołach i wszystko sprawdzimy.

Stefan zasalutował przesadnie teatralnym gestem i ruszył do siebie pracować nad przydzielonymi zadaniami.

„Jest zmotywowany” – pomyślała Beatrice. „To dobrze”. Spojrzała na zegarek. Dopiero wpół do dziesiątej, a ona już się czuła, jakby miała za sobą cały dzień pracy. Poprzedniej nocy długo nie mogła zmrzyć oka, dręczona wizjami na przemian Achima i odciętych członków. Leżała i wpatrywała się w sufit, starając się wprowadzić jakiś porządek i poukładać myśli na temat morderstwa, aż w końcu usnęła.

– Powinniśmy jak najszybciej wziąć w obroty ludzi z agencji reklamowej, w której pracowała Nora.

Florin podsunął jej wydruk strony internetowej firmy z danymi kontaktowymi.

– Wiem... najlepiej by było, gdybyśmy zajęli się nimi jeszcze dzisiaj. Zaraz po spotkaniu z Konradem Papenbergiem, okej? Ma mi przynieść próbki pisma Nory, a ja chciałabym zapytać go o coś jeszcze.

Zbyt energicznie wytarła oczy, aż do palców przykleił jej się tusz z rzęs.

– Może powinniśmy wysłać tam kogoś innego? Stefan pewnie byłby szczęśliwy, gdybyśmy tylko go o to poprosili... Sibylle też chętnie...

– Nie – zaprotestowała zbyt ostrym tonem, więc spróbowała złagodzić wrażenie uśmiechem. – Zależy mi na tym, żeby osobiście z nimi porozmawiać. Inaczej stracę wycucie. W tej chwili mamy zbyt wiele poszlak i dziwnych informacji. Zwłoki, współrzędne... Na dodatek zagadka i fragment kolejnych zwłok, których krew ustalono na zwłokach numer jeden. Obie śmierci są jakoś powiązane, ale w sposób, którego na razie nie potrafię zrozumieć. – Odetchnęła. – Jeszcze nie.

„I nie chcę, żeby ktoś mi mieszał w moim śledztwie!” – Nie powiedziała tego głośno, bo wiedziała, że Florin był zwolennikiem pracy zespołowej i wspólnych burz mózgow. To oczywiście się sprawdzało – ale dla niego. Natomiast ona w zespole nie potrafiła myśleć. Musiała zająć się tym sama lub w najgorszym wypadku z jednym partnerem. Każda dodatkowa osoba

wprowadzała zamęt.

Srebrny długopis, którym bawił się Florin, obracając go między palcami, rzucał błyszczące refleksy na ścianę.

– Cały czas jestem gotów uwierzyć, że te wszystkie wątki są nam podrzucane, żebyśmy dreptali w kółko. Owner chce potwierdzić to, o czym pisał: że jesteśmy idiotami.

Beatrice w milczeniu zaczęła układać porozkładane na blacie dokumenty. Zdjęcie z odciętą dłonią. Pobielała skóra zamknięta w plastikowej torebce. Odłożyła je obok zdjęcia skrytki w skale, gdzie znaleźli pojemnik, a na wierzchu, na skos, zdjęcie odręcznie zapisanej zagadki. Chciała widzieć wszystkie naraz. Po chwili zmieniła ich kolejność, czekając, aż opowiedzą jej jakąś historię – one jednak milczały.

– Powiem Stefanowi, żeby pojechał z tobą do agencji reklamowej – dotarł do niej głos Florina.

– Świetnie. – Spojrzała na zegarek. Żałowała, że jeszcze nie czas jechać po dzieci, żeby przekazać je Achimowi. Miałyby przynajmniej jedną rzecz na liście do zrobienia, przy której mogłaby postawić zielonego ptaszka. – Przy okazji – dodała głośniej – ta nowa sowa to był strzał w dziesiątkę. Dzieciaki są nią zachwycone.

– Przynajmniej jedna z moich misji zakończyła się sukcesem. – Odsunął krzesło i wstał. – Trzymaj za mnie kciuki. Idę do Hoffmanna omówić dalsze postępowanie. Do zobaczenia.

Krótko przed dziesiątą rano pojawił się Konrad Papenberg. Sprawiał wrażenie, jakby przez ostatnie dwa dni stracił pięć kilogramów. Beatrice zaprowadziła go do pokoju odpraw. Przeprosiła za zaduch i czym prędzej uchyliła okno.

– Wczoraj... wczoraj pojechałem zidentyfikować Norę. – Każde z tych słów Konrad Papenberg wypowiadał osobno, jakby za każdym razem musiał na nowo zebrać siły. – Ona... To była ona. Ale jakby nie ona. Rozumie mnie pani? Nie do końca Nora. To nie był człowiek, tylko... rzecz. Przedmiot.

Jego ciałem wstrząsnął dreszcz. Odwrócił głowę, wyjął z kieszeni chusteczkę higieniczną i wytarł sobie twarz.

Beatrice go nie ponaglała.

– Rozumiem, co ma pan na myśli. – Nie kłamała. Nigdy jeszcze nie stwierdziła, żeby martwy człowiek wyglądał, jakby pogrążył się we śnie. Nieżywi ludzie wydawali się innym gatunkiem. Przeróżająco odmienni, nawet jeśli odeszli w pokoju.

Papenberg zmusił się do uśmiechu.

– Dziękuję. Ja wiem, że to dla pani nic nowego...

– Nie, nie to miałam na myśli. – Beatrice gorączkowo szukała właściwych

słów. – Bo wie pan, do tego nie da się przyzwyczaić. Za każdym razem to taka sama tragedia. – Przerwała. Czy w ogóle interesują go jej przemyślenia? – Bardzo mi przykro, proszę przyjąć wyrazy współczucia. Tylko to chciałam powiedzieć.

Skinął krótko głową, ale nie spojrzał na policjantkę.

– Próbką charakteru pisma... – wymamrotał, podniósł z ziemi teczkę i położył ją na stole.

Notatnik. Gęsto zapisany. Na czterdziestu stronach Nora Papenberg utrwalala swoje pomysły, tworzyła koncepcje, wymyślała hasła reklamowe, oceniała je i opatrywała komentarzami, takimi jak: „słabe”, „nudne” czy „oklepane”, ale też „niezłe, z potencjałem” i „świetne”.

Beatrice mogłaby założyć się o dwie pensje, że notatka ze skrytki i zapiski w notatniku zostały spisane tą samą dłonią, lecz wiedziała też, że zbyt szybkie wnioski były przejawem braku profesjonalizmu. Nie powinna brać niczego za pewnik, dopóki nie dostanie do ręki opinii grafologicznej, potwierdzającej jej przeczcucia.

– Dziękuję – powiedziała i położyła obie dłonie płasko na notatniku. – Oczywiście dostanie pan go z powrotem, kiedy nie będzie nam już potrzebny.

Mężczyzna spojrzał w dal.

– Wczoraj rozmawiałem z pani kolegą. Wypytywał mnie o różne rzeczy. Chciał wiedzieć, czy mam alibi... na tamtą noc... – Prawą dłonią ścisnął palce lewej. – Nie mam. – Tym razem spojrzał na Beatrice. – Często spotykacie ludzi, którzy mają alibi na czas między drugą a czwartą nad ranem?

– Nie.

– Bo ja też nie mam...

– Musimy zadawać takie pytania, bo to należy do protokołu – wyjaśniła policjantka. Starala się uśmiechać ciepło i serdecznie. – Ja za to chciałabym zadać panu zupełnie inne pytanie... Proszę się nie denerwować, to nie ma bezpośredniego związku z panem. – Przesunęła opuszkami palców po kartce notatnika, wyczuwając ślady, jakimi naznaczyło papier zamaszyste pismo Nory Papenberg. – Pańska żona spędzała sporo czasu na świeżym powietrzu, prawda? Czy zajmowała się też geocachingiem?

Mina Konrada Papenberga wyrażala zaskoczenie.

– Geo czym?

Pudło.

– Geocachingiem – powtórzyła Beatrice rozczarowanym tonem. – To taka zabawa w poszukiwanie skarbów, tyle że z nawigacją GPS i współrzędnymi...

Nie spuszczała go z oczu, lecz nawet ostatnie słowo nie wywołało u męża Nory żadnej reakcji.

– Coś mi się obilo o uszy... – powiedział Papenberg głucho. – Wydaje mi się... że Nora świetnie by się przy tym bawiła. – Przełknął. Spojrzał w sufit

i zamrugał, żeby przepędzić łzy. – Ale nigdy tego nie robiliśmy... Nie zrobiliśmy jeszcze tak wielu rzeczy...

Beatrice podała mu kolejną chusteczkę i czekała, aż zapanuje nad emocjami.

– Od jak dawna byliście małżeństwem?

– Dopiero od dwóch lat. Poznaliśmy się trzy lata temu. W przyszłym tygodniu mamy... mielibyśmy rocznicę...

– Bardzo mi przykro, naprawdę. – Wstała i odsunęła krzesło. – Zrobimy wszystko, żeby znaleźć mordercę pańskiej żony. – Wiedziała, że jej słowa brzmią jak pusty frazes, choć głęboko w nie wierzyła. – Jeśli przypomni się panu cokolwiek, co mogłoby się nam przydać, proszę o telefon, dobrze?

Konrad Papenberg odruchowo skinął głową i dał się odprowadzić do drzwi. Beatrice chciała pożegnać go uściskiem dłoni, lecz dostrzegła, że gniecie w niej zużyte chusteczki. I jakby to odkrycie pogorszyło jego stan, mężczyzna oparł głowę o ścianę i zamknął oczy.

– Tyle bym dał, żeby wiedzieć, dlaczego... – wyszeptał. – Rozumie mnie pani?

– Bardzo dobrze pana rozumiem – odparła Beatrice. – Nie odpuścimy tej sprawy, ma pan moje słowo.

Spoglądała, jak idzie ulicą i wsiada do samochodu, zielonej mazdy, zaparkowanej jednym kołem na krawężniku. Nie zmieniła się jego postawa, co często obserwowała u ludzi, którzy wychodzili z komisariatu i oddychali swobodniej, nie czując na sobie wzroku funkcjonariuszy.

Beatrice wróciła do biura, ściskając pod ramieniem notatnik Nory Papenberg. Florin siedział jeszcze na odprawie u szefa. Zapomniał komórki z biurka. Pod ekranem pulsowała zielona dioda, sygnalizując wiadomość tekstową albo nieodebrane połączenie.

Nie, nie sprawdzi, dlaczego dioda miga. Nie robi tego i już. I skąd w ogóle ta myśl? To przez brak snu, na pewno przez to.

Otworzyła listę kontaktów na komputerze i wybrała numer do biegłej.

– Juliane Heilig.

– Beatrice Kaspary z tej strony, Krajowa Policja Kryminalna, dzień dobry. Potrzebuję opinii grafologicznej, chodzi konkretnie o porównanie próbek. Mogłabym je pani przefaksować?

– Oczywiście. Czego konkretnie chce się pani dowiedzieć?

– Czy obie próbki zostały sporządzone przez tę samą osobę.

– Dobrze. Czy to pilna sprawa?

– Uporałaby się pani z tym do początku przyszłego tygodnia? Choć byłabym zobowiązana, gdyby jeszcze dzisiaj podzieliła się pani ze mną wstępnymi wnioskami. Oczywiście nieoficjalnie. Ogromnie by mi pani pomogła.

Chwila milczenia.

– Zobaczą, co się da zrobić.

Beatrice przyglądała się na zmianę radosnej twórczości w notatniku i wydrukowanemu listowi ze skrytki z obciętą dłonią.

– Istnieje duże prawdopodobieństwo, że jedną z tych próbek stworzyła osoba będąca pod wpływem ogromnego stresu. W bardzo trudnej sytuacji.

– Dobrze wiedzieć, dziękuję. – Heilig podyktowała jej numer swojego faksu, na który Beatrice zaraz przesłała dokumenty.

Ledwie wróciła za biurko, do biura wpadł Stefan.

– Mam ustalone godziny prób prawie wszystkich chórów z listy. Kupa roboty. – Głodny pochwał spojrzał na Beatrice, na co policjantka skinęła z aprobatą głową.

– Świetnie!

– Dzięki. Trzy chóry występują w niedzielę, dwa z nich w czasie normalnych mszy, a jeden w czasie ślubu. Jeśli się postaramy, damy radę sprawdzić wszystkie, jeden po drugim.

Podał jej karteczkę, na której wynotował nazwy chórów, godziny mszy i kościoły, do których mieli jechać.

– Świetna robota, Stefan. Serio, nie mówię tego z uprzejmości. Bardzo nam pomagasz.

Uśmiechnął się szeroko.

– Wracam do telefonu. Głupio by było, gdyby nie udało mi się skończyć dzisiaj całej listy.

Wychodząc, prawie zderzył się z Florinem, który z ponurą miną wchodził właśnie do pomieszczenia.

– Złe wieści? – zapytała Beatrice.

– Nic nowego. Hoffmann i jego mania prześladowcza... Media nie dają mu spokoju, a on chciałby sprzedać im więcej, niż my uważamy za wskazane. – Florin usiadł ciężko na fotelu obrotowym i spojrzał na zegar na ścianie. – Ciskał się, bo nie powiadomiliśmy go natychmiast o miejscu znalezienia zwłok, a chciał zobaczyć je na własne oczy, żeby wyrobić sobie zdanie.

Czyli jak zwykle.

– Próbowaliśmy.

– Pewnie, że tak. Ale on uważa, że się nie przyłożyliśmy. Jest na mnie zły, przestał się hamować. Dodatkowo chce, żebyśmy przycisnęli męża ofiary. Miejmy nadzieję, że przez weekend weźmie się w garść, bo inaczej nie da nam spokoju do końca dochodzenia.

Wpół do jedenastej. Beatrice po raz trzeci z rzędu wybrała numer doktora Vogta z Instytutu Medycyny Sądowej i znów poniosła porażkę. Zdecydowała się jeszcze spróbować na komórkę i to był strzał w dziesiątkę.

- Jestem zajęty – przywitał ją doktor Vogt.
- Przykro mi. Ale jeśli przed weekendem nie mam dostać raportu, i tak będę potrzebowała jakichś informacji.
- Chodzi o tę Papenberg?
- Nie, o odciętą dłoń. Mam ustalić, do kogo należy, ale potrzebuję do tego jakichś wskazówek.

Lekarz westchnął ciężko.

– Na razie nie wiemy zbyt wiele. Na pewno należała do mężczyzny i to właściwie wszystko. Mimo najszczerzych chęci nie powiem pani, kiedy ta osoba zginęła, bo hermetyczne zamknięcie znacząco spowolniło procesy gnilne i uniemożliwiło dostęp do rany owadom.

– Rozumiem.

– Bardzo trudno również ustalić wiek ofiary. Z dość dużym prawdopodobieństwem można założyć, że miała między trzydzieści pięć a pięćdziesiąt lat. Grupa krwi zero Rh plus.

– Pobraliście i sprawdziliście odciski palców?

Vogt odchrząknął.

– Oczywiście. Jeszcze dzisiaj dostanie pani te informacje. Ten mężczyzna musiał nosić obrączkę i to dość długo, bo na palcu serdecznym ustaliliśmy charakterystyczny odcisk. Gdyby ktoś mnie zapytał o zdanie, powiedziałbym, że albo spotkał się z kochanką i trochę wcześniej zdjął ją z palca, albo rozwiódł się krótko przed śmiercią.

Zazdrość i morderstwo w afekcie awansowało na liście Beatrice o kilka pozycji.

– Dziękuję. Raport...

– ...dostanie pani na biurko najszybciej, jak się da. To przecież oczywiste.

Trzydzieści pięć do pięćdziesięciu lat. Bez większych nadziei Beatrice zaczęła sprawdzać listy zgłoszonych zaginięć, ograniczając się do mężczyzn, lecz rozszerzyła zasięg wyszukiwania na cały kraj. Trzy zgłoszenia wpłynęły tydzień wcześniej, lecz osoby, których dotyczyły zgłoszenia, były albo zbyt stare, albo za młode. Czyżby nikt nie zauważył zniknięcia właściciela odciętej dłoni?

Potem przeszukiwała opisy zaginionych, skupiając się na ewentualnych powiązaniach lub choćby podobieństwach do Nory Papenberg, jak na przykład takie samo stanowisko pracy. Kiedy po raz kolejny spojrzała na zegarek, okazało się, że minęły dwie godziny. Niech to cholera! Zerwała się z fotela, sięgnęła po torebkę, którą przewiesiła przez oparcie, i popędziła do drzwi. Znów wszystko na ostatnią chwilę. Szlag by to trafił.

– Florin? – krzyknęła przez ramię. – Miłego weekendu! Rzuć mi na biurko wszystko, czego nie zdążysz skończyć. I bawcie się dobrze!

Ruch był bardzo duży, jak w każde piątkowe popołudnie, więc kiedy

dojeżdżała do szkoły, już z daleka widziała Jakoba i Minę na ławce przy wejściu. Mina mówiła coś z zapalem, gestykulując dziko bratu przed nosem. Pewnie były to kolejne cenne wskazówki wychowawcze.

– Spóźniłaś się – powiedziała obrażonym tonem i wsiadła do auta.

– Wiem, bardzo przepraszam. Jak wam minął dzień?

– Robiliśmy łańcuch z literek – zawołał Jakob radośnie. – Wiesz, jaka jest moja ulubiona?

– Hm, pewnie J.

– Nie! X! IIIKS!

– No proszę... A co u ciebie, Mino?

– Normalnie. Możemy jechać trochę szybciej?

W domu Mina rzuciła się na torbę podróżną i dołożyła dwa kostiumy kąpielowe. Beatrice postawiła na kuchence patelnię z olejem, żeby usmażyć paluszki rybne. Tymczasem przejrzała dzienniczek Jakoba, przygotowując się na kolejne obwieszczenia o katastrofach, i zdecydowała się dodać do torby z rzeczami kurtkę, spodnie wodoodporne, po swetrze dla każdego i dodatkowej parze butów.

– Czy tata kupił wam już szczoteczki do zębów?

– Tak. Ja mam zieloną z samochodem! – zawołał Jakob. – Mogę włączyć telewizor?

– Nie. Możesz za to zjeść obiad. Za chwilę.

Mrożone paluszki rybne zaskwierczały, kiedy wrzuciła je na rozgrzany olej. Jeszcze piętnaście minut. Czegoś z całą pewnością zapomniała – o Boże, pizamy!

– Nie wolno podchodzić do kuchenki! – powiedziała groźnie i pobiegła do szafy, uzupełnić braki w garderobie dzieci.

Komórka na komodzie zaczęła wibrować i wygrywać pierwsze takty refrenu piosenki *Message in a bottle*, jednak z odpowiednio zmodyfikowanym tekstem:

*I'll send an SMS to the world,
I'll send an SMS to the world,
I hope that someone gets my,
I hope that someone gets my,
I hope that someone gets my
Message in a bottle.*

Jeśli samotne matki miały jakiegoś patrona, Achim utknął w korku i przyjedzie spóźniony. Beatrice wrzuciła pizamy, po czym jedną ręką sięgnęła po komórkę, a drugą do szuflady po widelec, żeby przewrócić paluszki na patelni. Uff, brązowe, nie czarne. Doskonale.

– Proszę do stołu! – krzyknęła w kierunku pokoiów dzieci, wytarła palce

w ręcznik i otworzyła skrzynkę odbiorczą. Nowa wiadomość. Otwórz.

Nie знаła numeru nadawcy. Na treść składało się tylko jedno słowo: „Powoli”.

„Pomyłka” – pomyślała w pierwszej chwili. Bo co to niby miało znaczyć? Ktoś wysłał jej wiadomość, że nie ma się spieszyć? Wpatrywała się w ekran i usiłowała zrozumieć tę wiadomość, lecz nadaremno. Zdjęła patelnię z kuchenki, bo paluszki były gotowe.

– Myć ręce i do stołu!

„Powoli”. Słowo z wiadomości niespiesznie przemierzało jej świadomość, zgodnie ze swoim znaczeniem. Czy... czy to możliwe... że Owner podjął właśnie próbę kontaktu?

Nagle zrobiło jej się ciepło, znacznie goręcej niż przy smażeniu.

W wiadomości pozostawionej w keszu sprawca zwracał się bezpośrednio do policji. Czy robił to właśnie po raz kolejny? Czy mógł podjąć próbę nawiązania osobistego kontaktu? Tylko – dlaczego akurat z nią? I skąd miał jej numer?

– Mamo! Chcę keczup! – Głos Jakoba docierał do niej jak z oddali.

„Jeszcze trochę cierpliwości” – pomyślała. „Zaraz będzie Achim i...”.

– Już podaję. Hej, zostaw szklanekę Miny!

– Ale ona ma więcej soku!

Chciała oddzwonić, to i tak znacznie lepsza metoda, niż zajmować się spekulacjami. Jak tylko dzieci pojedą do ojca.

Gdy rozległ się dzwonek do drzwi, Jakob wkładał do ust ostatni kawałek paluszka rybnego.

– Tata! – Chłopiec zerwał się z krzesła, które z hukiem przewróciło się na podłogę.

Beatrice rzuciła się za synkiem, lecz zanim zdążyła go dopaść, mały miał już w dłoni słuchawkę domofonu i z pełnymi ustami krzyczał:

– Tata?

Odebrała mu słuchawkę.

– Wiesz chyba, że nie wolno ci nikomu otwierać drzwi, prawda?

– Ale...

– Nie ma żadnego ale! Marsz do łazienki myć buzię, bo cały jesteś w keczupie.

Nerwowe prychnięcie z głośniczka wystarczyło za potwierdzenie, że przed drzwiami stoi Achim. Beatrice nacisnęła guzik otwierania elektrozamka i już po chwili usłyszała kroki na schodach. Przez kilka sekund miała ochotę rzucić się do ucieczki, żeby tylko go nie oglądać, lecz w tym momencie między szczebelkami poręczy zobaczyła jego głowę z przerzedzonymi blond włosami.

– Cześć – powiedziała, zmuszając się nawet do uśmiechu, który miałby sygnalizować gotowość do zawarcia rozejmu. – Dzieci zaraz będą gotowe.

Rzucił jej krótkie spojrzenie i nic nie powiedział.

– Tata! – zawyła Mina gdzieś zza jej pleców. – Wiesz, że dzisiaj w szkole tylko ja wiedziałam, że Helsinki są stolicą Finlandii?!

– Bosko, skarbie! Jesteś super! – Achim nachylił się i przytulił córkę.

Widząc to, Beatrice poczuła, że ma oczy pełne łez. Chryste, co się z nią dzieje? Pospiesznie się odwróciła i poszła po torby dzieci. Mimo że Achim unikał patrzenia w jej stronę, cały czas walczyła o podtrzymanie uśmiechu na twarzy. Jeszcze tylko pięć minut i będzie to miała za sobą. Jakob przytulił się do jej nogi.

– Mamo?

– Hm?

– A ty nie możesz pojechać z nami?

Przykucnęła, żeby spojrzeć mu w oczy.

– Niestety nie. Ale przecież będziecie się świetnie bawić, a jeśli zechcesz, możesz wieczorem do mnie zadzwonić. Dobrze?

Chłopiec niepewnie skinął głową.

– Spakowałem Flausza – wyszeptał. – Myślisz, że tata będzie zły?

Flausz. Najbrudniejszy pluszowy króliczek wszech czasów.

– Nie, on dobrze wie, że nie możesz bez niego zasnąć.

Achim puścił Minę.

– Dobra, dzieciaki, ruszamy! Musicie odetchnąć świeżym powietrzem, bo tu okropnie cuchnie!

– Nieprawda! – zaprotestował Jakob. – To zapach paluszków rybnych!

– No właśnie. – Achim pokręcił pogardliwie głową i przewrócił oczyma. – Zadbam, żebyście dostały na kolację coś zdrowego. A teraz ruszamy!

Beatrice uścisnęła dzieci. Minie zaczęło się spieszyć, więc szybko uwolniła się z jej ramion.

– Kupimy kotka? – zapytała jeszcze na schodach. – Myślałam już, jak mu damy na imię...

– Jutro, punktualnie o wpół do siódmej – oznajmił Achim, spoglądając Beatrice prosto w oczy, po czym chwycił Jakoba za rękę i ruszył za córką.

Policjantka nie czekała, aż znikną piętro niżej, i natychmiast zamknęła drzwi. Dopiero kiedy rozboleła ją szczeka, zorientowała się, z jaką siłą zaciskała zęby.

Otworzyła okno, żeby przewietrzyć mieszkanie. Z dołu dochodziły jeszcze radosne okrzyki dzieci, a ona czuła, jakby na jej sercu zaciskała się stalowa obręcz. W końcu przypomniała sobie o komórce. „Powoli”.

Numer, o ile się nie myliła, należał do jednego z tanich operatorów na kartę, których zdrapki z kodami można było kupić w każdym supermarkecie. Beatrice otworzyła wiadomość i wybrała zieloną słuchawkę.

Przyjemny kobiecy głos powiadomił ją, że wybrany numer jest chwilowo nieosiągalny i że za jakiś czas powinna spróbować ponownie.

„Powoli”. To raczej stwierdzenie. Albo nawet zarzut. Przeciwno nim? Bo jeszcze nie rozszyfrowali wskazówek prowadzących do kolejnej skrytki?

Jeśli naprawdę tak było, sprawca poważał się na coś, co mogło się skończyć jego złapaniem. Beatrice zatrzasnęła okno, w biegu chwyciła kluczyki do samochodu i ruszyła w drogę powrotną do biura.

Prokuratura potrzebowała niecałej godziny, żeby wydać zgodę na ustalenie miejsc, gdzie logowała się komórka, z której dostała wiadomość. Czekać ze słuchawką przy uchu na przełączenie do działu technicznego operatora komórkowego, Beatrice odczytała wiadomość, którą Hoffmann zapisał na jaskraworóżowej karteczce przyklejonej teraz do monitora.

„Odprawa, poniedziałek, 15:00, wszyscy”. Bosko. Już nie mogła się doczekać.

W słuchawce odezwał się młody męski głos.

– Dzień dobry, w czym mogę pomóc?

– Beatrice Kaspary, Krajowa Policja Kryminalna. Potrzebuję informacji dotyczących numeru zero sześć dziewięć jeden dwa cztery trzy pięć siedem trzy trzy. Przede wszystkim proszę mi powiedzieć, czy to numer na abonament czy na kartę?

W słuchawce zapanowało milczenie.

– Pani jest z policji krajowej, tak?

– Zgadza się, Beatrice Kaspary, Wydział do Walki z Przeszłością Przeciwko Życiu i Zdrowiu.

Szelest. Stukot klawiatury komputera.

– To telefon na kartę.

Cholera.

– Rozumiem, że nie wie pan, do kogo należy?

– Nie, niestety. Przy kupnie startera nie trzeba się legitymować...

– Wiem, wiem – przerwała mu. – W takim razie będę potrzebowała numer IMEI komórki. O trzynastej czterdzieści siedem ktoś wysłał z tego numeru wiadomość pod następujący numer. – Beatrice podyktowała swój. – Proszę też sprawdzić, do której stacji przekaźnikowej był wtedy zalogowany. Kiedy będzie mógł mi pan przekazać te informacje?

Musiła mówić naprawdę władczym tonem, bo kiedy mężczyzna po drugiej stronie odpowiadał, w jego głosie słychać było jednocześnie strach i złość.

– Nie jestem pewny... jest weekend, więc muszę najpierw sprawdzić, czy jest ktoś...

– Jeśli ktoś nie ma, to proszę go natychmiast wezwać! – Musiała się hamować, żeby nie przesadzić. Starła się mówić przyjaznym tonem, choć w środku drżała jak mocno napięta struna. – To ważne. Bardzo mi pan pomoże,

jeśli szybko zbierze pan dla mnie te informacje.

– Zrobię, co w mojej mocy.

Beatrice rozłączyła się i ukryła twarz w dłoniach. Powoli? Naprawdę nie z jej winy.

Przysunęła bliżej raport przysłany z Instytutu Medycyny Sądowej, a następnie zagłębiła się w szczegóły badania odciętej kończyny.

Drobinki drewna znalezione w ranie pochodziły z drewna bukowego i świerkowego – czyli dwóch najpospolitszych w tych okolicach gatunków drzew. Niezbyt pomocna informacja. Pod paznokciami znaleziono ziemię, a na skórze ślady mydła – przed zamknięciem w plastikowym woreczku dłoni prawdopodobnie została umyta.

– Beatrice?

Drgnęła zaskoczona i odwróciła się. Nie zauważyła, że Stefan wszedł do biura.

– Tak?

– Przed chwilą rozmawiałem z agencją reklamową. Czekają na nas, jeśli chcemy tam teraz jechać.

Uśmiechnął się z nieśmiałą radością, jakby właśnie zapytał, czy może otworzyć prezent dwa dni przed świętami, i nie wiedział, czy dostanie pozwolenie.

Mimowolnie uśmiechnęła się w odpowiedzi.

– Racja. Dzięki, że się tym zająłeś. Ja już się zbieram, a ty nie zapomnij o dyktafonie.

Ciasteczka w miseczce pośrodku okrągłego stołu konferencyjnego pasowały kolorem do smutnej atmosfery w biurze. W pomieszczeniu siedziało dwóch mężczyzn i trzy kobiety. Kiedy Beatrice i Stefan weszli do środka, z krzesła zerwał się wyższy z mężczyzn i z wyciągniętą dłonią ruszył w ich stronę.

– Max Winstatt. Jestem właścicielem firmy i zrobię wszystko, żeby wam pomóc wyjaśnić sprawę śmierci Nory. Jestem do waszej dyspozycji.

„Z całą pewnością nie pochodzi z Salzburga” – pomyślała Beatrice. Sądząc po akcencie i wymowie, musiał się wychowywać w Zagłębiu Ruhry.

– Beatrice Kaspary, a to mój współpracownik, Stefan Gerlach. – Postawiła torebkę na pustym krześle. – Czy jest tu jakieś wolne pomieszczenie, w którym moglibyśmy porozmawiać? Chciałabym z każdym z państwa zamienić kilka słów na osobności.

Winstatt potaknął gorliwie i zaprowadził policjantkę do pomieszczenia obok, którego wystrój zdominowało potężne szklane biurko.

– Zapraszam do mojego gabinetu. Rosa, mogłabyś zatroszczyć się o kawę? Napiją się państwo, prawda? Z mlekiem i cukrem? Wszyscy jesteśmy tak strasznie wstrząśnięci śmiercią Nory... Po prostu nie chce się wierzyć, że...

Beatrice dała Stefanowi znak, na co policjant wyjął z kieszeni dyktafon i położył go na blacie, a ona wyciągnęła z torebki notatnik i ołówek.

– Rozmowy zaczniemy więc od pana, jeśli nie ma pan nic przeciwko. Zechciałby pan zamknąć drzwi?

Mężczyzna bez chwili wahania wykonał polecenie, po czym usiadł na obrotowym krześle i oparł splecione dłonie na blacie przed sobą.

– Czy zechciałby pan przypomnieć sobie tamten wieczór? Proszę opowiedzieć o wszystkim, co pan zapamiętał, głównie w odniesieniu do Nory Papenberg oczywiście.

Max Winstatt nie od razu zaczął mówić. „I bardzo dobrze” – pomyślała Beatrice. Może nie zaleje ich potokiem słów bez znaczenia.

– Mieliśmy zarezerwowany stół w m. trzydzieści dwa na siódmą wieczorem. Nora przyjechała jako jedna z pierwszych. Była radosna i zachowywała się całkowicie swobodnie, jeśli można tak powiedzieć.

Beatrice skinęła głową.

– Jak była ubrana?

Zastanowił się.

– Czerwona marynarka. Spodnie. A pod marynarką – nie wiem, ale w takim razie na pewno nic, co by się rzucało w oczy. Rosa robiła zdjęcia. Erich też, komórką, o ile dobrze pamiętam.

Beatrice i Stefan wymienili szybkie spojrzenia.

– Świetnie. Czy mogą mieć fotografie ze sobą?

– Erich na pewno, bo robił je telefonem, ale czy Rosa też? Być może, bo to był mały aparat, taki kompaktowy, który pasuje do każdej torebki...

– Rozumiem – przerwała mu Beatrice. – Później wrócimy do tematu zdjęć. Zatem Nora przyjechała bardzo wcześnie i była w świetnym humorze. Co się wydarzyło później?

– Wypiliśmy aperitif, a ja wygłosiłem krótkie przemówienie. Bo jak na wielkość naszej agencji, udało nam się pozyskać sensacyjne wręcz zlecenie. Właśnie dlatego świętowaliśmy. A potem zamówiliśmy jedzenie.

– Czy siedział pan obok Nory?

– Nie, ale Irene. Irene Grabner, nasza druga copywriterka i kreatywna. Ale i tak wiem, co Nora zamówiła: najpierw zupę rybną, a potem grasicę cielecą w sosie maderowym. Ja zamawiałem to samo, więc...

„Nie najszcześniejszy moment, żeby przypomnieć sobie o własnym pustym żołądku” – pomyślała Beatrice. Z tęsknotą wróciła myślami do ciastek na półmisku w sali konferencyjnej.

– Jeśli to ma jakieś znaczenie, to piliśmy również wino – dodał Winstatt.

Rozległo się pukanie do drzwi i w progu stanęła jedna z pracownic z tacą zastawioną filiżankami kawy.

– Pani Rosa, zgadłam? – zapytała Beatrice.

– Tak, to ja – potwierdziła kobieta i spojrzała niepewnie na szefa. – Rosa Drabcek.

– Czy ma pani ze sobą aparat fotograficzny? Ten ze zdjęciami ze wspólnego obiadu?

– Tak... chyba tak. Zaraz sprawdzę.

– Świetnie. W takim razie z panią porozmawiamy za chwilę. – Beatrice z wdzięcznością przyjęła filiżankę i upiła łyżeczek. Czarna, mocna. Żołądek skurczył się w proteście, lecz mimo to wypiła kolejny łyk.

– Piliście też wino... – Policjantka wróciła do miejsca, w którym przerwali rozmowę. – Czy Nora Papenberg dużo wypiła?

Winstatt się zawahał.

– Chyba nie... Lampkę albo dwie. No i prosecco na początku. Ale na pewno nie była pijana, jeśli o to pani pyta. W humorze, ale nic więcej.

Strapiony wbił wzrok w szklany blat biurka.

– Myśli pani, że całkowicie trzeźwa miałyby większe szanse uciec mordercy?

– Trudno w tej chwili przesądzać o takich sprawach. Proszę mówić dalej.

Mężczyzna zebrał się w sobie.

– Byliśmy w trakcie drugiego dania, kiedy zadzwoniła jej komórka. Wyjęła ją z torebki i rzuciła jakąś uwagę o mężu, coś śmiesznego. A potem dodała coś w rodzaju: „To jednak nie on”. I odebrała. Myśmy oczywiście dalej się śmiali, więc nie wiem, o czym rozmawiała, ale po kilku sekundach wstała i poszła z komórką w stronę toalet.

– Czy miał pan wrażenie, że nie chciała, żeby ktoś przy stole usłyszał, o czym rozmawia? – zapytała Beatrice.

– Tak. Albo może byliśmy za głośni, więc poszła poszukać jakiegoś spokojniejszego miejsca. W każdym razie ja tak pomyślałem. Tylko że wtedy nie zwracałem na nią szczególnej uwagi.

Rozmowa telefoniczna. Spojrzała na Stefana. Policjant natychmiast zrozumiał nieme pytanie i ledwie zauważalnie pokręcił głową. To oznaczało, że lista połączeń do i z numeru Nory, o którą poprosili operatora komórkowego, jeszcze nie została sporządzona.

– Tylko chwilę jej nie było – ciągnął właściciel agencji reklamowej. – Trzy, może cztery minuty. Potem wróciła do stołu.

– Jadła jeszcze?

Winstatt uniósł przepaszająco ramiona.

– Nie mam pojęcia, bardzo mi przykro. Pewnie tak. Ale jakieś dwadzieścia minut później wyszła. Chciała wrócić do domu. Powiedziała, że boli ją głowa.

To pokrywało się z wersją, którą Beatrice usłyszała od Konrada Papenberga.

– Nora wyszła z lokalu sama czy może ktoś pożegnał się mniej więcej w tym samym czasie?

Tym razem Winstatt zdecydowanie pokręcił głową.

– Z całą pewnością sama. Było w pół do dziesiątej, nie później. Namawialiśmy ją, żeby jeszcze została, ale odmówiła. Zresztą nie wyglądała dobrze, jakby się źle czuła.

– Dziękuję, to wszystko. Teraz chciałabym porozmawiać z... – spojrzała do notatnika – ...z Rosą Drabcek. I jeśli to możliwe, chętnie zobaczyłabym zdjęcia z jej aparatu.

Rosa Drabcek nie była sekretarką, tylko asystentką zarządu, co podkreśliła na samym początku rozmowy. Stefan, który popełnił *faux pas*, niewłaściwie określając jej stanowisko, zrobił skruszoną minę i pokiwał głową. Za to uwaga Beatrice skupiała się przede wszystkim na aparacie fotograficznym – niewielkim błyszczącym niebieskim pudełku, które pani Drabcek trzymała w dłoniach.

– Jeszcze nie zgrałam na komputer zdjęć z tamtej imprezy – wyjaśniła z przeproszającym uśmiechem. – Ale wyświetlacz jest dość duży, więc wszystko wyraźnie widać.

Uruchomiła urządzenie, przełączyła je w tryb odtwarzania i podała policjantce.

– Zrobiłam wtedy sporo zdjęć, mam nadzieję, że się przydadzą.

Twierdza Hohensalzburg w nocnej iluminacji. Przynajmniej dziesięć ujęć. Z m32 roztaczał się wspaniały widok na całe wzgórze, a asystentce zarządu najwyraźniej ten motyw bardzo przypadł do gustu. Potem nakryty stół, jeszcze bez gości, przyprawy i serwetki. Cztery ujęcia. Winstatt, za krzesłem, z odwróconą głową. I znowu twierdza.

– Ten aparat robi świetne zdjęcia. – Drabcek pochwaliła swój sprzęt.

Technicznie pewnie tak, gorzej z tym, co przedstawiają... Beatrice niecierpliwie naciskała strzałkę, by wyświetlić kolejną fotografię i kolejną, i jeszcze kolejną, w nadziei, że trafi w końcu na coś wartościowego. Mimo to każe Stefanowi zgrać je wszystkie na dysk.

Wreszcie ludzie. Młoda kobieta z kokiem, w krótkiej niebieskiej sukience z błyszczącego materiału. Mężczyzna w okularach i drogim garniturze. Jeśli Beatrice dobrze zapamiętała, ten sam mężczyzna siedział teraz w sali konferencyjnej i czekał na rozmowę.

W końcu zdjęcia Nory Papenberg. Policjantka nie miała wątpliwości, że kobieta ubrana była w te same rzeczy, w których ją znaleziono. Dżinsy, czerwona jedwabna marynarka i bluzka w kwiaty. Czerwone buty na wysokim obcasie, dopasowane do marynarki. Buty, których jeszcze nie udało się odnaleźć.

Uśmiechnięta Nora spoglądała w obiektyw, układając palce prawej dłoni w znak zwycięstwa.

Kolejne zdjęcie. Nora obok kobiety w niebieskiej sukience.

– To Irene...

– Irene Grabner. – Drabcek pospieszyła z pomocą. – Tak. Ona zawsze jest taka odstrzelona.

I dobrze, świetnie wygląda. Beatrice oglądała kolejne zdjęcia. Nora i Irene objęte i szeroko uśmiechnięte. Jeszcze jedno zdjęcie młodego mężczyzny w garniturze, kolejne Winstatta, zdjęcie jakiejś kobiety, kilka ujęć całego stolika. Wszyscy pracownicy dotarli na spotkanie. Sześć osób. Nie, siedem, bo przecież Drabcek robiła zdjęcia. Mimo to pojawiła się na kilku fotografiach.

– Zrobiła je Nora – wyjaśniła cicho.

Nora. Na każdym zdjęciu radośnie uśmiechnięta. Beatrice raz po raz przyciskała strzałkę. Aperitif, toast, goście trącają się kieliszkami. Podano jedzenie. Ujęcie elegancko podanych dań. Pracownicy agencji skupieni na swoich talerzach. Rozmowy.

I nagle puste miejsce Nory. Beatrice zmrużyła oczy. Czyżby ta plama z tyłu to ona? Nie, nie na tym zdjęciu. Kolejne zrobione z szerszym kątem, lecz przez to tło się rozmazało. Kolejne ujęcie, z tyłu czerwona plama. Ten sam kolor co marynarka Nory.

Pięć zdjęć później kobieta siedzi na swoim miejscu. Mimo niewielkiego ekranu, Beatrice zauważyła, że coś musiało się wydarzyć – coś poważnego, bo Nora już się nie uśmiecha. Nie patrzy nawet w obiektyw, tylko gdzieś w dal. Na nic konkretnego. Jest zamyślona. Na jednej z kolejnych fotografii widać, że przyciągnęła do siebie świeczkę, która stała pośrodku stołu, i nie odrywa wzroku od niewielkiego płomyka.

Potem cała seria zdjęć, na których Nora Papenberg się nie pojawia. Widać za to jej współpracowników, jak się śmieją, wznoszą toasty i gestykują. Na stole stoi jedna pusta i jedna w połowie pełna butelka wina.

„Nie wolno myśleć szablonowo” – zganiała się w myślach Beatrice. „Możliwe, że to nie telefon wywołał zmianę nastroju kobiety. Mogła wypić zbyt dużo alkoholu i naprawdę dostać bólu głowy”.

Na kolejnym zdjęciu Nora siedzi przy stole, opiera łokcie na blacie i ścisną głowę dłońmi. Kilka ujęć podanych deserów i na koniec zdjęcie grupowe. Miejsce Nory jest już puste.

Beatrice uniosła wzrok.

– Dlaczego zrobiła pani tak dużo zdjęć? Miała pani w ogóle czas coś zjeść?

Oszczędny uśmiech.

– To nowy aparat. Chciałam go dobrze przetestować. A poza tym lubię robić zdjęcia.

Na żadnym z kolejnych ujęć Nora już się nie pojawiła. Beatrice przekazała aparat Stefanowi.

– Zgramy wszystkie zdjęcia do dalszej analizy. Rozumiem, że wyraża pani zgodę?

– Tak, oczywiście.

Kiedy Stefan wydobywał z torby komputer i odpowiedni kabel USB, Beatrice nachyliła się nad stołem i przez kilka sekund w milczeniu patrzyła badawczo w oczy kobiecie po przeciwnej stronie. Większość ludzi zaczynała w takiej sytuacji pleść nerwowo piąte przez dziesiąte, zdradzając rzeczy, które w innych warunkach by przemilczeli. Rosa Drabcek najwyraźniej nie należała do większości. Milczała.

– Czy tamtego wieczoru zwróciło pani uwagę coś szczególnego w zachowaniu Nory Papenberg? Może jakiś drobiazg?

Potrząśnięcie głową.

– Nie, była taka jak zawsze. Przynajmniej do momentu, gdy rozboliła ją głowa, ale nawet to nie było niczym nadzwyczajnym. Od czasu do czasu łąpały ją takie jakby migreny. Nawet trzymała na biurku pudełko tabletek przeciwbólowych.

– Czy Nora wspomniała może, z kim rozmawiała?

– Nie. Ale też nie pytałam o to.

– Dobrze. W takim razie proszę opowiedzieć jeszcze, jak tamten wieczór wyglądał z pani perspektywy.

Opowieść Rosy Drabcek tylko nieznacznie różniła się od relacji Winstatta. Beatrice podziękowała asystentce zarządu za pomoc i zaprosiła do biura właściciela agencji Irene Grabner.

Nawet bez błyszczącej niebieskiej sukni Irene Grabner była – zaraz, jak ją opisała Rosa? – ach tak, odstrzelona. Należała do tej nielicznej grupy kobiet, które owinięte w kuchenny ręcznik wyglądały oszałamiająco. Beatrice skarciła wzrokiem Stefana, na co policjant zmusił się do bardziej profesjonalnego uśmiechu.

– W czasie wspólnego obiadu w restauracji siedziała pani obok Nory Papenberg. Proszę opowiedzieć nam wszystko, co pani zapamiętała od momentu, kiedy zadzwonił telefon Nory.

Grabner spuściła głowę i zadbaną dłonią z idealnym manicure’em otarła łzę.

– Od początku świetnie się bawiliśmy – wyjaśniła. – Nora była w znakomitym humorze, bo też w głównej mierze to właśnie jej zawdzięczamy zlecenie, które wtedy świętowaliśmy. To był jej wieczór. Ale potem ktoś do niej zadzwonił... Na początku zażartowała i powiedziała, że pewnie Konrad chce, żeby schowała dla niego w torebce porcję deseru. – Irene przerwała i odwróciła głowę. – Wie pani, my byliśmy bardzo blisko. Nie mogę zrozumieć... nie rozumiem, dlaczego...

Stefan potaknął.

– Spokojnie, proszę głęboko oddychać. – Stefan starał się mówić jak najniższym tonem. Beatrice nie mogła powstrzymać uśmiechu.

– No więc telefon zadzwonił, Nora spojrzała na wyświetlacz. Powiedziała: „To nie Konrad”, ale mimo to odebrała i przywitała się jakimś dowcipem. Nie pamiętam już dokładnie, co powiedziała, ale na pewno coś w rodzaju: „Proszę nie przeszkadzać, chyba że jesteś wysokim umięśnionym ciachem”. – Grabner westchnęła. – A potem nagle przestała się śmiać, wstała i zaszyła się z telefonem w kącie restauracji. Nie słyszałam ani słowa z tego, o czym rozmawiała. Widziałam tylko jej plecy.

– Czy w miejscu, w którym stanęła, byli jeszcze jacyś ludzie? – Beatrice jej przerwała. – Przynajmniej na tyle blisko, żeby mogli cokolwiek usłyszeć?

– Nie. – Kobieta pokręciła głową. – Myślę, że ona specjalnie poszła tak daleko, żeby znaleźć miejsce, gdzie nikt jej nie będzie przeszkadzał.

– Co potem?

– Zapytałam, kto to był, ale ona zbyła mnie czymś w rodzaju: „I tak nie znasz”. I że to nic ważnego. No i już się nie śmiała. Nie było nawet śladu po jej dobrym humorze. Dość szybko nas zostawiła. Ile bym teraz dała, żeby uprzeć się i ją odprowadzić. Ale nie wiedziałam...

Głos jej się załamał. Beatrice miała ochotę objąć ją i pocieszyć, że doskonale ją rozumie i wie, co czuje. Najchętniej poradziłaby, żeby przestała rozpamiętywać, co by było, gdyby...

Gdybym wyszła razem z nią...

Gdybym odwiozła ją do domu...

Gdybym...

Beatrice wbiła sobie paznokcie w dłoń, żeby znów skupić się na sprawie. Jej osobiste wspomnienia i przeżycia nie miały tutaj najmniejszego znaczenia. Uśmiechnęła się do Irene i dała jej jeszcze trochę czasu, żeby doszła do siebie.

– Kiedy Nora wychodziła – zaczęła po chwili – czy mówiła, że chce jechać prosto do domu? Może miała jeszcze jakieś plany?

– Nie, jechała prosto do domu. Na pewno. Rozboliła ją głowa i chciała się położyć. Pamiętam jeszcze, że pan Winstatt zaproponował, że firma zapłaci jej za taksówkę, ale ona powiedziała, że da sobie radę. To był dopiero początek migreny, a poza tym nie chciała zostawiać samochodu w mieście. Cała Nora. Jak się uparła, nie dało się jej przekonać.

– Pamięta pani może, ile Nora Papenberg wypila alkoholu?

Irene Grabner spojrzała na swoje splecione dłonie.

– Nie, nie pamiętam. Ale na pewno nie była pijana, jeśli o to pani chodzi. W końcu przyjechała samochodem i się pilnowała.

Rozmowy z pozostałymi pracownikami agencji reklamowej nie wniosły nic nowego. Nikt nie zwrócił szczególnej uwagi na przedwczesne wyjście Nory Papenberg. Wszyscy byli oczywiście poruszeni tym, co się stało, ale nie

wstrząśnięci. Na zdjęciach z komórki account managera nie zostało utrwalone nic, czego Beatrice nie widziała wcześniej na fotografiach Rosy Drabcek, lecz mimo to Stefan zgrał je wszystkie na komputer.

Zanim się pożegnali i wyszli z agencji, Beatrice i Stefan obejrzelili jeszcze biurko Nory.

Uporządkowany chaos. Kiedy Beatrice była w trakcie jakiejś trudnej sprawy, jej miejsce pracy wyglądało bardzo podobnie. Dokumenty zajmowały każdy fragment wolnej przestrzeni, łącząc się, komunikując i układając w sieć zależności widoczną tylko dla oczu właścicielki.

Całkiem możliwe, że Nora Papenberg pracowała w bardzo podobny sposób, kiedy przygotowywała jakąś kampanię promocyjną. Jeszcze jedno podobieństwo rzuciło się Beatrice w oczy: żółte karteczki samoprzylepne na monitorze, choć w przypadku Nory zapisała je ona sama, a nie jej szef. Ten sam charakter pisma, tak dobrze znany policjantce.

„Odebrać marynarkę z pralni!!!” – krzyczała pierwsza karteczka. Na dwóch innych znajdowały się numery telefonów opatrzone nazwiskami właścicieli.

– Wie pan, co to za ludzie? – zwróciła się policjantka do stojącego za nią Maksa Winstatta.

– Partnerzy biznesowi. Graficzka i klient, od którego mamy nadzieję dostać kolejne zlecenie.

W szufladach biurka panował większy porządek niż na jego blacie. Beatrice znalazła w nich sporo dokumentów, tabletki przeciwbólowe, cukierki na kaszel i napoczętą tabliczkę gorzkiej czekolady o zawartości 70 procent kakao. Ten widok wydał się jej smutniejszy niż cokolwiek, co miało związek z tym śledztwem. Kiedy Nora Papenberg odłamywała pierwszą kostkę czekolady, ani przez ułamek sekundy nie podejrzewała, że nigdy jej nie dokończy.

Szybko odwróciła głowę.

– To wszystko na dzisiaj. Dziękuję za pomoc.

Winstatt odprowadził ją i Stefana do drzwi.

– Jeśli będziecie mieli jakiegokolwiek pytania albo będę mógł w czymś pomóc, koniecznie proszę o telefon.

– Oczywiście.

*

Samochód zostawili na sąsiedniej ulicy. Stefan ostrożnie odłożył torbę z komputerem na tylną kanapę i wsiał za kierownicę.

– Cholera, tutaj też trzeba płacić?

Beatrice dopiero otworzyła drzwi od strony pasażera, więc nachyliła się

i wyjęła kawałek papieru przyciśnięty wycieraczką.

– Nie, pewnie reklama, bo mandat byłby... – „zabezpieczony folią”, chciała dokończyć, lecz słowa uwięzły jej w gardle. Wstrząśnięta spoglądała na papier, który trzymała w trzęsącej się dłoni.

TFTH

Owner przesłał im kolejną wiadomość.

Drasche skrzywił się kwaśno i odebrał plastikową torebkę, w której policjantka umieściła krótką wiadomość.

– Domyślam się, że dotykaliście tego bez rękawiczek, tak?

– Oczywiście. Myślałam, że to ulotka.

Ponure skinienie.

– Niech ci będzie.

– Twoim zdaniem – zaczęła Beatrice – non stop powinniśmy mieć ręce w rękawiczkach, bo świat jest pełen potencjalnych dowodów, prawda?

Na twarzy technika pojawił się cień uśmiechu.

– Mniej więcej.

Ze swojego biura Beatrice zadzwoniła do operatora komórkowego, żeby przyspieszyć gromadzenie danych triangulacyjnych numeru, z którego wysłano do niej SMS-a: „Powoli”. Ku jej zaskoczeniu, zamówione informacje już na nią czekały.

– Chcieliśmy dzwonić – tłumaczył się młody mężczyzna po drugiej stronie. Szelest papieru. – Komórka działa na kartę i w tej chwili nie jest zalogowana do żadnej stacji przekaźnikowej. Po raz ostatni była zalogowana w chwili wysyłania SMS-a do pani. Dokładnie w stacji przekaźnikowej UMTS w Hallein, o trzynastej czterdzieści sześć.

– Wie pan cokolwiek na temat jej właściciela?

„Ownera” – zgaśniła się w myślach. Nie powinna tak zakładać, dopóki nie ma dowodów.

– Mogę podać pani jedynie numery IMEI i IMSI, czyli numer przypisany do konkretnego urządzenia i numer identyfikacyjny karty SIM. I to niestety wszystko. Jeśli będzie pani chciała, mogę też go zablokować.

– Absolutnie nie! – krzyknęła. Każdy kontakt ze strony Ownera – pod warunkiem, że to rzeczywiście on wysyłał wiadomość – był szansą, że się zdradzi.

Każdy z numerów składał się z piętnastu cyfr. Beatrice poprosiła o ich dwukrotne przedyktowanie, żeby nie popełnić żadnego błędu.

– Dziękuję. I na koniec jeszcze jedna prośba. Potrzebowałabym zestawienia wszystkich połączeń do i z tej komórki. – Podyktowała swój adres mejlowy, po czym się rozłączyła i oparła wygodniej. Przy odrobinie szczęścia lada chwila mogą trafić na jakieś nazwisko. Jeśli obecny użytkownik komórki wszedł w jej

posiadanie w sposób legalny, uda się pewnie ustalić, kim jest. Zganiła się za przedwczesną radość i usiadła do rozszyfrowywania numeru IMEI. Przypomniała sobie, co Florin wyjaśniał, kiedy kilka tygodni wcześniej pojawił się w biurze z nową komórką. Żeby mieć całkowitą pewność, szukała wskazówek także w Internecie.

Pierwszych osiem cyfr numeru IMEI tworzyło TAC, czyli Type Approval Code, przy czym cyfry od trzeciej do ósmej miały największe znaczenie – z nich dało się odczytać producenta i markę telefonu. Oczywiście, jeśli człowiek wiedział jak. A ona nie wiedziała. Beatrice uznała, że bez pomocy eksperta się nie obejdzie, a w najgorszym razie poprosi Stefana...

Nagle przyszło olśnienie i w Google wpisała: „TAC jak zidentyfikować telefon”, po czym nacisnęła enter. Opis jednego z linków obiecywał pełne dekodowanie numerów TAC. Beatrice otworzyła łącze i wpisała osiem cyfr.

Bingo.

Producent: NOKIA mobile phones.

Model: NOKIA N8-00

TAC: 35698804

Poczuła, jak serce zaczyna jej bić coraz szybciej i szybciej, choć jeszcze nie wiedziała, dlaczego. Nokia, nic nadzwyczajnego, bardzo popularna marka. Tylko że w tym wypadku...

Gończkowo zaczęła przeszukiwać notatki, aż znalazła zapiski z pierwszej rozmowy z Konradem Papenbergiem, którą odbyła niedługo po znalezieniu ciała jego żony.

O, tutaj. Nokia N8.

Prezent na urodziny.

Wstała i uruchomiła ekspres do kawy. Potem przypomniała sobie, ile kofeiny wlała w siebie podczas wizyty w agencji reklamowej, i pomyślała, że jej żołądek nie ucieszy się z kolejnej porcji. Wyłączyła ekspres.

Owszem, taki zbieg okoliczności był możliwy, lecz nie tym razem. Nie wierzyła w to. Z kartką, na której zanotowała informacje od operatora komórkowego, i wydrukiem analizy numeru TAC udała się do biura Stefana.

– Potrafiłbyś sprawdzić, na kogo jest zarejestrowana ta komórka?

Policjant przyjrzał się papierom i zatrzymał wzrok na numerze IMSI.

– Nie ma sprawy.

– Dzięki.

W drzwiach uświadomiła sobie, że rozmawiała z nim, jakby w ogóle się z tym nie spieszyło, lecz uznała, że nie będzie naciskać. I tak była pewna, że użytkownikiem komórki była Nora Papenberg.

Promienie wieczornego piątkowego słońca układały się w długie linie na

drewnianej posadzce balkonu. Beatrice wysunęła okrągły drewniany stolik z cienia i postawiła na nim kolację – sushi z chińskiej restauracji dwie ulice dalej. Otworzyła plastikowy pojemnik i wciągnęła nosem powietrze przesączone aromatem ryby i imbiru. Miała nadzieję, że to w końcu pobudzi jej apetyt. Błąd. Jedynym posiłkiem, o jakim potrafiła myśleć, był późny obiad pracowników agencji reklamowej, z którego wyszła Nora Papenberg, by wpaść wprost w ramiona zabójcy. Ownera, mistrza zaszyfrowanych informacji.

Karteczka z informacją została już gruntownie zbadana przez Draschego, lecz wyniki nie przyniosły przełomu.

– Brak jakichkolwiek odcisków, oczywiście z wyjątkiem twoich – wyjaśnił.
– Tusz sprawdzimy dokładniej, ale wszystko wskazuje na to, że to wyrób masowy. Innymi słowy, najnormalniejszy długopis na świecie.

Nie powiedziała Draschemu, jak wiele mówił o Ownerze sam fakt istnienia tej wiadomości – bo go to nie interesowało. Za to ją bardzo.

Wracając do domu, Beatrice zaparkowała samochód ulicę dalej niż zwykle i kilka razy rozejrzała się uważnie, żeby sprawdzić, czy ktoś jej nie śledzi albo choćby nie obserwuje. Nikt nie rzucił się jej w oczy, ale to oczywiście o niczym nie świadczyło, więc kiedy weszła do mieszkania, zamknęła za sobą drzwi na oba zamki.

Westchnęła, spoglądając na pudełko z sushi, i pomyślała o *carpaccio* i Anneke, choć przecież jej nie znała. O kolacji dla dwojga przy świecach. Przemknęło jej przez myśl, że sama też mogłaby postawić sobie świecę.

Zamiast niej przyniosła terkoczący komputer, uruchomiła go i po raz kolejny zaczęła przeglądać zdjęcia z ostatniego obiadu Nory Papenberg. Zakłęła, bo przez nieuwagę poplamiała sosem sojowym jasnozielone spodnie od dresu.

Skoncentrowała się na fotografiach zrobionych chwilę przed i po wyjściu Nory. Ostatnia, której bohaterowie przejawiali niczym niezmaconą radość, przedstawiała Norę i Irene Grabner, jak dotykają się głowami i pokazują fotografce języki. Jak gimnazjalistki. Na kolejnym krzesło Nory było już puste. Kilka zdjęć dalej Beatrice trafiła na jedno, na którym po czerwonej marynarce dało się rozpoznać zamordowaną później kobietę.

Powiększyła ten fragment. Zdjęcia miały bardzo dużą rozdzielczość. Im częściej klikała plusik przy symbolu lupy, tym wyraźniej widziała Norę Papenberg – i jej szeroko otwarte oczy. Wolną dłonią zakryła usta i nos, jakby czegoś się bała albo zbierało się jej na wymioty. Prawą dłonią trzymała telefon przyciśnięty do ucha.

Połączenie zostało wykonane z budki telefonicznej, przypomniała sobie Beatrice. To przez tę rozmowę wszystko się zmieniło. Przejrzała pozostałe zdjęcia. Na żadnym z nich Nora nie była uśmiechnięta.

Może wyszła, żeby pojechać do tej budki? Umówiła się tam z dzwoniącym?

Czy to właśnie on był jej mordercą? A może raczej mężczyzną, którego krew znaleziono na jej ubraniu?

– Dlaczego nikomu nic nie powiedziałaś? – Beatrice zwróciła się do Nory, która z nieobecną miną spoglądała z jednego ze zdjęć. Miała zamyślony wyraz twarzy, jakby już planowała wyjście. Nie pasowała do rozbawionego towarzystwa.

Po tym tajemniczym telefonie z nikim się już nie kontaktowała – w każdym razie nie z komórki. To właśnie wynikało z danych od operatora. Nawet nie napisała do męża, że się spóźni.

Spotkanie, o którym nie powinien się dowiedzieć? Czy raczej wymknęła się, by jak najszybciej dotrzeć do domu, bo tylko tam czuła się bezpieczna? Ktoś mógł ją porwać po drodze...

Beatrice zjadła sushi, lecz nie potrafiła cieszyć się jego smakiem. Opakowanie wyrzuciła do kosza na śmieci, a kiedy go zamykała, usłyszała z balkonu sygnał komórki. Przychodząca wiadomość. *Message in a bottle*.

Jej serce zaczęło szybciej bić. Tylko spokojnie. To pewnie Florin, on czasem wysyłał do niej SMS-y.

Wytarła dłonie w spodnie od dresu i wróciła na balkon. Całkiem możliwe, że to mama. Albo Richard. Wystarczył jeden przycisk, żeby rozwiać wątpliwości i potwierdzić obawy. Numer nadawcy znała już z popołudnia. Beatrice osunęła się na krzesło. Czuła, że coś ją dławi, jakby stalowa obręcz nie pozwalała jej nabrać oddechu.

„Zimno, bardzo zimno”.

Wiadomość składała się tylko z tych trzech słów – bez wyjaśnienia i dalszych komentarzy.

Beatrice spojrzała na zdjęcie, na którym Nora Papenberg stoi z komórką przy uchu i zasłania dłonią usta. „Wysłał mi SMS-a właśnie z tej komórki. Nokia N8, prezent od jej męża” – pomyślała.

Niespodziewanie poczuła się obserwowana. Zerwała się z krzesła i szybkim krokiem podeszła do drzwi wejściowych, żeby sprawdzić, czy są dobrze zamknięte. Na wszelki wypadek zaciągnęła zasłony. Potem wróciła na balkon i wyjrzała na dół, na podwórze, lecz nie dostrzegła niczego podejrzanego.

„Zimno, bardzo zimno”. Pierwsze skojarzenie, jakie przyszło jej do głowy, dotyczyło temperatury zwłok, lecz im dłużej się zastanawiała, tym bardziej była przekonana, że nadawcy wiadomości chodziło o coś zgoła innego.

Przypomniała sobie ostatnie urodziny syna i przyjęcie, na które przygotowała wszystkie gry i zabawy ze swojego dzieciństwa. Zimno ciepło. „Zimno, zimno, coraz zimniej, cieplej, cieplej, gorąco!”.

Czyżby Owner chciał ją ostrzec, że porusza się w niewłaściwym kierunku?

Przez chwilę walczyła z chęcią skasowania wiadomości z pamięci telefonu, a potem zadzwoniła do Achima. Jakaś jej część się cieszyła, że dzieci były u niego,

a nie u niej. Mimo to koniecznie chciała usłyszeć ich głosy i upewnić się, że...

– Czego chcesz? – Głos Achima wyrwał ją z zamyślenia. Głęboka pogarda, aż nazbyt dobrze знаła ten ton.

– Cześć. Podałbyś mi Minę albo Jakoba?

– Są zajęci.

Nie będzie go błagać.

– Tylko na chwilę.

Westchnął łaskawie.

– Niech ci będzie. Na przyszłość dbaj o nie lepiej, kiedy są u ciebie, i nie przeszkadzaj nam, kiedy mamy tę odrobinę czasu razem.

Beatrice skupiła się na czerwonej doniczce w narożniku balkonu, w której młoda araukaria wiodła swój marny żywot. Jakiegokolwiek odpowiedzi by udzieliła, jej sytuacja na pewno nie uległaby od tego poprawie.

– Mina, Jakob! – Westchnął znowu. – Macie ochotę zamienić kilka słów z matką?

– Potem! – krzyknęła dziewczynka, za to Jakob głośno wyraził chęć rozmowy.

Potem rozległy się kroki, jakaś zabawka upadła z hukiem na podłogę i mały wziął słuchawkę.

– Cześć, mammo!

– Cześć, kochanie. Dobrze się bawicie?

– Tak! Tata naprawdę kupił nam kota! Mina chce mu dać na imię Meili, ale to głupie imię! Możemy nazwać go Kleo? Tak jak kot Tobiasa? Kleo jest lepsze od Meili, ale Mina przekręca i mówi Klejo.

Beatrice nie przerywała. Słuchała opowieści synka i czuła ogarniającą ulgę. Oczywiście, że dzieci dobrze się czują i że nic im nie jest. Czego w ogóle się bała? Owner znał jej numer, to prawda, ale też żadna z przesłanych wiadomości nie była skierowana osobiście do niej i w żadnej nie znajdowały się groźby. Te wiadomości to dla nich błogosławieństwo, a nie zagrożenie. A mimo to poczuła się pewniej, kiedy po wejściu do mieszkania starannie zamknęła za sobą drzwi na balkon.

Pozwoliła Jakobowi wrócić do bezimiennego jeszcze kotka i rozłączyła się. Potem jeszcze raz otworzyła SMS-a. Wpatrując się w numer na ekranie, nacisnęła zieloną słuchawkę. Zaraz po nawiązaniu połączenia, uruchomił się automatyczny komunikat: „Abonent jest czasowo niedostępny, proszę zadzwonić później”.

Nie aktywował poczty głosowej, odbierając Beatrice szansę na powiedzenie mu tego, co jej leżało na duszy. Może to i lepiej?

Stała z telefonem w dłoni pogrążona w myślach, więc kiedy aparat zaczął dzwonić i wibrować, ze strachu omal go nie upuściła. Florin.

– Jakież nowości? Jak wam minął dzień?

– Byliśmy w agencji reklamowej. Dodatkowo wszystko wskazuje na to, że

Owner nawiązał ze mną kontakt. Trzykrotnie.

– Słucham?!

Opisała mu wydarzenia ostatnich kilku godzin.

– Jutro będę w biurze – zdecydował policjant.

– Nie, no coś ty. Ciesz się czasem z Anneke. Ja i Stefan wszystko ogarniamy. Odwiedzimy kilku chórzystów, a jeśli jutro nie trafimy na właściwego, w niedzielę dokończymy listę.

Westchnienie.

– Będę miał przez was wyrzuty sumienia. Bea, a to, że ci wysłała anonimowe SMS-y, to dla mnie zagadka. Jesteś sama?

Niespodziewanie wrócił niepokój.

– Tak... ale chyba nie sądzisz, że będzie chciał wpaść do mnie z wizytą, co? Przecież to głupota, Florin. – Uff. Najważniejsze, żeby przekonać samą siebie.

– Nie byłbym taki pewny. Nie mamy pojęcia, co się dzieje w jego głowie. Będziesz ostrożna?

– Oczywiście, że tak. – Potaknęła, przyglądając się swemu odbiciu w drzwiach balkonowych, po czym poprawiła zasłony. – Nic nie mówisz, jak wam minął wieczór? *Carpaccio* się udało?

– Nie zmieniaj tematu. – Ton jego głosu zdradzał, że się uśmiecha. – Jesteś pewna co do jutra? Mógłbym wpaść na godzinę albo dwie.

– Nie ma sensu. Serio. Poza tym nawet już nie liczę, kiedy ty pracujesz za mnie, bo akurat muszę jechać zająć się dziećmi. To jest to minimum, jak mogę ci się odwdziżyć. Przekaż Anneke pozdrowienia od swojej współpracownicy.

– Dzięki, przekażę. I miłego wieczoru. Zastanów się, czy jednak...

– Dobranoc! I ty też baw się dobrze... eee, to znaczy wy. Bawcie się dobrze.

Usiadła ciężko na kanapie i zamknęła oczy.

Msza As-dur Schuberta.

Znamię na grzbiecie dłoni, rzucające się w oczy.

Dlaczego akurat takie wskazówki?

Przywodziły jej na myśl bezsensowne zeznania świadków. Czasem ludzie zachowują w pamięci dziwaczne szczegóły, jednocześnie zapominając najważniejszych informacji.

Zamknęła laptop i poszła do łóżka, mniej kierując się zmęczeniem, a bardziej poczuciem obowiązku i świadomością, że jeśli nie odpocznie, następnego dnia nie będzie mogła normalnie funkcjonować. Tym razem nie wyłączyła telefonu. Wolą, żeby był z nią kontakt, gdyby coś się działo z dziećmi. Poza tym tej nocy Achim na pewno nie będzie jej zamęczał.

Pozostawało tylko mieć nadzieję, że Owner też zrobi sobie wolne.

– Naprawdę nie rozumiem, czego ode mnie chcecie. Nie pokażę wam dłoni,

mowy nie ma. – Pulchny mężczyzna w szlafroku nie krył wzburzenia. To był już trzeci Christoph tego dnia i zdecydowanie najmniej chętny do współpracy. – Chcę jeszcze raz zobaczyć wasze legitymacje – zażądał, beczelnie taksując Beatrice wzrokiem.

Grubas miał szczęście, że całą noc spała jak kamień i była teraz wypoczęta. Nic nie zakłóciło jej snu – nikt nie przysłał jej SMS-a i nikt nie dzwonił.

– Prowadzimy dochodzenie w sprawie morderstwa – wyjaśniła. – Jeśli woli pan przeciągać tę sprawę i marnować nasz czas, chętnie zaprosimy pana do komisariatu i tam będziemy kontynuować rozmowę.

Mężczyzna udawał, że wnikliwie studiuje ich dokumenty, po czym w końcu wyciągnął dłonie.

– Jeśli to ukryta kamera, to będziecie mieli problemy – warknął.

– Proszę się nie obawiać. – Ścisnęła dłonie grubasa nieco mocniej, niż to konieczne, co spotkało się z jękiem protestu i niechęci. Potem odwróciła je wierzchem do góry. Czysto.

Druga strona? Również żadnych znamion. Mimo to podciągnęła trochę rękawy szlafroka.

– Dziękuję, to wszystko. Do widzenia i miłego dnia.

To najwyraźniej nie wystarczyło grubasowi.

– A nie raczycie przynajmniej zdradzić, o jakie morderstwo chodzi?

– Nie. Przykro mi. Do widzenia.

Kolejnego mężczyzny z listy nie było w domu, a Christoph zaraz po nim miał na dłoniach zupełnie gładką skórę bez przebarwień. Beatrice i Stefan wrócili do centrali. Sfrustrowani i milczący ruszyli do swoich biur. Ledwie Beatrice otworzyła drzwi, ku swemu zaskoczeniu zauważyła Florina za biurkiem.

– Tylko na dwie godziny – wyjaśnił. – Wczoraj w nocy się zorientowałem, że na Google Maps można wprowadzać współrzędne geograficzne, a program pokazuje, jakie to miejsce. Sama popatrz. – Odwrócił nieco monitor, żeby lepiej widziała. – To tutaj to miejsce, w którym znaleźliśmy dłoń. Całkiem duża dokładność. W przyszłości to może nam bardzo ułatwić pracę, jeśli...

Nie dane mu było dokończyć, bo do biura wpadł Stefan, dziko wymachując jakąś kartką.

– Ten mejl przyszedł godzinę temu. I miałas rację – zawołał, podając wydruk Beatrice.

Nokia N8 o numerze International Mobile Subscriber Identity, który poprzedniego dnia podała do weryfikacji, była zarejestrowana na Norę Papenberg.

– Wiedziałam! – wyszeptala Beatrice. – Ma jej telefon i z niego wysyła nam wiadomości!

– Nie nam, tylko tobie – poprawił ją Florin. – Co nie zmienia faktu, że to dziwaczne i niepokojące.

– A ja dalej uważam, że nie chce mi zrobić nic złego – odparła z pewnością w głosie dwa razy większą od odczuwanej. – Jemu zależy tylko na pokazaniu nam, jak bardzo nie dorastamy mu do pięt.

Mimo to wieczorem zamknie drzwi na dwa zamki i zasłoni okna.

Florin pokiwał głową, choć wcale nie czuł się przekonany.

– Chyba już najwyższy czas, żebyśmy zasięgnęli opinii biegłego psychologa czy profilerka. Może jemu uda się wyczytać z tych wiadomości coś, co nam umknęło. Chcę wykluczyć ryzyko pomyłki. Albo tego, że coś przeoczyliśmy.

Niepostrzeżenie południe zmieniło się w popołudnie, a wzorek ze słońca wpadającego do biura przez żaluzje przemieścił się z lewej strony biurka Beatrice na prawą. O wpół do drugiej w jej skrzynce pocztowej pojawił się mejl od operatora komórkowego. W załączniku znajdował się wykaz połączeń wykonanych przez Ownera z karty prepaid.

Informacje były raczej skąpe, bo na liście znajdował się tylko jeden numer – jej własny. Nadawca za każdym razem logował się do sieci na niecałe dwie minuty i za pierwszym razem w Hallein, a za drugim w Salzburgu, w dzielnicy Aigen. Poza dwoma wysłanymi SMS-ami karta nie była używana i nie logowała się do stacji przekaźnikowych.

– On doskonale wie, co robi – mruknęła Beatrice. – Dotychczas nie popełnił żadnego błędu, który dałby nam przewagę.

Ilekcio spoglądała na znajomy numer na wydruku, ogarniała ją złość.

– Czyli co, jesteśmy zgodni, że zarówno SMS-y, jak i karteczka spod wycieraczki to wiadomości od niego? Od mordercy Nory Papenberg?

Florin przez kilka sekund wpatrywał się uważnie w leżące przed nim wydruki. W końcu potaknął.

– Tak. W przeciwnym razie to nie miałyby sensu.

Pół godziny później Beatrice zaczęła wyganiać go z biura.

– Sio, w ogóle nie powinno cię tu być! Masz gościa!

Miała wrażenie, że zachowuje się jak własna babcia, lecz w uśmiechu Florina nie dostrzegła kpiny, a wdzięczność.

– W porządku. Ale to się odnosi też do ciebie. Fajrant na dzisiaj, droga koleżanko.

– Zaraz kończę. – Zaczęła porządkować dokumenty na biurku. – Jeszcze tylko pół godziny.

Florin spojrzał na nią podejrzliwie.

– Mam weekend bez dzieci. Daj mi wykorzystać ten czas, okej?

Pół godziny szybko zmieniło się w dwie godziny i Beatrice dotarła do ściany. Nie pojawiały się żadne nowe pomysły, a dotychczasowe zdawały się wyeksploatowane. Sfrustrowana cisnęła długopis na biurko.

Odetchnęła głęboko, wyłączyła komputer, poinformowała Stefana, że na dzisiaj kończy, i pełna wyrzutów sumienia, że on zostaje jeszcze w pracy, wyszła na dwór.

Dawno już nie było tak ciepło i słonecznie. Beatrice wyjęła z torebki okulary przeciwsłoneczne i kluczyki do samochodu. Niewiele brakowało, a zgubiłaby przy tym telefon.

Nagle poczuła, że przeszła jej ochota na leniwy wieczór w wygodnym fotelu przy filmie DVD.

– A może skorzystać trochę z życia? – mruknęła pod nosem i otworzyła listę kontaktów w komórce. – Kawa na mieście, godzina plotek z przyjaciółką... Hm, Lisa czy Kathrin?

Cholera! Obie mają przecież rodziny i mężów, więc dla nich weekend to nie czas na spontaniczne wypadki. W takim razie może Gina? Nie ma dzieci i dopiero co się rozwiodła? Nie zastanawiając się długo, wybrała jej numer.

Gina odebrała po trzecim sygnale.

– Tak?

– Cześć, to ja, Bea. Masz może czas i ochotę, żeby wyskoczyć na kawę? Może w Bazarze, za pół godziny, co ty na to?

– Słucham? O rany, sorry, ale właśnie jestem w Rzymie! Nie uwierzysz, jaką tu mamy pogodę! Przyszły tydzień ci pasuje? Przywiozę ci butelkę grappy.

Beatrice stłumiła rozczarowanie. Sama była sobie winna. Nie dbała o przyjaźnie, nie odpisywała na mejle i nie wychodziła, kiedy przyjaciółki zapraszały.

„Wciąż masz stracha? Ty mały tchórze!” – pomyślała.

Komórka powędrowała z powrotem do torebki. Beatrice otworzyła samochód – tym razem żadnych karteczek pod wycieraczką – i opuściła szyby.

Nic nie stało na przeszkodzie, żeby kawę wypić we własnym towarzystwie, przy lekturze jakiegoś magazynu, rozkoszując się wiosennym słońcem.

W sobotnie popołudnie na ulicach nie było korków, więc ruszyła w stronę starego miasta, mostem nad Salzach, aż znalazła miejsce parkingowe przy Rudolfskai.

Lody. Tak, miała ochotę na lody.

Kilka przecznic dalej znajdowała się fantastyczna lodziarnia, a droga do niej wiodła wzdłuż butików i galerii. Beatrice nie czuła potrzeby kupowania czegokolwiek, ale z ciekawością przyglądała się wystawom. W jej życiu nie pojawiały się już okazje, na które można by włożyć takie rzeczy. Ominęła grupę turystów, dotarła na miejsce i ustawiła się w kolejce.

Lody o smaku orzeszków ziemnych, karmelu i nugatu z pestkami dyni oraz z polewą czekoladową i w wielkim wafelku. Idealne narzędzie do kompensowania

nagromadzonych frustracji.

Eksplozja smaków na języku przepełniła ją rozkoszą i sprawiła, że po raz pierwszy tego dnia na jej twarzy wykwitł uśmiech.

Ten cudowny stan utrzymał się przez niecałe pięć minut. Po drodze na plac katedralny Domplatz, gdzie planowała znaleźć jakąś ławkę w słońcu, zauważyła przed sobą Florina. Widziała tylko jego plecy, ale nie miała wątpliwości, że to on. Obejmował w talii wysoką szczupłą blondynkę o włosach sięgających ramion. Idąc, nachylił się i szepnął jej coś do ucha. Jej śmiech był niższy i bardziej chrapliwy, niż Beatrice się spodziewała. Nie pasował do jej wyobrażenia Anneke.

Para przeszła spacerkiem przez Residenzplatz i skręciła w Goldgasse. Blond włosy Anneke pojawiały się i znikwały między głowami spacerowiczów. Beatrice szła za nimi, nie zastanawiając się, dlaczego to robi. Uważała jedynie, żeby zanadto się nie zbliżać. Zupełnie nie myślała o lodach, lecz te przypomniały o swoim istnieniu, spływając lepkiem strumykiem po jej palcach.

– Szlag by to trafił... – Wyrzuciła wafelek do kosza na śmieci i starając się nie pobrudzić niczego, sięgnęła do torebki po chusteczki.

Kawałek dalej Florin i Anneke skręcili w prawo. To znaczyło, że zmierzają do Getreidegasse. Beatrice obserwowała, jak kobieta wrzuca ulicznemu muzykowi pieniądze do miseczki, a potem zatrzymuje się kawałek dalej i oboje z Florinem oglądają buty na wystawie. Patrzyła, jak poprawia jej włosy, jak wsuwa kosmyk za ucho i...

„Czy mi już do cna odbiło?! Co ja tu robię?” – pomyślała z przerażeniem. „Stalkuję swojego kolegę z pracy?!”

Bez chwili wahania odwróciła się na pięcie i pobiegła z powrotem, jak najszybciej, zanim Florin miał szansę ją zauważyć.

„Beatrice, co się z tobą dzieje?” – zgromiła się w myślach. „O co chodzi? Dlaczego widok dwojga zakochanych ludzi tak strasznie na ciebie wpływa?”

Nie potrafiła udzielić sobie odpowiedzi. Z całą pewnością nie kierowała nią zazdrość, a przynajmniej nie była decydująca: życzyła im jak najlepiej i cieszyła się ich szczęściem. Tęsknota?... To już prędzej. Ale przecież nie powinna dać się jej w ten sposób ponieść!

Szybkim krokiem dotarła do samochodu i najkrótszą drogą wróciła do domu. Na regale z książkami znalazła powieść historyczną, którą kupiła przed dwoma laty i do dziś nie znalazła czasu, żeby zacząć czytać. Wzięła ją na kanapę razem z kieliszkiem chardonnay. Sen zakradł się na paluszkach i już godzinę później położył jej powieść na piersiach i delikatnie opuścił powieki.

Następnego dnia, krótko po jedenastej, Beatrice i Stefan trafili na niejakiego Christopha Beila, mocno zbudowanego czterdziestolatka, który śpiewał *Mszę C-dur* Mozarta w bazylice Marii Plain. Żeby dostrzec znamię na jego dłoni, musieli się jej bardzo uważnie przyjrzeć – bo została po niej jedynie blizna.

– Zgadza się, miałem tutaj coś w rodzaju naczyniaka, tak w każdym razie twierdzili lekarze. Wyglądał naprawdę paskudnie, taka wielka ciemna plama. Cały czas się cieszę, że dałem się przekonać żonie i go usunąłem.

Po znamieniu została nieregularna, fioletowawa kreska.

– Kiedy go pan usunął? – zapytała Beatrice.

– Jakies dwa i pół roku temu – wyjaśnił mężczyzna.

Nieco wymijająca odpowiedź, wyraźnie nie czuł się dobrze w rozmowie, której celu w zasadzie nie znał.

Beatrice i Stefan wymienili spojrzenia.

– Chcielibyśmy porozmawiać z panem, ale gdzieś, gdzie będziemy mieli spokój. Proszę się nie obawiać, o nic pana nie podejrzewamy, jednak istnieje możliwość, że pomoże nam pan w prowadzonym przez nas śledztwie.

Beil się zawahał.

– Nie powiecie mi nawet, o co chodzi?

– Później – uspokoiła go policjantka. – Gdy usiądziemy gdzieś w spokoju.

W oczach mężczyzny pojawił się błysk protestu, ale tylko na chwilę, bo zaraz się uśmiechnął i pokiwał głową.

– Oczywiście. Gdzie i kiedy?

– Może dzisiaj po południu? Powiedzmy o czwartej? – zaproponował Stefan.

– O tej godzinie Florin mógłby już do nas dołączyć – dodał ciszej, zwracając się do Beatrice.

– Dobrze, mnie też pasuje. U mnie w domu? Żona upiekła ciasto, więc moglibyśmy usiąść sobie w ogrodzie.

– Ty zadzwoń do Florina – poleciła Beatrice, kiedy wrócili do samochodu.

Zaskoczony Stefan uniósł brwi, ale posłusznie wykonał polecenie.

– Czwarta pasuje – powiedział, kiedy skończył rozmawiać. – Florin odwiezie dziewczynę na lotnisko i o wpół do czwartej będzie mógł do nas dołączyć.

Mężczyzna bawił się kluczykami i myślał.

– Powiedz mi, dlaczego od razu go nie zapytałaś?

– O co?

– No przecież o jego datę urodzenia! Po to go szukamy, prawda? W ten sposób moglibyśmy od razu wyliczyć współrzędne i pewnie jeszcze dzisiaj znaleźlibyśmy kesza!

– Muszę zobaczyć jego dowód osobisty z datą urodzenia, najchętniej sprawdziłabym też akt urodzenia. Poza tym chcę go trochę poznać i wyrobić sobie o nim zdanie. Chyba nie sądzisz, że Christoph Beil przez przypadek stał się częścią tej gry?

Stefan pokręcił niechętnie głową.

– Okej, racja. Tylko to wszystko dzieje się tak powoli.

Powoli. To słowo ją prześladowuje.

– Tak samo jak ty chcę jak najszybciej wyliczyć współrzędne, ale trzeba to zrobić porządnie. Pomyśleć o wszystkim. Żeby później nie wyrzucać sobie głupich błędów.

Albo żeby nie dostać po głowie od Hoffmanna.

Stefan w końcu przyznał jej rację, choć nie ukrywał rozczarowania.

– No tak, pewnie. A ja nawet spakowałem GPS, bo pomyślałem, że kiedy znajdziemy tego gościa, zaraz będziemy...

Nagle Beatrice wpadła na nowy pomysł. Do szesnastej mieli jeszcze sporo czasu – wystarczająco, by uzupełnić braki w wiedzy.

– Wiesz co? Zabierz mnie na poszukiwanie kesza. Chcę zobaczyć, jak to jest, przynajmniej raz. Pokażesz mi wszystko, co i jak. Co ty na to?

Propozycja koleżanki wyraźnie zbiła go z tropu, ale natychmiast dostrzegł swoją szansę, by zaprezentować się jako specjalista.

– Super! W takim razie włączam komputer.

Christoph Beil oparł się o ścianę i z zacienionego miejsca w bazylice obserwował samochód, do którego wsiedli policjanci. Nachylali się teraz nad czymś, pewnie nad notatkami z rozmowy.

Zamyślony przesunął palcami po bliźnie biegnącej przez miejsce, gdzie wcześniej znajdowało się znamię. To była jedyna rzecz, jaka interesowała tę policjantkę o miodowych włosach. Tylko tego szukała – obracała jego ręce i dokładnie je oglądała. Jak jakaś lekarka.

Gdyby tylko wiedział, o co w tym wszystkim chodzi. A bał się dopytywać. Nie miał żadnego doświadczenia z policją, więc wolał nie ryzykować. Mógłby niechcący podsunąć im pomysły, których lepiej żeby nie mieli. Na szczęście kobieta powtórzyła, że o nic go nie podejrzewają.

Czy kobieta była szefową, a dryblasowaty rudzielec jej podwładnym? Takie odniósł wrażenie, bo policjant właściwie nic nie mówił, tylko patrzył i uważnie słuchał.

– Miłej niedzieli, Christoph! Pozdrów Verę! – Silne klepięcie w ramię było tak niespodziewane, że omal nie stracił równowagi. Chryste, musi być ostrożniejszy! Nie może w ten sposób funkcjonować. Miał tylko nadzieję, że nie krzyknął z zaskoczenia. Ale Kurt, kolega, który gwałtownym pożegnaniem niemal przyprawił go o zawał serca, poszedł już dalej.

I dobrze. Bardzo dobrze. Dyskretnie. Dopiero kiedy otarł dłonią czoło, zorientował się, że jest cały spocony. Rozzłościł się na siebie. Skąd ta nagła nerwowość? Nic złego przecież nie zrobił i nie miał powodu do strachu.

Nie obawiał się też o Verę. Nie zostawi go, bo go przecież kocha. Wizyta policji nie miała raczej nic wspólnego z tym, co się stało. Nie był niczemu winny, najważniejsze, żeby o tym nie zapominać.

Jeśli zrobi się gorąco, zagra w otwarte karty.

Rozrywka była przednia – Beatrice nie spodziewała się, jaka to świetna zabawa. Stefan zalogował się do swojego profilu na geocaching.com i zaczął szukać skrytki, która znajdowałaby się względnie niedaleko.

– Chodzi nam o coś w miarę prostego i normalnej wielkości – wyjaśnił. – *Voilà*. Patrz, to normalny kesz i nazywa się *The hole*.

– Normalny?

– Tak, to znaczy, że jest przeciętnej wielkości. – Stefan rozłożył dłonie, jakby trzymał w nich bochenek chleba. – Mniej więcej taki. Ten, w którym znaleźliście dłoń, też był normalny. Poza tym to tradycyjny kesz, a współrzędne są jednocześnie miejscem ukrycia. Czyli nie ma żadnej zagadki i kolejnych etapów poszukiwań. Trudność na poziomie dwóch gwiazdek, a to znaczy, że nie będzie za dużo szukania. Za to kesz został ukryty w terenie o trudności trzech i pół gwiazdki. Czyli nie licz na niedzielny spacer. – Spojrzał na jej nogi obute w timberlandy i zadowolony pokiwał głową. – Świetnie. To co? Zaczynamy.

Nawigację połączył kablem USB z komputerem i wybrał opcję: „Wyślij do mojego GPS-a”.

– Załatwione. Dobra wiadomość jest taka, że prawie całą drogę możemy pokonać samochodem. To nam oszczędzi sporo czasu.

Nawigacja GPS poprowadziła ich z zadziwiającą precyzją. Z miejsca na poboczu drogi, gdzie zostawili samochód, zaprowadziła ich na skraj lasu. Stefan przełączył ją w tryb wskazywania kierunku, dzięki czemu mogli obserwować, jak z każdym krokiem zmniejsza się odległość dzieląca ich od miejsca docelowego. Beatrice pierwsza zauważyła wejście do jaskini – szczelinę pod wysoką skałą, przez którą dało się przecisnąć, jedynie kładąc na brzuchu.

– Jeśli tam wejdem, zniszczę sobie T-shirt – powiedziała Beatrice.

– Ano. To część zabawy. Weź latarkę.

Nabrała głęboko powietrza, pokonała nagły napad klaustrofobii i zanurkowała w ciemność. Latarkę włączyła dopiero wtedy, kiedy ciemność dookoła stała się nieprzenikniona.

Po ciasnocie pierwszych kilku metrów, przed Beatrice otworzyła się sztolnia, którą można było iść w lekkim pochyleniu. Za sobą w ciemności słyszała czyjeś kroki. Przez chwilę była pewna, że to musi być morderca Nory Papenberg. Tym razem nie wystarczyło mu, że podziękuje za polowanie, lecz postanowił w odosobnieniu podziemnej kryjówki zaspokoić swoje chore pragnienia.

Oczywiście za nią szedł Stefan.

– Oświetl wszystkie kąty – poradził. – Pojemnik jest duży, na pewno nie da się go przeoczyć, ale każdy Owner chce mieć pewność, że jego kesz nie padnie ofiarą mugoli.

Na dźwięk słowa Owner Beatrice przeszedł dreszcz. Bez sensu.

– Mugoli?

– No, jak z *Harry’ego Pottera*. Mugole to ludzie bez magicznych zdolności, czyli dla nas ci, co nie bawią się w geocaching. Gdyby natknęli się na taki pojemnik, mogliby go po prostu wyrzucić do śmieci.

Światło latarki wypełniało jaskinię tańczącymi cieniami i sprawiało, że każde zagłębienie wydawało się głęboką niszą. W ten sposób dopiero po dziesięciu minutach Beatrice odkryła pojemnik schowany całkiem z tyłu. Pudełko śniadaniowe, bardzo podobne do tego, w którym ukryta była dłoń.

– Świetna robota – pochwalił ją Stefan. – Dobra, to teraz otwórz. O, proszę, jest dziennik, widzisz?

Skinęła głową, a potem zaczęła czytać, przyświecając sobie latarką.

– *Świetny cache, szybko poszło. Wyjąłem smerfa, wrzuciłem kostkę do gry, TFTC, Heinzweidrei & Radebreaker.*

TFTC, Wildinger.

Cache jak marzenie! TFTC, Team Bierchen.

Niewielki brulion był zapisany mniej więcej do połowy.

– Zrób pod spodem kreskę i napisz, co chcesz. Wypada podziękować. I podpisz: Undercoverkeks. Dzięki temu będziemy mogli zgłosić nasze znalezisko na stronie. Mój numer to osiem sześć siedem – dodał Stefan dumnie.

Beatrice spoglądała na dziennik i zastanawiała się, czy rozsądne jest zostawianie śladu w postaci odręcznego pisma. Po chwili potrząsnęła głową. Myślała jak sprawca, nie jak policjantka.

Postąpiła więc zgodnie z poradą Stefana – oddzieliła stare wpisy poziomą linią i dodała własny:

Oby wszystkie kesze były takie jak ten! TFTC, Undercoverkeks.

– Tak to zapisać w liczbie mnogiej? – zapytała kolegi.

– Pewnie. A teraz odłóż *logbook* i zobacz, jakie skarby są w pojemniku.

Przejrzysta kostka do gry, naklejka z serii piłkarskich mistrzostw świata, szklana kulka i zepsute autko firmy Matchbox.

– To są fanty – wyjaśnił Stefan. – Możesz coś sobie wybrać, ale musisz zostawić coś w zamian. Masz ochotę?

Nie potrafiła wyjaśnić, dlaczego, ale tak, miała ochotę. W kieszeni marynarki znalazła gumkę do włosów, chusteczkę higieniczną i małe metalowe serduszko, które niegdyś stanowiło część breloka do kluczy. Wymieniła je na szklaną kulkę.

– Dobra, to teraz wszystko starannie pozamykaj i odstaw pojemnik w to

samo miejsce, z którego go wzięłaś.

Nie miała problemu ze schowaniem pudełka, bo dobrze zapamiętała zagłębienie za załamkiem skały. Kiedy była gotowa, wyczołgali się z jaskini.

– Wiesz co, muszę iść się przebrać – wysapała Beatrice. – Dzięki, Stefan, to było świetne. Teraz rozumiem, dlaczego ludzie się w to bawią.

– Super, co? – Uśmiechnął się szeroko. – Ostatni etap to już klikanie na komputerze. Chodź, pokażę ci.

Na stronie internetowej oznaczyli *cache* jako odnaleziony, dzięki czemu zarówno na profilu Stefana, jak i na podstronie z opisem skrytki pojawił się żółty uśmiechnięty emotikon.

„Świetnie się bawiłem, TFTC” – napisała Beatrice. Skrót podziękowania stał się już naturalnym dodatkiem i nie myślała, kiedy go dodawała do podziękowań.

Jadąc do domu, zastanawiała się nad sensem zakupu własnego urządzenia nawigacyjnego GPS, bo możliwe, że tę zabawę polubiłyby jej dzieci, Mina i Jakob. Wtedy jednak przypomniawszy sobie pierwszego *cache*'a w życiu i poczuła kluczę w gardle. Mimo towarzystwa Stefana nie czuła się swobodnie, otwierając pojemnik. Nie była pewna, czy kiedykolwiek na tyle dojdzie do siebie, że patrząc na plastikowy pojemnik na żywność nie będzie myślała o odciętej dłoni.

Koło szesnastej spotkali się przed biurem i wsiedli do jednego samochodu. Miejsce za kierownicą zajął Stefan, a Florin, zmęczony jeszcze po jeździe do Monachium, objął we władanie tylną kanapę.

Dom Christopha Beila znajdował się zaraz za miastem i już na pierwszy rzut oka domagał się pilnych prac remontowych. Popękany tynk pozwalał przypuszczać, że istniał problem z wilgocią w ścianach, i już z dwudziestu metrów było widać, że drewniany taras jest cały spróchniały. Za to ogród był zadbane i udekorowany figurkami krasnali, gipsowych żab i kopia figurki-fontanny siusiającego chłopca – Manneken pis.

– Musimy być ostrożni. Pod żadnym pozorem nie wolno zdradzić mu szczegółów śledztwa – ostrzegł Florin. – Ani słowa o współrzędnych czy częściach ciała w pudełkach.

Nacisnęli dzwonek przy furtce. Beil otworzył prawie natychmiast, zupełnie jakby czekał w oknie i widział, że już przyszli.

– Napijcie się państwo kawy? Herbaty? Może wody? – Skinął na żonę, która czekała w progu.

Kobieta szybko wróciła z tacą zastawioną butelkami i szklankami, podała napoje i zaraz wróciła do domu.

Usiedli przy masywnym drewnianym stole, przez którego blat wiodła autostrada mrówek. Beil nerwowym ruchem dłoni zmiotł je na ziemię.

– Od rozmowy z wami łamię sobie głowę, o co może chodzić.

Był spięty, jak ktoś podchodzący do egzaminu bez wiedzy, o jaki przedmiot chodzi. Beatrice odchrząknęła.

– Prowadzimy dochodzenie w sprawie śmierci Nory Papenberg. Czy to nazwisko jest panu znane?

Ani na chwilę nie spuszczała go z oczu. Jednak Beilowi nawet nie drgnęła powieka, wręcz przeciwnie, wręcz się odprężył.

– Nie, bardzo mi przykro. Choć wydaje mi się, że mogłem słyszeć o tej kobiecie w radio. To ją znaleziono na pastwisku?

– Tak jest.

– Aha. Tylko dalej nie rozumiem, co ja mam z tym wspólnego?

Beatrice otarła czoło. Jakiś drobny owad przykleił jej się do dłoni.

– Poświęcamy dużo uwagi wszystkim śladom, a jeden z nich pośrednio zaprowadził nas do pana. Czy mogłabym zobaczyć pana dokumenty?

Zobaczyła, że się waha, więc uśmiechnęła się do niego.

Beil wyjął z kieszeni spodni podniszczony czarny portfel i podał Beatrice prawo jazdy. Policjantka odszukała wzrokiem datę urodzenia.

1964. Zanotowała również dzień i miesiąc, datę wystawienia i numer dokumentu, po czym oddała go właścicielowi.

– Wygląda na to – zaczęła ostrożnie – że prawdopodobny sprawca zostawił wskazówki, świadczące o jakimś związku między panem a ofiarą. Niestety, nic więcej nie mogę zdradzić.

– Dziwne. – Przyjrzał się delikatnie odbarwionej skórze na wierzchu dłoni.

– Tym bardziej że tak nie jest. To znaczy, naprawdę nie wiem, jak mógłbym wam pomóc.

Chrząknięcie. Florin zasygnalizował, że chce przejąć prowadzenie rozmowy.

– Od dawna śpiewa pan w chórze?

– Oj, już prawie dziesięć lat. Z zawodu jestem technikiem dentystycznym, więc taka odskocznia w sztukę dobrze mi robi.

– Jak wygląda branża dentystyczna? Interesy dobrze idą?

Beil uśmiechnął się szeroko.

– Pyta pan przez stan domu, prawda? Dostaliśmy go w spadku i latem zaczynamy remont.

Florin dał znak Beatrice. Policjantka wyjęła z torebki dwa wydrukowane zdjęcia.

– Proszę przyjrzeć się dokładnie kobiecie na obu fotografiach i powiedzieć, czy ją pan zna.

Beil sięgnął po pierwszą kartkę.

– To ta Nora Pa...

– Papenberg. Tak. Proszę się nie spieszyć.

Położył przed sobą zdjęcie uśmiechniętej radośnie kobiety i strzepnął

zabłąkaną mrówkę, która usiłowała wdrapać się na brzeg kartki.

– Nie. Chciałbym pomóc, ale jej nie znam.

Drugi wydruk przedstawiał zdjęcie portretowe, na którym Nora z poważną miną spoglądała prosto w obiektyw aparatu. Kiedy Beatrice położyła je przed nim, Beil drgnął bardzo delikatnie, niemal niezauważalnie, że sama nie była pewna, czy to widziała. Nie otworzył szerzej oczu, nie nabrał głębiej powietrza, nic – tylko delikatnie drgnął. Kiedy oddawał zdjęcie, miał całkowicie spokojne dłonie.

– Też nie. Bardzo mi przykro. Nic nie poradzę.

Policjantka patrzyła na niego uważnie.

– Jest pan całkowicie pewny, że to zupełnie obca osoba?

– Tak, jestem. Mam bardzo dobrą pamięć do twarzy. Rozpoznałbym ją, gdybym kiedykolwiek ją widział. Nazwiska też w żaden sposób nie kojarzę. – Beil skrzywił się z żalem. – Wiem, że wasza praca to nie zabawa, więc tym bardziej mi przykro, że zmarnowaliście na mnie tyle czasu. I to jeszcze w niedzielę.

Uśmiechnął się serdecznie i spojrzał jej prosto w oczy. Nie mrugał i nie odwracał wzroku, lecz Beatrice i tak mu nie wierzyła. Rozpoznał Norę Papenberg – choć nie od razu i dopiero na drugim zdjęciu. Najciekawsze jednak było to, że się nie przyznał.

Z przyjaznym uśmiechem odebrała zdjęcia, schowała do torebki i wyjęła wizytówkę.

– Jeśli mimo wszystko przypomni się panu coś, co mogłoby nam pomóc, proszę zadzwonić pod ten numer.

Wsunął kartonik do portfela i skinął głową.

– Oczywiście, chociaż, jak mówiłem... – Wzruszył przepaszająco ramionami. – ...nie znam tej kobiety.

Beatrice była pewna swego, choć ani Florin, ani Stefan nie zarejestrowali reakcji Beila na drugą fotografię. Jeśli skłamał, musiał mieć ku temu dobry powód.

– Są dwie możliwości. – Beatrice myślała głośno. – Pierwsza jest taka, że się pomyliłam i Beil nie rozpoznał Papenberg. Może to w ogóle nie ten Christoph, a jego data urodzenia nigdzie nas nie zaprowadzi. Nawet nie ma już znamienia.

– A druga możliwość?

– Mam rację, że ją znał. Wtedy musiałby mieć powód, żeby nas okłamywać. Jeśli w drugim etapie coś znajdziemy, znów go odwiedzimy.

W biurze we trójkę zasiedli przy biurku po stronie Florina. Policjant sięgnął po wydruk wiadomości z pojemnika z dłonią.

– Dwie ostatnie cyfry roku urodzenia to A – odczytał głośno.

– Czyli sześćdziesiąt cztery. To do kwadratu... – Beatrice policzyła szybko na kalkulatorze – ...daje nam cztery tysiące dziewięćdziesiąt sześć.

– Okej. Dodaj teraz trzydzieści siedem.

– Cztery tysiące sto trzydzieści trzy. To nam daje szerokość geograficzną?

– Zgadza się. Długość wyliczymy, dodając do siebie cyfry składające się na A – cztery plus sześć to dziesięć. To razy dziesięć daje równo sto. Razy A wychodzi sześć tysięcy czterysta. – Beatrice zapisała wynik na kartce. – Zaraz, dlaczego nie powiedział po prostu, że mamy pomnożyć A razy sto?

– Żeby wyglądało na bardziej skomplikowane? – zgadywał Florin. – Im więcej kroków, tym większe prawdopodobieństwo pomyłki. No dobra, to dalej: odejmij dwieście dwadzieścia dziewięć, następnie odejmij otrzymany wynik od wschodniej długości geograficznej.

Beatrice wykonała obliczenia, notując wyniki wszystkich działań, a na koniec wzięła w kółeczko ostateczny rezultat.

– Proszę bardzo. Jedziemy tam zaraz?

– Pewnie! – Stefan zerwał się z krzesła, lecz Florin ostudził jego zapał.

– Spokojnie, chcę zabrać ze sobą Draschego. Pojedziemy tam jutro z samego rana, ale dzisiaj chętnie zobaczę, gdzie to jest.

Wpisał nowe współrzędne do Google Maps. Po chwili na ekranie pojawiła się mapa, a Florin zaśmiał się krótko i, czego Beatrice była niemal pewna, z rezygnacją.

– Daliśmy ciała.

Sięgnął po myszkę i powiększył wybrany fragment.

– Wskazania nigdy nie są idealnie dokładne – zauważył Stefan. – To zawsze jest kilka metrów w jedną albo drugą stronę.

Pozostawało mieć nadzieję, że się nie mylił, bo znacznik wskazujący wybrane miejsce znajdował się dokładnie pośrodku autostrady.

Po powrocie do domu Beatrice wystarczyło czasu jedynie na wietrzenie i przygotowanie składników na omlety z szynką i serem. Achim pojawił się z dziećmi punktualnie co do sekundy. Mina i Jakob nie przestawali opowiadać o nowościach. Kotka została nazwana Cinderellą. Była szaro-biała i trochę czarna. A po południu były lody. Po dwie porcje dla każdego. Tata się wyglupiał i w zawodach na rękę dwanaście razy przegrał z Jakobem.

Beatrice uśmiechała się, śmiała i potakiwała, dusząc w sobie coś, co po zastanowieniu okazało się smutkiem. Czy naprawdę żałowała, że nie brała w tym udziału?

Pokręciła głową z dezaprobatą. Następnie włożyła naczynia do zlewu i wysłała dzieci po kolei do kąpieli. Postanowiła, że przeczyta im kolejny fragment *Hobbity* i odpocznie. Jej namiastka życia rodzinnego.

– „Dorzucono nowe kłody do ogniska, łuczywa pogasły, lecz oni siedzieli wciąż w migotliwym blasku płomieni...”¹ – zaczęła Beatrice.

Jakob, który według niej był jeszcze trochę za mały na tę książkę i dla którego łągodziła najbardziej brutalne sceny, leżał nieruchomo i błyszczącymi oczyma wpatrywał się w plakat Buzza Astrala na ścianie. Mina za to nie spuszczała z niej wzroku. Uśmiechała się i chyba po raz pierwszy od miesiący nie była w stanie wojny z samą sobą i resztą świata.

– „...pod słupami wznoszącymi się aż pod strop domu i czarnymi w górze niby wierzchołki drzew w lesie...”.

*I'll send an SMS to the world,
I'll send an SMS to the world,
I hope that someone gets my,
I hope that someone gets my,
I hope that someone gets my
Message in a bottle.*

Dopiero kiedy Jakob zaczął się wiercić, Beatrice zauważyła, że przestała czytać i oparła książkę na kolanach.

– Mamo! Czytaj dalej! – poprosił, trącając jej ramię.

Odszukała miejsce, w którym przerwała, i zaczęła od nowa. Przejęzyczyła się.

Spokojnie, tylko spokojnie. Wiadomość nie ucieknie. Poza tym nadawcą mógł być... Florin. Albo Achim znów chciał jej czymś dopiec. Potem się tym zajmie. Teraz najważniejsze były dzieci.

– „Może to były czary, a może nie, ale hobbitowi wydawało się, że słyszy w krokwiach szum, jakby wiatru w gałęziach, i zawodzenie puszczyków. Wkrótce też Bilbo zaczął się kiwać sennie, a głosy dochodziły do jego uszu z coraz to większej dali...”.

– Mamo! Czytaj ładnie!

– Przepraszam. – Wzięła się w garść i skoncentrowała na książce. Tak bardzo dała się ponieść historii, że skończyła dopiero, kiedy dzieci twardo spały.

„To be disabled”.

Tylko te trzy słowa, numer już znała. Beatrice wpatrywała się w swoją komórkę, aż ekran zgasł.

Disabled oznaczało tyle, co wyłączony, dezaktywowany. *To be disabled* – zostanie wyłączony? Jeśli się nie myliła, *disabled* można było przetłumaczyć również jako upośledzony albo niepełnosprawny.

Czy wiadomość odnosiła się do pierwszej ofiary, tej okaleczonej? A może Owner sygnalizował, że w najbliższym czasie zamierza obciąć komuś kolejną

kończynę?

Usiadła na kanapie. Serce waliło jej z taką siłą, że pulsowanie czuła w gardle i skroniach. Nie, dziś szybko nie zaśnie. Po raz kolejny sprawdziła, czy na pewno dobrze zamknęła drzwi, przyniosła z kuchni szklankę wody i włączyła komputer. Wszystkie materiały zostawiła w pracy, w tym również to, co znalazł dla niej Stefan. Miała jednak nadzieję, że w Internecie bez trudu znajdzie to, czego potrzebuje.

W polu wyszukiwania Google'a zapisała *Geocaching disabled* i nacisnęła enter. Na ekranie pojawiła się lista wyników. Po lekturze dwóch pierwszych linków wiedziała już, że *cache* może zostać *temporarily disabled*, czyli czasowo wyłączony z zabawy, zawieszony.

Dwa kliknięcia później znalazła wyjaśnienie, że zazwyczaj właściciel skrytki zabiera wtedy pojemnik, żeby go naprawić albo na przykład wymienić dziennik znalezień.

„O nie” – pomyślała. „Proszę, tylko nie to!”

W najgorszym wypadku mogło się okazać, że współrzędne, które ustalili ogromnym nakładem pracy, są całkowicie nieprzydatne. Czy Owner chciał im powiedzieć, że cokolwiek, co znajdowało się we wskazanym miejscu, zostanie stamtąd zabrane? A może już to zrobił? Nie zastanawiając się długo, wybrała numer Florina. Odebrał po trzecim sygnale.

– Florin, właśnie dostałam trzecią wiadomość... – przerwała. W tle słychać było pianino. Satie. Albo coś w jego stylu.

– Brat?

– Nie, płyta. Próbowałam właśnie... nieważne. Co się stało?

Mogła się założyć, że przeszkodziła mu w malowaniu.

– Znowu do mnie napisał. Żadnych gróźb, tak w każdym razie myślę. Ale chyba daje znać, że zamierza zabrać to, co dla nas ukrył.

– Skąd taki pomysł?

– Wiadomość brzmi: „*To be disabled*”. W żargonie geocacherów oznacza to tyle, że ktoś zabiera ze sobą pojemnik z keszem. Na amen. Albo żeby go odświeżyć i dodać coś nowego.

Coś zakrwawionego, oślizłego.

Florin milczał przez kilka sekund. Miała wrażenie, że ktoś zrobił głośniejszą muzykę w tle.

– Twoim zdaniem – zaczął po chwili – popełniliśmy błąd? Powinniśmy natychmiast tam pojechać?

– No cóż, przeszło mi to przez myśl.

– Dobra, wyślę tam kilku ludzi. Niech przypilnują okolicy, tak na wszelki wypadek, gdyby Owner rzeczywiście miał się pojawić. Chociaż...

Chociaż Florin w to nie wierzył. Beatrice zresztą też nie.

W słuchawce usłyszała westchnienie.

– Jeśli jutro niczego tam nie znajdziemy, wezmę to na siebie.

– Nie bądź taki hop do przodu – zaprotestowała. – Równie dobrze mogliśmy trafić na niewłaściwego Christopha. Pomyśl, to przecież autostrada.

Taka opcja również była możliwa. Florin i Stefan mogli mieć rację, a reakcję Beila sama sobie ubzduriała.

Cytowane fragmenty pochodzą z powieści J.R.R. Tolkiena, *Hobbit czyli tam i z powrotem*, tłum. M. Skibniewska, Wydawnictwo Iskry, Warszawa 1997, s. 133-134. [\[wróć\]](#)

N47°50,738'N 13°15,547'E

Zegar słoneczny na elewacji plebanii w Thalgau wskazywał punktualnie ósmą, kiedy stanęli kilka metrów dalej, na poboczu nieutwardzonej drogi, zaraz za samochodem funkcjonariuszy, którzy w nocy trzymali tu wartę. Ci nie zauważyli jednak niczego podejrzanego i poza dwoma spacerowiczami z psami nikt tędy nie przechodził.

Monotonne buczenie autostrady przypominało szum morza, lecz efekt psuły głośne diesle ciężarówek. Szybko się okazało, że Stefan prawie miał rację – z mapy wynikało wprawdzie, że współrzędne wskazują środek autostrady, lecz we wskazanym miejscu trasę rozdzielającą dwa brzegi niewielkiej doliny łączył most. Szukać więc trzeba było poniżej, ewentualnie trochę z boku. Beatrice uniosła wzrok. Most nad autostradą przebiegał ledwie kilka metrów za plebanią i oddzielał ją od stromego zbocza porośniętego gęstym lasem. Spomiędzy drzew dobiegał śpiew ptaków, które dzielnie konkurowały z hałasem samochodów.

– Do przeseł my idziemy pierwsi! – burknął Drasche. On i Ebner zajęci byli wkładaniem jednorazowych kombinezonów.

Nawigacja GPS, którą Beatrice pożyczyła rano od Stefana, informowała, że do celu zostały im jeszcze sto czterdzieści trzy metry. Miała nadzieję, że nie rozczarowała młodszego kolegi, każąc mu zostać w biurze i pilnować wszystkiego.

– Dziwne miejsce. – Florin zdjął okulary przeciwsłoneczne i umieścił je nad czołem, po czym przysunął się do Beatrice, żeby lepiej widzieć ekran nawigacji, którą operowała. Jego bliskość wywoływała w kobiecie mieszane uczucia, bo wciąż miała w pamięci spotkanie – czy raczej prawie spotkanie – z soboty. Ze zmieszaniem myślała o tym, że nieproszona wtargnęła z butami w sferę jego prywatnego życia.

Drasche szeleścił jednorazowymi ochraniaczami na buty z niebieskiego plastiku.

– Dobra, mówcie, dokąd idziemy.

– Prosto i pod mostem. Może troszeczkę na prawo. – Podała Draschemu nawigację i wskazała czarno-białą chorągiewkę oznaczającą metę. – Kieruj się na nią. Gdy będziesz na miejscu, GPS zacznie piszczeć.

Razem z Florinem trzymali się tuż za nimi. Technicy kryminalistyczni posuwali się powoli, krok za krokiem. Bezpośrednio pod autostradą było nieprzyjemnie głośno, lecz ledwie wynurzyli się z ciemności pod mostem, hałas samochodów znów przypominał szum morskich fal. Usłyszeli też plusk prawdziwej wody. Po prawej stronie płynął niewielki strumień, nieco dalej spiętrzony murkiem z grubo ciosanych kamieni. Pośrodku niego znajdował się otwór, z którego wylewał się niewielki wodospad.

„Piękne miejsce, ale raczej nie skrytka” – pomyślała Beatrice, obserwując Draschego, jak kręci się tam i z powrotem wpatrzony w ekran nawigacji. Mężczyzna obracał się i rozglądał, aż w końcu wcisnął koledze urządzenie do ręki.

– Ten cholerny złom co trzy sekundy wskazuje inny kierunek!

– To znaczy, że jesteś na miejscu! – odkrzyknęła Beatrice. – Szukaj w promieniu pięciu metrów!

Szum autostrady i plusk wody tylko częściowo zagłuszały przekleństwa technika.

– To co mam teraz zrobić, he? Przekopać wszystko?

– Nie, musisz... – Podeszła kilka kroków i wskazała na murek. – Musisz szukać kryjówek. Kesze często są chowane w jakichś szczelinach albo dziurach. Tak się je ukrywa, żeby znalezienie ich wymagało trochę wysiłku.

– W takim razie pewnie leży gdzieś w wodzie – zakpił Drasche i uniósł duży kamień na brzegu. Dopiero potem z Ebnerem podeszli do murku.

– Błoto, mech i gałęzie – gderał. – O, proszę, teraz niby jesteśmy trzynaście metrów od celu.

Beatrice i Florin wymienili pospieszne spojrzenia. Czyżby naprawdę coś sknocili? A może Owner usunął cache'a?

W myślach cofnęła się o jeden dzień, do poszukiwań, na które wyruszyła ze Stefanem. Musieli razem wpelznąć do jaskini.

– Nie podał poziomu trudności terenu – mruknęła zamyślona.

Florin zrobił krok w jej stronę.

– Słucham?

– Trudność terenu. Przy większości skrytek znajdziesz gwiazdki informujące o tym, jak trudno dotrzeć do skrytki. Wtedy wiesz przynajmniej, na co się przygotować – na wspinaczkę, pełzanie... – Przyjrzała się zielonej płataninie porastającej brzegi strumienia. Kaczeńce, jakieś sięgające bioder rośliny o spiczastych liściach, których nazwy nie znała, i...

– Gerd!

Drasche odwrócił się gwałtownie.

– Co jest?

– Zejdź na dół i chodź w moją stronę! Dobra, jeszcze kilka kroków... stój! Po lewej stronie! Widzisz korzeń drzewa?

Nachylił się, a Beatrice podeszła kawałek, żeby lepiej się przyjrzeć.

– Dobra, widzę. Cały obrośnięty.

– Sięgnij pod spód – tam, gdzie zanurza się w wodzie. Stąd, gdzie stoję, widać jakby norę.

Widziała, jak ubrana w rękawiczkę dłoń Draschego wędruje coraz niżej. Miałby znacznie łatwiejszy dostęp, gdyby zdecydował się wejść do grząskiego strumienia, lecz tego wyraźnie nie chciał zrobić. Samemu najłatwiej zniszczyć

ślady sprawcy. Uwielbiał to powtarzać.

Nie udało mu się sięgnąć, gdy klęczał tak nisko, więc położył się na brzuchu i aż po sam bark wsunął ramię w otwór między korzeniem a strumieniem.

„Gdybym to ja była Ownerem, wybrałabym właśnie to miejsce. Przynajmniej miałabym pewność, że nikt nie zajrzy tam dla zabawy” – myślała Beatrice.

Drgnęła, słysząc tryumfalny ryk Draschego. Wyciągnął ramię z dziury i zaprezentował pojemnik oklejony błotem i żwirem. Jakaś zabłąkana dżdżownica odkleiła się od bocznej ścianki i spadła w trawę.

Zatem mieli rację! Beatrice załapała fala ulgi. Miała wrażenie, że po długim czasie wstrzymywania oddechu wreszcie może odetchnąć pełną piersią. Florin objął ją ramieniem.

– Świetna robota, Bea.

Podeszli do strumyka. Natychmiast po wydobyciu znaleziska Ebner zajął się dokumentacją fotograficzną – pudełka, brzegu, korzeni i całego otoczenia. Kiedy skończył, Drasche spakował *cache* do pojemnika transportowego.

– Wybaczcie, ale nie ma żadnego otwierania na miejscu – oznajmił, zwracając się do Florina i Beatrice. – Przede wszystkim zależy mi na warunkach laboratoryjnych, a po drugie nie mam ochoty czekać na wóz do transportu zwłok, gdyby miało się okazać, że w środku znów jest jakaś część ciała.

Z wielkim trudem zmusili się do cierpliwości. Beatrice spodziewała się, że w środku będzie makabryczny fant, lecz znacznie bardziej interesowała ją wiadomość, którą właściciel skrzynki najpewniej dołączył. Miała nadzieję, że zawiera wskazówki, które doprowadzą ich do następnego etapu albo do samego Ownera, jeśli w końcu popełnił błąd.

Musiąca jednak poskromić swoją ciekawość. Drasche i Ebner chcieli jeszcze pobrać próbki błota, a kiedy się z tym uporali, zabrali się do przeczesywania okolicy, licząc na znalezienie jakichkolwiek dodatkowych śladów. To jednak nie przyniosło rezultatów, więc uznali, że można ruszać w drogę do laboratorium. Beatrice miała wrażenie, że jazda przeciąga się w nieskończoność, a potem nawet wkładanie ochronnych fartuchów w przedsionku kosztowało ją sporo walki z niecierpliwością.

„Powoli” – pomyślała ze złością.

Wreszcie, w oślepiającym świetle reflektorów nad stołem do badań, Drasche otworzył pojemnik. Najpierw wyjął z niego karteczkę i ją rozłożył.

– „Gratulacje, znalazłeś!” – odczytał na głos. – „Ten pojemnik jest częścią zabawy, którą już znasz. Nie wpadł w Twoje ręce przypadkiem, lecz szukałeś go celowo. Zawartość nie zaskoczy Cię w takim stopniu jak ostatnio, ale możesz mi wierzyć: niespodzianki są przereklamowane! Jestem przekonany, że niedługo też dojdiesz do takiego wniosku. TFTH”.

– Dupek. – Drasche przesunął wzrokiem po twarzach zebranych.

Żadnych niespodzianek. To wyjaśniało, co jest zawinięte w materiał niemal w całości wypełniający pudełko. Policjantka czuła wdzięczność, że nie musi sama się tym zajmować. Spięta przyglądała się, jak Drasche ostrożnie odwija pakunek.

Trzy dodatkowe dni przy wiosennych temperaturach wyraźnie zaszkodziły zawartości plastikowego opakowania. Z lewej dłoni wypłynęło znacznie więcej ciemnego płynu niż z prawej. Mimo próżniowego opakowania skóra przybrała zielonkawoniebieski kolor.

– Na szczęście otwarcie opakowania to obowiązek Instytutu Medycyny Sądowej – oznajmił Drasche.

Beatrice domyślała się, że gdyby nie miał maseczki na ustach, zobaczyłaby jego sardoniczny uśmiech. Przyglądała się, jak sprawdza, czy na folii nie zachowały się jakieś odciski palców i jak sfrustrowany potrząsa głową. Następnie wziął pod lupę wydruk z wiadomością. Położył kartkę na blacie roboczym, spryskał go ninhydryną i podgrzał suszarką, lecz i tym razem bez rezultatu.

Drasche wyciągnął z pudełka jeszcze jedną złożoną kartkę papieru.

– Proszę, proszę. Nieszczęścia chodzą parami. – Rozłożył ją starannie i umieścił pod reflektorem, by zrobić dokładne zdjęcia.

– Na moje oko to ten sam charakter pisma, co ostatnio – stwierdził.

Beatrice nie czekała, aż odczyta wiadomość. Przysunęła się i schyliła nad kartką. Miał rację. Zamaszyste, zaokrąglone litery. Beatrice nie miała wątpliwości, że zapisała je Nora Papenberg. W kilku miejscach słowa były nierówne, jakby kobieta drżała, a linijki opadały jak łodyżki usychających kwiatów.

Stage 3

„Szukasz pechowca i jesteś – poza mną, oczywiście – pierwszą osobą od dawna, która się nim zainteresuje. Rozglądaj się za bliźnami, tymi na zewnątrz i tymi wewnątrz, i za starym, niebieskim volkswagenem golfem. Trzy ostatnie pola tablicy rejestracyjnej to 39B. Nazwa ulicy, przy której mieszka, zawiera nazwisko będące częścią odpowiedzi, której szukasz. Zmień litery w cyfry (A=1, B=2, ...). Sumę, jaką otrzymasz, przemnoż przez dwadzieścia sześć, dodaj sześćdziesiąt cztery i odejmij wynik od współrzędnych szerokości geograficznej drugiego etapu.

Do numeru domu dodaj tysiąc i pomnoż wynik przez cztery, a potem dodaj pięćset osiemdziesiąt pięć. Wynik odejmij od współrzędnych długości geograficznej drugiego etapu. Tam znów się spotkamy”.

– Pechowiec. – Beatrice głośno myślała. – Trudno powiedzieć, co to ma znaczyć. Szybciej będzie zacząć od opisu auta.

Drasche zajął się spryskiwaniem drugiego listu ninhydryną w celu wykrycia odcisków palców, a Florin wyszedł na korytarz, żeby zadzwonić do wydziału ruchu

drogowego.

„Rozglądaj się za bliźniami, tymi na zewnątrz i tymi wewnątrz”. Beatrice natychmiast pomyślała o bliźnie na dłoni Beila. Ta z całą pewnością była na zewnątrz. Niemalże odruchowo spojrzała w stronę zapakowanej próżniowo dłoni. Para do pierwszego znaleziska, ale wciąż brakowało ciała. Kolejne etapy doprowadzą ich pewnie do organów wewnętrznych i fragmentów, które da się zamknąć w średniej wielkości pojemniku. Kawałki zbezczeszczonych zwłok...

– Ulala! – Drasche nachylił się gwałtownie nad kartką, którą osuszał strumieniem gorącego powietrza. – Tutaj za to aż się roi od odcisków.

Na papierze, szczególnie przy krawędziach, zaczęły się pojawiać fioletowe plamy. Owalne, niektóre rozmazane, a niektóre bardzo wyraźne. Odciski palców.

– To po prawej na dole... czy to krew? – zapytała Beatrice.

– Całkiem możliwe. Dostaniecie szczegółowy raport, kiedy skończymy analizę, okej? – Jak na Draschego, wyjątkowo delikatnie i taktownie dał im znać, że mają się wynosić.

– Ale zdjęcia chciałabym dostać od razu! – zawołała Beatrice, a Ebner obiecał, że wyśle je mejlem za dziesięć minut.

Kiedy wyszła z laboratorium, Florin akurat kończył rozmawiać przez komórkę.

– Dostaniemy listę. Wszystkie samochody z Salzburga i okolic, które mają taką końcówkę numerów rejestracyjnych.

Listy. Wiadomości. Opinie. Beatrice uwolniła się z fartucha ochronnego, zwinęła go w kłębek i razem z rękawiczkami wyrzuciła do kosza na śmieci. Potem zdjęła z głowy czepkę i obiema dłońmi przeczesła włosy. Nie miała poczucia, że przedzieranie się przez te wszystkie papiery i dokumenty przybliżało ich choćby o krok do Ownera. Jego obecność czuła jedynie w listach, które zostawiał dla nich w pojemnikach.

Jeszcze bite trzy godziny do odprawy u Hoffmanna. Wrócili do biura. Beatrice od razu sprawdziła skrzynkę mejlową – miała nadzieję, że zdjęcia już tam czekają. Niepotrzebnie. Dostała za to od biegłej wstępną opinię grafologiczną przesłanych próbek.

– „Badanie porównawcze dostarczonych próbek odręcznego pisma wykazało ich tożsamość w najważniejszych rozważanych punktach, tj. wielkości liter, sposobie ich łączenia, kątów nachylenia i odstępów między linijkami” – przeczytała półgłosem. – „Należy zatem przyjąć, że obie zostały sporządzone tą samą ręką, choć druga próbka wykazuje się większą liczbą odstępstw i nieregularności, jednakowoż można wnioskować, że wynikają one z napięcia i intensywnych emocji”.

Florin przerwał pracę i zaczął słuchać. Zamyślony bębnił palcami o blat biurka.

– Przynajmniej mamy już pewność, że łamigłówki napisała dla nas Nora Papenberg. Biorąc do tego pod uwagę fakt, że na jej ubraniu zabezpieczono ślady krwi drugiej ofiary... Bea, inaczej się nie da. Trzeba przyjąć, że w tym przypadku Nora niekoniecznie jest tylko ofiarą.

Miał oczywiście rację. Musieli rozważyć i taką opcję. Tylko że jakoś nie mogła w to uwierzyć.

– Dwójka współników – ciągnął Florin, w każdej dłoni dzierząc ołówek. – Od początku działają razem, aż w końcu dochodzi do kłótni i jedno zabija drugie. – Ołówek spadł na blat biurka i potoczył się w stronę klawiatury. – Owner pozbywa się pomocnicy.

– Pewnie, zgoda. Tylko że nic z tego, co wiemy o Norze Papenberg, nie pozwala spojrzeć na nią jak na osobę, która rozczłonkowała zwłoki swoich ofiar.

Florin myślał. Siedział ze zmarszczonym czołem, a ona wiedziała, co się dzieje w jego głowie. Nie da się wyczytać z twarzy, do czego ktoś jest zdolny. Niestety. Albo na szczęście. Beatrice pamiętała, że wtedy tak bardzo próbowała; tak usilnie, że niemal wpędziło ją to w szaleństwo.

– Popatrz na zdjęcia z tamtego wieczoru. Jest szczęśliwa, roześmiana i swobodna. A potem dzwoni telefon – od tego momentu można dosłownie wyczuć ciężar, jaki ją przygniata.

Przypomniała sobie Christopha Beila. Rozpoznał Norę. Nie z nazwiska, ale z twarzy. Musi z nim porozmawiać, a jeśli będzie trzeba, to go przycisnie, aż powie jej prawdę.

*

Kilka minut przed wyjściem na spotkanie z Hoffmannem dotarła wiadomość, że zgłoszono zaginięcie mężczyzny, który, jak wyraził się funkcjonariusz z centrali, pasowałby wiekiem do ich dłoni. Od tygodnia nie pojawiał się w pracy.

Florin przejrzał dokument, który policjant położył mu na biurku.

– Herbert Liebscher. Czterdzieści osiem lat, nauczyciel. Rozwiedziony, bezdzietny. – Podniósł wzrok. – Kto zgłosił zaginięcie?

– Dyrektor szkoły, w której pracował. Określił Liebschera jako osobę solidną i dodał, że nie ma pojęcia, gdzie mógłby przebywać. Wielokrotnie próbował się do niego dodzwonić, ale za każdym razem zgłaszała się poczta głosowa.

– Co z jego byłą żoną? Może z nią się kontaktował?

– Nie. Z tego, co wiem, nie utrzymywali żadnych kontaktów.

Beatrice podniosła się z fotela i stanęła za Florinem, żeby spojrzeć mu przez ramię. Fotografia dołączona do zgłoszenia była typowym portretem: lekko przekręcona głowa, wymuszony uśmiech, błękitne tło. Podłużna twarz,

jasnoniebieskie oczy, wąskie nos i usta. Wyraźne woreczki łzowe.

Dłoni oczywiście nie było widać.

– Wyślij kogoś do szkoły, niech spróbują zorganizować jego szczotkę do włosów czy coś. Albo jakiś inny przedmiot, byle tylko dało się z niego pobrać próbkę DNA – poleciła funkcjonariuszowi. – Byłoby dobrze, gdyby udało się zdobyć jakieś większe zdjęcie, takie, na którym będzie widać dłonie. Niech ktoś podjedzie do niego do domu i popyta sąsiadów, kiedy widzieli go po raz ostatni. Im dokładniejsze dane, tym lepiej dla nas.

Funkcjonariusz – zaraz, jak się nazywał? Chyba Becker – skrzywił się kwaśno.

– Co ty powiesz... Nie traktuj nas jak idiotów, okej? – Po tych słowach odwrócił się na pięcie i wyszedł.

Beatrice stała jak sparalizowana i nie mogła się otrząsnąć.

– Co go napadło? Byłam niemiła? Co takiego powiedziałam? – Widząc, że Florin z trudem powstrzymuje szeroki uśmiech, sama też zaśmiała się nerwowo i zapytała: – No mów, co cię tak bawi, co?

– Potraktowałaś Bechnera jak uczniaka. – Wstał i podniósł z biurka papiery, które chciał zabrać na odprawę u Hoffmanna. – Licz się z tym, że wszystkim o tym powie i nikt nie będzie miał wątpliwości, że jesteś controlfreakiem.

– Controlfreakiem?

– Daj spokój... przecież zawsze chcesz, żeby było po twojemu, prawda?

– Jeśli nie pracuję z kimś na co dzień, to chyba nie mogę wiedzieć, czy jest dobrym gliną. – Przynajmniej zapamiętała nazwisko policjanta. Bechner. Powtórzyła je kilka razy w myślach i spojrzała na zegar. Dwie po trzeciej. Świetnie.

Pospiesznie zebrała swoje notatki i dołączyła do Florina, który czekał na nią w progu.

– Trochę więcej wiary w ludzi na pewno by ci nie zaszkodziło – powiedział półgłosem.

Beatrice spojrzała na zdjęcie z obciętą dłonią w plastikowym opakowaniu i nie wiedziała, czy Florin naprawdę tak myśli, czy żartuje.

Odprawa u Hoffmanna wyglądała jak każda dotychczasowa odprawa u Hoffmanna – przełożony demonstrował niezadowolenie z dotychczasowych wyników, krzywiąc niemiłosiernie usta i wzdychając ciężko. Jediną osobą, na którą spoglądał łaskawszym wzrokiem, był Florin i dlatego to on wziął na siebie trud składania raportu ze śledztwa, a Beatrice zachodziła w głowę, czy inni naprawdę są zdania, że lubi rządzić.

Kiedy Florin doszedł do omawiania wiadomości, które Owner przesyłał jej SMS-ami, Hoffmann wyraźnie się ożywił i z zainteresowaniem spojrzał

bladoniebieskimi oczyma na swoją podwładną.

– Czy próbowała pani oddzwonić?

– Oczywiście, podjęłam takie próby. Jednak miał już wyłączoną komórkę. Jestem przekonana, że wie, że możemy go w ten sposób zlokalizować. Stacja przekaźnikowa, do której zalogował się przy okazji wysyłania drugiego SMS-a, znajduje się mniej więcej piętnaście kilometrów od tej, do której jego telefon zalogował się za pierwszym razem. Nie jest na tyle głupi, żeby dać się przyłapać w tej samej okolicy.

Hoffmann uśmiechnął się powściągliwie.

– Rozumiem... Jednak z jakiegoś powodu to pani jest osobą, z którą sprawca chce nawiązać kontakt. Oczekuję, że wykorzysta pani wszystkie możliwości, które oferuje ta sytuacja. Proszę spróbować wciągnąć go w zasadzkę, sprowokować, niech się odkryje. – Zwrócił się do Florina: – Panu na pewno przyjdzie coś do głowy, prawda? Poza tym niedługo będziecie mieli do dyspozycji biegłego psychologa sądowego. Wtedy to już będzie dziecinnie łatwe. Sprawca sam włożył nam wędkę do ręki. Wystarczy znaleźć odpowiednią przynętę i po wszystkim.

Drasche, następny w kolejce, przedstawił wyniki swoich prac – odciski palców na drugim odręcznie zapisanym dokumencie należały do Nory Papenberg. Beatrice nie słuchała go uważnie. Nie dawało jej spokoju ostatnie zdanie wypowiedziane przez szefa. Wątpiła, by kilka właściwie dobranych słów wystarczyło do wywabienia sprawcy z kryjówki. Nie, musieli dać mu coś, czego naprawdę chciał.

Wydział ruchu drogowego bardzo szybko uporał się z zapytaniem z policji. Kiedy wrócili z odprawy i Florin sprawdził mejle, znalazł wśród nich listę wszystkich samochodów i ich właścicieli, których numery rejestracyjne miały trzy ostatnie pozycje tożsame z tymi z pojemnika z obciętą dłonią. Lista nie była jednak długa: raptem dwa volkswageny golfy i tylko jeden z nich niebieski, rocznik 2005, zarejestrowany na doktora Bernda Sigarta.

– Jeśli to rzeczywiście on, to tym razem poszło łatwo – stwierdziła Beatrice.

Wpisała imię i nazwisko właściciela do Google'a, a kiedy jej wzrok padł na kilka pierwszych wyników, poczuła, że robi jej się zimno. Kolejny link i już wiedziała, że mieli odnaleźć właśnie jego. Nie miała wątpliwości, że się nie pomylili. Pechowiec to bardzo delikatne określenie. I z bliznami – wewnątrz i na zewnątrz.

– Etap trzeci mamy w kieszeni – powiedziała.

– To dlaczego mówisz takim smutnym tonem? – Florin wstał i podszedł do komody. Włączony ekspres do kawy z głośnym bulgotem przebudził się do życia.

– Bo jeszcze dziś rano zupełnie inaczej rozumiałam słowo pechowiec. – Odchrząknęła i zaczęła czytać na głos artykuł o mężczyźnie, którego szukali:

– „Ubiegłej nocy, w pożarze niedaleko Scharthen w Pongau, zginęła matka i trójka dzieci. Ogień, zaprószony najprawdopodobniej przez robotników w pobliskim lesie, wybuchł około godziny dwudziestej drugiej. Ofiary znajdowały się wówczas w leśnej drewnianej chacie, w której rodzina spędzała urlop. Ogień zaskoczył je we śnie. Mąż zmarłej kobiety i ojciec dzieci, weterynarz, doktor Bernd S., wyjechał wcześniej na wezwanie do pilnego przypadku, a wrócił, kiedy domek stał w płomieniach. Przy próbie dostania się do środka mężczyzna zatruł się dymem i został dotkliwie poparzony. Natychmiast przewieziono go do szpitala w Salzburgu. Jego życiu nie zagraża niebezpieczeństwo. Dogaszanie pożaru trwało do wczesnych godzin porannych”.

Przypomniała sobie tamto wydarzenie. Zespół do spraw podpaień przez kilka miesięcy pracował nad tym pożarem, lecz nie udało się jednoznacznie ustalić przyczyn wybuchu ognia. Funkcjonariusze byli jednak przekonani, że nie było to podpalenie.

– Boże, co za tragedia – wyszeptał Florin gdzieś zza jej pleców. – Kiedy to było?

– Niedługo minie pięć lat.

Wrócił do swojego komputera.

– Mamy już kolejny element układanki – oznajmił. – Adres zameldowania Sigarta. Theodebertstrasse 13. W nazwie ulicy jest nazwisko, tak jak napisała Nora Papenberg.

Pół godziny później ruszyli w drogę. Beatrice nie mogła przestać myśleć o tamtym pożarze. Miała wrażenie, że coś, czego nie może się pozbyć, ściska jej żołądek. Z mężczyzną, do którego jechali, planowała rozmawiać szczególnie delikatnie i z empatią. Zgodnie z informacją z pojemnika ze skrytki, potrzebowali jedynie nazwy ulicy, przy której mieszkał Sigart, więc odwiedziny u niego nie były konieczne. Jeśli jednak miałyby się okazać, że mężczyzna znał Norę Papenberg, zdecydowanie powinni o tym wiedzieć.

Pod numerem trzynastym stał kilkupiętrowy dom z małymi balkonami. Budynek sprawiał jako takie wrażenie, lecz widać było, że nikt o niego nie dba. Bardzo skromna okolica jak na weterynarza. Beatrice znalazła jego nazwisko na domofonie i zadzwoniła. Chwilę później z głośnika popłynął głęboki, cichy głos.

– Tak?

– Dzień dobry, policja kryminalna. Chcielibyśmy zamienić z panem kilka słów.

Brak odpowiedzi. Drzwi pozostały zamknięte.

– Halo? – powtórzyła policjantka.

– Czego ode mnie chcecie?

– To dotyczy jednej z aktualnych spraw, mielibyśmy kilka pytań. Nie

zajmiemy panu wiele czasu.

– Pierwsze piętro.

Klatka schodowa pachniała gumą i duszoną cebulą. Zza którychś drzwi na parterze dochodził płacz dziecka. Sigart oczekiwał ich w progu mieszkania. Ujrzeni przed sobą wymizierowanego mężczyznę w stanowczo zbyt luźnych spodniach od dresu. Z dokumentów wynikało, że ma około czterdziestu lat, lecz głębokie zmarszczki twarzy postarzały go o co najmniej dekadę. Stał z ramionami skrzyżowanymi na piersi i dopiero kiedy podał im na powitanie dłoń, Beatrice dostrzegła blizny po poparzeniach. Pofałdowane, wypukłe fragmenty czerwonej skóry pokrywały jego lewe przedramię od łokcia do samych palców, szyję i brodę. Ujęła jego dłoń i odpowiedziała na silny uścisk.

– Beatrice Kaspary, Krajowa Policja Kryminalna, a to mój partner Florin Wenninger. Prowadzimy dochodzenie w sprawie morderstwa i chcielibyśmy zadać panu kilka pytań. Być może będzie pan mógł nam pomóc.

Mieszkanie było mikroskopijne. Składało się z jednego pomieszczenia z wnęką kuchenną i maleńkiej łazienki. Na ścianach próżno było szukać obrazów czy lustra. W kącie pokoju, na taborecie, stał przenośny telewizorek, a obok rozchwany stół z pojedynczym krzesłem.

– Proszę usiąść. – Sigart wskazał je Beatrice.

– Dziękuję, ale... – Nie chciała być jedyną siedzącą osobą, a z zaproszenia skorzystała dopiero, kiedy gospodarz przyniósł z balkonu dwa rozkładane krzesła.

– Może słyszał pan o sprawie, którą aktualnie badamy? Chodzi o kobietę, której zwłoki znaleziono na pastwisku niedaleko Abtenau – zaczął Florin.

– Trafiliśmy na pewien drobiazg, który doprowadził nas do pana.

Sigart rozejrzał się po pokoju.

– Drobiazg?

– Tak. Niestety, nic więcej nie mogę panu zdradzić. Oczywiście nie jest pan podejrzany. Chcemy jedynie zapytać, czy znał pan albo słyszał o Norze Papenberg?

W przeciwieństwie do Beila, Sigart pomyślał, zanim przemówił.

– Obawiam się, że nie. Jednak nie mogę tego powiedzieć z całą pewnością – odparł. Mówił powoli, jakby sprawdzał, czy kolejne słowa są prawidłowo dobrane, zanim pozwoli im wybrzmieć w maleńkim pomieszczeniu. – Prowadząc gabinet, spotykałem codziennie bardzo wielu ludzi. Całkiem możliwe, że była wśród nich i Nora Papenberg – przerwał i się zastanowił. – Jeśli chcecie, możecie sprawdzić kartoteki pacjentów. Mój gabinet przejęła doktor Amelie Schuster. Jestem przekonany, że nie odmówi wam pomocy.

To nie był zły pomysł. Beatrice zapisała sobie nazwisko pani weterynarz, po czym wyjęła z torebki zdjęcia Nory.

– To jest pani Papenberg. Może rozpozna pan jej twarz.

Przyglądała mu się uważnie, kiedy oglądał fotografie. Jednak w przeciwieństwie do Christopa Beila, nie dostrzegła nawet najmniejszego drgnienia.

– Nie – powiedział w końcu. – Bardzo mi przykro.

Beatrice starała się nie okazywać rozczarowania.

– Naszym zdaniem istnieje prawdopodobieństwo, że coś pana łączy z Norą Papenberg. Zechciałby się pan zastanowić, co by to mogło być?

Mężczyzna pokręcił głową.

– Właściwie nie pokazuję się publicznie. Jestem pewny, że wcześniej sprawdziliście moje akta i wiecie o mnie wszystko... – urwał gwałtownie. Po chwili głęboko nabrał powietrza i ciągnął dalej: – Nie pracuję. Sprzedałem wszystko, co miałem, i żyję z tych pieniędzy. – Lewą dłonią przesunął po bliznach, jakby chciał wyczuć ich nierówności. – Z domu wychodzę jedynie po zakupy albo na terapię.

Tragedia, która zniszczyła życie Sigarta, przez mgnienie oka stała się udziałem Beatrice. Policjantka poczuła irracjonalny strach, że jego los może przenieść się na nią. Po chwili było po wszystkim.

– Czy w takim razie jest to możliwe – nawiązała ostrożnie do kolejnego wątku – że Norę Papenberg znała pańska żona? W jakiej branży pracowała? Może reklamowej?

Przeczący ruch głowy.

– Moja żona pracowała dla mnie, w gabinecie. Była odpowiedzialna za prace biurowe. Dzięki temu... mogła... zajmować się dziećmi... – Sigart odwrócił głowę. – Proszę mi wybaczyć, nie potrafię o tym mówić.

– Oczywiście, rozumiem. Nie będziemy poruszać tego tematu. – Spojrzała szybko na Florina. Lekkie wzruszenie ramion.

– Zostawimy panu nasze numery telefonów – powiedział. – Dziękuję za pomysł, żeby sprawdzić akta pacjentów, i za poświęcony nam czas.

Wstał. Beatrice również podniosła się z krzesła, lecz kiedy miała wychodzić, znów coś przyszło jej do głowy.

– A czy nazwisko Beil, Christoph Beil cokolwiek panu mówi?

Sigart cały czas miał problemy z opanowaniem emocji, ale potrząsnął głową.

– Nie. A kto to?

– Ktoś, kto naszym zdaniem również mógł znać Norę Papenberg.

Trudno było powiedzieć, czy Sigart usłyszał jej słowa, czy nie, bo w żaden sposób tego nie okazał. Ostatnią rzeczą, jaką Beatrice dostrzegła, wychodząc z mieszkania, były jego plecy wstrząsane spazmami płaczu.

W drodze do biura Beatrice wyjęła komórkę i wybrała numer wydziału zajmującego się podpaleniami.

– Przyślijcie mi, proszę, wszystkie akta tamtego pożaru przy Scharthen. Tak, właśnie tego, gdzie zginęła matka z trójką dzieci. Słucham? Nie, wiem, że to nie było morderstwo, ale muszę sprawdzić kilka szczegółów, bo są mi potrzebne do naszego aktualnego śledztwa.

Funkcjonariusz obiecał dostarczyć papiery najszybciej, jak się da. Kobieta zakończyła rozmowę i schowała komórkę do kieszeni.

– Po co Owner wysłał nas do Sigarta? – zapytała, opierając się wygodnie.
– Co mu to dało?

– Może chciał zyskać na czasie? – Florin bębnił palcami o kierownicę. Czekał na zielone światło. – Ja widzę dwie możliwości. Pierwsza: istnieje jakiś związek między Papenberg, Beilem i Sigartem, ale na razie nie potrafimy go dostrzec. A druga jest taka, że chce nas czymś zająć i dlatego wysłał nas do ludzi, którzy nie mają nic wspólnego z tym zabójstwem. Chowa dla nas części ciała ofiary, więc nie mamy wyjścia i musimy podążać tropem, który nam zostawia.

Zatrąbił, bo ktoś przed nim gwałtownie zahamował, a potem przesunął dłonią po czole i westchnął.

– Bea, nie mogę się pozbyć wrażenia, że sprawca robi z nas idiotów. Morduje, ćwiartuje zwłoki i zostawia ślady, które prowadzą donikąd.

Kolejne światła przeskoczyły na czerwone, więc Florin mógł spojrzeć na Beatrice. Po raz pierwszy widziała, żeby miał tak zaciętą minę.

– Wiem, że to błąd, ale zaczynam traktować tę sprawę bardzo osobiście. Jeśli facet chciał udowodnić, że policja do niczego się nie nadaje, powinien wybrać sobie kogoś innego, a nie mnie.

Beatrice chciała położyć mu dłoń na ramieniu, jednak przypomniała sobie o Anneke i się powstrzymała.

– Rozwiązanie tej sprawy to kwestia czasu, a wtedy wszystkie wątki się wyjaśnią. – Czasem bywało dla odmiany tak, że to ona w zespole stawała się ostoją spokoju i podtrzymywała morale. – Zawsze tak jest.

Światło zmieniło się na zielone. Florin dodał gazu, aż zawył silnik.

– Pewnie masz rację – powiedział. – Mimo to czuję, że coś tu jest nie tak. Te wątki, o których mówisz, splatają się w bardzo dziwny sposób.

Beatrice miała wrażenie, że razem z aktami śmiertelnego pożaru przyniosła do domu odrobinę żaru, dymu i zapachu spalenizny. Trudniej było jej nabrać powietrza, choć wcześniej uchyliła oba okna.

Dzieci spały już od pół godziny. W mieszkaniu panowała cisza, przerywana jedynie miarowym kapaniem z kuchennego kranu, który zepsuł się trzy tygodnie wcześniej. Otworzyła teczkę i zaczęła czytać. Pożar został zgłoszony około godziny dwudziestej drugiej przez rolnika, którego gospodarstwo znajdowało się około stu metrów dalej w górę zbocza. To on zauważył blask ognia, choć nie

wyczuł dymu, bo wiatr wiał w przeciwnym kierunku.

Beatrice przewracała kolejne kartki, aż dotarła do zdjęć. Spalony las. Resztki pni sterczały z ziemi niczym upiorne czarne zęby, a między nimi leżały zwęglone drzewa. Gdzieś z tyłu majaczył kawałek lasu, który ocalał z ognistej pożogi.

Biegli nie potrafili wyjaśnić przyczyn powstania ognia. Był lipiec, na dodatek od trzech tygodni nie spadła ani kropla deszczu. Najbardziej prawdopodobna była teoria, że słońce padające za dnia na kawałek szkła albo lustro spowodowało powstanie zarzewia, które wieczorny wiatr zmienił w wielki pożar. Nie dało się również wykluczyć wyrzuczonego nieopatrznie niedopałka.

Kiedy Beatrice zobaczyła pierwsze zdjęcia spalonej chatki, odruchowo wstrzymała oddech. Ściany przestały właściwie istnieć i tylko najgrubsze belki przetrwały pożar – one i dwie ściany wymurowane z kamienia.

Zdjęciom spalonego domku poświęciła więcej czasu, niż musiała, bo wiedziała, co za chwilę zobaczy.

Głęboki wdech. Kolejne zdjęcie. Zbliżenie zwęglonych drzwi wejściowych. Kolejne zdjęcie. To, czego się obawiała.

Cztery bezkształtne figury, czarne jak wszystko dookoła. Skurczone, znacznie mniejsze niż za życia. Nie dało się w nich rozpoznać ludzi. Beatrice odwróciła głowę. Po chwili znów spojrzała na zdjęcie. Dostrzegła drobiazgi, których nie chciała widzieć. Błysk zębów w zwęglonych ustach. Pęknięta czaszka. Zamknęła gwałtownie teczkę i poszła do kuchni po szklankę wody.

Czy Sigart musiał identyfikować swoją rodzinę? Odszukała protokół z przesłuchania. Wrócił, kiedy las stał już w płomieniach. Chciał rzucić się w ogień i ratować rodzinę. Trzeba było trzech policjantów, żeby go zatrzymać. Trafił do szpitala z ciężkimi poparzeniami; dopiero dziewięć dni później po raz pierwszy rozmawiał z funkcjonariuszami. Przesłuchanie było nagrywane, a później zostało spisane i dołączone do akt.

Z każdego wypowiedzianego przez niego zdania biła czysta rozpacz. Co kilka minut przesłuchanie przerywały jego krzyki i trzeba było wzywać lekarza.

Jednak z dokumentów wynikało niezbitie, że przede wszystkim sam siebie obwiniał o śmierć rodziny. Kiedy dostał wezwanie – ciężki poród w stadninie oddalonej o trzydzieści kilometrów – wsiadł w samochód i pojechał. Ruszając w drogę, myślami był już przy klaczy, którą zajmował się od przeszło czterech lat. Przypuszczał, że odruchowo zamknął na klucz drzwi domku, zmieniając go w śmiertelną pułapkę dla rodziny. W czasie dochodzenia okazało się, że drzwi rzeczywiście były zamknięte.

Sigart złożył doniesienie na samego siebie, twierdząc, jakoby ponosił całkowitą odpowiedzialność za śmierć rodziny. Nie chciał adwokata. Lecz oczywiście – niezależnie od tragedii, jaka miała miejsce – nikt nie obwiniał go o to, co się wydarzyło. Biegły psycholog, którego opinia została dołączona do akt,

stwierdził, że ojciec rodziny cierpi na ciężki przypadek szoku pourazowego i ostrzegął przed wysokim prawdopodobieństwem podjęcia prób samobójczych. Sigart otrzymał specjalistyczną pomoc, z której najwyraźniej korzystał do dzisiaj.

Beatrice schowała dokumenty do torebki i wyszła na balkon. Chciała odetchnąć. Niebo było czyste i rozgwieżdżone, a powietrze rześkie. Poczowała szczypanie chłodu na nagich ramionach.

Po co Owner wysłał ich do Bernda Sigarta? Co chciał im przez to powiedzieć?

Czy to możliwe, że...

Usiadła i ukryła twarz w dłoniach, żeby w spokoju pomyśleć. Czy to możliwe, żeby Owner w ten sposób chciał im pokazać, czego dokonał w przeszłości? Patrzcie, co zrobiłem, a wy mnie nie złapaliście!

Tylko że przyczyną pożaru nie było podpalenie. Zdarzyło się nieszczęście, jak często latem, kiedy jest gorąco i sucho. A może chciał to sobie przypisać? Łaknął uwagi? Albo, jak przypuszczał Florin, bawił się, wodząc policję za nos?

Być może już jutro dowiedzą się czegoś więcej. Nazwa ulicy, przy której mieszkał Sigart, to kolejne współrzędne. Beatrice wyjęła wtyczkę telefonu stacjonarnego, jednak komórkę zostawiła włączoną. Wzięła ją ze sobą do sypialni i położyła na stoliku nocnym.

Noc minęła spokojnie. I tylko we śnie Beatrice biegła przez płonący las przy dźwiękach *Stabat Mater*.

N47°48,022'N 13°10,910'E

Woda opadała kaskadą dobrych dwadzieścia metrów w dół i wpadała do płytkiej żwirowej niecki, skąd płynęła dalej, lecz już pod postacią płytkiego spokojnego strumienia. W najwyższym miejscu, tuż obok jednego ze starych młynów stojących nad wodą, Florin, Beatrice i Stefan pochylali się nad wyświetlaczem nawigacji.

Rozszyfrowanie, jakie współrzędne kryją się za nazwiskiem Theodebert, zajęło ledwie kilka minut, jednak odnalezienie skrytki i wydobyć z niej cache'a zapowiadało się na bardziej czasochłonne, GPS wskazywał bowiem na skały otaczające wodospad.

– W zasadzie mógłby ukryć kesza w młynie, ale wtedy współrzędne byłyby wyjątkowo niedokładnie podane – zastanawiał się głośno Stefan.

Zdecydowali się zejść jak najniżej nad strumień. Drasche, taszcząc ciężką skrzynkę z utensyliami do zabezpieczania śladów, trzymał się tuż za nimi i dawał wszystkim do zrozumienia, że jest w paskudnym nastroju. Sam fakt, że nie mógł dojechać samochodem do miejsca, gdzie czeka go praca, traktował jak osobistą zniewagę.

Byli zupełnie sami w lesie. W weekendy młyny i wodospad należały do najliczniej odwiedzanych atrakcji w okolicy, lecz dziś cudownie piękne otoczenie dzielili tylko z ptakami i owadami.

Z samego dołu masy spadającej wody robiły jeszcze większe wrażenie. Beatrice szczerze żałowała, że ten przepiękny widok zostanie zepchnięty na drugi plan przez coś znacznie brzydszego.

– Jeszcze kawałek w prawo. – Stefan wskazał na skalną ścianę.

Opierał się o nią stromy, wysoki na jakieś cztery metry, wzgórek, skąpo porośnięty drzewami.

– Ktoś powinien się tam wspiąć i sprawdzić, czy współrzędne się pokrywają.

Drasche jęknął.

– Tam na górze wystarczy miejsca tylko dla jednego z nas, czyli dla mnie. Dajcie mi GPS-a. – Ebner go podsadził, podał mu nawigację i czekał na dalsze polecenia.

Poszukiwaniom znów towarzyszył szum. Mimo że tym razem nie generowała go autostrada, był nie mniej przenikliwy i głośny. Beatrice zaczęła się zastanawiać, czy nie kryje się za tym jakiś system.

– Mam! – usłyszała krzyk Draschego. – Ale jest mniejszy niż poprzednie!

Cache znajdował się w zagłębieniu skalnym, zasłonięty roślinami o twardych łodyżkach i splecionych kwiatach. Drasche zadbał o fotograficzną dokumentację skrytki, a potem, trzymając pojemnik przez gumową rękawiczkę,

ruszył stromym zejściem do reszty.

Pudełko było tym razem rzeczywiście znacznie mniejsze, rozmiarami nieco przewyższając paczkę papierosów, a upchnięta w nim zawartość ledwie się mieściła – przez przejrzystą pokrywkę dało się dostrzec, co to takiego.

Wszyscy od razu rozpoznali, z czym mają do czynienia: ucho, być może nawet dwa, jeśli zostały ułożone jedno na drugim. Beatrice złapała się na odruchowej próbie dostrzeżenia jakichś szczegółów. Odwróciła głowę.

– *Fuck!* – mruknął Drasche. – Znów części ciała. Miejmy tylko nadzieję, że nie chodzi o kolejną ofiarę. Szkoda, że testy DNA tak długo trwają...

Mężczyzna nie dokończył, bo przerwał mu sygnał komórki Beatrice. Kobieta wyjęła telefon z torebki i spojrzała na ekran zaskoczona, że w ogóle w takim miejscu jest zasięg. Nie знаła wyświetlonego numeru. Przynajmniej miała pewność, że to nie szkoła. I nie Achim.

– Kaspary.

– Dzień dobry... ja... znalazłam pani wizytówkę... – Kobiety głos. Nie mówiła wyraźnie, jakby się bała.

– Z kim rozmawiam?

– Beil. Vera Beil. W niedzielę byli państwo u nas w ogrodzie.

– Tak, pamiętam. Jak mogłabym pomóc?

Roztrzęsione westchnienie.

– Christoph zniknął. Nie ma go od wczorajszego wieczoru. Powiedział, że wychodzi tylko na chwilę, ale przez całą noc nie wrócił i... i nie mogę się do niego dodzwonić.

– Rozumiem...

– Strasznie się boję, że coś mu się stało. – Kobieta ledwie panowała nad głosem. – On zawsze jest taki słowny i dzwoni, jeśli ma się spóźnić.

Sygnał był coraz słabszy i w słuchawce zaczęło szumieć.

– Zaraz do pani podjadę, dobrze? – zawołała Beatrice, żeby zdążyć, zanim połączenie zostanie zerwane. – Będę za godzinę, może trochę później, już ruszam. Jest pani w domu?

– Tak, będę czekała.

Beatrice się rozłączyła.

– Beil zniknął. Dzwoniła jego żona, zaraz do niej jadę.

– Czekaj, jadę z tobą. – Florin nie wahał się ani przez chwilę. – Gerd, pospiesz się, proszę, z badaniem pojemnika. Będziemy też jak najszybciej potrzebowali zdjęć listów, bo sto procent, że są w środku.

Niewiele rozmawiali, wspinając się stromą ścieżką do młyna. Beatrice nie mogła przestać myśleć o chwili, kiedy pokazała zdjęcie Nory Christophowi Beilowi. Zadrżał wtedy, pamiętała to dokładnie.

„Gdybym nie dała wtedy za wygraną... Gdybym od razu go przycisnęła... Gdybym... Beatrice!” – skarciła się w myślach. Musiała przestać się zadręczać, co by było gdyby, bo to do niczego nie prowadziło, a tylko szargało nerwy. Nie da się cofnąć czasu. Nie da się naprawić przeszłości.

„W przeciwnym razie nie byłabym tu, gdzie jestem” – pomyślała.

– Już cały niedzielny wieczór dziwnie się zachowywał. – Vera Beil oparła splecione dłonie na przykrywającej stół ceracie. Plastikowe brązowe i czerwone kwiaty walczyły na niej o jak największą uwagę, całkowicie dominując brudnobiałe tło.

– Kiedy to się zaczęło? Dopiero po naszym wyjściu?

– Tak. Zapytałam, co się dzieje i o czym z wami rozmawiał. Powiedział, że to nic ważnego i że pomyliliście go z jakimś świadkiem. – Kobieta spojrzała na nich ponurym wzrokiem. – Czułam, że nie mówi prawdy. Wcześniej nigdy mnie nie okłamywał.

– Rozumiem... – Florin pokiwał głową. To on wziął na siebie rolę osoby, która ma uspokajać i potakiwać ze zrozumieniem, zostawiając Beatrice zadawanie pytań. – Czyli to nasza wizyta tak go poruszyła.

– Tak, chyba można tak powiedzieć.

– Co pani mąż robił w niedzielę po naszym wyjściu? Spotkał się z kimś? Rozmawiał przez telefon?

Vera Beil się zamyśliła. Przywołując w pamięci niedzielne popołudnie, mimowolnie przesuwiała palcem po krawędzi kwiatów na ceracie.

– Nie. Większość czasu spędził w sypialni, chociaż miał ochotę obejrzeć kryminał. Może stamtąd telefonował, ale tego nie wiem. Za to na pewno bardzo źle spał. Tamtej nocy co najmniej cztery razy wstawał z łóżka.

– Jak zachowywał się w poniedziałek? I kiedy dokładnie zniknął?

– Z początku zupełnie normalnie. Rano poszedł do pracy, ale już o pierwszej wrócił do domu. Bardzo źle z nim było. Położył się i zdrzemnął, ale spał krótko, a o dziewiętnastej ktoś do niego zadzwonił i zaraz potem wybiegł z domu. Naprawdę, nie wyszedł, tylko wybiegł. Popędził prosto do samochodu. Krzyknął tylko, że zaraz wraca i tyle.

Telefon. Beatrice i Florin wymienili szybkie spojrzenia. Potem policjantka wyjęła z torebki wydrukowane zdjęcia Nory Papenberg.

– Zrobimy co w naszej mocy, żeby odnaleźć pani męża – powiedziała. – Tymczasem chciałabym poprosić, żeby przyjrzała się pani tym fotografiom. Czy rozpoznaje pani tę kobietę?

Vera Beil z wdzięcznością przyjęła chusteczkę higieniczną, którą podał jej Florin, i wytarła nią oczy, zanim popatrzyła na zdjęcia.

– Nie, nie znam jej. – W jej głosie słychać było niemal wyrzuty sumienia, że

nie może im pomóc.

– Jest pani pewna?

– Tak, jestem. Proszę, znajdźcie Christopha!

„Byłoby zdecydowanie łatwiej, gdyby nas w niedzielę nie okłamał” – pomyślała Beatrice ponuro. Mimo że miała ochotę, nie powiedziała tego głośno i z wdzięcznością spojrzała na Florina, który wziął na siebie pożegnanie.

– Natychmiast zabieramy się do poszukiwań – zapewnił kobietę. – Oczywiście będziemy panią na bieżąco informować o postępach.

Beatrice chciała jak najszybciej sprawdzić biling Christopha Beila, żeby się dowiedzieć, czyj telefon tak bardzo wytrącił go z równowagi. Nie zdziwiłaby się, gdyby połączenie przyszło z budki telefonicznej w Maxglan. Albo z dobrze znanej komórki na kartę.

Dopóki nie przyjdą zamówione dane, chciała się skupić na informacjach od Draschego – pod warunkiem oczywiście, że przysłał już zdjęcia nowych wiadomości. Kolejna zagadka. Etap 4.

Nie było jej jednak dane choćby sprawdzić mejla, bo przed biurem ktoś na nich czekał. Wysoki niezgrabny mężczyzna z włosami zwijającymi się w loki i w okularach, których oprawki były zbyt modne, żeby być w dobrym guście. Widząc ich na korytarzu, zerwał się z krzesła i z wyciągniętą dłonią ruszył im na powitanie.

– Doktor Peter Kossar, bardzo miło mi poznać. Pan to zapewne Florin Wenninger, dzień dobry. A pani to Beatrice Kaspary, prawda? Wiele o pani słyszałem, ba, niemal zostaliśmy kolegami po fachu, prawda?

Skonsternowana Beatrice uściśnęła jego dłoń. Nieznajomy nie spuszczał z niej wzroku, a na dodatek wypowiedział swoje imię z mocnym angielskim akcentem.

– Co ma pan na myśli? – zapytała.

– Dotarły do mnie słuchy, że studiowała pani psychologię?

To wyjaśniało, z kim mieli do czynienia.

– Pan jest biegłym psychologiem, o którego wnioskowaliśmy, prawda?

Mężczyzna musiał uważać mruganie za fanaberię, bo z taką intensywnością świdrował wzrokiem Beatrice, że policjantka poczuła się bardzo nieswojo.

– Tak jest! – zawołał. – Pan Hoffmann wtajemniczył mnie już w najważniejsze fakty, żebym mógł spojrzeć na sprawę całościowo. Wiem również, że sprawca nawiązał z panią kontakt. I to jest wyjątkowo ważny szczegół. Starannie przeanalizowałem SMS-y, które pani otrzymała, i zaraz podpowiem, jak należy reagować na takie wiadomości.

Do biura wszedł przed Beatrice. W końcu zostawił ją w spokoju i skupił się na wydrukach zdjęć, które policjantka przypięła do tablicy nad swoim biurkiem.

– Prześlemy panu kopie całej dokumentacji z tej sprawy – zapewnił Florin.

Z tonu jego głosu wynikało jednoznacznie, że chce się pozbyć intruza – i to jak najszybciej.

– Na to właśnie liczyłem.

– A co się właściwie stało z doktorem Reichenauem? – zainteresowała się Beatrice. – Dotychczas w sprawach tego typu współpracowaliśmy właśnie z nim i – proszę tylko mnie źle nie zrozumieć – ten model doskonale funkcjonował.

Nawet jeśli Kossar poczuł się urażony, nie dał tego po sobie poznać.

– Kolega ubiega się właśnie o stołek kierownika pewnego instytutu i może mi pani wierzyć, jest *really busy*! Z całą pewnością się ucieszy, kiedy mu opowiem, z jakim uznaniem pani o nim mówiła! – Przyciągnął sobie krzesło i usiadł obok Beatrice. – Ja pracuję inaczej niż doktor Reichenau. Podczas gdy on swoje opinie wydaje na podstawie analizy dokumentacji, ja staram się być jak najbliższej śledztwa, żeby poznać osobowość sprawcy.

Tylko tego brakowało! Beatrice starała się nie patrzeć na Florina, lecz miała nadzieję, że współpracownik włączy się do rozmowy, zanim puszczą jej nerwy i powie to, co miała już na końcu języka, a mianowicie, że psycholog im przeszkadza.

– To bardzo interesujące. – Znała Florina dość dobrze, żeby wyłapać lodowaty ton czający się za uprzejmością. – Ale proponuję najpierw przekopać się przez dotychczasowe ustalenia śledztwa i wszystkie szczegóły. – Sięgnął po słuchawkę i nacisnął jakiś przycisk. – Stefan? Mógłbyś przygotować zestawienie ważnych dokumentów dla doktora Kossara? Tak, zgadza się, chodzi o kopie. Nie, to nasz nowy biegły psycholog, zaraz podeślę go do ciebie. No właśnie. Dzięki!

– Cóż – odezwał się doktor Kossar, celowo ignorując ukrytą sugestię, żeby się oddalił. – Może powinienem opowiedzieć wam trochę o sobie, żebyście mogli wyrobić sobie zdanie o moich kwalifikacjach? – Poprawił okulary.

„Co należałoby przetłumaczyć: żebyście mogli wpaść w zachwyty” – pomyślała Beatrice. Wystarczająco długo studiowała psychologię, żeby rozpoznać u Kossara elementy narcystycznej osobowości. I kiedy nowy współpracownik produkował się, wymieniając dodatkowe kursy i szkolenia, i rozwodził się nad faktem, że część z nich odbył w Stanach Zjednoczonych, policjantka skupiła się na sprawie zaginięcia Christopha Beila.

– *Impressive* – mruknęła i wybrała numer dostawcy usług telekomunikacyjnych, z którego sieci korzystał Owner. – Muszę wracać do pracy – wyjaśniła Kossarowi, który nawet nie próbował kryć irytacji, i kątem oka obserwowała, jak w końcu wstaje i odprowadzany przez Florina, zmierza do wyjścia.

Telefon odebrał ten sam pracownik, z którym rozmawiała poprzedniego dnia.

– No proszę, trafiła pani – powiedział po chwili. – Ta sama karta prepaidowa, logowanie w stacji przekaźnikowej w Parsch. Połączenie z numerem, o który pani pyta, trwało dokładnie trzy i pół minuty. Od osiemnastej dwadzieścia cztery do osiemnastej dwadzieścia osiem. Potem komórka wylogowała się z sieci.

– Dziękuję.

Florin zarzucił bezowocne próby skontaktowania się z Draschem i spojrzął na nią, mrużąc oczy.

– Dzwonił do Beila, tak?

– Tak. Po raz pierwszy zadzwonił z telefonu Nory Papenberg. Potrzebujemy zgody na założenie podsłuchu.

Zamyślona zakreśliła jedną z informacji, które zapisała wcześniej w notatniku. Trzy i pół minuty. Wiele by dała, żeby się dowiedzieć, co przez tych kilka chwil zostało powiedziane. Jednak znacznie ważniejsze...

– Mam złe przeczucia, jeśli chodzi o Christoha Beila – oznajmiła.

Florin zmarszczył brwi.

– Ja też. Trzeba dodać go do listy poszukiwanych, może szczęście się do nas uśmiechnie.

Policjantka oparła czoło na dłoniach.

– W najgorszym razie Owner go uciszył.

Co gorsza, zrobił to, podsuwając im go pod sam nos jak przynętę, jak obietnicę rozwiązania sprawy.

Rozesłali rysopis zaginionego chórzysty do wszystkich jednostek policji z uwagą, by szukać również jego samochodu. Florin z ponurą miną prowadził dalsze rozmowy. Nie powiedział tego głośno, lecz Beatrice się spodziewała, że dręczy go ta sama myśl, co ją: że zobaczą Beila znacznie szybciej, niż by tego chcieli. W kawałkach, zapakowanego próżniowo.

Po południu przysłała wiadomość z Instytutu Medycyny Sądowej: analiza DNA potwierdziła, że obie dłonie należały do tego samego człowieka. Sprawdzenie, czy tą osobą był Liebscher, czyli zaginiony nauczyciel, wymagało dalszych badań, a ich wyników należało spodziewać się za jeden, dwa dni. Na szczęście policjant, którego uraziła – Bechner, zapamiętała przynajmniej, jak się nazywa – odwiedził szkołę zaginionego mężczyzny i w jego szafce zabezpieczył grzebień, a oprócz niego paczkę cukierków na kaszel i tabletek przeciw nadkwasocie.

– To na zgagę – wyjaśnił Florin i wrócił do raportu Bechnera. – Wygląda na to, że Liebscher był... znaczy jest bardzo lubiany i ma opinię skrupulatnego człowieka. Niezbyt rozmowny, ale można na nim polegać. Raczej pozbawiony poczucia humoru. Uczy matematyki i fizyki.

– Ani słowa o tym, żeby ostatnio zaczął się inaczej zachowywać? Zrobił się

dziwny?

– Nie, nic. Na przyszły tydzień planował dwudniową wycieczkę ze swoją klasą. Dyrektor powiedział, że kiedy widział go po raz ostatni, Liebscher był zły, bo część uczniów jeszcze nie zapłaciła i z tego powodu nie mógł zarezerwować autobusu.

Florin wzruszył ramionami i odłożył kartkę na biurko.

– Może to nie jego szukamy. – Beatrice wyciągnęła rękę, na co on podał jej dokumenty, wśród których znajdowały się trzy zdjęcia, w tym jedno typowe zdjęcie klasowe. Dwadzieścioro sześcioro czternastolatków i Liebscher z wymuszonym uśmiechem. Szczupły mężczyzna o rzadkich włosach. Kolejne, portretowe, przedstawiało jego samego, a na trzecim prowadził jakieś zajęcia. Stał twarzą do klasy, w prawej dłoni trzymał kredę, a lewą wskazywał na równanie funkcji zapisane na tablicy.

Beatrice wyjęła z szuflady lupę i przyjrzała się dłoniom nauczyciela. Czy w ten sposób dało się stwierdzić, że to te same posiniałe dłonie, które znaleźli w cache'ach?

Zeskanowała zdjęcie z najwyższą możliwą rozdzielczością, a potem powiększyła fragmenty, na których widać było dłonie, i porównała je z odciętymi członkami, uwiecznionymi na zdjęciach, jeszcze zamkniętymi w plastikowych workach. Istniało spore prawdopodobieństwo, że obydwa zdjęcia dotyczyły tych samych części ciała, lecz pewności mieć nie mogła. Ani nauczyciel, ani widoczne części jego ciała w żaden sposób nie rzucały się w oczy. Beatrice stłumiła westchnienie i próbowała dodzwonić się do Draschego. Tym razem odebrał.

– Zaraz dostaniesz wszystko na piśmie – burknął bez powitania. – Pracowaliśmy dłużej, niż planowaliśmy, bo chciałem wykorzystać wszystkie techniki badania, jakie kiedykolwiek wynaleziono. I jedyne, co znaleźliśmy, to znów odciski palców Nory Papenberg.

– Na wiadomości?

– Zgadza się. W ogóle dziwaczna ta wiadomość, ale pewnie już zdążyliście się przyzwyczaić. Dobra, to jak, chcesz usłyszeć coś o uszach? Może cię zainteresować.

Powiedział to najmiłszym tonem, na jaki było go stać. Beatrice miała wątpliwości, czy kiedykolwiek w życiu odezwie się do kogoś równie uprzejmie.

– Należały do tej samej ofiary?

– Tak, pasują do siebie, jeśli o to ci chodzi. Ale trzeba jeszcze analizy DNA, żeby ustalić, czy odcięto je tej samej osobie, którą pozbawiono dłoni.

Przerwał znacząco, jak zawsze, kiedy chciał pokazać, że najlepsze zachował na koniec.

– No mów. – Beatrice uznała, że może to dla niego zrobić. – Masz coś jeszcze, prawda? Coś specjalnego?

– Tak. – Drasche odchrząknął i kaszlnął. – Nie zostały odcięte piłą, tylko narzędziem z dwoma przeciwległymi, zachodzącymi na siebie ostrzami. – Znów przerwał, tym razem, żeby jego słowa zaczęły działać na wyobraźnię Beatrice i wywołały w jej głowie niewyraźny obraz. – Obstawiam nożyce do strzyżenia żywopłotów – dokończył.

W ułamku sekundy obraz nabrał ostrości.

– Rozumiem – mruknęła Beatrice nieswojo i przełknęła ślinę.

– Czekaj, to nie wszystko. Teraz najlepsze. Każde z uszu zostało zamknięte w folii osobno. Oczywiście będziesz musiała poczekać na potwierdzenie z Instytutu Medycyny, ale ja już teraz mogę się założyć, że nie zostały obcięte równocześnie. Stopień rozkładu lewego jest znacznie bardziej posunięty niż prawego.

Beatrice nabrała gwałtownie powietrza.

– Domyślasz się, co będzie dalej, co? Otóż podejrzewam, że lewe zostało obcięte jeszcze za życia ofiary. A w każdym razie dzień albo dwa wcześniej od prawego.

– Bosko. Przyślij mi, proszę, raport. I zdjęcia, szczególnie listów. Ale nie tylko. Wszystkie.

– Pewnie, zaraz wysyłam. – Rozłączył się.

Nożyce do cięcia żywopłotów. Oczyma wyobraźni policjantka ujrzała potężne coś o długich uchwytych i równie długich ostrzach. Achim przycinał takim narzędziem krzaki bukszpanu.

– Nic ci nie jest? – Słyszac troskę w głosie Florina, odruchowo się uśmiechnęła.

– Wszystko w porządku. Wygląda po prostu na to, że Owner zajął się kawałkowaniem ofiary, kiedy ta jeszcze żyła. Jedno z uszu zostało obcięte najprawdopodobniej przed śmiercią tego mężczyzny.

– O cholera... – wychrypiał Florin.

– No właśnie. Drasche zaraz nam wszystko podeśle. Włącznie ze wskazówkami, jak mamy dotrzeć do *Stage 4*.

Zorientowała się, że odruchowo przestawia wszystkie przybory do pisania, żeby leżały równoległe do siebie. Rozrzuciła je zniecierpliwionym gestem i wstała, żeby włączyć ekspres do kawy. Kofeina wydawała się dobrą alternatywą dla czynności przymusowych.

– Wolalabym mieć w zespole Reichenaua zamiast tego nadętego chwalipięty.

Zamaszystym ruchem uniosła torebkę z kawą i wysypała ziarenka do ekspresu. Mniej więcej jedna czwarta z nich rozminęła się z celem i ze stukiem rozsypała po podłodze.

– Rany, ale dzisiaj jestem w formie...

– Już nie rób sobie takich wyrzutów. Trochę wyrozumiałości, okej? –

powiedział Florin. – I dla Kossara też. Przecież facet dopiero się pojawił i, kto wie, może zna się na rzeczy?

– Może. – Zebrała rozsypaną kawę i wyrzuciła do śmieci. – Postaram się być bardziej obiektywna, słowo. Ale przed chwilą przeszkadzał nam w pracy, prawda?

Dzięki kawie odzyskała zdolność koncentracji. Pospiesznie wypila całą filiżankę, bo wiedziała, że kiedy przyjdą zdjęcia od Draschego, nie będzie w stanie się nią delektować.

Ponownie przejrzała zebrane dokumenty. Dłonie. A teraz uszy. Czy sprawca działał według jakiegoś schematu? A może na chybił trafił decydował, co obciąć? Czy ofiara zrobiła coś, czego nie powinna? Może usłyszała coś, co nie było przeznaczone dla jej uszu? W myślach przywołała się do porządku. Takie dywagacje należały do zadań Kossara, a nie jej.

Kilka minut później Drasche dosłał zdjęcia. Pierwsze ujęcia przedstawiały uszy: dwa zakrwawione płatki, jeden w stanie bardziej posuniętego rozkładu. Potem listy.

Pierwszy został wydrukowany i zaczynał się tymi samymi słowami, co poprzednie:

Gratulacje, znalazłeś! Wciąż obowiązują te same reguły, więc powinieneś już wiedzieć, co dalej. Jak podobała się zawartość pojemnika? Bardzo jestem ciekaw, czy potrafisz wyciągnąć właściwe wnioski! Pewnie tak, choć nie sądzę, żeby cię to dokądkolwiek zaprowadziło.

Jak nastroje przełożonych? A opinia publiczna? Zaczyna się robić nerwowo, bo nie masz nic nowego?

No dalej, gliniarze! Weźcie się w końcu do roboty!

TFTH

Przez uchylone okno docierał hałas uliczny, a korytarzem przeszedł ktoś, stukając obcasami. Stuk. Stuk. Stuk. Beatrice czekała na reakcję Florina, lecz nie słysząc z jego strony żadnego komentarza, sama głęboko westchnęła.

– Prowokuje nas.

– I jeśli o mnie chodzi, świetnie mu idzie. – Nieco zbyt gwałtownie odstawił filiżankę, wychlapując część kawy na blat. Obok jego telefonu powstała brązowa kałuża. – No dalej, gliniarze... – wyszeptał przez zaciśnięte zęby.

Beatrice rzuciła się na ratunek protokołom z przesłuchań, chroniąc je przed zamknięciem.

– On kieruje się jakąś osobistą urazą. Trzeba by przejrzeć stare sprawy i odszukać wszystkich, którzy uważają, że policja ich źle potraktowała, albo zwalają na nas winę za spieprzone życie.

Florin się skrzywił.

– Połowa z nich tak uważa.

– Ale czasem aż do przesady.

Do gabinetu bez pukania wszedł Bechner i nie patrząc na Beatrice, zwrócił się tylko do Florina:

– Masz może chwilę? Możemy omówić rozmowy z rodziną Nory Papenberg.

– Nie teraz.

Począł, aż urażony Bechner zamknie za sobą drzwi.

– Myślisz, że robi to tylko dla nas? Torturuje i morduje ludzi, żeby mieć materiał na zagadki, którymi chce nam uprzykrzyć życie?

– Nie, nie sądzę, żeby to był jego główny cel. Ale na pewno zależy mu na tym, aby nas skompromitować i podbudować swoje ego. Bo z jakiego innego powodu miałby pisać takie listy?

Beatrice kliknęła ikonkę drukowania. Po chwili rozległ się szum i z drukarki wysunęły się po kolei dwie kopie listu od Ownera. Następnie otworzyła kolejny załącznik mejla od Draschego.

Jeszcze jedna zagadka zapisana odręcznie przez Norę Papenberg. Początek bardzo rozchwiany, niemalże nieczytelny, lecz w połowie pisania autorka wyraźnie wzięła się w garść.

Już przy pobieżnej lekturze notatki Beatrice zorientowała się, że tym razem będzie wyjątkowo trudno.

Stage 4

Szukasz kluczowej postaci. Ma ponad 2000 punktów, nigdy się nie poddaje, tak przynajmniej twierdzi, ma donośny głos i nie znosi sprzeciwu. Do Ciebie należy ocena, czy jego oczy są niebieskie, czy raczej zielone. Na życie zarabia, sprzedając rzeczy, których – jak sam twierdzi – nikt nie potrzebuje. I jest w tym dobry. Ma dwóch synów, jeden z nich ma na imię Felix.

Znajdź jego miejsce urodzenia i zamień na cyfry, tak samo jak ostatnim razem. Pomnóż przez siebie wartość pierwszej i ostatniej litery, a wynik mnożenia jeszcze razy dwadzieścia dwa. Dodaj sto dziewięćdziesiąt trzy i całość dodaj do szerokości geograficznej z etapu trzeciego. Pomnóż dziesięciokrotność przedostatniej litery razy jej siedmiokrotność i odejmij od wyniku jej dziewięciokrotność. Wynik odejmij od długości geograficznej z etapu trzeciego. Tam znów się spotkamy.

– Cholera by go wzięła! – Beatrice rzuciła ze złością długopis na stół.

– Ktoś, kto sprzedaje rzeczy, które nie są nikomu potrzebne. Genialnie. Od tego lepszy jest tylko Felix. Przecież tutaj co druga rodzina ma jakiegoś Feliksa!

– Uruchomiła drukowanie i już chciała wstać po kopie, kiedy zadzwonił telefon.

– Wenninger. – Florin podniósł słuchawkę. – Rozumiem. Gdzie? „Samochód” – powiedział bezgłośnie, patrząc na nią znacząco. – Tak jest. Dobrze, dziękuję. – Rozłączył się.

– Znaleźli samochód Beila. Leśna droga niedaleko Hallwang. W środku pełno krwi, ale po nim ani śladu. Drasche i Ebner już jadą na miejsce. – Twarz Florina nie zdradzała żadnych emocji, lecz Beatrice była pewna, że czuje to samo co ona. Owner dawał im do zrozumienia, że nie poprzestanie na dwóch ofiarach.

– Wiesz, co myślę? – zapytała cicho.

– Hm?

– Że gdyby Beil w niedzielę się przyznał, że zna Norę Papenberg, i wyjaśnił, co to za znajomość, nie musielibyśmy go dzisiaj szukać.

– Za dużo gdybania jak na mój gust.

„To prawda” – pomyślała Beatrice. Niestety. Ale kiedy nie brała pod uwagę swoich przeczuć i intuicji, dochodzenie zmieniało się w beznadziejnie czarną otchłań, skrytkę bez współrzędnych.

– Jeśli się uważnie wczytać w ostatnią wiadomość – zaczął Florin – można odnieść wrażenie, że etap czwarty jest już bardzo blisko końca zabawy. Po raz pierwszy szukamy kogoś, kogo Owner uważa za ważną postać – nie jakiegoś chórzystę czy pechowca, ale, jak sam pisze, kluczowego gracza.

– To prawda. – Pod warunkiem, że przygotował swoje zagadki na podstawie takiego planu.

Nie mieli wyjścia. Bez pomocy Kossara sprawa utknie w martwym punkcie.

– Ja bardzo chętnie, ale zapytałaś dzieci, co one na to?

– Pewnie, mamó. Bardzo się cieszą, jak zawsze. Wiesz przecież.

Będą biegały po gospodzie jak młode psiaki wypuszczone z kojca, od czasu do czasu z ważną miną serwując gościom sałatkę czy lody, zupełnie jak Beatrice w dzieciństwie. Nie miała powodów do wyrzutów sumienia.

Jakob uśmiechał się radośnie, pakując fartuch i przetrząsając szufladę w poszukiwaniu warząchwi, którą koniecznie chciał ze sobą zabrać. Za to na twarzy Miny radość mieszała się z czymś, czego nie dało się rozpoznać na pierwszy rzut oka. Beatrice przysiadła obok niej na brzegu łóżka.

– Wszystko w porządku, kotku?

– Tak. I nie przejmuj się, że nas porzucasz.

– Że co robię?!

– Porzucasz. Bo ja chętnie jeżdżę do babci. Tam zawsze jest dużo ludzi i wszyscy są dla nas bardzo mili.

Nie miała wątpliwości, gdzie córka podchwyciła nowe słowo. Z trudem przełknęła ślinę i zmusiła się do uśmiechu. Żadnego nastawiania dzieci i wrogich wypowiedzi; przynajmniej ona chciała się tego trzymać.

– Porzucac znaczy cos calkiem innego – wyjasnila. – Zawioze was do babci, bo przez kilka dni bede musiala dluzej siedziec w pracy, a nie chce, zebyście wy sie zle przez to czuli.

Mina wzruszyła ramionami.

– Powiedzialam ci przeciez, ze jest okej.

Beatrice spakowala wszystkie potrzebne rzeczy do dwuch toreb, starajac sie nie myslac o tym, ze znow musi to zrobic. Odezwała sie jej komorka. Spojrzala przestraszona na wyswietlacz, bo bala sie, ze matka zmienila zdanie, lecz na szczescie dzwonił Florin.

– Jesteśmy krok dalej, mamy w ruku analize DNA. Wszystkie czesci ciala naleza do Herberta Liebschera. Chce odwiedzic jego byla zone. Moze wezme Stefana...

– Daj mi niecala godzine, to pojedze z toba. Pospiesz sie, musze tylko podrzucic dzieciaki do mamy.

– Dobrze. – Jego glós brzial matowo. – Zrobię sobie przerwe i przejde sie kawalek. Albo cos zjem. Do zobaczenia!

Szybkie spojzenie na zegarek. Czy wszystko wziewa?

– Mina, Jakob, wkładajcie buty! Wychodzimy!

Czula, ze dobrze robi, zabierajac dzieci z mieszkania. Byly bezpieczniejsze. W gospodzie Mooserhof w powietrzu unosil sie zapach jedzenia i nikt nie zaprzatal sobie glowy rozkawałkowanymi zwlokami.

*

Spotkali sie przy parkingu.

– Dzwonilem do jego bylyj zony. Najpierw pojedziemy do niej, a potem do jego mieszkania. Mamy juz nakaz wystawiony przez prokurature – objaśnil Florin, otwierajac jej drzwi. – Stefan zorganizowal zapasowe klucze, bo Liebscher przechowywal komplet w szkole.

– A on nie jedzie z nami?

– Przez ostatnich kilka dni on z nas wszystkich spal najmniej. Będzie zaprzeczal, ale widać po nim, ze lada chwila padnie z wyczerpania. Wyslalem go do domu.

Kobieta, która otworzyła im drzwi szeregowca, miała bardzo bladą twarz. Mimo ze był to pierwszy tak cieply wieczór od poczatku roku, ubrala sie w wełniany sweter i opatulila sie nim, jakby marzla.

– Romana Liebscher – przedstawila sie. – Proszę, niech państwo wejda.

Beatrice i Florin ruszyli za nią do niewielkiego salonu o jasnozółtych ścianach. W zadbanym, choć dawno nieremontowanym pomieszczeniu, stal

narożnik i ława z Ikei. Usiedli.

– Nie wiem nawet, co powinnam powiedzieć. Nie wiedziałam, że... że Herbert zaginął. I że on... – Ze świstem nabrała powietrza. – Co mu się stało?

– Jeszcze nie mamy pewności, ale staramy się wyjaśnić, jak do tego doszło.

„Nikt tak jak on nie potrafił dać wymijającej odpowiedzi, wkładając w to tyle uczucia” – pomyślała Beatrice.

– Jak często kontaktowaliście się państwo, szczególnie ostatnimi czasy? – zapytała, żeby nie pozwolić jej zadawać pytań, które ostatecznie doprowadziłyby do zapakowanych w plastik kawałków ciała.

Kobieta ujęła w dłonie drewniany świecznik w kształcie łodzi. Zaczęła obracać nim w palcach. W prawo. W lewo. W prawo.

– Właściwie w ogóle. Od kilku lat jestem w nowym związku, a Herbert i Dietmar nie przepadają za sobą... – przerwała i podniosła wzrok, bo nagle zdała sobie sprawę, że w ten sposób sama podsunęła policji możliwego podejrzanego. – Ale nigdy się nie pokłócili – dodała pośpiesznie.

– Rozumiem. – Uspokajający uśmiech Florina zadziałał zgodnie z zamierzeniem, a Beatrice z radością pozostawiła mu zadawanie wszystkich obowiązkowych pytań, jakie należało w tej sytuacji postawić: kiedy kobieta widziała męża po raz ostatni, czy miał wrogów, długi, czy utrzymywał kontakty z podejrzanymi ludźmi...

Z odpowiedzi, jakich udzielała była żona Liebschera, wyłaniał się obraz przeciętnego, spokojnego życia bez żadnych fajerwerków. Nauczyciel lubił swoją pracę, dawał korepetycje, żeby sobie dorobić, w wolnych chwilach wędrował, czasem jeździł na rowerze, nie miał długów, a uczniowie ani go nie kochali, ani nie nienawidzili.

– Właściwie dlaczego się państwo rozwiedliście? – zapytała Beatrice.

Odpowiedź kobiety nie była zaskoczeniem: przesył, spowszednienie, nuda. Ich drogi się rozeszły, a Romana Liebscher spotkała nowego mężczyznę, z którym się związała.

– Rozwidliliśmy się trzy lata temu. Przez ten czas widzieliśmy się może pięć razy, ostatnio osiem albo dziewięć miesięcy temu – wyjaśniła. – Wiem, że to straszne, ale naprawdę nic więcej nie mogę o nim powiedzieć. Nie mam nawet pojęcia, czy sobie kogoś znalazł.

I dopiero teraz załała się łzami, co wyraźnie przyniosło jej ulgę.

Taktownie dali jej dość czasu, by doszła do siebie.

– Czy będę musiała go zidentyfikować? – zapytała cicho.

– Nie, to nie będzie konieczne. – Odpowiedź Florina padła nieco zbyt szybko i zbyt zdecydowanym tonem. Zaskoczona kobieta podniosła wzrok.

„Nie jest głupia” – pomyślała Beatrice. Błyskawicznie się zorientowała, że nie powinna drażnić.

– To skomplikowana sprawa i na razie nie chcemy ujawniać szczegółów – wyjaśnił policjant. – Za to daję pani słowo, że kiedy tylko ustalimy sprawcę i okoliczności, natychmiast panią powiadomimy.

– Moglibyście zdradzić mi chociaż, jak zginął? Zastrzelony? Pobity na śmierć? Czy długo cierpiał?

Beatrice pomyślała o uchu. I o nożycach do przycinania żywoplotów.

– Bardzo mi przykro. – W te trzy słowa włożyła całe współczucie, jakie żywiła dla tej kobiety. – W tej chwili jeszcze tego nie ustaliliśmy. Natomiast bardzo by nam pani pomogła, gdyby zechciała pani rzucić okiem na te fotografie.

I choć nie oczekiwała przełomu, wyjęła z torebki wydrukowane fotografie Nory Papenberg. Zgodnie z jej przewidywaniami, twarz Romany Liebscher nie wyrażała niczego.

W drodze do mieszkania Herberta Liebschera w samochodzie panowały minorowe nastroje, choć Florin co chwila przeszukiwał częstotliwości, by trafić na stację radiową emitującą wesołą muzykę. Na zewnątrz zrobiło się już ciemno. Beatrice spojrzała na zegarek. Minęła dwudziesta. Chcieli rozejrzeć się w mieszkaniu ofiary i poszukać wskazówek, które mogłyby doprowadzić ich do przyjaciół czy znajomych Liebschera. Jeśli miał komputer w domu, należało go zabezpieczyć. I porozmawiać z sąsiadami.

Mieszkanie znajdowało się na drugim piętrze bez windy. Kiedy otworzyli drzwi, natychmiast poczuli woń starych mebli i śmieci z kuchni, które już dawno należało wynieść do kontenera.

– Pójdę przodem, jeśli nie masz nic przeciwko – zaproponował Florin.

Szybkie sprawdzenie wszystkich – nielicznych – pomieszczeń i zyskali pewność, że są sami.

Liebscher nie potrzebował przestrzeni – dwa pokoje, kuchnia z kącikiem jadalnym, łazienka z toaletą. Na kuchennym stole stała pełna popielniczka i niesprzątnięte nakrycie po ostatnim śniadaniu nauczyciela: niedojedzona kanapka z dżemem przykryta całunem miękkiej pleśni i filiżanka po kawie z wyschniętą resztką na dnie. Beatrice poczuła, jak wzbiera w niej fala smutku – taka sama, jaką poczuła na widok napoczętej tabliczki czekolady w biurku Nory Papenberg. Odwróciła się, możliwie najszerszym łukiem obeszła śmierdzący śmietnik i przeszła do sypialni.

Niepościelone łóżko. Szerokość zapewniająca komfort jednej osobie, za to za mała dla dwojga. Czyste i uporządkowane stanowisko do pracy na komputerze. Obok klawiatury i myszki leżały trzy stosiki zeszytów. Regał z książkami. Na półkach przeważały biografie, lecz dało się zauważyć również reportaże i powieści. Dan Brown i Ken Follett. Między nimi Beatrice zauważyła niewielką drewnianą szkatułkę w kształcie skrzyni skarbów. Miała na dłoniach rękawiczki, więc nie

wahała się i sięgnęła po nią.

W środku znalazła monety. Zamknięte w plastikowych przezrzystych kapslach, miały wybite różne motywy: statek, głowa wilka, logo...

– Florin! – Beatrice wyjęła jedną z monet i podsunęła ją pod światło, chcąc mieć pewność, że dobrze dojrzała, jakim kształtem została ozdobiona. Po chwili nie miała już wątpliwości.

– Florin, on był keszerem! Liebscher bawił się w geocaching!

Na monecie w kolorze miedzi znajdował się napis *Geocoinclub: TFTC* i rysunek ludzika wymalowany białą emalią. Na krawędzi monety Beatrice znalazła ciąg cyfr i liter, jakby jakiś szyfr. Na rewersie umieszczono takiego samego ludzika z podpisem: *Track at Geocaching.com*.

– Świetnie. – Mrużąc oczy, Florin przyglądał się monecie, a kiedy skończył, odłożył ją do pudełka. – Może dzięki temu posuniemy śledztwo choć o krok naprzód.

Oby. Dotychczasowe przeszukiwanie Internetu nie przyniosło Stefanowi niczego nowego. Zarejestrował się na większości forów, pisał prywatne wiadomości do wielu użytkowników i wciąż nic. Nigdzie nie trafił na ślad kogoś, kto wcześniej wypełniałby skrytki równie chorą zawartością: martwymi zwierzętami czy ekskrementami. Nikt nawet nie słyszał o podobnych przypadkach.

– Środowisko geocacherów jest pod tym względem wyjątkowo czyste i bardzo świadome ekologicznie – wyjaśnił Stefan, nie kryjąc dumy.

Beatrice przeszukała biurko, po czym przeszła do salonu, gdzie stał kolejny regał z książkami. Do tego garnitur wypoczynkowy w całkowicie pozbawionej gustu brązowo-zielonej tapicerce i szklany stolik, z którego nikt nie zmywał okrągłych śladów po kubkach i szklankach. Naprzeciwko stary, zakurzony telewizor kineskopowy w trybie czuwania.

Nie od razu to zauważyła, lecz jej wzrok odruchowo powrócił w to samo miejsce.

TFTH

Na kineskopie telewizora ktoś palcem wypisał w kurzu cztery znajome litery.

– Florin? Spójrz tylko na to! – Beatrice wyjęła z torebki aparat i zrobiła pięć zdjęć z bliska i sześć z oddalenia, pod różnym kątem. Dopiero wtedy sięgnęła po telefon i zadzwoniła do Draschego na domowy numer.

Kiedy odebrał, w tle słychać było telewizor.

– Wpadliśmy do mieszkania Liebschera, żeby zabezpieczyć jego komputer, ale ty też powinienes tu przyjechać. Mamy podstawy sądzić, że Owner był tu przed nami.

Po krótkiej rozmowie z Draschem („Niczego więcej nie dotykajcie i najlepiej się stamtąd wynoście!”) Beatrice zakończyła połączenie i z komórką w dłoni stanęła oparta o ścianę między kuchnią a łazienką.

Nie wiedziała, czy nie jest o krok od popełnienia gigantycznego błędu. A może właśnie miała tak postąpić? To się okaże. W końcu Hoffmann jej polecił, żeby wykorzystwała wszystkie możliwości, a Kossar wciąż milczał. Miała już dość czekania. Owner wysyłał wiadomości bezpośrednio do niej – nadszedł czas, żeby mu osobiście odpowiedzieć.

Otworzyła ostatniego SMS-a, którego jej przysłał – „Zimno, bardzo zimno” – i wybrała opcję „odpowiedz”. Zastanawiała się, co mu napisać. W obecnej sytuacji tylko jedna opcja wchodziła w rachubę: „Herbert Liebscher”.

Dwa słowa, choć wyglądały na początek dłuższej wiadomości, jakby za nimi miały podążać kolejne: „Herbert Liebscher został zamordowany na początku maja. Przez tydzień nikt go nie szukał. Obciąłeś mu dłonie i uszy. Jesteśmy coraz bliżej, nawet jeśli poruszamy się powoli”.

Tego jednak nie napisała. Pozostała przy samym imieniu i nazwisku. Nie postawiła nawet kropki i wybrała przycisk „wyślij”.

*

Sąsiedzi nie mieli o niczym pojęcia. W większości byli to starsi ludzie, którzy nie utrzymywali z Liebscherem żadnych kontaktów i potrafili powiedzieć o nim tylko tyle, że był spokojnym człowiekiem. Raczej uprzejmy. Kobiety? Nie, nie odwiedzały go. Przyjaciele, znajomi? Bardzo rzadko.

Kiedy z powrotem wsiedli do samochodu, dochodziło wpół do jedenastej. Beatrice spojrzała dyskretnie na ekran telefonu. Na razie Owner jeszcze nie odpowiedział. Z drugiej strony głupotą byłoby oczekiwać, że tak szybko odpisze, skoro komórkę włączał sporadycznie i tylko na kilka minut. Odczyta jej SMS-a dopiero, kiedy sam będzie chciał do niej napisać.

– Coś nie tak z dziećmiakami?

Czyli Florin zauważył.

Pospiesznie schowała komórkę do torebki.

– Nie, nie. U nich wszystko w porządku. Nikt nic nie pisze. Brak wiadomości to dobra wiadomość.

Spojrzał na nią kątem oka.

– Coś ty taka nerwowa?

– Jestem nerwowa? Wydaje ci się...

– Tak się zachowujesz. – Na kolejnym skrzyżowaniu zatrzymały ich czerwone światła. Zmienił bieg, puścił sprzęgło i przyjrzał się jej uważnie. – Słuchaj, a ty w ogóle zjadłaś cokolwiek wieczorem?

„Boże, racja! Jedzenie!”. Kiedy Florin o tym wspomniał, poczuła ucisk w żołądku, choć nie miała apetytu na nic konkretnego.

– Nie, jeszcze nie. Ale się nie przejmuj, mam w domu chleb i szynkę, więc z głodu nie umrę.

– Mam na ten temat inne zdanie. – Zapaliło się zielone światło. – Od czasu do czasu trzeba się trochę nagrodzić. – Ruszył powoli, znów skupiony na drodze przed autem, a w jego oczach zamyślenie mieszało się z troską. – Już dawno zwróciłem na coś uwagę: kiedy mamy jakąś trudną sprawę, ty właściwie do zera redukujesz swoje potrzeby. Sen, jedzenie czy picie, to wszystko schodzi na drugi plan.

– Za to figura na tym zyskuje – mruknęła. Słabo to zabrzmiało, żałośnie nieodpowiednio w porównaniu ze szczerą troską w głosie Florina. Żałowała, że nie ugryzła się w język.

– Ja nie żartuję, Bea. – Włączył migacz i skręcił w Alpenstrasse. – Odstawimy teraz komputer do biura Stefana i pojedziemy coś zjeść. Nie będziemy poruszali tematu śledztwa. Odpoczniemy. Albo wiesz co? Mam lepszy pomysł. Pojedźmy do mnie. Mam w domu rostbef i wielką miskę sałatki z kurczakiem, a jeśli będziesz chciała coś ciepłego, dam ci naprawdę pysznego *chili con carne*.

Poza ssaniem w żołądku propozycja obudziła w niej coś, czego nie chciała nazywać.

– Dzięki, ale jestem strasznie zmęczona, a jutro z samego rana oboje musimy ruszać do pracy... No i co by na to powiedziała Anneke?

Spojrzał na nią zaskoczony.

– A dlaczego miałyby mieć cokolwiek przeciwko?

„No tak, racja, przecież nie jestem kobietą”. Miała to już na końcu języka, ale na szczęście nie wypowiedziała tych słów głośno. Zaśmiała się i pomyślała z nadzieją, że zabrzmiało to lekko i naturalnie. A przynajmniej nie tak dziwnie, jak się czuła.

Florin zaparkował samochód na parkingu, odsunął kosmyk kruczoczarnych włosów z czoła i wyjął kluczyk.

– Gdybym cię nie znał, pomyślałbym, że podejrzewasz mnie o jakieś niecne zamiary, a nie tylko wspólny pożywny posiłek. – Uśmiechnął się szeroko. Jego zęby były jedynym jasnym punktem w mroku wnętrza auta.

– Nie gadaj głupstw, przecież nie to miałam na myśli. Tylko że...

– Hej, trzeba się starać żyć choćby po tych kilka minut dziennie. Pyszne jedzenie, lampka wina, dobra muzyka i pół godziny bez rozmów o kolejnych trupach.

Przymknęła oczy.

– Masz rację.

Mieszkanie Florina znajdowało się niedaleko starówki i w żadnym razie nie wyglądało jak mieszkanie policjanta. Beatrice była już raz u niego, niecały rok

wcześniej. Zapytała wtedy, czy bierze łąpówki, żeby pozwolić sobie na taki pałac. Zaprzeczył natychmiast, lecz okazało się, że prawda była dla niego równie krępująca: bogata rodzina i babcia, która prócz gotówki zostawiła mu w spadku ten penthouse.

Zaraz po wejściu Beatrice poczuła zapach farb akrylowych. Florin otworzył okna i drzwi na taras, żeby przewietrzyć, a ona zastanawiała się, gdzie usiąść.

Wszystkie meble w bieli. Wyobraziła sobie Jakoba z dłońmi wiecznie umorusanymi czekoladą i Minę z zestawem pisaków. Nie potrafiła powstrzymać uśmiechu. Nie, Florin nie mógł mieć wobec niej żadnych zamiarów, z całą pewnością nie.

Rozejrzała się. Omiotła wzrokiem ściany, cegłę nad otwartym kominkiem i antyczne – albo przynajmniej wyglądające na zabytkowe – regały. Nigdzie ani jednego zdjęcia Anneke. Pewnie trzymał je w sypialni, tam, gdzie ich miejsce. Beatrice się przeciągnęła.

– Lampkę wina? – zawołał Florin. Stał w otwartej kuchni i w uniesionej dłoni trzymał butelkę. – Jesteśmy już po służbie. Należy się nam.

– Pół kieliszka, okej? Jestem samochodem.

– Nie ma sprawy.

Po chwili podszedł do niej z dwoma filigranowymi kieliszkami i podał jej jeden w połowie pełny.

– Na pusty żołądek szybko zadziała. Zdecydowałaś już, co chcesz zjeść?

– Tak. Poproszę rostbef.

– Z sosem z awokado i limonki?

Powinna była się domyślić, że Florin nie poda takiego mięsa z rémoulade, jak uczyniłaby większość.

– Brzmi kusząco.

Kiedy wrócił do kuchni, ponownie sprawdziła komórkę.

Nic. Wciąż jeszcze nie odpisał. Ale w tej chwili nawet wołała, że milczał.

– Pracujesz akurat nad jakimś obrazem? – zapytała głośno.

– Tak. Mam dwa na warsztacie. Ale z jednym i drugim utknąłem. Nie ma w nich ani odrobiny życia. – Brzęk talerzy. – Chcesz zobaczyć? Śmiało, idź do pracowni.

Pomieszczenie, w którym pracował, było niewielkie, nie tak sterylne czyste jak reszta apartamentu i miało tylko świetlik w dachu. Stały w nim dwie sztalugi, pomazany farbami stół i cała kolekcja blejtramów w różnych rozmiarach. W powietrzu unosił się zapach farb i rozpuszczalników.

– Co powiesz na muzykę? – usłyszała z dołu wołanie Florina.

– Chętnie! – odkrzyknęła.

– Jakieś specjalne życzenia?

Zawahała się.

– Włącz to, co akurat masz w odtwarzaczu.

„To, czego słuchasz, kiedy jesteś sam, kiedy malujesz, czytasz albo myślisz o Anneke” – dodała w duchu.

– Nie ma sprawy.

Tym razem nie był to Erik Satie, którego słyszała ostatnio przez telefon. Z głośników popłynął *Kwintet smyczkowy C-dur*, Opus drugie Schuberta. Muzyka, która trafia prosto do wnętrza człowieka, w miejsca, których poruszenie mogło wywołać u Beatrice łzy.

Wychyliła zawartość kieliszka jedynym haustem i stanęła przed pierwszą sztalugą.

Czerwień, jaśniejsza pośrodku, ciemna na obrzeżach. Srebrne smugi w lewym narożniku, jak okruchy szkła. Malunek wyzwał w niej coś, z czym za żadne skarby nie chciała się teraz mierzyć. Odsunęła się i spojrzała na drugi obraz.

Płótno o kształcie kwadratu. Na pierwszy rzut oka obraz przedstawiał niebieską nieskończoność, ściemniającą się ku środkowi, jakby miała przejść w czerń. W tej ciemności migotały pojedyncze metaliczne plamki, jakby ktoś rozchlapał płynną miedź. Przypominał jej dzisiejszy wieczór. Iskierki w ciemności.

– Nieszczególnie mi wyszły, co? – zapytał Florin.

– Wręcz przeciwnie. Mów co chcesz, ale... – Ugryzła się w język, zanim powiedziała, że je uwielbia. – Są naprawdę ładne. Mocne w przekazie. Jak rozpoczął z iskierką nadziei.

Florin wspiął się po schodach, stanął obok Beatrice i przechylił głowę.

– Serio? Hm. Kurczę, chyba muszę inaczej na nie spojrzeć. Ale to już nie dziś. – Obrócił płótno o dziewięćdziesiąt stopni. – No, w ten sposób może coś z nich będzie. A teraz chodź. – Beatrice poczuła, jak obejmuje ją ramieniem i ciągnie w stronę schodów. – Umieram z głodu.

Nie pamiętała już, kiedy ostatnio rozkoszowała się smakiem posiłku, nie patrząc jednocześnie w ekran komputera czy uważając na dzieci. Rostbef był kruchy i idealnej grubości, a Florin upiekł dodatkowo białe pieczywo. Beatrice nie zamierzała odmawiać sobie przyjemności rozkoszowania się wspaniałym posiłkiem, wychyliła więc drugą lampkę prosecco i poczuła delikatny rausz.

– Dlaczego to robisz? – zapytała, zanim zdążyła ugryźć się w język.

– Co konkretnie?

– Zapraszasz mnie na kolację, kiedy masz już wolne. Powinieneś się cieszyć, że w końcu się mnie pozbędziesz...

Uniósł brwi.

– Ależ ja nie chcę się ciebie pozbywać, skoro tak raczyłaś się wyrazić. No i... – przerwał, pokręcił głową i nalał jej i sobie kolejną lampkę wina.

– Mów dalej.

– Nie. Bo jeszcze byś coś źle zrozumiała. Stąd już prosta droga do brzemiennego w skutki nieporozumienia.

W myślach zaczęła układać pytanie, które zmusiłoby go do jaśniejszej odpowiedzi, lecz Florin ze śmiechem potrząsnął głową i nie dał jej dojść do słowa.

– Nie ten dzień, nie ta go godzina i nie ten nastrój.

Beatrice odstawiła kieliszek na stół. Nagle poczuła, jak strasznie jest zmęczona.

– Gdzie jest łazienka?

– Drugie drzwi po prawej.

Pomieszczenie było bardzo przestronne, utrzymane w eleganckich szarościach i stanowczo zbyt jaskrawo oświetlone. Beatrice spojrzała w lustro. Błada twarz, podkrążone, zmęczone oczy. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie nałożyć szminki, lecz szybko uznała, że to głupi pomysł.

Zamiast tego spryskała sobie twarz zimną wodą i spojrzała na zegarek. Zbliżała się północ.

– Muszę już iść do domu – powiedziała, kiedy wróciła do salonu.

– Możesz zostać na noc. – Uniósł dłonie, żeby nie protestowała. – Mam pokój gościnny. Będziesz miała bardzo dużo prywatności i nie, to nie będzie dla mnie problem. – Wskazał na drzwi za plecami. – Będę znacznie spokojniejszy. Wypiliśmy więcej niż po kieliszku.

Do podjęcia decyzji przekonała Beatrice nie tyle konieczność dziesięciominutowej jazdy samochodem, ile wizja pustego mieszkania i dzwoniącego po nocy telefonu.

Christoph Beil otworzył oczy, lecz świat wokół niego tonął w nieprzeniknionej ciemności. Przez kilka chwil czuł głęboką ulgę.

To był tylko sen.

A jednak szybko wrócił ból. Skrępowane na plecach i otarte do krwi nadgarstki pulsowały żywym ogniem, a każde przełknięcie śliny wywoływało pieczenie w gardle, jakby usiłował zjeść garść gwoździ. Naprawdę. Nie przesadzał.

Ale przynajmniej był sam. Wstrzymał oddech i zaczął nasłuchiwać, czy w pomieszczeniu był ktoś poza nim. Coś usłyszał – ale nie wiedział, co. Może szum wiatru. Cichy, delikatny powiew pośród liści.

W końcu dotarło do niego, że ciemność niekoniecznie oznacza noc. Miał coś zawiązane na głowie, coś, co zasłaniało mu oczy.

Z jego szyi zniknęła pętla, lecz pozostał po niej ból nie do zniesienia. Starał się nie przetykać, lecz to tylko potęgowało cierpienia. Ślinianki pracowały na najwyższych obrotach, jakby sama myśl o nich zmuszała je do jeszcze większego wysiłku.

A to tak bolało!

Z gardła chórzysty wydobył się jęk. Mężczyzna przypomniał sobie policjantkę o miodowych włosach. Dała mu szansę. Żałował, że jej nie wykorzystał. Żałował z całego serca.

O, jakiś dźwięk. Uniósł głowę i z trudem powstrzymał szloch. Spróbował się odezwać, lecz najpierw z jego gardła wydobyło się tylko rozedrgane, niezrozumiałe chrypienie. Dopiero przy trzeciej próbie udało mu się ułożyć zdanie.

– Będę... mógł odejść?

Nie otrzymał odpowiedzi. Zresztą może się pomylił? Może był sam i tylko mu się zdawało, że coś usłyszał? Tak byłoby lepiej. Alternatywa znacznie mniej mu się podobała.

Dopiero kiedy usłyszał chrząknięcie, zrozumiał, że słuch go nie zawiódł. Szarpnął więzami.

– Proszę, niech mnie pan puści! Przecież wszystko panu powiedziałem!

Dłoń na jego głowie. Niemal czuły dotyk. A potem głos:

– To nie zmienia faktu, że wciąż nie wiem wszystkiego.

Poranek był jasny i pogodny, a słońce dostawało się do środka między lamelami na wpół zasuniętych żaluzji. Beatrice obudziła się inaczej niż zwykle. Powoli wynurzała się ze snu, stopniowo zauważając otaczającą ją rzeczywistość.

Koszula, którą miała na sobie, pachniała obcym proszkiem do prania. To dlatego, że... że nie spała w domu, tylko w pokoju dla gości w apartamencie Florina.

Usiadła gwałtownie, przekonana, że zbyt wiele czasu spędziła w łóżku, lecz uspokoiło ją spojrzenie na zegarek. Minęło dopiero wpół do siódmej. Potem sięgnęła po komórkę. Mogłaby przysiąc, że ze snu wyrwał ją sygnał przychodzącej wiadomości, a mimo to na ekranie nie dostrzegła wyczekiwanej ikonki.

Boso ruszyła do łazienki. Florin z mokrymi włosami stał już przy kuchence i przygotowywał jajecznicę.

– Świeży ręcznik położyłem na stołku koło prysznic, a całą resztę znajdziesz przy umywalce – zawołał.

Myjąc zęby, zastanawiała się, z czego to wynika, że czuje się znacznie bardziej świeżo niż zazwyczaj o tej porze. I młodziej. Przypomniała sobie czas studiów, kiedy po huczniejszych imprezach nocowała w obcych mieszkaniach i...

Potrząsnęła głową i pomyślała o czymś innym. Wypluła pianę, splukała ją wodą z kranu, weszła pod prysznic i zaczęła planować rozpoczynający się dzień. Dziś mieli znaleźć „kluczową postać”.

– Właściwie całą noc harowaliśmy jak dzikie osły. – Drasche spojrział na Beatrice wzrokiem, jakby ona osobiście ponosiła za to odpowiedzialność. – Jedno jest poza dyskusją: w mieszkaniu nie doszło do żadnych aktów przemocy.

– Znaleźliście jakieś odciski palców? Litery na monitorze najprawdopodobniej napisał sprawca.

– Jeśli tak, to znów miał rękawiczki. – Uniósł filiżankę, siorbiąc, upił łyk kawy i skrzywił się niezadowolony. – Odciski, które dotychczas udało się sprawdzić, należą do właściciela mieszkania. Materiał porównawczy mieliśmy z pierwszej ręki, że się tak wyrażę. – Zaśmiał się. – Badanie samochodu Beila również nie wniosło niczego nowego. Włosy najprawdopodobniej należą do jego żony. No chyba że sprawca też ma blond włosy do ramion... Cholera jasna! – Usiłując pokazać dłonią długość znalezionych włosów, Drasche polał się gorącą kawą. – Może chociaż wy mieliście miły wieczór, co?

Beatrice poczuła, że jej policzki przybierają barwę szkarłatu. Drasche nie miał pojęcia o tym, że spędziła tę noc – choć całkiem niewinnie! – w mieszkaniu

Florina. Do pracy przyjechali każde swoim samochodem. A jednak poczuła się tak, jakby ktoś ją na czymś przyłapał.

– Oj, już nie rób takiej obrażonej miny, przecież wiem, że też się nie objacie.

Obrażona mina, ha, ha, ha. Beatrice uśmiechnęła się i pokręciła głową. Jeśli chodzi o zabezpieczanie śladów i pracę na miejscu zbrodni, Drasche nie miał sobie równych. „Ale jako psycholog zupełnie by się nie sprawdził” – pomyślała.

Ledwie wyszła z jego pokoju, a – jakby go przyciągnęła myślami – spotkała Kossara. Psycholog czekał przed drzwiami jej gabinetu. Westchnęła w duchu i zaprosiła go do środka.

– Ależ miałem dzisiaj interesującą noc! – zaczął. – A gdzie kolega? Pan Wenninger też chyba będzie zainteresowany tym, co mam do powiedzenia. *In fact, I'm sure.*

– Florin jest u Hoffmanna, ale zaraz przyjdzie. Możemy zaczynać. Napije się pan kawy?

Skorzystał z propozycji. Kiedy Beatrice uruchamiała ekspres, on spacerował po gabinecie i przyglądał się różnym rzeczom, jakby się zastanawiał, czy je kupić.

Dopiero kiedy wróciła na fotel, Kossar przysunął sobie krzesło.

– Nie mam jeszcze, co chyba jest zrozumiałe, kompletnego profilu sprawcy – zaczął. – Muszę przeanalizować możliwie najwięcej jak się da starszych spraw o podobnym charakterze, żeby wypowiedzieć się wiążąco. Ale mam już pierwsze przemyślenia i, jak się spodziewam, zostaną one pozytywnie zweryfikowane przez rzeczywistość. – Spojrzał wyczekująco na Beatrice.

– No i? – zapytała niecierpliwie. – Dlaczego nie mówi pan dalej?

– Już mówię. Za punkt wyjścia możemy przyjąć, że mamy do czynienia ze sprawcą, który wszystko starannie planuje, a nie z chaotycznym mordercą działającym *ad hoc*. W istocie nie chodzi mu o samo pozbawianie życia, tylko o zaspokojenie innych potrzeb. Jedną z nich szczególnie rzuca się w oczy – pragnienie pokazania się. Wykorzystuje swoje ofiary, żeby się z nami komunikować. Wytatuowane współrzędne na stopach Nory Papenberg, listy w skrytkach i oczywiście fragmenty zwłok. Zmusza nas, żebyśmy go słuchali i żebyśmy mierzyli się z tym, co nam obwieszcza.

Niczego przełomowego nie odkrył.

– Jednym słowem chce pan powiedzieć, że jego głównym motywem jest potrzeba rozgłosu?

– Tak właśnie uważam. Na dodatek chce się z nami zmierzyć i udowodnić sobie, że jest lepszy. To wynika *explicite* z przesyłanych wiadomości.

– Moim zdaniem wniosek jest taki, że nie traktuje nas poważnie. Po co miałby się z nami mierzyć, skoro odmawia nam kompetencji?

Kossar poprawił okulary.

– Hm, czy była pani kiedyś na gali boksinerskiej? Zanim zawodnicy wejdą na ring, obrzucają się inwektywami i prowokują się wzajemnie. W ten sposób również podnoszą sobie motywację i próbują wytrącić przeciwnika z równowagi, bo wtedy łatwiej o błąd. – Upił łyk kawy. – Uważam, że sprawca przejawia cechy silnie rozwiniętej osobowości narcystycznej. Uwielbia wyobrażać sobie, jak policja męczy się z próbami poskładania całości z drobiazgów, które rzuca nam pod nogi. Zapewne najbardziej bawi go myśl, że wrywamy sobie włosy z głów i załamujemy ręce, bo nie potrafimy dostrzec żadnych prawidłowości ani sensu.

Florin wszedł do biura i usłyszał jedynie ostatnie słowa Kossara.

– Naprawdę tak pan uważa? – zapytał. – Po analizie wszystkich dokumentów naprawdę nie widzi pan żadnych prawidłowości ani sensu?

– Wręcz przeciwnie. Jednak w tej chwili pozwalają one jedynie w ograniczonym zakresie znaleźć uzasadnienie pojedynczych działań sprawcy.

– Czyli konkretniej?

Kossar spojrział zamyślony na swoje dłonie.

– Normalnie wyszedłbym z założenia, że taki sprawca wybiera przypadkowe ofiary, obserwuje je przez długi czas, a potem niespodziewanie pozbawia życia. Stawia się w roli Boga, rozumie pan? Przygląda się, jak jego wybrańcy zmagają się z codziennością, jak jeżdżą samochodami i troszczą się o rodziny. Upaja się świadomością, że to on podejmuje decyzję, kiedy położyć temu kres. Jak dziecko z sadystycznymi skłonnościami, które najpierw obserwuje kopiec mrówek, a potem wtyka w niego zapalone zapałki.

Na koniec Kossar uniósł znacząco palec. Wyglądał teraz jak nauczyciel.

– Lecz w przeciwieństwie do większości morderców działających w podobny sposób, nasz wskazuje na powiązania między ofiarami. Prowadzi nas od pierwszej do kolejnej. Nora Papenberg była drogowskazem do fragmentów zwłok Herberta Liebschera. Ten z kolei doprowadził nas do Christopa Beila i dalej do Bernda Sigarta. Teraz Beil zniknął, a pani – spojrział znacząco na Beatrice – pani odniosła wrażenie, że Beil znał Norę Papenberg, jednak nie chciał się do tego przyznać.

– Tak. I im dłużej o tym myślę, tym bardziej jestem tego pewna.

– Ta sprawa jest naprawdę fascynująca. – Oparł podbródek na dłoniach i zamyślony odwrócił głowę.

„Chryste, co za teatr!” – przemknęło Beatrice przez myśl.

– No dobrze, a co z tego wynika? – zapytała tonem, który nie pozostawiał najmniejszych wątpliwości, że nie spodziewa się zbyt wiele po odpowiedzi. Kossar nie dał się zdeprymować.

– Przed kilkoma laty w USA toczyło się bardzo ciekawe śledztwo. Pewien dwudziestodwuletni morderca ludzki, którzy trzymali psy określonej rasy. Ofiary nie znały się nawzajem i łączyła je tylko ta jedna rzecz. Całkiem możliwe,

że w przypadku Nory Papenberg i Herberta Liebschera będzie podobnie.

Hipoteza, której nie należy z góry odrzucać.

– Uważam, że najważniejszym punktem zaczepienia, którym dysponujemy – zaczęła Beatrice – jest pragnienie rozgłosu, jakie przejawia Owner. Co by się stało, gdybyśmy pozbawili go tej nagrody?

Krzywy uśmiech Kossara wydał się Beatrice prawie sympatyczny.

– Najprawdopodobniej zrobi wszystko, żeby ten rozgłos wymusić.

– W takim razie najwyższy czas zmienić zasady gry – zdecydowała. – Jeśli pana analiza jest bliska rzeczywistości i sprawca obserwuje, jak się zmagamy z jego pomysłami, musi uważnie śledzić wiadomości i kupować każdą gazetę, w której jest o nim wzmianka. Dzięki temu jest na bieżąco z postęпами w śledztwie. Jeśli wiadomości nagle się urwą... nie sądzę, żeby był zachwycony.

– Święte słowa! – Kossar uśmiechnął się jeszcze szerzej. – Wielka szkoda, że nie dokończyła pani tych studiów!

– Wielka szkoda. – Beatrice nie obchodziło, że w tonie jej głosu słychać zniecierpliwienie. – Najważniejsze teraz to wykorzystać tę informację.

Dwie godziny później, po interwencji Hoffmanna, prokuratura wydała decyzję o utajnieniu śledztwa.

Autobus podskakiwał na wyboistej drodze. Bernd Sigart uderzał czołem o szybę, o którą się opierał. Przy każdym oddechu na szkle przy jego ustach pojawiała się chmurka pary. Obserwował ją. To go uspokajało. Każdy wdech i każdy wydech zmniejszał liczbę tych, które jeszcze musiał wykonać. Ich liczba była ograniczona.

Zamknął oczy. Może nie wstawać, kiedy będzie jego przystanek? Mógłby pojechać dalej. I nie wysiadać. Jeździć tam i z powrotem, aż ktoś go wyrzuci.

„Nie” – skarcił się w myślach. „Zmęczenie nie może być pretekstem, tak samo jak brak chęci do życia i rozpacz”. Weźmie udział w terapii, jak co tydzień. I jak co tydzień nic to nie da.

Kiedy wysiadł z autobusu, minął kobietę z kulejącym owczarkiem. Dopiero kiedy zadzwonił do drzwi terapeutki, uświadomił sobie, że po raz pierwszy nie postawił odruchowo diagnozy, tak dla siebie, żeby nie wyjść z wprawy.

Kolejne pożegnanie. Przestał być ojcem i mężem – a teraz stopniowo przestawał być weterynarzem.

Gabinet doktor Anji Mały utrzymany był w odprężającej kremowej tonacji, a jedyny wyrazisty akcent kolorystyczny stanowił niebieski obraz do medytacji wiszący na ścianie nad biurkiem. Wszystkie elementy wystroju były przemyślane i dobrane w taki sposób, by działały uspokajająco i wyciszająco – włącznie z terapeutką, która majestatycznie niczym okręt ruszyła w jego stronę, podała mu dłoń i wskazała na głęboki fotel, zapraszając, by zajął w nim miejsce.

Sigart usiadł.

– Podać może wodę? – zapytała, jak za każdym razem, choć nigdy jeszcze nie skorzystał. I tym razem potrząsnął głową.

– Jak minął panu ostatni tydzień?

Spojrzał jej w oczy. Poważnie, bez uśmiechu.

– Nie popełniłem samobójstwa.

Ta sama odpowiedź co zawsze.

– Bardzo mnie to cieszy. – Lekarka skinęła głową i spojrzała w notatki.

– Proszę opowiedzieć, co się wydarzyło w ciągu tych kilku dni. Ustaliliśmy ostatnio, że będzie pan wychodził codziennie na półgodzinny spacer. I jak, udało się?

Zawahał się.

– Nie, nie chodziłem codziennie. Ale byłem trzy razy.

Uśmiechnęła się, jakby naprawdę sprawił jej tym radość.

– To wspaniały postęp. Jak się pan czuł, wracając do domu?

Zamyślił się i odwrócił głowę.

– Sam nie wiem... Dziwnie. Raz miałem wrażenie, że ktoś mnie śledzi. Ale to pewnie to samo, co zawsze. Prześladowuje mnie sumienie.

Maly zanotowała coś w jego teczce.

– Czy odwrócił się pan i zobaczył kogoś, kto rzeczywiście szedł za panem?

– Nie. To znaczy, nie do końca. Zupełnie, jakby ten ktoś schował się nagle w bramie albo za jakąś furgonetką. Rozumie mnie pani? – Długie zdania go wyczerpywały.

Spojrzał na zegarek. Minęło dopiero pięć minut. Zaczął żałować, że jednak nie został w autobusie.

– Tak, teraz już wiem, o co panu chodzi. – Długopis Anji Maly przesunął się po papierze. – W takim razie może jeszcze raz porozmawiamy o wyrzutach sumienia.

Machnął z rezygnacją dłonią.

– Po co? Wiem przecież, że to nie ja podpaliłem las. Ale fakty są, jakie są, i nic ich nie zmieni: nie zauważyłem znaków. Miriam prosiła, żebym nie jechał. Była wściekła, że mimo to chciałem jechać. Była... – Zasłonił oczy dłonią.

„A jedź do diabła, Bernd, skoro nawet w czasie urlopu nie masz dla nas czasu”.

I to właśnie zrobił. Wybrał najprostszą i najbardziej ponurą z możliwych drogę do piekła.

Kiedy uniósł głowę, Anja Maly spoglądała na niego spokojnie i ze współczuciem. Wziął się w garść.

– Nie było mnie tam. I tylko to się liczy. Tej świadomości nie wyleczy żadna terapia. Gdybym nie pojechał wtedy do stadniny, tylko wysłał kogoś innego, moja

rodzina żyłaby dzisiaj. To tak oczywiste jak to, że po dniu zapada noc. Dopilnowałbym, żeby wszyscy na czas uciekli z domu. – Nabrał głęboko powietrza, lecz miał wrażenie, że tlen nie dociera do płuc. – Gdyby tylko pani wiedziała, jak często to wszystko wraca w snach. Czuję zapach dymu i widzę płomienie między drzewami. Nie tracę zimnej krwi. Zaraz otwieram drzwi, wyprowadzam Miriam i budzę dzieci. Lukas i Hanna wybiegają sami, Oscara biorę na ręce. Mamy nawet dość czasu, żeby zabrać najważniejsze drobiazgi. Kiedy ogień jest blisko, my już siedzimy w samochodzie, a droga w dół doliny jest przejezdna. Dziesięć minut później jesteśmy daleko. Miriam zawiadomiła straż pożarną i widzimy, jak jadą z przeciwka, dwie wielkie ciężarówki na sygnale. Zatrzymuję auto pod kościołem i wiem, że wszystko dobrze się skończyło. Odwracam się i serce niemal pęka mi ze szczęścia, bo widzę moje dzieci na tylnej kanapie, całe i zdrowe. Wiem, że postąpiłem dobrze i naprawiłem to, co zniszczyłem. Miriam kładzie mi dłoń na ramieniu, a Lukas pyta: „Tato, myślisz, że przyjedzie jeszcze jedna straż pożarna?”. Wtedy się budzę.

Czuł, że po twarzy ciekną mu łzy, lecz ich nie otarł. Nie miał siły, żeby podnieść dłoń.

– Za każdym razem myślę, że tym razem umrę, że zabije mnie moment, w którym zdaję sobie sprawę, że ich już nie ma, że odeszli na zawsze. Wie pani, co wtedy robię?

Anja Mały pokręciła głową. Była poruszona.

– Proszę, niech mi pan powie.

– Grzebię w tej ranie. Wracam myślami do chwili, kiedy zobaczyłem, co ogień zrobił z moimi dziećmi. Zwęglone, pokurczone... przedmioty. Maleńkie. Wiedziała pani, że pod wpływem takiego gorąca człowiekowi mogą odpaść kończyny?

Jego opowieść wyraźnie nią wstrząsnęła. Sama też miała dzieci – wspomniała mu o tym recepcjonistka. Widział w jej oczach, że nie chce o tym myśleć i nie chce wyobrażać sobie tego, co jej właśnie opowiedział.

– Zawsze jestem pewny, że tym razem już nie przeżyję bólu, który mnie ogarnia. Mam skurcze i problemy z oddychaniem. Ale nic mi nie jest. – Spuścił wzrok i spojrzał na błyszczący drewniany parkiet. – Inni tak łatwo umierają. Zawał serca, rak. A moje serce bije dalej i będzie biło, dopóki sam nie przerwę jego pracy.

Mały odchrząknęła.

– Karze się pan za coś, za co nie ponosi pan odpowiedzialności. Rozumiem, że dopatruje się pan związku między swoją nieobecnością a śmiercią bliskich, ale przecież nie był pan w stanie przewidzieć, że stanie się coś tak tragicznego.

Przerwał jej uniesieniem dłoni.

– Nie mówmy już o tym. Za to w ubiegłym tygodniu spotkało mnie coś niecodziennego. Może to panią zainteresuje.

– Tak?
– Policja odwiedziła mnie w mieszkaniu.
– Doprawdy? Czego chcieli?
– Chodziło o jakąś zamordowaną kobietę. Dziwna sytuacja, bo wypytywali, czy ją znam. Ale nie znałem.
– Czy to spotkanie ma dla pana jakieś znaczenie? Jakie?
Dobre pytanie.
– Nie wiem. Może chodzi o to, że po raz pierwszy od bardzo dawna rozmawiałem z policją? Przyszli we dwoje, mężczyzna i kobieta. Byli bardzo delikatni. – Przerwał, starannie dobierając słowa, które chciał wypowiedzieć. Jak Mały zinterpretuje jego wypowiedź? – To było niemal przyjemne. Rozmawiać o śmierci, która w żaden sposób mnie nie dotyczy.

Szukasz kluczowej postaci. Ma ponad 2000 punktów, nigdy się nie poddaje, tak przynajmniej twierdzi, ma donośny głos i nie znosi sprzeciwu.

Beatrice przeczytała opis „kluczowej postaci” po raz co najmniej dziesiąty z rzędu. Już w pierwszym zdaniu pojawiała się słowo, które nie dawało jej spokoju: punkty. O jakie punkty chodzi, jeśli miał ich dwa tysiące? Punkty za trafienia do celu? Czyżby poszukiwana osoba miała coś wspólnego z bronią?

Potarła czoło. A czy przypadkiem współczynnika celności nie podaje się w procentach? W takim wypadku dwa tysiące procent byłoby kompletną bzdurą. Za to można się pokusić o inną hipotezę: dwa tysiące skrytek. W takim wypadku chodziłoby o wyjątkowo aktywnego geocachera, prawdziwego profesjonalistę. Kogoś, kogo bez problemu dałoby się znaleźć w Internecie.

Do Ciebie należy ocena, czy jego oczy są niebieskie, czy raczej zielone. Na życie zarabia, sprzedając rzeczy, których – jak sam twierdzi – nikt nie potrzebuje. I jest w tym dobry. Ma dwóch synów, jeden z nich ma na imię Felix.

To by znaczyło, że działa w sprzedaży. Może to o takie punkty chodzi? W wielu firmach funkcjonują przecież wewnętrzne rankingi sprzedawców.

Frustrujące. Żadnych, ale to absolutnie żadnych wniosków nie dało się wyciągnąć z tej zagadki. Zero wskazówek. Nawet ostatnie zdanie niczego nie dawało.

Ma dwóch synów, jeden z nich ma na imię Felix.

Tyle że Felix mógł mieć równie dobrze trzy jak i dwadzieścia trzy lata. A chłopców o tym imieniu było w okolicach kilka tysięcy, jak nie więcej. Poirytowana cisnęła ołówkiem na biurko.

– Poprzednie zagadki to była bułka z masłem w porównaniu z...

*I'll send an SMS to the world,
I'll send an SMS to the world,
I hope that someone gets my,
I hope that someone gets...*

Beatrice podskoczyła i rzuciła się na komórkę. Serce waliło jej z taką siłą, że czuła jego bicie w każdej części ciała.

Tyle że wiadomość nie została wysłana przez Ownera. To Achim, który jakoś się dowiedział, że zawiozła dzieciaki do matki, i który postanowił podzielić się z nią swoimi przemyśleniami na ten temat: „Powinni odebrać ci prawo do opieki. Od lat pozbywasz się ich, kiedy tylko możesz. Żadna z ciebie matka!”.

Zranił ją. Urażona skasowała wiadomość i rozejrzała się. Florin patrzył w jej stronę i wyraźnie oczekiwał, że coś powie.

– Przestraszyłam się – mruknęła. – To tylko kolejny SMS od mojego byłego. Schowała komórkę. Cały czas czuła na sobie jego spojrzenie.

– Czekająś chyba na inną wiadomość, prawda? – zapytał w końcu.

Zmusiła się do wzruszenia ramionami.

– To przecież mógł być Owner.

Przez kilka chwil walczyła z pragnieniem podzielenia się z Florinem wiadomością o swojej samowoli. Nie wiedziała, czy powinna w ten sposób nazywać próbę nawiązania kontaktu, ale pewnie tak. Hoffmann wyszedłby z siebie, gdyby tylko do niego dotarło, że bez konsultacji napisała do człowieka podejrzanego o dwa morderstwa.

W końcu miałby dobry powód, żeby wyjść z siebie.

Zmieniła temat.

– Skoro nie możemy popchnąć sprawy w kwestii współrzędnych kolejnego punktu, to może mamy coś w wątku dotyczącym Herberta Liebschera? Ktoś przepytął jego kolegów z pracy?

– Tak, Stefan wziął dwóch ludzi i pojechał popytać. Nie dowiedzieli się niczego interesującego. Trójka z jego znajomych z pracy wiedziała, że jest geocacherem i to na nich skupił się Stefan. Niestety, nic ciekawego z tych rozmów nie wyniknęło.

Beatrice siedziała schylona nad notatnikiem i zamyślona bazgrała w nim jakieś kółeczka.

– Liebscher był geocacherem, to możemy wziąć za pewnik. Za to Papenberg się w to nie bawiła... no, chyba że jej mąż nas okłamał. Tyle że wtedy pojawia się pytanie, dlaczego miałby to robić. Beila nie zdążyliśmy zapytać.

Nie powiedziała tego głośno, ale obawiała się, że nie będzie już okazji, by to

nadrobić.

Przynajmniej po raz piąty tego dnia zadzwoniła żona Christopha Beila. Nie mogła się uspokoić, od kiedy znaleziono jego samochód. Na szczęście Florin przyjął rozmowę i z pozazdrozczenia godną cierpliwością powtarzał to, co przekazał jej wcześniej. Robimy wszystko, co w naszej mocy, żeby odnaleźć pani męża. Zadzwonimy, jeśli będziemy mieli jakiegokolwiek informacje. Przerwał na chwilę.

– Przy okazji, może mogłaby nam pani pomóc. Czy pani mąż kiedykolwiek zajmował się geocachingiem? – Przełączył telefon w tryb głośnomówiący, żeby Beatrice również usłyszała jej odpowiedź.

– To jest... to jest ta zabawa z nawigacją GPS, prawda? – zapytała zapłakana kobieta. – Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia. On miał wiele hobby, więc jeśli się tym zajmował, to mnie nic nie powiedział.

– Nie spędzacie państwo razem wolnego czasu?

Szloch.

– To zależy. On jest znacznie bardziej wysportowany, a ja nie mam nic przeciwko, kiedy wychodzi z kolegami. Beze mnie. Zawsze powtarza, że dystans pomaga utrzymać świeżość w związku.

– To znaczy, że pani nie wie, co robi mąż, kiedy nie ma go w domu?

– Wie pan, zazwyczaj mi potem opowiada. W drugą stronę jest zresztą tak samo, ja też mam swoje hobby.

Beatrice siedziała akurat przed komputerem i przeglądała stronę geocaching.com. Nagle coś jej przyszło do głowy.

– Zapytaj, czy Christoph Beil miał jakieś przydomkowe! – wyszeptała. – Jak koledzy nazywali go w szkole albo jak ona się do niego zwraca. No wiesz, jakiś alias czy nick!

Florin skinął głową, lecz jego rozmówczyni w pierwszej chwili nie zrozumiała, o co mu chodzi.

– Po co wam to? – zapytała. – Co to ma wspólnego z jego zniknięciem i krwią w samochodzie?

Beatrice wskazała na monitor. Florin natychmiast zrozumiał.

– Istnieje możliwość, że pani mąż wykorzystał swój nick do założenia konta na jakimś forum internetowym. Gdyby zechciała nam pani pomóc, nasze poszukiwania stałyby się znacznie bardziej celowe i precyzyjne. Możliwe, że udałoby się nam znaleźć jakiś punkt zaczepienia. Czy pani mąż używał komputera w domu?

Przez głośnik telefonu było słychać, jak Vera Beil ciężko oddycha.

– Tak. Ma laptopa. Wiem, że gdzieś używał nicka Stachelbär.

Na geocaching.com zarejestrowany był tylko jeden Stachelbar. Dodatkowo

Beatrice znalazła również Stachelbeere i Stachelbärle, lecz żaden z nich nie był Christophem Beilem. Stachelbär zanotował znalezienie tylko jednego cache'a, i to w 2009 roku, w skrytce w Berlinie. Stachelbeere okazała się kobietą, która co prawda miała założone konto, ale nigdy aktywnie z niego nie korzystała i nie zgłosiła ani znalezienia, ani ukrycia cache'a. Za to Stachelbärle, który zarejestrował się ledwie pięć miesięcy wcześniej, miał już na koncie dwieście pięćdziesiąt keszy.

– Szkoda tylko, że wszystkie w Badenii-Wirtembergii – mruknęła Beatrice.

Dwie godziny później mieli już w dłoniach laptopa Christopa Beila. Vera Beil przekazała go bez chwili wahania. Przeszukiwaniem dysku zajął się Stefan. Na początek uruchomił przeglądarkę Firefox i sprawdził pasek zakładek. Strona geocaching.com ani nie widniała wśród nich, ani nie znajdowała się w historii sięgającej trzech miesięcy wstecz.

– Przejrzę jeszcze jego mejle – zapowiedział. – Widzę, że najstarsze pochodzą sprzed czterech lat, więc jeśli przez ten czas założył konto na geocaching.com, musiał dostać mejla aktywacyjnego. Dowiedzielibyśmy się od razu, jaki nick sobie wybrał.

Również analiza programu pocztowego nie przyniosła oczekiwanych informacji. Stefan miał rozczarowanie wypisane na twarzy, a jednak starał się wykrzesać z siebie resztki optymizmu.

– Wygląda na to, że Beil nie był geocacherem, ale jeśli nie macie nic przeciwko, przejrzałbym jego korespondencję z kilku ostatnich tygodni. Może znajdę coś, co popchnie nas do przodu. Gdy skończę, wyślę laptop do centralnego laboratorium kryminalistycznego. Oni mają taki sprzęt, że potrafią odczytywać skasowane dane.

Gdziekolwiek spojrzeć, same ślepe uliczki. Również analiza dokumentacji pacjentów Sigarta nie przyniosła niczego nowego. Ani Beil, ani Nora Papenberg nie leczyli zwierząt w jego gabinecie, nawet jeśli jakieś trzymali w domach. Kolejny pomysł spalił na panewce. Na szczęście nie było czasu, żeby się tym zamartwiać, bo akurat jeden ze współpracowników Liebschera podesłał mejlem zdjęcia zrobione w czasie wspólnego wypadu na kręgle. Na kilku z nich widać było ofiarę Ownera z bliska, jak się uśmiecha, ukazując rząd krzywych zębów. Beatrice odruchowo zaczęła zwracać większą uwagę na jego uszy i nieświadoma tego, co robi, zasłoniła swoje lewe ucho dłonią.

– Napije się pani ze mną kawy? – Obok jej biurka zmaterializował się Kossar. I nie zapraszał na kawę ich oboje, tylko ją.

– Przykro mi, ale nie. Jestem zajęta. – Czuła się niepewnie, widząc, w jaki sposób na nią patrzy. Ilekroć któryś ze współpracowników próbował zbliżyć się do niej na innej płaszczyźnie niż czysto zawodowa, ogarniało ją pragnienie, by rzucić się do ucieczki. Skupiła się na zdjęciach Liebschera. Jasnoniebieskie oczy.

Zmieszczą się do naprawdę niewielkiego pojemnika. Skrytki w rozmiarze mikro.

Kossar chyba zauważył, że coś jest nie tak.

– Nie chciałem się narzucać – wyjaśnił znacznie bardziej oficjalnym tonem.

– Uznałem jedynie, że najzwyczajsza rozmowa przy kawie mogłaby nam pomóc znaleźć nową perspektywę w śledztwie. Jeśli teraz jest pani zajęta, chętnie wrócę później i...

I'll send an SMS to the world,

I'll send an SMS to the world,

I hope that someone...

Błyskawicznym ruchem sięgnęła do torebki i wyjęła komórkę. Kolejny SMS. Beatrice otworzyła wiadomość.

Tylko jedno słowo. Wpatrywała się w ekran i powoli zaczynała rozumieć, co oznacza. Możliwe, że się myli. Miała nadzieję, że się myli.

– Złe wieści?

Musiała jak najszybciej wysłać go do diabła! Gdyby pokazała mu wiadomość, ściągnęłaby na siebie dodatkową uwagę. Nie, później go powiadomi. Kiedy sama wszystko przemyśli.

– Sprawy rodzinne. A teraz, jeśli pan wybaczy, chciałabym w końcu trochę popracować.

Przez kilka chwil świdrował ją wzrokiem.

– Sprawy rodzinne... rozumiem. No tak, Hoffmann wspominał o trudnym rozwodzie... Jeśli chciałaby pani na ten temat...

– Nie wiem, czego pan nie rozumie. Czy wyraziłam się niejasno? Mam bardzo mało czasu i muszę wracać do pracy.

– To może my sobie porozmawiamy przy kawie? – zaproponował Florin, po czym wstał zza biurka, podszedł do Kossara i poklepał go przyjacielsko po ramieniu. – Akurat należy mi się przerwa, więc chętnie się czegoś napiję.

Beatrice знаła go na tyle dobrze, by usłyszeć ostrą nutę w jego głosie.

Kossar uśmiechnął się wymuszenie, lecz ona już tego nie widziała. Pojedyncze słowo z ekranu komórki zaprzętało całą jej uwagę:

„Zarchiwizowany”.

Natychmiast otworzyła katalog zakładek w przeglądarce i wybrała OpenGeoWiki. Przebiegła wzrokiem słownik pojęć, aż znalazła właściwe słowo. Miała rację. Zarchiwizować skrzynkę oznaczało tyle, co ją zlikwidować. *Cache* został zlikwidowany i nigdy już nie wróci na swoje miejsce.

Najpierw *disabled*. Teraz zarchiwizowany.

Owner z całą pewnością nie miał na myśli pojemników, które ukrywał dla

policii. To była przerośnięta. Nie miała wątpliwości, że mówił o czymś, czego szukali – a w tej chwili szukali przede wszystkim Christopha Beila.

Zlikwidowany. Pośród ciszy pustego biura Beatrice zastanawiała się, czy Owner chciał im w ten zawołany sposób przekazać, że Beil już nie żyje?

Wieczorem pojechała do gospody rodziców. Dzieci były bardzo zajęte. Jakob, w dzinsach i górze od piżamy, hasał między stolikami i śpiewając radośnie, uzupełniał saszetki z cukrem, a Mina balansowała tacą z butelką wody i dwiema szklankami. Niosąc zamówienie, wpatrywała się intensywnie w szkło, jakby wierzyła, że je zahipnotyzuje i zapobiegnie upadkowi.

Matka Beatrice stała za barem i nalewała piwo.

– Kogo jak kogo, ale ciebie to się dzisiaj nie spodziewałam! – Odczekała, aż piana opadnie do właściwego poziomu, odstawiała kufel i objęła córkę. – Wyglądasz na strasznie zmęczoną. Jesteś głodna? Poczekaj, dam znać André, żeby przygotował ci porcję gołąbków. Są wspaniałe!

Beatrice nie znalazła w sobie dość siły, żeby zaprotestować, a na dodatek żołądek też domagał się uwagi i żądał jedzenia.

– Super. Chętnie coś zjem, chociaż przyjechałam tylko zobaczyć się z dziećmi.

– Zobaczyć? Czyli nie zabierasz ich dzisiaj?

– Nie. Wygląda na to, że jeszcze przez kilka dni będzie tak, jak teraz... Ta sprawa jest bardzo wyjątkowa.

Matka zmierzyła ją obojętnym wzrokiem.

– Nie ma sprawy. Wiesz, że uwielbiam wnuki i chętnie je tu mam.

– Dzięki, mamo.

– Dobrze, to siadaj teraz do stołu, przy dwunastce masz wolne, a ja zaraz podam ci coś do picia.

Jakob rzucił się w jej stronę z chichotem, położył jej na kolanach otwartą saszetkę z cukrem i objął mocno.

– Zostaniesz z nami na noc?

– Nie, kochanie. Koniecznie chciałam was zobaczyć, ale jutro czeka mnie bardzo ciężki dzień i muszę wstać wcześniej.

Zmarszczył czoło i pokiwał głową. Wcielenie wyrozumiałości.

– Zarobiłem pieniądze! – pochwalił się. – Trzy euro czterdzieści pięć centów. Za sprzątanie talerzy i roznoszenie cukru. Babcia powiedziała, że jestem prawdziwym wsparciem.

– O tak, to na pewno. – Przytuliła go mocno. Kątem oka dostrzegła Minę. Córka przyniosła jej wodę i sok jabłkowy.

– Nie przyjechałaś po nas, prawda? – W jej głosie słychać było szczerą troskę.

- Nie. Chociaż bardzo bym chciała. Tęsknię za wami.
- Wiem. My za tobą też. Ale wytrzymasz jeszcze trochę bez nas, prawda?
- Troszkę.
- To dobrze – stwierdziła Mina i zadowolona wróciła za bar.

Jakob wiercił się na kolanach mamy.

– Wujek Richard powiedział, że niedługo cię dopadnie podpalenie zawodowe. Co to jest?

Chwilę jej zajęło, zanim zrozumiała, o czym mówi Jakob.

– Nie, kochanie, nie dopadnie mnie wypalenie zawodowe. A gdzie jest wujek Richard?

– Siedzi przy stoliku dla stałych gości i zbiera pieniądze.

Beatrice spojrzała przez lewe ramię. Tak, to on. Cały Richard. Chował właśnie pieniądze do czarnego portfela, śmiejąc się rubasznie z czegoś, co powiedział zwalisty mężczyzna obok.

– Powinniście iść już spać. Jest po ósmej – szepnęła Beatrice Jakobowi na ucho. – Ja was położę, okej?

– Dobra...

Pokój na poddaszu był równie przytulny jak wcześniej, kiedy sama w nim spała. Położyła dzieci do łóżka i wysłuchiwała ich opowieści o tym, jak minął im dzień, starając się nie myśleć o niczym, co wiązało się z prowadzonym śledztwem. I nie, nie groziło jej wypalenie. Kiedy dopadną Owenera, wystarczy trzydniowy urlop, żeby naładować akumulatory. Dotychczas zawsze tak było.

W głównej sali gospody czekała już na nią wystygła porcja gołąbków i brat z pełną wyrzutów miną.

– Nie wiem, ile ci tam płacą, ale chyba nie aż tyle, żebyś zawałała wszystko inne poza pracą?

Blond włosy lepiły mu się do spoconego czoła. Przytył, od kiedy widzieli się po raz ostatni.

– Oj, Richard, przecież nie chodzi o pieniądze. – Usiadła do jedzenia. Gołąbki rzeczywiście smakowały wyśmienicie, mimo że zdążyły wystygnąć.

– Nie, no pewnie, że nie. Ty przecież ratujesz świat, prawda? – Mimo że puścił przy tym oko, miała ochotę dźgnąć go widelcem w dłoń, którą trzymał na stole. Tak jak dawniej, kiedy podkradał jej z talerza.

– Po południu wpadł Achim. Długo gadaliśmy.

Beatrice omal nie upuściła sztućców.

– Co?!

– Chyba słyszysz. Wiesz, jest w bardzo złym stanie. Przychodzi co pewien czas, ale tylko kiedy ma pewność, że nie wpadnie na ciebie. Mam wrażenie, że podświadomie czeka, aż ktoś z nas mu wyjaśni, dlaczego się z nim rozwiodłaś.

– Richard obracał w dłoniach kartę z deserami lodowymi i przyglądał się jej

zamyślony. – Może przynajmniej nam byś to wyjaśniła? Przecież miałaś świetne życie, Bea. Nie działa ci się krzywda. Achim szalał za tobą i, jeśli mam być szczerzy, do dzisiaj mu nie przeszło.

Niewiele brakowało, a jeszcze nieprzeżuty kęs jedzenia wypadłby jej z ust.

– No pewnie! Wiesz w ogóle, że nawet nie chce ze mną rozmawiać, kiedy przyjeżdża po dzieci? Patrzy na mnie, jakbym była śmierdzącą kupą śmieci, którą ktoś zapomniał sprzątnąć.

Richard otarł czoło serwetką.

– Potrafię to sobie wyobrazić. Ale pomyśl, że to dlatego, że odebrałaś mu wszystko, co było dla niego ważne. Gdybyś mu to zwróciła...

– Chyba nie mówisz poważnie! – Odłożyła sztućce. – Nie jesteśmy dla siebie stworzeni. Nie pasujemy do siebie po prostu. I nigdy nie pasowaliśmy. On chce kogoś, kto dzieliłby jego pasje i śmiał się z tych samych dowcipów. Kogoś, kto kocha gotować i pracuje tylko po to, żeby oszczędzać zarobione pieniądze. – Parsknęła pogardliwie. – Z tobą rozumiałby się znacznie lepiej niż kiedykolwiek ze mną.

– Ale twoje życie byłoby tyle łatwiejsze.

– Tylko że nie takie, jakiego chcę.

Richard zaczął się bawić serwetką i miał ją, jakby chciał kogoś udusić.

– Chodzi o tę sprawę sprzed lat, prawda? Bardzo się po tym zmieniłaś, Bea. Ale zrozum, że w końcu musisz się z tym pogodzić. Nikogo w ten sposób nie przywrócisz do życia...

– Wystarczy, okej?! – Odsunęła talerz, na którym zostało pół porcji gołąbków. – Jestem bardzo wdzięczna mamie, że zawsze mogę na nią liczyć, kiedy nie daję rady. I tobie też, że zajmujesz się dziećmi. Serio. Ale ani o Achimie, ani o tej sprawie sprzed lat, do której pijesz, nie chcę i nie będę rozmawiać. I tyle. – Wstała, zanim wpadł na jakąś bezczelną odpowiedź, pogłaskała go po głowie i przytuliła. – Przecież wszystko jest w porządku. I nie grozi mi wypalenie. Przy okazji, dzięki za nauczenie Jakoba nowego słowa.

– Nie ma o czym mówić. – Odsunął ją od siebie na długość ramion. – Bea, czy jest ktokolwiek, kto potrafi cię zrozumieć?

Uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami.

„O nikim takim nie wiem” – dodała w myślach.

Ruszyła do domu. Jechała powoli, z radiem włączonym nieco głośniejsze niż zazwyczaj. Chciała wziąć prysznic i ze świeżą głową podejść na nowo do etapu czwartego. Tak, tym się dzisiaj zajmie.

Samochód za nią miał źle ustawione reflektory, bo świecił prosto w jej lusterko wsteczne i nic przez niego nie widziała. Poirytowana przyspieszyła, żeby zwiększyć odległość między autami. Na niewiele się to zdało, bo na następnych

światłach znów zatrzymał się tuż za nią. I na kolejnych. I jeszcze jednych.

Beatrice poczuła się nieswojo. Obejrzała się. Czy ten samochód celowo za nią jechał? Nie było nawet mowy, żeby zobaczyć twarz kierowcy, ale może uda się jej dostrzec choćby markę i model auta? Nie, tego też nie.

Na następnym skrzyżowaniu skręciła w lewo, a potem zaraz w prawo. Kierowca samochodu z tyłu postąpił identycznie. Jechał z taką samą prędkością i nie próbował jej wyprzedzić, nawet kiedy z przeciwka nie nadjeżdżał żaden samochód, a ona celowo zwalniała.

Jeszcze dwa zakręty i będzie w domu. Tam się zatrzyma i przyjrzy się kierowcy drugiego auta. Lecz kiedy na następnym skrzyżowaniu skręciła w prawo, kierowca za nią pojechał prosto. Starła się dostrzec choćby profil człowieka za kierownicą, lecz bez powodzenia. Nie mogła również odczytać numeru rejestracyjnego, bo tablica była źle oświetlona. Potrząsnęła głową, zaskoczona własną reakcją. Tak histerycznie nigdy jeszcze nie reagowała. Ciekawe, jakie objawy daje wypalenie zawodowe?

Rany, co za głupoty! Przecież miała jeszcze resztki zdrowego rozsądku, prawda? Powody do niepokoju pojawią się dopiero, jeśli w najbliższych dniach znów zauważy taki samochód w pobliżu. O ile się nie pomyliła, to była honda. Czerwona, czterodrzwiowa.

W tej samej chwili myśli w jej głowie zaczęły gonić jak szalone.

*

Czerwona honda civic. Samochód Nory Papenberg. Siedziała przy stole w salonie i przeglądała zapiski. Nie chciało jej się wierzyć w przypadek, niewinny zbieg okoliczności. W czasie dochodzenia zawsze nadchodził moment, w którym wszystko zaczynało się łączyć w całość. Beatrice była tego świadoma.

Przede wszystkim, czy to na pewno była civic? Widziała ją tylko przez chwilę, od boku. Auto było czerwone, to się zgadzało, i rodzaj nadwozia również. Ale poza tym?

Skupiła się na czymś innym. Z torebki wyjęła zdjęcia wydruków z ostatniego cache'a. Przez kolejne dwie godziny analizowała fotografie i listy, podążając wzrokiem za pismem Nory i przeglądając profile użytkowników na geocaching.com. Miała nadzieję, że trafi w końcu na coś, co uruchomi alarm w jej głowie.

„Ma ponad 2000 punktów, nigdy się nie poddaje” – powtarzała w myślach. Czy dało się ograniczyć wyszukiwanie do użytkowników, którzy zanotowali ponad dwa tysiące odnalezionych skrytek? Najwyraźniej nie. Mimo wysiłków, etap czwarty i tej nocy nie zdradził swojej tajemnicy.

Wezwanie przyszło trzy dni później, w chłodny poranek, ustawicznym dżdżem wypłukany ze wszystkich barw. Telefon zadzwonił w chwili, kiedy dotarła do biura: w pobliżu jeziora Salzachsee znaleziono zwłoki mężczyzny. Trzech wędkarzy zauważyło nagą stopę wystającą spod przybrzeżnych krzaków i wyciągnęło denata na brzeg.

Jadąc na miejsce, Beatrice rozmyślała o żonie Christopha Beila. O tym, że jej Stachelbär nie żyje i że teraz przyjdzie jej zidentyfikować zwłoki. Opis podany telefonicznie przez funkcjonariuszy zabezpieczających teren pasował do zaginionego.

Trzecia ofiara. Spojrzała na Florina, który prowadził.

– Powinniśmy przydzielić ochronę Berndowi Sigartowi.

Beil leżał na brzegu i wyglądał makabrycznie. Z wyjątkiem slipów był zupełnie nagi, a jego ciało w wielu miejscach pokrywały rany. Niektóre z nich były niewielkie, za to głębokie i poszarpane. Jakby jakieś małe zwierzę próbowało dostać się do czegoś schowanego pod skórą denata. Na szyi widać było granatowe ślady duszenia, a twarz była już napęczniała. Nie było najmniejszych wątpliwości, że to on.

– Od czego ma takie otarcia? – zapytała Beatrice.

Drasche nie zaszczycił jej jednak nawet spojrzeniem, nie mówiąc o udzieleniu odpowiedzi. Był zajęty zdejmowaniem odcisków palców Beila. Świetnie. Odszukała wzrokiem lekarza. Mężczyzna stał przy samochodzie, za terenem otoczonym taśmami, i pisał coś schylony nad maską samochodu. Podeszła do niego.

– Dzień dobry. Wiem, że trochę wcześniej na takie pytania, ale przydałyby mi się informacje. Jakiegokolwiek.

Skinął głową, nie przestając pisać.

– Śmierć nastąpiła około trzech dni temu, jednak zwłoki trafiły tu znacznie później. Na całym ciele znajdują się liczne otarcia i głębokie zadrapania, do tego w okolicy lewej części klatki piersiowej rana cięta, powstała w wyniku pchnięcia. Mogła doprowadzić do śmierci denata, ale z całą pewnością był również duszony. Zwłoki zostały znalezione w położeniu na brzuchu, jednak plamy opadowe znajdują się na plecach, co oznacza, że przez około dwa dni leżały w odwrotnej pozycji. – Przerwał i wzruszył ramionami. – W tej chwili nic więcej nie mogę pani powiedzieć.

– Jeśli chodzi o te głębokie rany i zadrapania, to jak pan sądzi, czym mogły zostać zadane?

Lekarz westchnął.

– Nie mam pojęcia. Najprawdopodobniej czymś wyposażonym w zęby,

możliwe, że jakimś rodzajem tępej piły, którą sprawca ciął i skrobał?

– Przed śmiercią?

– Wszystko na to wskazuje.

Beatrice odwróciła się i spojrzała na zwłoki. Beil został poddany torturom, a ona była gotowa założyć się o bardzo dużo pieniędzy, że ktoś chciał wydobyć z niego jakąś informację.

Florin rozmawiał akurat z umundurowanymi funkcjonariuszami, którzy pierwsi dotarli na miejsce znalezienia zwłok. Podeszła więc do trójki wędkarzy, którzy stali bladzi i milczący obok radiowozu i czekali, co dalej. Zobaczyli stopę. Jeden z nich zadzwonił na policję, a pozostali wyciągnęli zwłoki na trawę.

– Tamten gość już nas za to opieprzył – powiedział któryś. – Ale my naprawdę chcieliśmy sprawdzić, czy facet jeszcze żyje. Chcieliśmy pomóc.

– Tamtym się nie przejmujcie – pocieszyła ich. – On po prostu taki jest, to nic osobistego. Na wszystkich wrzeszczy. Czy zwróciliście na coś uwagę? Coś dziwnego albo zaskakującego? Może widzieliście kogoś w drodze nad jezioro?

Wędkarze spojrzeli po sobie i pokręcili głowami.

– Przyjechaliśmy o wpół do szóstej, a o tej porze to tu nikogo nie ma – wyjaśnił najstarszy z trójki, siwawy mężczyzna o włosach sięgających do ramion. – Ale nie, chwila... Jedna rzecz była dziwna... no, to znaczy, w porównaniu z tym trupem, to nie, ale...

– Co takiego?

– Patyki. – Popatrzył na policjantkę, jakby się bał, że go wyśmiej. – Kilka kroków od zarośli, w których był ten facet, leżały na ziemi patyki, takie krótkie, ułożone w słowo.

– Co ty, to nie słowo – przerwał mu młodszy. – Same litery, ale bez sensu. TFTL, tak to chyba szło.

– Nie, TFTH – wtrącił się trzeci.

– Mogę je zobaczyć?

– Nie da rady, bo tam przeciągnęliśmy tego faceta, jak wydostaliśmy go z krzaków.

– Rozumiem... – „Ale nam pomogliście, nie ma co” – dodała Beatrice w myślach. – Mimo to zaprowadźcie mnie, proszę, i pokażcie te gałązki.

Miejsce znajdowało się na terenie otoczonym policyjnymi taśmami, bezpośrednio na brzegu, gdzie ziemia była bardzo miękka. Beatrice przywołała gestem Ebnera, który zebrał gałązki jedną po drugiej i spakował każdą osobno do plastikowych torebek.

– Owner zostawił nam tę samą wiadomość, co zawsze. – Beatrice odciągnęła Florina na bok i przekazała wiadomość. – Podziękował za polowanie. Musimy – przerwała i zamknęła oczy, żeby uporządkować myśli – musimy koniecznie porozmawiać z Konradem Papenbergiem. Popraw mnie, jeśli się mylę, ale moim

zdaniem Beil zginął, bo coś wiedział. Owner go torturował, żeby wyciągnąć z niego, ile naprawdę wie, a potem go zabił. A to, co wiedział, musiało mieć związek z Norą Papenberg.

– Ze współniczką, którą Owner zlikwidował. – Florin patrzył gdzieś w dal, nad wodę. – Tak, też myślę, że tak właśnie było. Możliwe, że Beil wiedział, dlaczego zamordowali Herberta Liebschera.

Dwadzieścia minut później na miejscu znalezienia zwłok pojawił się Hoffmann. Beatrice rozmawiała akurat z wędkarzami i kątem oka przyglądała się przełożonemu, jak patrzy na zwłoki, chodzi dookoła i pyta o coś Draschego. Dopiero potem ruszył w jej stronę.

– Znała go pani?

– Tak jest. Christoph Beil, rozmawialiśmy z nim w ubiegłą niedzielę, a dwa dni później jego żona zgłosiła zaginięcie.

Hoffmann pokiwał ponuro głową.

– Trzecie morderstwo w tak krótkim czasie. To nam zniszczy statystyki z całego roku! Oczekuję, że bardzo przyspieszycie z pracami, koleżanko Kaspary! Na Boga, przecież sprawca daje wam wskazówki i pisze do pani SMS-y! Proszę to w końcu wykorzystać! Dlaczego nie słucha pani porad Kossara?

Beatrice milczała. Wywołanie kłótni miało tyle samo sensu, ile bronienie się przedłużającymi się analizami Kossara. Usprawiedliwienie się przyniosłoby skutek odwrotny do zamierzonego i ostrą reprimendę, którą Hoffmann niechybnie rozpocząłby słowami: „Ja na pani miejscu już dawno...”.

– Weźmie pani dzisiaj udział w sekcji zwłok. Chcę potem zobaczyć raport!

Po tych słowach odwrócił się na pięcie i nie dając jej czasu na odpowiedź, podszedł do Florina, który kuczał przy taśmie i rozmawiał z Draschem, nie odrywając wzroku od denata. Beatrice odprowadziła wzrokiem Hoffmanna. Przez chwilę myślała, że chętnie wzięłaby dziś udział w sekcji jego zwłok.

– Denat to mężczyzna, sto osiemdziesiąt cztery centymetry wzrostu i dziewięćdziesiąt trzy kilogramy, silna budowa ciała, dobrze odżywiony.

Szczupły doktor Vogt spokojnym krokiem obchodził stół sekcyjny, dyktując do mikrofonu swoje obserwacje.

– Na plecach, z wyjątkiem miejsc kontaktu z podłożem, widoczne są stałe, czerwono-fioletowe plamy opadowe, nieustępujące pod naciskiem.

Lekarz kontynuował oględziny zewnętrzne Christopa Beila, a Beatrice sięgnęła do kieszeni białego fartucha pożyczonego od personelu Instytutu Medycyny Sądowej i spojrzała na komórkę. Ostatnia wiadomość, jaką otrzymała od Ownera, brzmiała „zarchiwizowany”. Nie odpowiedział na jej SMS-a. Czyżby nie interesowało go, że wiedzą, kogo rozczłonkował? Cieszył się? Może był zaniepokojony?

– Stężenie pośmiertne już ustąpiło, powieki zamknięte. W okolicach górnych i dolnych powiek punktowe wylewy podskórne. Przechodzę do opisu uszkodzeń skóry. – Vogt zatrzymał się przy ramionach Beila. – W okolicach wewnętrznej części lewego ramienia znajdują się otarcia szerokie na cztery i długie na sześć centymetrów, naruszające górne warstwy skóry. Rana ma nieregularną powierzchnię i głębokość, co wskazuje na użycie przedmiotu o nierównej krawędzi. Obrażenia o tej samej charakterystyce znajdują się po prawej stronie pępka, w obu dołach pachowych i po wewnętrznej stronie lewego uda, pięć centymetrów powyżej kolana.

Vogt opisywał każdą ranę po kolei. Beatrice przymknęła oczy, starając się wyobrazić sobie, jakim narzędziem można w ten sposób uszkodzić skórę. Stępiona tarcza piły? Możliwe, ale otarcia miałyby wtedy większą powierzchnię.

– Na nadgarstkach i kostkach ślady po krępowaniu, wyraźne krawędzie otarć. Na grzbiecie lewej dłoni fioletowa blizna, powstała stosunkowo dawno, o długości dwóch centymetrów.

Blizna, dzięki której go znaleźli. Owner zadał im zagadkę, która doprowadziła ich do Beila, poczekał, aż z nim porozmawiają, a potem sprzątnął go im sprzed nosa.

Tylko dlaczego nie wcześniej? Czy naprawdę chciał sprowokować policję? Czy tym właśnie się kierował? Beatrice przypomniała sobie bajkę o jeżu i zającu. Oni byli zającami, które pędziły aż do opadnięcia z sił. Biegli dokładnie tam, gdzie on im kazał, a mimo to Owner był o krok przed nimi.

Myśl, która męczyła ją od chwili, kiedy dotarła na miejsce znalezienia zwłok, wróciła ze zdwojoną siłą: jeśli to wszystko należało do planu Ownera, trzeba było jak najszybciej objąć ochroną Sigarta.

Sekcja zwłok trwała dwie i pół godziny. Wszystko wskazywało na to, że Beil zmarł na skutek pchnięcia, które przeszło serce. Uderzenie zadane ostrym przedmiotem, najprawdopodobniej nożem, przebiło przednią ścianę klatki piersiowej, worek osierdziowy, przednią oraz tylną ścianę serca. Beil wykrwawił się wewnętrznie.

– A ślady duszenia? – Beatrice wskazała na sine pręgi biegnące dookoła szyi denata.

– Mamy tutaj dwie pręgi powstałe w wyniku zadziergnięcia pętli, które mogą świadczyć o próbie powieszenia denata, lecz żadna z tych prób nie zakończyła się zgonem.

– Aha... a jak pan je interpretuje?

– Albo ofiara sama próbowała popełnić samobójstwo, jednak bez powodzenia, albo morderca nie mógł się zdecydować na jedną metodę. Zna pani może *Uprowadzenie z seraju* Mozarta? „Najpierw ścięty, potem powieszony

i jeszcze nadziany na gorące pręty...” – zaśpiewał zaskakująco pełnym i głębokim głosem.

Beatrice знаła wielu medyków sądowych i ich niecodzienne poczucie humoru, jednak widok doktora Vogta śpiewającego przy stole sekcyjnym z otwartym ciałem Beila, którego wątrobę asystent układał właśnie na wadze, sprawił, że najchętniej wybiegłaby z sali.

– Dwie pręgi? Dlaczego?

Vogt przerwał swój występ.

– Zgadza się, widać dwie pręgi. Albo po jakimś czasie pętla się zsunęła, albo ktoś dwukrotnie próbował go powiesić.

Wzruszył ramionami i spojrzął na Beatrice, przekrzywiając głowę.

– Ale to pani musi ustalić, kto, po co i dlaczego tak postąpił.

Zbliżała się siedemnasta, kiedy stanęli przed wejściem do domu, w którym mieszkał Bernd Sigart, i zadzwonili domofonem. Długo czekali, zanim im otworzył.

– Musicie wybaczyć, ale spałem. – Był przerażająco blady, a prawą stronę twarzy przecinała głęboka, czerwona pręga – najwyraźniej odcisk poduszki.

– Proszę, niech państwo wejdą.

Usiadł na brzegu rozkładanej kanapy i powoli włożył skarpetki.

– Bardzo mi przykro, że pana obudziliśmy – powiedział Florin.

– Nie ma o czym mówić. Może dzięki temu uda mi się zdrzemnąć na kilka godzin w nocy. – Spojrzął na nich. – Biorę tabletki. Lekarka zapisała mi jakieś nowe, po których robię się strasznie zmęczony, ale, niestety, tylko za dnia.

– Wskazał na rozkładane krzesła, które, jak się domyślali, stały tam jeszcze od ich ostatniej wizyty.

– Chcielibyśmy zapytać, czy w ciągu ostatnich kilku dni nie zauważył pan może czegoś dziwnego? – zapytał Florin. – Czy coś pana zaniepokoiło? Może zaskoczyło?

Sigart zmarszczył brwi.

– O co konkretnie panu chodzi?

– To tylko przykład, ale czy ktoś panu groził? Może zaczęły się głuche telefony? Albo w skrzynce znalazł pan anonimową wiadomość? Przyszedł dziwny SMS?

Wzrok Sigarta pozwalał przypuszczać, że najdziwniejszą rzeczą, jaka mu się ostatnio zdarzyła, to pytania Florina.

– Nie.

– To dobrze. Prosiłbym o natychmiastowy kontakt, jeśli cokolwiek podobnego się wydarzy. Proszę otwierać drzwi tylko tym, których pan dobrze zna, i którym pan ufa. I natychmiast dzwonić, nawet jeśli coś tylko wyda się panu

podejrzane.

Sigart otrząsnął się z resztek snu i całkowicie oprzytomniał.

– Co się dzieje?

Od samego początku wiedzieli, że to pytanie musi paść, więc w czasie jazdy ustalili, że odpowiedzą na nie tak, żeby jak najmniej go zaniepokoić. Beatrice nabrała powietrza.

– Dopuszczamy możliwość, że osoba, która zamordowała Norę Papenberg, znajduje przyjemność w zabijaniu. Dlatego uważamy, że wszyscy, którzy w jakikolwiek sposób są powiązani z tą sprawą, powinni zachować daleko idącą ostrożność.

Powoli skinął głową.

– A co konkretnie się wydarzyło?

– Jak już wspomniałam, istnieją przesłanki każące sądzić, że ten człowiek dalej stanowi zagrożenie.

Sigart wydawał się zainteresowany, ale nieprzesadnie.

– Przesłanki? Jakie przesłanki?

– To nie ma w tej chwili znaczenia. Najważniejsze, żeby...

– Wcześniej, w wiadomościach... – Przerwał jej i wskazał poznaczonym bliznami palcem na stare radio. – Słyszałem, jak mówili, że nad jeziorem Salzachsee znaleziono zwłoki. Dziś rano. Czy to miała pani na myśli, mówiąc o przesłankach?

Kolejne morderstwo nie mogło pozostać niezauważone przez prasę, lecz z całą pewnością nikt nie wiązał go na razie ze sprawą Nory Papenberg. Ale Sigart nie był głupi. Wyczytał odpowiedź z ich twarzy i skinął głową.

– Całkiem przekonująca przesłanka, nie powiem. Rozumiem, że się boicie, że ja mogę być jego kolejną ofiarą, tak?

– To może wynikać z chorej logiki, według której dotychczas postępował – odpowiedział Florin. – Nie posiadamy wystarczającej wiedzy na temat jego motywów, ale w pewien sposób doprowadził nas prosto do pana, podobnie jak wcześniej do człowieka, którego zwłoki znaleźliśmy dziś rano. Dlatego chcielibyśmy objąć pana ochroną policyjną.

– Mnie? – Spojrzał na nich całkowicie zaskoczony. – Prawdę mówiąc, nie potrafię sobie wyobrazić, żeby ktokolwiek miał interes w zabijaniu mnie – powiedział w końcu. – Przecież i tak już jestem jedną nogą po drugiej stronie. To, czy siedzę w tej norze, czy leżę w trumnie na cmentarzu, nie robi nikomu najmniejszej różnicy. Nawet dla mnie to bez znaczenia.

– Rozumiem, że może się pan tak czuć – powiedziała Beatrice. – Tyle że jeśli sprawca działa tak, jak podejrzewamy, takie podejście nic panu nie da. Proszę się zastanowić: czy ktokolwiek mógłby zyskać na pana śmierci?

– Chyba tylko firma pogrzebowa. Wszystkie pieniądze, jakie po mnie

zostaną, zapisałem Stowarzyszeniu Psychologicznej Interwencji Kryzysowej.

Przez jego twarz przemknął cień uśmiechu.

– Nie chodziło mi o zysk czysto materialny. Może jest pan w posiadaniu informacji, które mogłyby komuś zaszkodzić? – Wytrzymała jego wzrok i nie odwróciła głowy. – Podejrzewamy, że ostatnie morderstwo zostało dokonane właśnie z tego powodu. Może przychodzi panu do głowy ktoś, kogo mógłby pan wpędzić w kłopoty, ujawniając swoją wiedzę?

Jeszcze zanim pokręcił głową, w jego oczach dało się dostrzec zaprzeczenie.

– Jeśli chcecie, mogę sporządzić dla was listę osób, które karmią psy czekoladą, bo myślą je z dziećmi. Albo podać nazwiska właścicieli papug, które mieszkają w karygodnie małych klatkach. Przykro mi, nie mam żadnych innych haków na nikogo. Czego właściwie ode mnie oczekujecie? Że wymyślę coś na poczekaniu?

Florin położył na stole zdjęcie dołączone do zgłoszenia zaginięcia Christopha Beila.

– Czy kiedykolwiek wcześniej widział pan tego człowieka?

Pełne rezygnacji westchnienie. Sigart spojrzał błagalnie na Beatrice, jakby szukał u niej ratunku, ale w końcu zrezygnowany wzruszył ramionami i pochylił się nad zdjęciem. Długo mu się przyglądał – na tyle długo, że policjantka zaczęła mieć nadzieję.

– Nie – oznajmił w końcu. – Nie znam tej twarzy. Próbowałem sobie przypomnieć, czy znałem kogoś podobnego, ale nie. Pierwszy raz go widzę.

– Proszę spojrzeć jeszcze na tego człowieka. – Florin pokazał mu kolejne zdjęcie. – Może jego pan zna?

– Dlaczego pan o niego pyta? Czy też należy do grona zagrożonych? Czy może ma to już za sobą? – Przysunął zdjęcie. – Prawdę mówiąc, naprawdę nie rozumiem, czego ode mnie oczekujecie. Nie mam z waszym śledztwem absolutnie nic wspólnego. Nie znam żadnej z osób, które zostały zamordowane, i nie czuję się zagrożony. Zresztą nawet gdyby było inaczej, to moje życie zakończyło się w chwili, kiedy straciłem rodzinę. Zostawcie mnie już w spokoju.

Beatrice zalała fala współczucia i gniewu. Nie mogło być przecież tak, że każdy ślad, na jaki dotychczas trafili, prowadził donikąd. Głęboko wierzyła, że coś musiało łączyć wszystkie ofiary.

Zamilkła na chwilę. Czy aby na pewno? Czy nie mogło być na przykład tak, że sprawca losowo wybierał nazwiska z książki telefonicznej i wyszukiwał informacje na ich temat, żeby potem bawić się, obserwując, jak policja drepcze w miejscu, nie mogąc ustalić, co łączy wszystkie zamordowane osoby? Ta myśl podcięła jej skrzydła. Jeśli tak było w rzeczywistości, polowanie na sprawcę może trwać w nieskończoność.

Spojrzała na Sigarta, który siedział pochylony na krześle i wyglądał przez

okno, na szarą betonową ścianę naprzeciwko. Zdecydowana większość osób, które na jakimś etapie życia doznają takiej traumy, albo z biegiem lat godzi się z losem i uczy się żyć od nowa, albo ucieka w samobójstwo.

– Wie pani – zaczął, znów niemal się uśmiechając. – To by mi oszczędziło wysiłku. Morderca. Aż dziwne, że wcześniej o tym nie pomyślałem. Rozważałem autobus, skalpel, zastrzyk... ale tego nie. – Spojrzał na nią. – Jako weterynarz uspiłem wiele zwierząt i chętnie odszedłbym tak, jak one. Spokojnie.

Rozumiała, że jest już zmęczony życiem, ale w ten sposób niewiele im pomoże.

– Mój kolega wspomniał już, że chcielibyśmy objąć pana ochroną policyjną. Do tego potrzebujemy jednak pana zgody.

– Rozumiem, że się o mnie boicie, i potrafię to docenić – mówił, jakby naprawdę tak myślał. – Ale nie dam na to zgody. Chcę spokoju, a z policją pod drzwiami byłoby o to ciężko.

Właśnie takiej odpowiedzi się obawiali.

– Czy ma pan telefon komórkowy?

Spojrzał na nią zaskoczony.

– Tak.

– Dobrze, podyktuję panu mój numer i numer mojego partnera. Jeśli poczuje się pan zagrożony, proszę natychmiast do nas zadzwonić. Nie na numer alarmowy, tylko bezpośrednio do któregoś z nas, bo my wiemy, co się dzieje.

Sigart zamrugał, jakby coś mu wpadło do oka, a potem odwrócił głowę.

– Dziękuję. Ale nie mogę pani obiecać, że skorzystam.

Mimo to zapisał w pamięci telefonu oba numery, a kiedy to robił, Beatrice usiłowała dostrzec inne wpisy w książce kontaktów. Bez powodzenia.

– Od czasu do czasu pojawi się tu jakiś funkcjonariusz, żeby sprawdzić, jak się pan czuje – powiedział Florin i wstał. – I bardzo proszę, niech pan na siebie uważa.

Sigart wzruszył ramionami. „Jak grochem o ścianę” – pomyślała Beatrice. „I tak zrobi to, co chce”. Wstała i ruszyła do wyjścia, lecz kiedy była już w drzwiach, coś przyszło jej do głowy. Nawet jej pomysł wydał się bardzo nietypowy, ale interesowało ją, jak Sigart zareaguje.

– Jeśli nie ma pan nic przeciwko, chciałabym porozmawiać z pana terapeutką. Do tego muszę poprosić pana o wyrażenie zgody – wypaliła.

Zawahał się. No proszę, zatem były jednak rzeczy, których nie traktował z obojętnością.

– Czego się pani spodziewa po takiej rozmowie?

– Staram się sprawdzać każdą możliwość i mam nadzieję, że w końcu się uda. Coś pana łączy z tą sprawą, a ja chciałabym ustalić, co.

Poparzoną lewą dłonią ścisnął palce zdrowej, prawej.

– Pani jest bardzo ambitna, prawda?
Tym pytaniem zbił Beatrice z pantafelku.
– Powiedziałabym, że... dociekliwa. Tak myślę.
I znów ten cień uśmiechu.
– To dobrze. Pamiętam jeszcze, jak to jest. – Błędym językiem zwilżył usta.
– Nie mam nic przeciwko takiej rozmowie. Moja terapeutka nazywa się Anja Maly i prowadzi gabinet przy Auerpergstrasse. Uprzedzę ją, że wpadniecie.

– Nie byłeś zbyt rozmowny – stwierdziła Beatrice, kiedy zmierzali do samochodu.

– Wiem. Skupiłem się na obserwowaniu Sigarta. Był inny niż w czasie ostatniej wizyty. Zmienił się. Starłem się zrozumieć, na czym ta zmiana polegała.

– No i?

Florin się zawahał.

– Wiesz, tylko ja nigdy nie studiowałem psychologii. Dzisiaj pomyślałem, że Sigart bardzo mi kogoś przypomina. A konkretnie wujka, który już nie żyje.

Beatrice otworzyła drzwi od strony pasażera, ale nie wsiadła. Odwróciła się i spojrzała na niewielki balkon należący do mieszkania Sigarta.

– Twój wujek popełnił samobójstwo, prawda?

– Właśnie. Pod koniec życia był zupełnie odprężony, a wcześniej wszystko rozdał. Potem odszedł. Wydaje mi się, że Sigart jest już bardzo blisko tego punktu. Może powinniśmy wysłać go na obserwację?

Tak, trafiliby na oddział psychiatryczny jako osoba bezpośrednio zagrożona samobójstwem. Kusząca myśl – Sigart otrzymałby profesjonalną pomoc i jednocześnie znalazłby się poza zasięgiem Ownera. Naprawdę kusząca myśl.

Do później nocy siedzieli w biurze. Beatrice rozłożyła przed sobą zdjęcia wszystkich zagadek, które przesłał im Owner. Chórzysta. Pechowiec. Kluczowa postać. Szukała podobieństw, różnic i ukrytych znaczeń. O wpół do jedenastej ze zmęczenia łzawiły jej oczy.

– Dobra, jadę do domu. Padam...

„...ze zmęczenia” – chciała powiedzieć, ale nie zdążyła, bo Sting okazał się szybszy i w tej samej chwili obwieścił wysłanie w świat kolejnego SMS-a. Telefon miała w torebce, a kiedy pospiesznie sięgnęła, by go wydobyć, zrzuciła wszystko na ziemię. Połowa zawartości torebki rozsypała się po podłodze. Wciąż słychać było sygnał wiadomości.

Oby to nie dotyczyło dzieci! I żeby tylko Owner ich nie...

Przeczytała wiadomość i zmartwiała.

A jednak musiała wydać z siebie jakiś dźwięk, bo przez grubą całun nagle oddzielający ją od rzeczywistości zauważyła w końcu jego niepokój.

– Bea?

Nie zareagowała. Najpierw musiała poukładać wszystko w głowie i zapanować nad myślami. Numer nadawcy rozpoznała już na pierwszy rzut oka: karta prepaidowa, która tkwiła w komórce Nory Papenberg. W końcu zrozumiała: to odpowiedź na jej wczorajszą wiadomość. Piłeczka została odbita. Coś wiesz? Świetnie. Ja też.

„Duszo człowiecza, Tyś jest jak woda! Losie człowieczy, Tyś jest jak wiatr!¹ Poszukajmy ofiary. Evelyn R. R.I.P.”.

W pierwszym odruchu chciała skasować wiadomość, ale się powstrzymała. „Poszukajmy ofiary”. O Boże!

– Bea?! Co się dzieje?

Bez słowa podała mu komórkę. Wiedziała, że natychmiast rozpozna numer Ownera. Nie spuszczała z niego wzroku, kiedy ze zmarszczonym czołem odczytywał wiadomość.

– Goethe.

– Tak. *Śpiew duchów nad wodami*. – Oparła czoło na dłoniach. Skąd Owner wiedział?

– Kim jest Evelyn R.?

Jest końcem beztroski. Jest granicą. Jest punktem zwrotnym.

– Ona nie żyje. – To nie była odpowiedź na jego pytanie, ale nie mogła wydusić z siebie ani słowa więcej. Skąd Owner wiedział o Evelyn?

Przypomniała sobie samochód ze zbyt wysoko ustawionymi światłami, który poprzedniego wieczoru jechał za nią prawie pod dom. Myśl o spędzeniu samotnej nocy w pustym mieszkaniu sprawiła, że poczuła się nieswojo.

Zganiła się w duchu za samo wspomnienie przytulnego pokoju gościnnego w apartamencie Florina i zajęła się podnoszeniem rozsypanych drobiazków do torebki.

– Oddasz mi komórkę?

– Bea! – Ani na chwilę nie spuszczał z niej wzroku. – Wyjaśnij mi, proszę, co to ma znaczyć? To nie jest już slang keszerów, tylko coś osobistego, prawda?

– Na to wygląda.

– Na to wygląda? – Wyraźnie poirytowanym gestem odsunął włosy z czoła.

– Nie masz obowiązku opowiadania mi o swoim życiu i prywatnych sprawach, ale tu wyraźnie wszystko miesza się ze śledztwem, nad którym razem pracujemy. Byłoby naprawdę dobrze, gdybym potrafił zrozumieć wiadomości przesyłane nam przez sprawcę przynajmniej trzech morderstw.

Poukładać. Poukładać w głowie wszystko, co w niej teraz krążyło. Zaraz. Natychmiast, kiedy zostanie sama.

– Wysłałam Ownerowi wiadomość, a to najwyraźniej jego odpowiedź.

Florin zmrużył oczy.

– Co zrobiłaś?!

– Tak, wiem, to była niesubordynacja i samowola. Nie uzgodniłam tego z nikim. Zrobiłam to spontanicznie, kiedy byliśmy w mieszkaniu Liebschera i znaleźliśmy litery na ekranie telewizora. Poinformowałam go, że ustaliliśmy tożsamość człowieka, którego fragmenty przesyłał nam w pojemnikach w skrytkach. Napisałam tylko „Herbert Liebscher”, to wszystko. Powinien wiedzieć, że jesteśmy coraz bliżej i że możemy nawiązać dialog. Im częściej będzie się do nas odzywał, tym bardziej prawdopodobne, że popełni błąd.

Przyglądała się jego twarzy, szukając w niej zrozumienia, lecz Florin miał nieprzeniknioną minę, a spojrzenie, choć zmęczone, było bardziej surowe niż zazwyczaj.

– Zdajesz sobie sprawę – powiedział powoli – że w ten sposób przystałaś na jego reguły gry, a nie on na nasze? Abstrahując od tego, że nie powiadomiłaś nikogo z zespołu, Bea, to ty przyjęłaś jego zaproszenie, pisząc tamtego SMS-a. Postawiłaś się w roli przeciwnika. I ani trochę mi się to nie podoba. – Podał jej komórkę. – Widzisz chyba, że dla niego to jakaś osobista rozgrywka. Wziął się do roboty i już wie o tobie więcej niż ludzie, z którymi pracujesz na co dzień.

Zgoda, miał prawo tak to oceniać. W ten sposób rzeczywiście stała się jego przeciwnikiem. Palily ją oczy. Zamknęła powieki i zaczęła je masować.

– Evelyn była moją koleżanką z uniwersytetu – zaczęła, obserwując wirujące w ciemności kolorowe punkciki. – Razem wynajmowałyśmy mieszkanie. Potem zmarła. – Beatrice otworzyła oczy i spojrzała na Florina. – Ona była na germanistyce, ja na psychologii. Żadna z nas nie ukończyła studiów.

Nie zadał pytania, które cisnęło mu się na usta.

– W obecnej sytuacji byłoby bezpieczniej, gdybyś nie zostawała sama, dopóki nie dopadniemy Ownera – powiedział. – Mam dość duże mieszkanie, żebyś mogła...

– Nie.

Zamrugał i po chwili odwrócił głowę.

– Jak chcesz. Ale zrób to dla mnie i zamelduj się, kiedy będziesz już bezpieczna w domu i zamkniesz drzwi na zamek. Zostaw komórkę obok łóżka. Masz uruchomione szybkie wybieranie? Zapisz w nim sobie numer do centrali.

– Dobrze. – Wstała i przewiesiła przez ramię pasek torebki. – Ty też nie siedź do późna. To był długi dzień.

W drodze na parking Beatrice co kilka kroków oglądała się przez ramię. Nikt za nią nie szedł i nikt nie jechał, kiedy już samochodem zmierzała do domu, częściej spoglądając w lusterko wsteczne niż przez przednią szybę.

Zrobiła dokładnie to, o co poprosił ją Florin: zamknęła za sobą drzwi, przekręciła wszystkie zamki i zasunęła stary skobel, którego jeszcze ani razu nie

użyła. Gdyby ktoś bardzo chciał wejść, takie zabezpieczenie na nic by się nie zdało, a jednak poczuła się lepiej, że wykorzystwała wszelkie możliwości zabezpieczenia. Potem sprawdziła, czy wszystkie okna są pozamykane, i zasunęła zasłony. Następnie zwała buty z nóg, padła ciężko na kanapę i wbiła wzrok w sufit.

Evelyn. Nie trzeba było wiele wysiłku, żeby w archiwum każdej gazety znaleźć informacje o tamtej sprawie. Za to znacznie trudniejsze było powiązanie jej, Beatrice, z tamtymi wydarzeniami. Nie rozmawiała z dziennikarzami, a przede wszystkim nosiła wówczas inne nazwisko. Mimo to Owner zdołał poskładać dostępne informacje w całość.

Poczuła, że opadają jej powieki. Nagle wyprostowała się i otworzyła szeroko oczy. Czyżby coś usłyszała?

Nie. Cisza. Mimo to uspokoiła się dopiero po sprawdzeniu wszystkich pokoi po kolei. Nie znalazła w nich niczego poza zwyczajną mieszaniną porządku i chaosu. Dopiero wtedy zadzwoniła do Florina.

– Dotarłaś bezpiecznie do domu, tak? – Ciągle jeszcze siedział w biurze. Gdzieś w tle słyszała stukot klawiatury.

– Tak. Nikt za mną nie jechał i nikt nie czaił się w mieszkaniu. Wszystko w porządku.

– To dobrze. Wiesz, że gdyby działo się coś dziwnego...

– Florin, jestem policjantką! Potrafię na siebie uważać. – Nawet dla niej zabrzmiało to przekonująco. Dopiero teraz, po raz pierwszy od powrotu z pracy, poczuła się odprężona.

Noc minęła zaskakująco szybko. Ledwie dotknęła głową poduszki, rozległ się sygnał budzika. Spała jak zabita. Komórka milczała przez całą noc.

– Wyślij patrol do Sigarta, niech sprawdzą, czy u niego wszystko w porządku. – Beatrice oparła się o biurko Stefana i podała mu karteczkę z adresem weterynarza. – A potem postaraj się zrozumieć coś z etapu czwartego, co? Ja już nic więcej nie wymyślę, bo nie widzę tam nawet odrobiny sensu, ale może ktoś ze świeższym spojrzeniem przeanalizuje to na spokojnie, okej?

Stefan przeczesał palcami rude włosy i spojrzał na nią urażony.

– Serio założyłaś, że jeszcze nie próbowałem się z tym zmierzyć? W wydziale spraw obywatelskich urzędu miasta poprosiłem o przygotowanie listy wszystkich mieszkańców okolic do czterdziestego roku życia, którzy mają na imię Felix.

Kilka lat wcześniej Beatrice postąpiłaby w ten sam sposób. Jednak wraz z upływem czasu nabrała doświadczenia i wiedziała już, że takie listy mogą być pomocne jedynie wtedy, kiedy człowiek wie, czego właściwie szuka. Mimo to uznała, że warto przejrzeć takie zestawienie.

Kątem oka dostrzegła Kossara. Szedł w jej stronę. Westchnęła.

– Trzymaj się, Stefan.

Kossar stanął w drzwiach jej biura i czekał na nią, spoglądając tęsknym wzrokiem na ekspres do kawy. Beatrice nie zamierzała niczego mu proponować, by nie przedłużyć jego pobytu. Zupełnie nie miała ochoty na jego towarzystwo. Wystarczyło jej, że będzie musiała pomówić z nim o swojej przeszłości.

– Owner przysłał mi kolejną wiadomość. Wczoraj. Proszę. – Przepisała tekst na komputerze i wydrukowała.

Kossar przebiegł wzrokiem treść SMS-a, usiadł i przez dłuższą chwilę wpatrywał się w kartkę.

– Wyjaśni mi pani, kim jest Evelyn?

– To moja nieżyjąca przyjaciółka. I współlokatorka. – Z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu łatwiej jej było rozmawiać o przeszłości z Kossarem niż z Florinem. Nie odbierała tego osobiście, przynajmniej dopóki mówiła o ogólnych faktach.

– Z tego wszystkiego wnoszę, że nie zmarła śmiercią naturalną, prawda?

W bezpośredniej rozmowie zachowywał się bardzo profesjonalnie. Nie musiała niczego tłumaczyć, wystarczyło, że skinęła głową.

– Rozumiem. To, że Owner o niej wie, to jedno, ale to, że chwali się tym przed panią, to coś zupełnie innego. Potwierdza tym samym naszą hipotezę, że chce pokazać swoją wyższość. I proszę mnie poprawić, jeśli się mylę – spojrzał na policjantkę, jakby szukał w jej oczach jakiejś informacji – ta wiadomość trafiła panią w czuły punkt, prawda?

Zawahała się, ale w końcu potaknęła.

– Sprawca chce pokazać, że może zadać pani ból. Pewnie bardzo żałuje, że nie widział pani reakcji, ale w tej sytuacji nie wykluczałbym, że stara się krążyć gdzieś w pobliżu.

Beatrice cieszyła się, że Florin wyszedł gdzieś z biura i nie usłyszał słów Kossara. Nie zdziwiłaby się, gdyby chciał dać jej ochronę, na którą nie zgodził się Sigart.

– Dobra. To może pokusi się pan o jakąś niezobowiązującą prognozę: jaki będzie jego następny krok? – zapytała.

– *Well...* – Kossar zamaszystym gestem zdjął okulary. – Moim zdaniem będzie realizował swój plan, choć na razie nie jestem w stanie powiedzieć, na czym on polega. Dla mnie wygląda to jak wielkie dzieło, inscenizacja, jakiś rodzaj psychopatycznego przedstawienia. W Stanach Zjednoczonych było kilka przypadków, w których sprawcy działali według podobnego schematu. Od dwóch dni porównuję różne sprawy, szukając paralelnych. – Zadowolony z siebie oparł się wygodniej i założył okulary. – Nawiasem mówiąc, nic pani nie grozi. Pani jest dla niego tylko publicznością. Pozbawienie pani życia byłoby działaniem na swoją szkodę.

Dobrze wiedzieć. Beatrice zmusiła się do uśmiechu.

– Dziękuję za analizę. Myśli pan, że powinnam mu coś odpisać?

Kossar wyjątkowo długo zwlekał z odpowiedzią.

– Tylko coś mądrego może go zainteresować. Coś zaskakującego, tak jak jego wczorajsza wiadomość.

Beatrice nie czuła głodu, lecz z rozsądku poszła do policyjnej stołówki i kupiła kanapki. Wracając, zajrzała do Stefana.

– Nasi podjechali do Sigarta, wszystko jest w porządku. Chłopcy powiedzieli, że wyglądał, jakby był chory, i nie przywitał ich zbyt serdecznie, ale poza tym nic mu nie jest.

To by znaczyło, że jest coraz bliżej podjęcia ostatecznej decyzji. Przymusowe leczenie! Koniecznie trzeba przyspieszyć wystawienie nakazu przymusowego leczenia.

– Poza tym zastanawiałem się również, co mogą oznaczać wskazówki dotyczące tej „kluczowej postaci”, którą mamy znaleźć. Sprzedaje rzeczy, których nikt nie potrzebuje. Może chodzi o ubezpieczenia?

Beatrice już dawno nie wybuchła tak spontanicznym śmiechem.

– Stefan! To bardzo poważny zawód i ludzie potrzebują ubezpieczeń! A ty właśnie zmieszałeś wszystkich agentów z błotem.

– Pewnie masz rację. Ale myślałem właśnie o czymś w tym kierunku. Sprzedaż bezpośrednia albo telefoniczna, rozumiesz? Może nie chodzi wcale o ubezpieczenia, tylko na przykład o odplamiacze? Wciska ludziom abonament na czasopisma, piasek na pustyni, puste słowa...

Puste słowa... Hasła? Slogany reklamowe? Całkiem możliwe, że działał w branży reklamowej. W takim wypadku mieliby pierwsze podobieństwo z Norą Papenberg.

– Całkiem niegłupi pomysł. Świetna robota, Stefan, tak trzymaj.

Policjant uśmiechnął się szeroko, skinął głową i zniknął w drzwiach swojego biura. Kiedy Beatrice wróciła do siebie, zastała Florina ze słuchawką przy uchu i zamkniętymi oczyma. Nie minęło nawet dziesięć sekund, a zorientowała się, kto jest po drugiej stronie: Vera Beil. Poprzedniego dnia pojechała zidentyfikować zwłoki męża i doznała załamania nerwowego. Szok i problemy z sercem. Trafiła zaraz do szpitala i najpewniej stamtąd właśnie dzwoniła – po raz trzeci tego dnia, lecz dopiero teraz udało jej się połączyć z Florinem, a z nikim innym nie chciała rozmawiać.

– Cokolwiek – powiedział w końcu. – Proszę spróbować sobie przypomnieć cokolwiek. Co powiedział, kiedy wybiegał z domu? I co mówił w niedzielę wieczorem?

Beatrice spojrzała na ekran komputera. Dostawca usług

telekomunikacyjnych przesłał mejla, z którego wynikało, że ostatnie połączenie ze wskazanej karty prepaidowej zostało wykonane poprzedniego wieczora o dwudziestej drugiej trzydziści cztery, a komórka zalogowała się do stacji przekaźnikowej na salzburskiej starówce.

Poczuła ulgę, bo miała rację – nikt jej nie śledził. Dalej mogła ufać swojej intuicji. Niestety, równie niezawodna okazała się przezorność Ownera – ani razu dotychczas nie zalogował się do sieci w tym samym miejscu.

Popołudnie mijalo bez gwałtownych zwrotów akcji i leniwie zmieniało się w wieczór. O ósmej odbyła się odprawa zespołu. Żadne z obecnych nie miało nic ciekawego do przedstawienia i nikt nie potrafił podsunąć żadnych nowych pomysłów.

– Dobra, utknęliśmy – przyznał w końcu Florin. – Etap czwarty to twardy orzech do zgryzienia. Ani żona Beila, ani Konrad Papenberg nie znają nikogo, do kogo pasowałyby określenie „kluczowej postaci”. Musimy skupić się na mrówczej pracy i przeanalizować dwie wskazówki...

Przerwał mu sygnał komórki Beatrice. Tym razem nie była to melodia piosenki obwieszczającej nadejście SMS-a, lecz dzwonek połączenia.

– Przepraszam – mruknęła, wyjęła komórkę i ruszyła w stronę drzwi.

Nie знаła numeru z ekranu, ale to raczej dobrze, bo takie telefony dało się szybko załatwić.

– Kaspary.

Wycie, jęki. W tle łomot. Ścisnęła komórkę.

– Kto mówi?

– Pomocy! – Męski głos, zachrypnięty i urywany. Mimo że rozmówca szlochał, Beatrice była przekonana, że to Bernd Sigart.

– Pan Sigart? To pan?

Wszyscy w pokoju odwrócili się w jej stronę. Florin gwałtownie gestykulował, jakby naciskał coś kciukiem. Beatrice zrozumiała i przełączyła telefon w tryb głośnomówiący.

– Pomocy! – zawył. – On chce... – Nie dokończył, bo jego słowa przeszły w histeryczny krzyk, po którym rozległ się łomot, jakby przewróciła się cała szafa. Potem kolejny huk i stłumione jęki. Ktoś musiał zasłonić mikrofon dłonią. Trzask, potem szuranie i z głośnika znów popłynęły wyraźne głosy. Wrzaski Sigarta wypełniły całą salę odpraw.

– Nie! Przestań! Błagam, nie!

– Gdzie pan jest?! – krzyknęła Beatrice.

Sigart nie odpowiedział. Policjantka usłyszała jedynie głucho uderzenie, serię krzyków przepelnionych bólem, a potem połączenie zostało przerwane.

– Kurwa... Florin! Stefan! Jedziemy! – Złapała za ramię obecnego na

odprawie Bechnera. – Wszystkie radiowozy w pobliżu na miejsce! Theodebertstrasse trzynaście! Szybko!

Myśli w jej głowie wirowały jak szalone. Na dojazd potrzebują przynajmniej piętnastu minut, gdzie tam, raczej dwudziestu, nawet jeśli nie będą zważać na światła. Florin wskoczył za kierownicę i ruszył z piskiem opon, jeszcze zanim ona i Stefan zdążyli zatrzasnąć drzwi. Z zaciśniętymi ustami skupił się na jeździe. Stefan z tylnego siedzenia mówił o tym, co zauważył.

– Sigart powiedział: „On chce”, to znaczy, że mamy do czynienia z jednym napastnikiem. Napastnikiem, czyli Owner jest mężczyzną i...

– Na razie nie wiemy, czy to na pewno Owner. – Beatrice weszła mu słowo. Z nerwów miała ściśnięte gardło.

„Jemu jednak zależy na życiu” – pomyślała. „Jak nam wszystkim, kiedy coś nam zagraża i kiedy robi się poważnie”.

„Żebyśmy zdążyli” – tak zaczynała się jej mantra, którą powtarzała bezustannie przez następnych dziesięć minut. „Żebyśmy zdążyli. Żebyśmy tylko zdążyli”.

Fasada domu na Theodebertstrasse mieniła się błękitem sygnałów świetlnych dwóch radiowozów, parkujących przed wejściem. Uliczka była wąska i wystarczył jeden samochód na skrzyżowaniu, żeby zatrzymać na niej ruch.

Przy drzwiach stało czterech mężczyzn i jedna kobieta, wszyscy w mundurach. Jeden z funkcjonariuszy rozmawiał przez radio. Kiedy Florin i Beatrice wysiedli z auta, policjantka ruszyła biegiem w ich stronę.

– Weszliśmy do środka! – krzyknęła zasapana. – To... to nie wygląda dobrze!

Florin zapytał głośno o to, o czym Beatrice tylko pomyślała.

– Sigart żyje?

Policjantka wzruszyła ramionami.

– Prawdopodobnie tak. Trudno powiedzieć.

– Co to ma znaczyć? – Zbliżali się do wejścia na klatkę schodową. I choć zmierzch powoli zmieniał się w mrok, a uliczne latarnie słabą poświatą niewystarczająco rozświetlały okolicę, nie dało się nie zauważyć ciemnych plam na podłodze korytarza i na schodach. Ktoś ciągnął coś po schodach, z góry do piwnicy.

– Sprawca musiał wcześniej przeprowadzić rekonesans i przygotować sobie drogę ucieczki – wyjaśnił policjant, który wcześniej rozmawiał przez krótkofalówkę. – Przez piwnicę można wyjść na podwórze z tyłu. Tam pewnie miał samochód, bo ślady krwi się nagle urywają.

– Ale co z Sigartem? – dopytała Beatrice niecierpliwie.

– Nie znaleźliśmy go.

Wbiegli schodami na górę, starając się omijać ślady krwi. Na półpiętrze Beatrice dostrzegła duży odcisk buta. Miała nadzieję, że Owner w końcu popełnił błąd. Ślady ciągnięcia opowiadały historię tego, co się wydarzyło. Spóźnili się.

– Czy drzwi do jego mieszkania zostały wyłamane?

– Nie.

Po chwili sama je zobaczyła: otwarte na oścież, ale nieuszkodzone. Sigart musiał wpuścić oprawcę.

Mieszkanie wyglądało jak rzeźnia. Krew było widać na podłodze, ścianie za kanapą i przewróconym stoliku. W poprzek pokoju leżała duża szafa. Upadając, przygniotła jedno ze składanych krzeseł. Jego pokrzywione nogi wystawały spod krawędzi jak nogi jakiegoś robaka.

Sigart zniknął. Wiedzieli już, że go nie ma, a jednak po wejściu zawołali go i sprawdzili łazienkę. Właściciela mieszkania nie było. Została tylko krew. Dużo krwi. Z kształtu, w jaki ułożyła się na ścianie, można było przypuszczać, że mocno tryskała z jakiejś rany. Uszkodzenie było na tyle poważne, że Sigart najpewniej stracił przytomność – lub zmarł – jeszcze zanim sprawca zaciągnął go do samochodu.

– Niech to cholera, szybko się uwinął! – Florin zatrzymał wzrok na kałuży krwi obok przewróconego stolika. – Koledzy z patrolu twierdzą, że byli na miejscu siedem minut po wezwaniu i nikogo już nie zastali.

To na szczęście zwiększało prawdopodobieństwo, że w pośpiechu Owner coś przeoczył albo popełnił inny błąd, typu krwawy odcisk buta na klatce schodowej. Beatrice przeszła ostrożnie przez mieszkanie i zajrzała do kuchni. Tutaj panował względny porządek.

– A przecież go ostrzegaliśmy! Dlaczego w ogóle otworzył drzwi?

– Owner nie jest głupi. Może przebrał się za policjanta, montera albo listonosza? Albo...

Beatrice potaknęła i nabrała głęboko powietrza, bo miała wrażenie, że zaczyna się dusić.

– Albo znał sprawcę.

Wieczorem panowała bardzo przyjemna pogoda, więc większości sąsiadów nie było w domu. Mieszkaniami Sigarta zajęli się Drasche z Ebnerem, a pozostali funkcjonariusze rozeszli się po klatce schodowej i okolicy, szukając kogoś, kto mógłby widzieć Owera.

Starsza pani z parteru przyznała, że słyszała jakieś głucho uderzenie, „jakby ktoś upuścił coś ciężkiego”.

– I to wszystko? A krzyki? Słyszała pani krzyki? – dopytywał się Florin.

– No tak, słyszałam, ale pomyślałam, że to telewizja.

Para mieszkająca obok Sigarta właśnie wróciła do siebie i była wyraźnie

wstrząśnięta tym, co się stało. Sąsiedzi z piętra niżej wciąż jeszcze nie pojawili się w domu, choć dochodziła już dwudziesta druga.

– Musiało być bardzo głośno, bo doszło do walki, którą częściowo słyszeliśmy przez telefon – tłumaczyła Beatrice sąsiadom z góry. – Zwrócili państwo uwagę na coś takiego?

Mężczyzna zwiesił głowę.

– Słyszeliśmy. Krzyczał i uderzał w ściany. Ale wie pani, żeby to było pierwszy raz ... Ileż ja się do niego nachodziłem! Dzwoniłem, kiedy miał te ataki, ale nigdy nie otwierał. A ja wiedziałem... no rozumie pani, o tej sprawie z jego rodziną. – Spojrzał na nią. – Nie chciałem mu się narzucać. Przy każdym spotkaniu wyraźnie zaznaczał, że nie jest zainteresowany utrzymywaniem kontaktów czy pomocą.

„Spóźniliśmy się” – pomyślała Beatrice i poczuła, jak ogarnia ją nienawiść do Ownera, choć w swojej pracy nie mogła sobie pozwalać na takie emocje. Zacisnęła pięści, wbijając paznokcie we wnętrze dłoni. Zazwyczaj to pomagało.

– Wenninger! Kaspary! – Z mieszkania na dole dobiegło przytłumione wołanie Draschego. – Chodźcie! Ale ostrożnie!

Technik kucał przy plamie krwi obok stolika. Dłonią w rękawicze wskazywał na jakiś jaśniejszy podłużny kształt pośrodku szkarłatnej kałuży.

– Sprawca znów zostawił nam części ciała.

– Co?! – Oboje się nachylili.

– No to, co mówię. Tylko że tym razem nie w opakowaniu, o, widzicie? – Szpatułką ostrożnie przesunął podłużne kształty.

Palce. Beatrice przełknęła gwałtownie, bo przypomniała sobie krzyki Sigarta. „Przestań! Błagam, nie!” – krzyczał, a jego głos był pełen bólu i przerażenia.

– Serdeczny i mały palec lewej dłoni – tłumaczył Drasche. – Zostały odcięte razem, może nawet odrąbane. Na sto procent nie wyrwane, bo na to brzegi rany są zbyt równe, a poza tym widać wyraźnie, że kości też zostały przecięte. – Wsunął obcięte palce do przejrzystej torebki na dowody i podsunął ją Beatrice pod nos.

Policjantka wzięła ją do ręki, walcząc o zachowanie profesjonalizmu. Starła się myśleć analitycznie i rzeczowo. Spróbowała się skupić na szczególe, który sprawił, że nabrała pewności.

– To palce Sigarta.

Drasche uniósł brwi.

– A skąd ta pewność?

– Bo widzę blizny po oparzeniach.

Ulica pozostała na razie zablokowana, a oni rozeszli się po okolicznych domach, żeby pytać mieszkańców, czy nie zwrócili uwagi na nieznaną osobę, które między dwudziestą a dwudziestą trzydzieści wchodziły do domu numer

trzynaćcie. Możliwe, że nawet wcześniej. Nikt nic nie widział.

Żadnych kurierów? Policjantów? Dostawców pizzy?

Nie.

Minęła północ, a oni dalej pracowali, na bieżąco informowani przez Draschego o najnowszych ustaleniach: odcisk zabezpieczony na klatce schodowej zostawił but w rozmiarze czterdzieści pięć, a Sigart nosił buty dwa rozmiary mniejsze. Ślady krwi w mieszkaniu zaginionego nie mogły powstać tylko w wyniku obcięcia palców, a ułożenie rozbryzgów na ścianie pozwalało zakładać, że doszło do uszkodzenia jakiejś ważnej arterii.

– Ciągnie się mniej więcej sto sześćdziesiąt centymetrów nad podłogą. To by mogło oznaczać tętnicę szyjną Sigarta. Albo tego drugiego. Tylko że wtedy nigdzie by nie uciekł. – Z jego miny wynikało, że nie brał pod uwagę tej drugiej możliwości. – O tym, czy to krew jednej osoby czy kilku, będę mógł wam powiedzieć całkiem niedługo.

W ciemnym kącie niedaleko wyjścia z piwnicy Ebner trafił na komórkę Sigarta, całą we krwi. Jej właściciel wierzył, że telefon do niej może być jego ostatnią nadzieją. Ta myśl prześladowała Beatrice aż do zaśnięcia.

Pojawił się następnego ranka, zaraz po umyciu zębów, i spadł na nią jak grom z jasnego nieba. Beatrice skuliła się na podłodze, walcząc o zachowanie przytomności. Na przemian zaciskała i rozprostowywała palce, żeby odzyskać w nich czucie, i starała się nie myśleć o obciętych palcach Sigarta. To by tylko pogorszyło jej położenie.

Od lat nie zmagала się z atakami paniki o takiej sile i choć wiedziała, co się z nią dzieje, podświadomie się bała, że tym razem może mieć poważniejsze konsekwencje.

Atak serca, zatrzymanie akcji serca, wylew. Rozpaczliwie chwytала ustami powietrze i siłą woli próbowała uspokoić kołaczące szaleńczo serce. Z mieszaniną rozpacz i rozbawienia wsłuchiwała się w nieprawdopodobne skoki i spadki tętna.

Oddychać. Oddychać. I skupić się na czymś innym.

Wcześniej psycholożka poradziła jej, żeby spróbowała zaakceptować strach, powitać go w sobie i odzyskać kontrolę.

„Witaj, strachu”.

Był tam. Uciskał jej klatkę piersiową, skronie, zaciskał szpony na jej szyi i palił w żołądku. I nie reagował na jej przywołanie. Nie chciał zdradzić, dlaczego pojawił się tak nagle.

Jednak ona wiedziała, co sprawiło, że się przebudził. Przewróciła się na plecy i spróbowała leżeć spokojnie. Miała wrażenie, że jej płuca skurczyły się do wielkości orzecha włoskiego i stały się równie twarde.

Wyobraziła sobie twarz Evelyn, jej zielone oczy i ciemnorude loki. I niski,

gardłowy głos. Kiedy się śmiała, wszyscy zwracali się w jej stronę.

„Tak bardzo mi przykro. Przepraszam” – mówiła w duchu.

Zimne płytki podłogi w łazience odciskały się boleśnie na jej łopatkach. Obraz żywej Evelyn zaczął się rozmywać, wypierany przez jej martwą twarz. Beatrice otworzyła gwałtownie oczy i wbiła wzrok w sufit łazienki. Patrzyła na zakurzoną lampę dokładnie nad swoją głową.

Trzeba wstać z podłogi. Praca czeka. Dużo pracy. Musi znaleźć Sigarta.

Albo raczej jego zwłoki.

Zmusiła wewnętrzny głos do milczenia, nucąc piosenkę. *I'm walking on sunshine*. Tekst tego utworu nie pozostawiał miejsca na panikę. Dziesięć, może piętnaście minut. Nigdy jeszcze atak nie trwał dłużej. Wytrzyma to. Wytrzyma.

– Może wytłumaczy mi pani, co się z panią właściwie dzieje? – Głos Hoffmanna słyszeli zapewne pracownicy piętro niżej. Każde jego słowo. – Na zakupy sobie pani wyskoczyła? A może do kosmetyczki, co? Nie dotarło jeszcze do pani, że ta sprawa jest ważniejsza niż jakiś głupi manicure?

Beatrice odpowiedziała dopiero, kiedy miała pewność, że jej głos się nie załamał.

– Bardzo mi przykro, że się spóźniłam, ale...

– Nie ma żadnego ale!!! – ryknął Hoffmann. – Cztery trupy w tydzień!

W takiej sytuacji prywatne sprawy schodzą na drugi plan!

Cztery? Czyżby tymczasem znaleziono ciało Sigarta?

– Poza tym lekceważy pani moje polecenia! Ale ja tego tak nie zostawię! To będzie miało następstwa!

Nie wątpiła, do czego pije. Spojrzała mu w oczy, w te brudnoszare, podobne do błotnistych kałuż źrenice i czekała, co dalej. Przełożony jednak zamilkł i potrząsał tylko gniewnie głową, więc zostawiła go tam, gdzie stał, ominęła i ruszyła w stronę biura. W progu pojawił się Florin i spojrzał na nich gniewnym wzrokiem.

– Mamy trzy ofiary, a nie cztery. – Kiedy go mijała, pogłaskał ją dla otuchy po ramieniu. – Hej, wszystko w porządku?

– Tak, pewnie – odpowiedziała cicho. – Daj spokój, nie ciągnij tego.

– Za późno. – Florin minął ją i wyszedł na korytarz.

Powiesiła torebkę na oparciu krzesła i włączyła komputer. Z zewnątrz słyszała głos partnera, celowo spokojny, lecz każde słowo miało krawędzie ostre jak kawałki potłuczonego szkła.

– Nie pomaga pan, w ten sposób reagując na dwudziestominutowe spóźnienie i demotywuując pracowników na cały dzień. Każdy tutaj daje z siebie wszystko albo nawet więcej, więc byłbym naprawdę wdzięczny, gdyby pan to docenił, zamiast niepotrzebnie wywierać presję.

– A pan w ogóle zdaje sobie sprawę, z jaką presją ja się spotykam, nie mogąc pochwalić się żadnymi wynikami? Pan to przecież musi rozumieć, kolego Florian. – Hoffmann zmiękł, jakby rozmawiał z kolegą, niemalże się przed nim usprawiedliwiał.

Beatrice zawsze odrzucało, kiedy słyszała go takiego. I nie, do niej nigdy się w ten sposób nie zwracał.

– Rozumiem, że pan bardzo ceni koleżankę Kaspary – ciągnął Hoffmann, znizywszy głos. – Ale odnoszę wrażenie, że zwłaszcza ostatnio jest strasznie rozkojarzona i nerwowa, a przy sprawie takiej jak ta po prostu nie mogę tego akceptować. Kossar twierdzi, że nie czekając na jego opinię, nawiązała kontakt ze sprawcą. – Hoffmann podniósł głos. – Lekceważy moje zalecenia, ale jeśli się jej wydaje, że ujdzie...

– Nawiązanie kontaktu ze sprawcą było ze mną uzgodnione. Mamy mało czasu i musimy działać, a Kossar stanowczo zbyt się ociąża ze swoją pracą. Jeśli uważa pan to za przekroczenie uprawnień, odpowiedzialność spada na nas oboje.

Beatrice zamknęła oczy i stłumiła protest, który cisnął się jej na usta.

– Doprawdy? – W głosie Hoffmanna nie było śladu złości. – No cóż, kolego Florian, po prostu proszę mnie na przyszłość informować i tyle.

– Ma pan rację. Zapewniam jednak, że ten krok był wyjątkowo sprytnym zabiegiem ze strony koleżanki Kaspary. Owner szybko zareagował. Ręczę głową, że na jej miejsce nie znajdzie pan nikogo bardziej kompetentnego.

– No nie wiem. Zgoda, ma kwalifikacje i tu się nie będę kłócił, nie przeczę też, że raz czy dwa razy udało jej się odnieść jakiś tam sukces. Ale w tej sytuacji... Poważnie rozważam zastąpienie jej kimś, kto wsparłby pana w pracy, kimś nieobciążonym problemami rodzinnymi. One przecież ograniczają wydajność pracownika. Co zrozumiałe.

Beatrice wpatrywała się w pole na ekranie, gdzie miała wpisać swój login. Dopiero kiedy rozboleła ją szczeka, zorientowała się, że zaciska zęby. Jeśli Hoffmann miał nadzieję, że się jej pozbędzie, to się bardzo zdziwi. Niemniej musiała się liczyć z tym, że spróbuje.

– Mowy nie ma – odparł Florin, a w jego tonie było tyle zdecydowania, że nie zostało już miejsca dla uprzejmości. – To byłby karygodny błąd. Nie mam ani czasu, ani chęci, żeby wprowadzać nowe osoby w zawiłości tej sprawy. Poza tym...

– Niechże pan da spokój, nie chcę znowu słuchać o jej nadzwyczajnej intuicji.

– Bo doskonale pan wie, że mam rację. – Florin mówił niższym tonem. – Proszę sobie przypomnieć morderstwo w warzelnii. Albo dwie martwe kobiety na torach. Za każdym razem to ona pierwsza łączyła wszystkie informacje w całość.

Lekceważące mlaśnięcie, nie miała wątpliwości, że to Hoffmann.

– Przesadza kolega.
– W żadnym razie.
– Niech będzie. Ale chcę jak najszybciej widzieć wyniki, a nie ciągle nowe ofiary. I mówię to zupełnie poważnie, Florian.

– Wie pan doskonale, że niektórych spraw nie da się przyspieszyć. Ani panu, ani mnie, ani koleżance Kaspary.

Hoffmann zaśmiał się pogardliwie.

– Czy ona w ogóle wie, jak pan się za nią wstawia? Wręcz można sobie coś pomyśleć.

– Wrócę teraz do pracy, jeśli pan pozwoli.

– Proszę bardzo, powodzenia. – Czyżby w jego głosie pojawiła się nutka ironii?

Na korytarzu rozległy się kroki. Florin wracał do biura. Beatrice wpisała pospiesznie login w odpowiednie pole na ekranie logowania i nie odrywała wzroku od monitora, kiedy policjant wszedł do środka i opadł na swoje krzesło.

Czuła na sobie jego wzrok.

– Nie udawaj, że nic nie słyszałaś – powiedział.

Odwróciła głowę i spróbowała się uśmiechnąć, ale spoważniała na widok jego miny.

– Dziękuję. Wiesz chyba, że nie czuję się dobrze z tym, że nadstawiasz za mnie karku, prawda?

W odpowiedzi uniósł brwi.

– A ja źle się czuję, kiedy za moimi plecami korespondujesz z Ownerem. Ale miałaś rację, jeśli chodzi o meritum. To był właściwy moment. Czekanie donikąd by nas nie zaprowadziło.

Oparła głowę na dłoniach.

– Obawiam się jedynie, że Hoffmann nie kupi tej narracji z moją wybitną intuicją. Sama tego nie kupuję.

– Spokojna głowa. Niczego sobie nie wymyśliłem, Bea. Za każdym razem to ty ustalałaś zależności i układałaś wszystko w całość.

– To była praca zespołowa. Ja tylko po prostu pierwsza kojarzyłam ze sobą fakty i tyle. Dwie godziny później sam byś na to wpadł.

– Albo dwa tygodnie później. Wiesz, Bea, każdy inny przełożony byłby szczęśliwy, mogąc pracować w jednym zespole z kimś takim jak ty. – Potrząsnął głową. – Zrób to dla mnie i nie daj się sprowokować. Albo zdeprymować. A ja postaram się trzymać Hoffmanna z daleka.

Bez słowa skinęła głową. Nie wiedziała, co zrobić, żeby nie tylko Hoffmann, ale też Achim, wspomnienia o Evelyn, atak paniki z poranka i wyrzuty sumienia wobec dzieci nie zaprzętały jej głowy i mogła się skupić na pracy.

„Hoffmann to głupek, ale ma rację” – myślała. „Problemy osobiste ciągną

mnie na dno jak kamień młyński u szyi”.

Sięgnęła po dokumenty. Na samym wierzchu leżała notatka od Stefana, który z pracy wyszedł po czwartej nad ranem. „Będę o dziesiątej, dobranoc” – napisał.

Kolejny dokument przesłał Drasche. Według jego oceny ilość krwi w mieszkaniu świadczyła o bardzo poważnym zagrożeniu życia i z dużym prawdopodobieństwem zakładał, że Sigart nie żyje.

To była zła wiadomość. Mimo to Beatrice poczuła, że po raz pierwszy od dawna nie błądzi we mgle. Fakty, niezależnie jak niekorzystne, dawały jej pewność.

Jeszcze poprzedniego dnia sprowadzono przewodników z psami. Zespoły przeszukały okolice domu na Theodebertstrasse, lecz zwierzęta traciły trop w miejscu, gdzie urywały się ślady krwi.

Zmieniał interwał między zniknięciem ofiary a jej śmiercią. Dlaczego?

W przypadku Nory Papenberg minęły nieco więcej niż cztery doby, Herberta Liebschera – tydzień, jeśli założyć, że wpadł w łapy mordercy dnia, kiedy po raz pierwszy nie pojawił się na zajęciach. Christoph Beil zginął niecałe trzy dni po porwaniu.

Ile czasu im zostało na znalezienie Sigarta, zakładając, że nie wykrwawił się na śmierć albo morderca nie podciął mu gardła jeszcze w mieszkaniu?

Zorientowała się, że żuje ołówek, więc pospiesznie wyjęła go z ust. Tym razem Owner działał inaczej: nie zatelefonował do Sigarta, tylko osobiście się po niego pofatygował. Dlaczego? Może jednak dzwonił, ale Sigart nie odebrał?

Poza tym – po co ta zwierzęca brutalność na miejscu porwania? Beatrice oparła się i przymknęła oczy, starając się sobie wyobrazić, jak mogło wyglądać ich spotkanie.

Owner dzwoni do drzwi, może nawet przebrany za kuriera. Albo dzwoni, a Sigart otwiera, bo go zna. Rozmawiają? Może sprawca z miejsca usiłuje go porwać, ale Sigartowi udaje się wybrać jej numer? Dlatego Owner rzuca się na niego, rani i przemocą wyciąga z mieszkania.

– Florin?

– Tak?

– Musimy pogadać z terapeutką Sigarta.

Doktor Anja Maly poświęciła na spotkanie z nimi swoją przerwę obiadową. Terapeutka była wstrząśnięta, kiedy Beatrice wyjaśniła jej przez telefon, że Bernd Sigart zniknął.

– Bardzo się o niego niepokoję – powiedziała, zamykając za sobą drzwi gabinetu. – Nie wykluczam, że w obecnym stanie pan Sigart sam dla siebie może

stanowić zagrożenie.

– W tej chwili akurat o to bym się nie martwił – odparł Florin. – Wszystko bowiem wskazuje na to, że pan Sigart padł ofiarą przestępstwa, stąd nasza prośba o wszystkie informacje na jego temat, których może nam pani udzielić.

– Podczas ostatniego spotkania pan Sigart wyraził zamiar zwolnienia pani z obowiązku zachowania tajemnicy lekarskiej – dodała Beatrice. – Wierzymy, że cały czas żyje, i robimy wszystko, co w naszej mocy, żeby go odnaleźć. Potrzebujemy jednak czegoś, od czego moglibyśmy zacząć celowe poszukiwanie. Co mogłaby nam pani o nim powiedzieć?

Terapeutka bardzo intensywnie myślała.

– Pan Sigart wspominał o waszej wizycie i powiedział, że chodziło o sprawę jakiegoś morderstwa. – Zaprosiła ich gestem, by zajęli miejsce na kanapie w kolorze piasku, a potem sama usiadła w fotelu naprzeciwko. – Boże, jak ja mu współczuję. Rozumiem, że wiecie, co go spotkało? Przychodzi do mnie na spotkania raz, czasem dwa razy w tygodniu. Staramy się zaakceptować to, co się stało, żeby mógł z tym żyć. Niestety, choć widzę postępy, to są one bardzo, bardzo skromne. – Splotła palce na kolanie i pokręciła głową. – A teraz jeszcze to! Tragedia za tragedią. Potworne, że to spada na kogoś, kto już przecież stał się ofiarą.

„Poszukajmy ofiary” – przypomniała sobie Beatrice. Dotychczas była przekonana, że Owner nawiązywał do Evelyn, ale najwyraźniej się pomyliła. Możliwe, że już wtedy miał na myśli Sigarta, ba, zapowiadał im, co zamierza zrobić. Pechowiec i ofiara to w niektórych sytuacjach synonimy.

– Przypuszczamy, że pan Sigart znał sprawcę i sam otworzył mu drzwi – ciągnął Florin. – W rozmowie z nami twierdził, że rzadko wychodzi z domu i z nikim nie utrzymuje kontaktu. Czy wie pani coś o jakichś wyjątkach od tej reguły?

Uśmiechnął się do niej. Beatrice natychmiast dostrzegła, jakie wrażenie zrobił na terapeutce, choć trzeba przyznać, że Anja Mały zachowała kamienną twarz.

– Już zaraz, tylko przyniosę notatki z naszych sesji.

Z szafki wyjęła gruby skoroszyt, otworzyła go i wybrała końcowe zapiski.

– W czasie ostatniego spotkania rozmawialiśmy głównie o jego problemach ze snem i o tym, że powinien częściej wychodzić z domu. – Przerzuciła kolejną kartkę. – Mówił, że dręczą go koszmary i ma myśli samobójcze. Ale nie, nigdy nie wspominał o żadnych znajomych. Obawiam się, że nie zna nawet nazwisk swoich sąsiadów. – Przesunęła wzrokiem po kolejnej stronie i potrząsnęła głową. – Nie, nic tu nie ma, niestety. Żył w całkowitej izolacji. – Przerwała, znieruchomiała i przesunęła palcem po kartce przed sobą. – Ale zaraz, tu mam coś, co może być interesujące: w czasie ostatniej wizyty pan Sigart wspominał, że kiedy był na

spacerze, miał wrażenie, że ktoś go śledzi. Staralam się wyciągnąć z niego coś więcej, jednak on pokręcił tylko głową i powiedział, że prześladowają go wyrzuty sumienia. – Podniosła wzrok. – Zmagał się z ogromnym poczuciem winy i często na ten temat rozmawialiśmy. Był przekonany, że ponosi odpowiedzialność za śmierć rodziny, i bronił się przed każdą próbą relatywizacji i akceptacji.

Beatrice się nachyliła.

– Czuł się śledzony, tak?

– Najwyraźniej. Ale nie uważał, żeby z tego powodu cokolwiek mu zagrażało. Poświęcił temu może jedno zdanie albo niewiele więcej. Dodał jeszcze, że nikogo nie widział i niczego nie zauważył. Myślę, że sam uznał to za wytwór swojej wyobraźni.

Zupełnie jak niedawno Beatrice. Źle ustawione reflektory samochodu za nią.

– Mówił może coś o rozmowach telefonicznych? Czy pojawił się ktoś, kto niespodziewanie odnowił z nim kontakt? Jakiś stary znajomy?

Za każdym razem Anja Mały kręciła głową.

– Nie. Od czasu do czasu dzwoniła do niego lekarka, która przejęła jego pacjentów i prowadzi dziś jego dawny gabinet, ale to też tylko wtedy, kiedy chciała o coś zapytać. Jego rodzice nie żyją, a kontakty z dawnymi znajomymi sam pozrywał, bo nie chciał...

I'll send an SMS to the world

I'll send an...

Beatrice pośpiesznie nacisnęła czerwoną słuchawkę, żeby wyłączyć sygnał wiadomości.

– Przepraszam na chwilę – powiedziała i się odwróciła. Numer Ownera rozpoznała natychmiast. Zrobiło jej się gorąco.

Tym razem przysłał jej MMS-a. Zdjęcie podpisane zostało tylko dwiema literkami: NM. Nic więcej. Dołączona fotografia musiała się najpierw załadować, co zajęło dobre trzy sekundy, a kiedy w końcu pojawiła się na ekranie, policjantka nie od razu zrozumiała, na co patrzy. Przechyliła komórkę i... nagle do niej dotarło. W ostatniej chwili zacisnęła zęby, żeby nie wydać z siebie żadnego dźwięku, choć miała ochotę jednocześnie zakląć i jęknąć.

– Coś ważnego? – zapytał Florin.

– Tak. Obawiam się, że musimy wracać do obowiązków. Pani doktor, dziękujemy serdecznie za pomoc i czas.

Kobieta odprowadziła ich do drzwi.

– Mogę prosić o jakąś informację, kiedy uda się wam go odnaleźć?

– Oczywiście. Jeszcze raz dziękuję. – Beatrice dosłownie wyciągnęła Florina

z gabinetu, potem po schodach i szybkim krokiem zaprowadziła do samochodu. Dopiero wtedy się zatrzymała i oparła o drzwi od strony pasażera.

Florin stanął obok.

– Owner, zgadłem?

– Niestety... – Otworzyła zdjęcie i podała mu telefon. – Nie mogę się zdecydować, czy to dobra, czy zła wiadomość.

– O Boże... – Przyjrzał się uważnie wyświetlonej fotografii, a potem oddał jej komórkę. – Wygląda paskudnie.

Obraz był bardzo wyraźny i mimo niewielkiego ekranu Beatrice z każdą chwilą dostrzegała nowe szczegóły. Błede przedramię, poplamiony rękaw podciągnięty tuż nad łokieć. Zakrwawione bandażę zwinięte niedbale na brązowym blacie. I dłoń. Trzy palce i szpetna rana w miejscu, gdzie powinny znajdować się palce mały i serdeczny. Ciemnoczerwona, miejscami niemal czarna.

– Wracamy do biura, tam powiększymy zdjęcie tak bardzo, jak się tylko da – zdecydowała Beatrice. – Widać trochę otoczenia, może uda nam się wyciągnąć z tego jakieś wnioski.

– „NM”. – Florin zmarszczył brwi i głową wskazał na jej komórkę z wyświetloną wiadomością. – Czy tym razem mógł nam przesłać inicjały? Może to jakaś wskazówka, kogo wybrał sobie na kolejną ofiarę?

– Nie sądzę. O ile niczego nie pomyliłam, to znowu skrót wykorzystywany w geocachingu. Z angielskiego to *needs maintenance*.

– Wymaga serwisu – mruknął Florin. – Chryste, co za cynik. – Otworzył gwałtownie drzwi kierowcy i wszedł za kierownicę. – Dobra, ruszamy. Będziemy potrzebowali dodatkowych ludzi, żeby sprawdzić kontakty towarzyskie i kręgi znajomych pozostałych ofiar. No i trzeba się zająć przeszukiwaniem stron o geocachingu. Znajdziemy Sigarta, zanim Owner go zabije.

Zdjęcie udało się powiększyć do zaskakująco dużych rozmiarów. W ten sposób zdołali dostrzec znacznie więcej ponurych szczegółów. Poprosili Vogta z Instytutu Medycyny Sądowej, żeby wypowiedział się jako fachowiec. Lekarz siedział teraz na miejscu Beatrice i wpatrywał się w ekran, dotykając ustami złożonych dłoni.

– Nie mogę zagwarantować, ale wygląda na to, że oba palce zostały oddzielone od ciała za pomocą jednego silnego cięcia. Narzędzie, jakiego szukacie, to coś w rodzaju toporka albo bardzo ostrego kuchennego noża.

Florin wskazał na blade ramię.

– Zakładamy, że ten człowiek stracił bardzo dużo krwi z rany na szyi. Wiem, że na zdjęciu widać tylko część jego ręki, ale może jest pan w stanie stwierdzić, czy on jeszcze żyje?

Vogt powiększył jeszcze trochę fragment z samą dłonią i przysunął twarz tak

blisko monitora, że niemal oparł się o niego nosem.

– Na pewno żył po odcięciu palców, bo brzegi rany są wyraźnie zaognione, jak od stanu zapalnego, i da się również zauważyć pierwsze oznaki procesu gojenia. – Poprawił okulary. – Poza tym moim zdaniem widać napięcie mięśni ramienia. To z kolei pozwala założyć, że w chwili wykonywania zdjęcia ofiara jeszcze żyła. Ale to są tylko spekulacje, niczego nie mogę zagwarantować.

I nikt tego nie oczekiwał. Beatrice to wystarczyło. Sigart żył, przynajmniej dopóki nie pojawią się dowody, że jest inaczej.

– Trzeba jeszcze raz porozmawiać z Konradem Papenbergiem – zdecydowała, kiedy Vogt wyszedł. – Jego żona była pierwsza, odręcznie napisała wiadomości ze skrytek, a na ubraniu miała krew Liebschera. Jestem przekonana, że jest kluczem do wyjaśnienia tej sprawy.

– Ale nie jest kluczową postacią, a przynajmniej nie dla Ownera – wtrącił Florin. Siedział przy biurku i stukał palcami o blat. – Dotychczas nie przekazał nam żadnej fałszywej informacji, zauważyłaś? Nie okłamał nas jeszcze, więc jeśli pisze o kluczowym graczu, to należałoby go jak najszybciej odnaleźć.

– Zgoda, ale przy obecnej wiedzy zajmie nam to kilka lat – odparła. – Ja natomiast uważam, że priorytetem jest w tej chwili Sigart, i jeśli go znajdziemy, to tą samą drogą dotrzemy do kolejnych ofiar.

Spąsowiała twarz Konrada Papenberga znajdowała się nie dalej niż dziesięć centymetrów od twarzy Beatrice.

– Wynoście się z mojego domu! Natychmiast! Nie pozwolę, żebyście obrażali moją zamordowaną żonę!

Kropelka śliny trafiła ją tuż przy prawym oku. Nie starła jej. Zamiast się odsunąć i zrobić miejsce Papenbergowi, nieznacznie się do niego zbliżyła. I osiągnęła zamierzony efekt: cofnął się i zwiększył dzielącą ich odległość.

– Doskonale rozumiem pana zdenerwowanie – powiedziała bardzo spokojnym tonem. – Oczywiście, że to tylko domysły. Jednak nie da się zaprzeczyć, że na ubraniu pańskiej żony zabezpieczyliśmy krew kolejnej ofiary. Mam nadzieję, że zaakceptuje pan fakt, że musimy zbadać również tę okoliczność.

– Może chciała mu pomóc?! – ryknął Papenberg. – Przyszło wam to do głowy? Pomóc! Ale nie, wy od razu wyskakujecie, że Nora to morderczyni! Moja Nora... moja...

Głos mu się załamał, ukrył twarz w dłoniach i osunął się na kanapę.

Beatrice dała znak Florinowi. To była milcząca prośba, żeby przejął pałeczkę. Nie spodziewała się aż tak gwałtownej reakcji i choć oczywiście bardzo mu współczuła, to dostrzegła szansę w jego braku opanowania – pod warunkiem, że Florin dobrze pokieruje rozmową.

Policjant usiadł obok mężczyzny i zaczął cicho mówić. Beatrice odsunęła się

najdalej, jak mogła, stanęła przy oknie i znieruchomiła, żeby dać mu zapomnieć o swojej obecności.

W oczu rzucał się coraz większy bałagan, jakby od ich ostatniej wizyty nikt tu nie sprzątał. Meble pokrywała warstwa kurzu, na ziemi leżały ubrania i gazety, a popielniczka kipiała niedopałkami. Wszystko to świadczyło o szoku, jakim dla Konrada Papenberga była śmierć żony.

– Oczywiście, że pańska żona jest ofiarą – słyszała spokojny głos Florina. – Staramy się jedynie zrozumieć, co się wydarzyło. Chciałbym pokazać panu zdjęcia dwóch mężczyzn i zapytać, czy może zna pan któregoś z nich. Zgodzi się pan na to?

Papenberg nie odpowiedział. Chwilę później usłyszała szelest papieru, czyli musiał skinąć głową.

– Nie. Nigdy go nie widziałem. Którego z nich miałaby zabić moja żona, jeśli wierzyć pana partnerce?

– Tego. To Herbert Liebscher.

– Nie znam go. Przysięgam. Powiedziałbym przecież, gdybym go kiedykolwiek wcześniej widział.

Beatrice spostrzegła, że drżą mu dłonie i ma mokrą twarz.

– Nikomu bardziej niż mnie nie zależy, żeby złapać jej mordercę. Zrobię wszystko, żeby wam pomóc, ale jeśli będziecie ją oczerniali... – Z kieszeni spodni wydobyl zmietą chusteczkę i wytarł nos. – Była najserdeczniejszą osobą, jaką znałem. Muchy by nie skrzywdziła i wystarczył drobiazg, żeby miała wyrzuty sumienia. Czasem... czasem zaczynała płakać, oglądając wiadomości w telewizji, jeśli zdarzyło się coś złego. Godzinami nie mogła się potem uspokoić. Wypadek samochodowy na przykład. Mimo że nie znała tych ludzi. Była taka empatyczna, rozumie pan? – Zmiał chusteczkę i ukrył ją w dłoni. – Nigdy by się nie zgodziła na udział w morderstwie.

– Zawsze taka była? – Beatrice postarała się, by w jej głosie slychać było szczere zainteresowanie.

– Na pewno od kiedy się poznaliśmy, tak. Angażowała się w działalność kilku organizacji charytatywnych, między innymi we Wioski Dziecięce czy Lekarzy Bez Granic i wspierała fundacje pomagające niepełnosprawnym. Nie tylko datkami, nie, ale osobiście. Zawsze powtarzała, że jeśli kiedyś... umrze, chce zostawić po sobie dodatni bilans.

Kobieta zaangażowana społecznie, empatyczna i czuła. Musiała być dobrym człowiekiem, nawet jeśli Papenberg ją idealizował.

Beatrice robiła, co mogła, żeby powstrzymać narastającą frustrację. Z pracy przy wcześniejszych sprawach znała już tę fazę, kiedy zaczynało się szukanie po omacku. W niewłaściwym miejscu, bez perspektyw na sukces. Sprawdzian

cierpliwości – a z tym akurat miała problem nawet wtedy, kiedy wszystko szło dobrze. Fakt, że dziś od jej pracy zależało czyjeś życie, był trudnym do zniesienia brzemieniem.

– Wyglądasz na wyczerpaną – powiedział Florin, kiedy siedzieli w samochodzie. – Wiesz co? Skoczmy teraz po coś do zjedzenia, a potem znajdziemy ławkę w parku i zrobimy przerwę.

– Nie jestem głodna.

– Bea, przecież widzę, że lada chwila mi tu padniesz.

Już miała na końcu języka ciętą ripostę, ale się powstrzymała i zacisnęła zęby. W normalnych warunkach podobało jej się, że o nią dbał, ale nie teraz, kiedy pracowali w takim stresie.

– Będzie mi niedobrze, rozumiesz? Wystarczy mi kawa i kilka ciastek, zresztą nic innego bym nie przełknęła, a to wszystko mamy w biurze.

Florin bez słowa uruchomił silnik. Spojrzała na niego kątem oka i w myślach przeprosiła za ostry ton. Potem skupiła się na drodze. W końcu przyznała się przed samą sobą, że tę sprawę traktowała bardziej osobiście niż inne. Kiedy Owner przywołał Evelyn, zrozumiała, że ma jeszcze stary dług do spłacenia.

Wiedziała, że to zrobi, a jedynym pytaniem, na które nie potrafiła udzielić odpowiedzi, było kiedy. Przez cały wieczór Beatrice co rusz sięgała do torebki, wyjmowała komórkę i przesuwała palcami po klawiaturze, próbując sformułować wiadomość. Kossar twierdził, że Ownera może zainteresować tylko coś mądrego.

Przed dwudziestą pojechała do rodziców, do gospody Mooserhof, żeby zobaczyć się z dziećmi. Przez chwilę czuła prawdziwą ulgę, bo zastała je szczęśliwe i roześmiane. Tak dobrze się bawiły, że niemal zapomniały tęsknić. Mina objęła ją i przytuliła nieco dłużej niż zwykle. W szkole dostała dobrą ocenę z dyktanda. Potrafiła powtórzyć, kto z jej klasy zrobił ile błędów.

Jakob odświeżył znajomość z przyjacielem z piaskownicy – synem sąsiadów – i większość czasu spędzał na łące jego rodziców albo w ich kurniku. Podarował Beatrice jajko, które sam wyjął z kurzego gniazda.

– Zapomniałem! Ja też coś dostałem! – oznajmił z dumą. – Taki mały świat! I on świeci, kiedy się go włączy!

– Dostałeś globus, tak?

– No właśnie! Globus! A Mina takie śliczne lusterko, z błyszczącymi kwiatkami na brzegach.

Achim, bez wątpienia.

– Tata długo został?

– W ogóle go nie było!

– To kto podarował wam takie ładne rzeczy? Babcia?

– Nie, babcia też nie! – Jakob był niemal oburzony. – Goście są bardzo mili,

a jak im coś podajemy, to niektórzy dają nam pieniądze. Albo prezenty, ale to rzadko. Ten pan od globusa przyniósł bardzo dużo zabawek, cały worek miał! I wszystko chciał sprzedać na rynku.

– I tak po prostu dał ci prezent?

Jakob błyskawicznie się zorientował, że w jej pytaniu kryje się zarzut.

– Zapytałem babcię, czy mogę wziąć, a ona się zgodziła. I jeszcze jedna pani dała mi długopis z pingwinami! Popatrz!

Beatrice starannie obejrzała najnowsze zdobycze Jakoba. Po chwili chłopiec wskazał palcem na leżące na stole jajo.

– Zrób sobie z niego jajko sadzone, dobrze? – poprosił i potarł nosem o jej policzek.

Kiedy wracała do biura, była niemal pewna, że znów ktoś będzie ją śledził, lecz ilekroć spoglądała w lusterko wsteczne, na drodze za sobą nie widziała żadnego samochodu. Jajko od syna leżało na siedzeniu obok, więc na każdym skrzyżowaniu starała się bardzo ostrożnie hamować, żeby go nie uszkodzić. Sama obecność tego kruchego podarunku Jakoba w dziwny sposób dawała jej poczucie bezpieczeństwa.

*

– Chcę, żeby mi oddał Sigarta – zażądała Beatrice.

Siedziała na swoim obrotowym krześle, bez butów i z podciągniętymi nogami, przyciskając słuchawkę ramieniem. Nocą w biurach Wydziału do Walki z Przestępczością Przeciwko Życiu i Zdrowiu było zupełnie pusto. Została tylko ona i Florin, który zmęczonym wzrokiem wpatrywał się w monitor komputera, oglądając powiększone zdjęcie okaleczonej dłoni Sigarta.

Z głośnika słuchawki dobiegał jedynie ciężki oddech. Czyżby Kossar zasnął w trakcie rozmowy?

– Halo? Co mam napisać Ownerowi, żeby go sprowokować i podejść? Mam mu coś zaoferować?

Chrząknięcie. Wyobraziła sobie, jak biegły poprawia okulary.

– To bardzo ryzykowna taktyka, *my dear* – powiedział w końcu. – Wciąż jeszcze za mało wiemy o jego motywacji i wcale nie chcemy go prowokować.

My dear? Beatrice powtórzyła jego słowa, bezgłośnie poruszając ustami.

– Wie pan co? Ja to widzę tak, że mam szansę, której na pewno nie chcę zmarnować. Od kilku dni czekamy, żeby w końcu się pan wypowiedział, a czas ucieka! Słucham, co pan napisałby na moim miejscu?

Uniosła wzrok i dostrzegła zaskoczone spojrzenie Florina. Wzruszyła ramionami. Potrzebowała rozsądnej podpowiedzi. Skoro do pomocy dostali

Kossara, należało to wykorzystać.

– No dobrze. – Psycholog mówił bardzo powoli. – Owner zwrócił się do pani bardzo osobiście, wspominając pani zmarłą koleżankę. Dlatego powinna pani spróbować również osobistej odpowiedzi. To wcale nie jest bezpieczne, ale być może rzeczywiście to jedyna możliwość, żeby znaleźć z nim jakąś płaszczyznę porozumienia. Gdyby się udało, byłaby to nieoceniona pomoc dla śledztwa. Musi pani wyrazić zainteresowanie dla tego, co robi. Proszę pokazać się jako dobra publiczność. – Zaśmiał się cicho. – Tylko niech pani nie prosi o bisy.

Fragment wiersza J.W. Goethego, *Śpiew duchów nad wodami*, w: Johann Wolfgang von Goethe, *Poezje. Faust I*. Akademia Humanistyczna im. A. Gieysztor, Pułtusk-Warszawa 2012, tłum. Andrzej Lam. [\[wróć\]](#)

Spróbował otworzyć oczy, lecz opaska, którą ktoś mu założył na głowę, była zbyt mocno zawiązana i mimo prób nie zdołał unieść powiek.

Trząsał się – z zimna i strachu, a przy każdym napadzie dreszczy więzy wbijały mu się jeszcze mocniej w skórę na nadgarstkach.

– Halo? – wyszeptał. – Jest tu kto?

Brak odpowiedzi.

Przełknął narastającą panikę i spróbował sobie przypomnieć, co się wydarzyło. Na próżno. Równie dobrze mógł tu tkwić od jednej godziny albo od dwunastu. Utrata świadomości nie pozwoliła mu zrekonstruować tego czasu.

Odczuwał natomiast ból. Każdego uderzenia serca doświadczał w skroniach niczym ciosu kilofem. Paliły go nadgarstki, ale nie czuł dłoni. Jakby ich nie miał. Spróbował poruszyć palcami, ale nie wiedział, czy mu się udało.

– Halo?

Czekał na odpowiedź. Tym razem spróbował wstrzymać oddech i wyczuć, czy gdzieś w pobliżu znajduje się jeszcze jakaś żywa istota, lecz dookoła panowała nieprzenikniona cisza.

Sam był sobie winny. Ostrzegano go, ale przez myśl mu nie przeszło, żeby potraktować to poważnie. A teraz...

Strach pęczniał i napinał mięśnie, aż w końcu przebił delikatną tamę opanowania, która go powstrzymywała. Zaczął krzyczeć, choć głowa pękała mu z bólu. Z jego gardła wydobywało się paniczne wycie.

Nikt jednak nie zareagował. Po chwili znów otoczyła go cisza. Milczał i czekał. Próbował myśleć o rodzinie, ale to tylko pogarszało jego sytuację. Pod zaciśniętą opaską zaczęły zbierać się łzy. Coraz trudniej było mu oddychać przez nos.

– No proszę, udało się – odezwał się jakiś głos zza jego pleców.

Odruchowo chciał się odwrócić, lecz osiągnął tylko tyle, że więzy jeszcze głębiej wbiły się mu w skórę.

– Czego pan chce? – wycharczał.

– Odpowiedzi.

Przełknął głośno ślinę, lecz nie zapytał, jakich.

– Uwolni mnie pan, jeśli odpowiem na wszystkie pytania?

Po tych słowach zapadła cisza, tak głęboka jak poprzednio. Nie słyszał nawet oddechu mężczyzny z tyłu. Nagle ktoś położył mu dłoń na głowie.

– Powiem panu, co się stanie. Z początku będzie pan kłamać. Potem powie pan prawdę. A na koniec pan umrze.

Zegarek w komputerze wskazywał pierwszą dwadzieścia sześć nad ranem. Świat dookoła Beatrice zaczynał się rozmywać. Po wizycie u dzieci chciała tylko na chwilę wpaść do biura po akta i wracać do domu, lecz czekały na nią dwa nowe raporty. Zabrała się do ich przeglądania, a kiedy ponownie spojrzała na zegarek, okazało się, że minęły cztery godziny. Jeszcze tylko SMS i do domu. „Chciałabym panu pomóc” – napisała i natychmiast skasowała wiadomość. Po raz chyba dwudziesty próbowała sformułować odpowiedni tekst w taki sposób, by dotarł do Ownera i skłonił go do rozmowy. Jak dotąd nie znalazła jeszcze odpowiedniego tonu. W dotychczasowych wiadomościach albo brzmiała władczo, albo żałośnie. Ostatnia była chyba najgorsza z możliwych, bo sugerowała, że jest niespełna rozumu.

– Bo i jest – mruknęła pod nosem.

– Słucham?

– Sorry, Florin. Głośno myślałam. – Uśmiechnęła się, ale czuła, że wygląda to żałośnie. – Dobra, chcesz kawy?

Spojrzał na zegarek i uniósł brwi.

– Samobójstwo poprzez przedawkowanie kofeiny. Ale co tam, jeszcze jedną zmieszczę. Wiesz co? Nie wstawaj, ja się tym zajmę. – Ekspres do kawy zaczął bucząć i mleć ziarna. – Ciągłe głowisz się nad tym SMS-em, co?

– Niestety.

– Powinniśmy coś razem wymyślić.

– Sama nie wiem... – Odwróciła głowę i chciała wyrzeć przez okno, lecz jej blade odbicie w szybie przesłoniło ciemność na dworze. – Mam być szczerą i naturalną, tak twierdzi Kossar. Mam uderzyć w osobisty ton. Tylko że jedyne, na czym mi zależy, to nie słowne potyczki, a życie Sigarta. – Rzuciła komórkę na blat. – Może wpadnę na jakieś magiczne słowo albo kilka, które tak nim wstrząsną, że zrezygnuje z kolejnych morderstw.

Dysza przy ekspresie zabulgotała, zmieniając mleko w delikatną piankę.

– Obawiam się, że Owner bez trudu się domyśli, po co w ogóle wysyłasz do niego wiadomości. Równie dobrze możesz mu to napisać bez owijania w bawełnę. – Postawił przed nią filiżankę. – Uważam, że powinnaś zignorować pomysły Kossara. Nie otwieraj się przed nim i nie zachęcaj go, żeby cię lepiej poznał.

Przemyślała jego słowa i sięgnęła po komórkę. Dokładnie to, czego chce. Słowo w słowo.

„Chcę z Panem porozmawiać i zrozumieć, dlaczego Pan to robi”.

Plus coś osobistego.

„Don't look so frightened, this is just a passing phase, one of my bad days”.

Trzema łykami opróżniła filiżankę i żeby się nie rozmyślić, czym prędzej wysłała wiadomość. Nic nie pocznie z tym cytatem, nawet jeśli go zna. „Dla odmiany mała zagadka dla niego” – pomyślała. „*Bad days*”. Ziewając, ukryła twarz w ramionach.

– Florin, jadę do domu. I tak, dam znać, gdy dotrę na miejsce.

Piosenka towarzyszyła jej przez całą drogę do samochodu i przywoływała wspomnienia i obrazy, o których Beatrice już od dawna nie myślała. *Run to the bedroom, in the suitcase on the left you'll find my favorite axe...*

Włączyła radio i pozwoliła Beth Ditto, by osiemdziesięcioma decybelami przepędziła prześladowające ją koszmary.

Odpowiedź przyszła dokładnie siedemnaście minut przed szóstą rano, o czym poinformował ją budzik ze świecącymi na czerwono cyframi, które zobaczyła, ledwie otworzyła oczy. Sygnał nowej wiadomości prześladował ją już nawet we śnie, więc chwilę jej zajęło, zanim się zorientowała, że w realnym świecie jej telefon również obwieszcza przyjście nowego SMS-a.

Wyciągnęła dłoń i po omacku zaczęła szukać telefonu, a kiedy go znalazła, omal nie zrzuciła na podłogę. W ostatniej chwili zacisnęła palce na słuchawce i spojrzała na ekran: „Jeśli chce Pani porozmawiać, to zapraszam do mnie” – odpowiedział Owner. „To proste, wystarczy wyciągać właściwe wnioski. *I feel cold as a razor blade, tight as a tourniquet, dry as funeral drum*”.

Otrzeźwiała w ułamku sekundy. Ponownie odczytała treść wiadomości, a potem jeszcze raz i jeszcze raz. O ile w pierwszej chwili SMS wydawał się bardzo otwarty i obiecujący, to w następnej zdawał się nic nie znaczyć. Właściwe wnioski, no pewnie. Gdyby to było takie proste, ta rozmowa odbywałaby się w areszcie śledczym. Z drugiej strony liczył się też fakt, że Owner zareagował na wiadomość od niej i w dodatku odniósł się bezpośrednio do jej słów. To się nazywało dialogiem.

Kiedy wstała z łóżka, lekko zakręciło jej się w głowie. Ruszyła do kuchni. Wzięła szklanę, napełniła zimną wodą i całość wypła duszkiem.

Owner brał wszystko bardzo dosłownie. I znał *The Wall* Pink Floydów na tyle dobrze, żeby w wiadomości zacytować mniej popularny wers. Nie wiedział jednak, jak wielkie znaczenie miał dla niej ten album – gdyby się domyślał, wiadomość wyglądałaby zupełnie inaczej.

Beatrice położyła się do łóżka, mając nadzieję, że uda się jej jeszcze na trochę zamknąć oczy. Budzik miał zadzwonić o siódmej, lecz sen nie chciał już wrócić. Miała pecha, bo odchodząc, nie zabrał ze sobą zmęczenia.

Mimo to postanowiła nie wstawać z łóżka i intensywnie analizowała każde słowo wiadomości, jedno po drugim.

Jakiej odpowiedzi mogła się spodziewać, gdyby zapytała wprost o to, czy Sigart jeszcze żyje? Albo poprosiła o kolejną odpowiedź do etapu czwartego?

Tak jak dotychczas, byłby bardzo tajemniczy. „Zapraszam do mnie”, ale to oryginalne.

Beatrice westchnęła głęboko i przewróciła się na bok. Intuicja podpowiadała jej, żeby od razu zarzucić poszukiwania etapu czwartego i zostawić w spokoju zafoliowane części ciała Liebschera. Bo jeśli dotychczas z działań sprawcy dało się wyłonić jakiś *modus operandi*, to polegał on na tym, że Owner czekał, aż znajdą kolejny etap, i wtedy uderzał. Być może udając głupich, uratują przed nim kolejne potencjalne ofiary.

– Mam jednego sprzedawcę używanych samochodów, jednego trenera sprzedażowego i jednego przedstawiciela firmy handlującej kalendarzami. Każdy z nich ma dwóch synów, z których jeden ma na imię Felix. – Stefan uśmiechnął się dumnie, prezentując jej kartkę z notatkami. – No to jak, dobra robota czy świetna robota?

– To... – Beatrice przesunęła wzrokiem po zapisanej kartce. – Fantastyczna robota, Stefan.

– Siedziałem w domu i przeglądałem listy, aż w końcu ich znalazłem. Jak uważasz, od którego powinniśmy zacząć? Patrz, tutaj mam adresy. Gdybyśmy najpierw pojechali do sprzedawcy kalendarzy...

Przerwała mu uniesieniem dłoni.

– Nie dzisiaj. Omówimy to jeszcze na odprawie, ale moim zdaniem powinniśmy się wstrzymać z wypełnianiem *Stage* cztery.

– Ale dlaczego?

Stefan nie potrafił ukryć rozczarowania. Wyglądał przez to jeszcze młodziej niż w rzeczywistości. Poklepała go delikatnie po plecach.

– Z ostrożności, Stefan, z ostrożności. Beilowi i Sigartowi spotkanie z nami nie wyszło na zdrowie.

– Myślisz, że...

– Nie wiem. Ale mam wrażenie, że Owner podtyka nam kogoś pod nos tylko po to, żeby go potem zamordować. Nie mam zamiaru bawić się w to na jego zasadach.

Stefan mruknął coś pod nosem, a w jego głosie słychać było mieszaninę rozczarowania i zgody.

– Dobra, chodź do mnie do biura. – Pociągnęła go korytarzem. – Ja stawiam pierwszą kolejkę kawy.

Kossar zgadzał się z nią we wszystkich punktach. Nowa taktyka miała

polegać na tym, by nie dawać mu tego, czego chce, i w ten sposób wywabić go z kryjówki. Biegły wybrał tego dnia nowe okulary: błękitne oprawki z ciemnoczerwonym wzorem. Wyjątkowo gryzły się z barwą jego zielonych oczu.

– Jeszcze ani razu nie odezwał się do pani w tak osobistym tonie, Beatrice. On panią tutaj ośmiela, niemal prowokuje. Odpowiada na przesłany cytat i zaprasza do siebie. Ta korespondencja wykracza daleko poza czystą wymianę informacji.

– Obawiam się, że cokolwiek bym napisała, nie jestem w stanie wyrwać mu Sigarta, a to miało być... – Zauważyła, że w tym momencie Stefan i Kossar wymienili szybkie spojrzenia. – Dobra, zrozumiałam. Waszym zdaniem to bez sensu, bo Sigart i tak już nie żyje, tak?

Wspomnienie kwietniowej nocy sprzed dwunastu lat zaczęło przebijać się do jej świadomości. Przed oczyma stanęła jej twarz Evelyn, z początku żywej, a potem martwej. Starła się odsunąć od siebie ten obraz i skupić myśli na Sigarcie i na jego bladych, pozbawionych nadziei oczach. Odchrząknęła.

– Będę to powtarzała do znudzenia: dopóki nie znajdziemy jego ciała, traktujemy Sigarta jako żywego.

– Całkowicie się zgadzam – usłyszała głos Florina. Policjant właśnie wszedł do biura. – Skoro jeszcze wczoraj żył, to są duże szanse, że w tej kwestii nic się nie zmieniło.

Problem polegał jednak na tym, że nie mieli zielonego pojęcia, gdzie zacząć poszukiwania. Kolejne rozmowy z sąsiadami Sigarta nie przyniosły żadnych wartościowych informacji – jak to w ogóle możliwe? Nikogo nie zaskoczył hałas? Nikt nawet nie wyjrzał przez judasza?

– Słyszeliśmy odgłosy walki i wiemy o przynajmniej jednym sąsiedzie, który też je zauważył, choć całkowicie błędnie zinterpretował. – Florin oparł głowę na dłoni, a palcami drugiej prowadził długopis po kartce notatnika przed sobą. – Rozumiem, że Sigart mieszka na pierwszym piętrze, a droga do piwnicy nie jest długa, ale i tak Owner musiał działać z prędkością błyskawicy.

Beatrice nie odrywała wzroku od wyrysowanych przez niego linii i starała się myśleć w ten sam sposób.

– Złapał go za ramiona i zwałókl ze schodów. Jednak krwawy odcisk buta – zaprezentowała wydruki odpowiednich zdjęć – jest skierowany do góry. A to oznacza, że Owner albo schodził tyłem, albo jeszcze raz wbiegł na górę.

– To pierwsze – zgodził się Florin. – Ciągnął go przed sobą, schodząc tyłem. Rozległ się sygnał telefonu. Pracownik telekomu odpowiedzialny za kontakty z policją poinformował, że SMS, który otrzymała dziś rano, został wysłany z okolic Golling.

– To było jeszcze przed szóstą rano. – Beatrice uderzała nerwowo długopisem o notatnik, wystukując szybki rytm. – Owner też musi spać, bo ma

ogromnie dużo na głowie. Przemęczony szybciej popełni jakiś błąd, lecz sam dobrze o tym wie i nie chce ryzykować, dlatego można założyć, że mieszka gdzieś w pobliżu Golling. Albo przynajmniej tam ma swoją tymczasową kryjówkę.

– Chyba że – wtrącił Stefan – nie działa sam. Zakładaliście przecież, że Nora Papenberg była jego współpracowniczką, prawda? Dlatego nie wykluczałbym, że ma jeszcze kogoś do pomocy.

Ten pomysł omawiali już kilka razy i dochodzili do różnych wniosków. Kossar za każdym razem wykluczał taką możliwość i dziś nie było inaczej.

– Ktoś skromniejszy, pozbawiony pychy, nie bawiłby się w takie zagadki. Owner chce pokazać, że jest od nas lepszy, jednak tylko wtedy uzna swoje zwycięstwo, jeśli sam nas pokona. Jestem właściwie pewny, że mamy do czynienia z pojedynczym sprawcą.

– To jak wytłumaczyć rolę Nory Papenberg?

Kossar nie myślał długo nad odpowiedzią.

– Dopuszczam możliwość, że na samym początku potrzebował pomocy. Lecz kiedy jego plan zaczął działać, zdecydował...

Przerwał, bo w tym momencie rozległo się pukanie do drzwi. Do biura weszła jedna z pracownic biurowych. Jutta? Jette? Jasmin? Beatrice przeklęła w duchu swój brak pamięci do imion. Kobieta przyniosła kwiaty – zawinięty w papier bukiet, którego zapach momentalnie wypełnił pomieszczenie, mieszając się z aromatem świeżej kawy.

– Właśnie przyszło to do pani. – Puściła do niej oko i z uśmiechem położyła przesyłkę na jej biurku.

– Zaraz! – krzyknęła Beatrice, lecz drzwi były już zamknięte.

Kossar uśmiechał się szeroko, jakby to on był nadawcą bukietu.

– Niechże pani pokaże! Od kogo to?

Beatrice powoli pozrywała taśmę klejącą z papieru, którym był owinięty. Przez chwilę myślała, że to pomysł Florina. Tylko dlaczego akurat on miałby przysyłać jej kwiaty? Spojrzała na niego. Obserwował jej poczynania z nieco poirytowaną miną.

Wyrzuciła pierwszą partię zerwanej taśmy klejącej do śmieci i świadoma tego, że delikatne rozwijanie było tylko grą na czas, zerwała resztę opakowania.

Białe kalie i fioletowe lilie. Trzy gałązki świerku. Gipsówka. Przewiązane biało-złotą szarfą.

Jej żołądek zareagował szybciej niż głowa. Zerwała się z miejsca, wybiegła z biura i w ostatniej chwili dopadła do toalety. Zwymiotowała śniadanie i wypitą przed chwilą kawę, a kiedy jej żołądek był już pusty, dusiła się przez chwilę, próbując się uspokoić. Lecz nawet zapach wymiocin nie był w stanie stłumić zapachu kwiatów, który wciąż bezlitośnie wypełniał jej nozdrza.

W końcu się wyprostowała, poczekała, aż znikną czarne punkty wirujące jej

przed oczyma i przepłukała usta. Przerazenie i obrzydzenie mieszały się w niej ze wstydem. Żeby tak się zachować na widok kwiatów... Tak nie reagują profesjonaliści. Jak miała się teraz wytłumaczyć?

Kilka łyków wody przegnało paskudny smak z jej ust. Przygotowując się w duchu na pytania współpracowników, chwyciła za klamkę i omal zderzyła się z Hoffmannem.

– O, koleżanka Kaspary. Kolejna przerwa, co?

W pierwszym odruchu chciała go ominąć i bez słowa uciec do biura, jak przestraszone dziecko. Tego dnia miała już jednak wszystkiego dość.

– Dlaczego pan pyta? Nie zauważył pan, skąd wychodzę? – Mówiła cicho, z naciskiem. Znow poczuła ucisk w żołądku.

Hoffmann podszedł kawałek i pociągnął nosem.

– Wymioty? Dobrze czuję? Proszę się przyznać!

Beatrice nie ruszyła się z miejsca i nie odwróciła wzroku, choć Bóg jeden wiedział, ile ją to kosztowało.

– No i?

– Czy jest pani w ciąży? Jeszcze tylko tego mi brakowało!

Nie potrafiła powstrzymać śmiechu.

– Nie, to akurat na pewno nie.

Otaksował ją wzrokiem.

– Bogu dzięki. Co prawda to w żaden sposób nie poprawia pani sytuacji, ale...

– To pana zdanie – przerwała mu. – A co mi jest, to moja sprawa i proszę się tym nie interesować. I tak, dziękuję, już mi lepiej.

Nie czekając na jego reakcję, ruszyła z powrotem do biura.

Kiedy weszła do środka, Stefan, Kossar i Florin już na nią czekali.

– I jak, wszystko okej? – zapytał ten ostatni i ruszył w jej stronę. – Jesteś strasznie błada. Jeśli się źle czujesz, wracaj zaraz do domu. Nic nam nie da twoja obecność, jeśli się wykończysz.

Bukiet wciąż leżał na jej biurku. Ktoś zdjął z niego resztę papieru.

– Nie jestem chora. Przepraszam, że tak zareagowałam, ale... to te kwiaty...

– Tak właśnie myślałem. – Florin wyjął spomiędzy liści bilecik w kopercie, białej z czarną obwódką, przypominającej nekrolog. – Otworzyć za ciebie?

Pokręciła głową. Poczowała, że znow zbiera jej się na wymioty, więc przełknęła ślinę. Wiadomość o śmierci, nic innego nie wchodziło w grę. Sigart nie żył, a Owner w charakterystyczny dla siebie sposób postanowił ją o tym poinformować. Usiadła, odsunęła kwiaty, przygotowała się wewnętrznie na jakieś okrutne zdjęcia i otworzyła kopertę.

Biała kartka. Bez zdobień. Beatrice przeczytała wiadomość, spróbowała ją zrozumieć i poddała się.

To, co jest tylko prawdopodobne, prawdopodobnie jest błędne.
47°26,195'N; 13°12,523'E
Wiecie wszystko, a nie znajdujecie nic.

Bez słowa podała kartkę Florinowi.

– Kiedy... kiedy wyszłaś, zadzwoniliśmy do kwiaciarni, która wysłała kwiaty – poinformował Stefan. – Powiedzieli, że bukiet nadała młoda kobieta, która słabo mówiła po niemiecku.

– Będziemy potrzebowali jej dokładnego opisu. – Robiła wszystko, co mogła, by nie patrzeć na kwiaty. – Stefan, mógłbyś...

– Pojechać tam? Pewnie. – Idąc w stronę drzwi, pomachał komórką. – Hej, ale informujcie mnie na bieżąco, okej? Ja będę dzwonił, gdy tylko czegoś się dowiem.

Beatrice wbiła wzrok w liścik. Nowe współrzędne. Czy chodziło o *Stage 4*?
Podpowiedź od Ownera, żeby gra nie utknęła w martwym punkcie?

Florin podał jej szklankę wody.

– Jak się czujesz? Już lepiej?

– Białe kalie i fioletowe lilie – powiedziała cicho. – Takie kwiaty kupiłam do wiązanek, którą dwanaście lat temu położyłam na grobie mojej zamordowanej przyjaciółki. On we wszystkim nawiązuje do Evelyn. – Odsunęła włosy przyklejone do spoconego czoła. – Nawet kolor szarfy się zgadza.

– Męczy mnie, dlaczego wybrał akurat ciebie. – Florin spoglądał oczyma pełnymi współczucia, a czego jak czego, ale tego akurat nie potrzebowała.

– Skąd mam wiedzieć? Zapytaj eksperta! – burknęła i wskazała na Kossara.
– Zapytaj go przy okazji, skąd Owner może znać inskrypcję z jej nagrobka!

Duszo człowiecza,
Tyś jest jak woda!
Losie człowieczy,
Tyś jest jak wiatr!

Cytat wybrała matka Evelyn, piękna i serdeczna osoba, która w czasie pogrzebu przeżyła załamanie i pogotowie musiało odwieźć ją do szpitala. Beatrice spotkała ją później tylko dwukrotnie i za każdym razem kobieta była drobniejsza i bardziej szara. Nie tylko jej włosy, ale i skóra, i oczy również zdawały się tracić kolor. Nadal była tak samo serdeczna, nawet jeśli nieco nieobecna. Mimo solennego postanowienia, Beatrice nigdy nie zdobyła się na to, żeby opowiedzieć

matce Evelyn, co się wtedy wydarzyło. I jak łatwo mogła temu zapobiec.

Nikt z jej obecnego życia nie miał o niczym pojęcia. Tak w każdym razie myślała.

– No dobrze. – Głos Kossara wyrwał ją z zamyślenia. – Oczywiście wydaje się silna fascynacja i próby nawiązania bliskiego kontaktu z koleżanką Kaspary. Wiadomości i kwiaty wysyła tylko i wyłącznie do niej, ba, nawet wsunął jej karteczkę pod wycieraczkę. Można pomyśleć, że się zakochał, prawda?

Beatrice odwróciła głowę. Jeśli Kossar nie zmieni podejścia, znów będzie musiała pędzić do ubikacji.

– Czy człowiek, który zamordował pani przyjaciółkę, został schwytany?

Potrząsnęła głową i zrozumiała, co Kossar naprawdę ma na myśli.

– W żadnym razie to nie ten sam sprawca! Sposób działania jest całkowicie odmienny! Owner nie działa na tle seksualnym. – Wskazała na zdjęcia obciętych dłoni i uszu, które Florin rozłożył na biurku. – Zupełnie inny jest charakter obrażeń ofiar i inne narzędzia zbrodni. Poza tym większość zamordowanych przez Ownera to mężczyźni, więc to kolejna różnica. – Wysunąwszy brodę, spojrzała wyzywająco na Kossara. „Kroc z podniesioną głową, nawet jeśli szyja jest brudna”. To było jedno z ulubionych powiedzeń Evelyn. Kiedy znów się odezwała, mówiła ciszej i ostrzej. – Z całą pewnością pan wie, że seryjni mordercy nie zmieniają tak łatwo swoich metod.

– Nie, z całą pewnością nie. – Kossar przyznał jej rację i uśmiechnął się delikatnie. – Ale też niczego takiego nie twierdziłem. Zapytałem jedynie, czy morderca pani przyjaciółki wpadł w ręce policji, bo uważam, że to bardzo pomogłoby pani w pokonaniu tej traumy.

To był cios poniżej pasa. Miała rację, włożyła mu w usta słowa, których nie powiedział. Powinna teraz przeprosić, że podważała jego kompetencje.

Tyle że akurat w tej chwili była zbyt wściekła.

– Ważniejsze od mojej traumy, jak raczył się pan wyrazić – warknęła – są te współrzędne. Bądźmy szczerzy, doskonale wiemy, co nas tam czeka.

Nagle przypomniała sobie zakrwawioną komórkę Sigarta. Myśl, że to wszystko przeżył, nie miała w sobie nic radosnego.

– Nie byłbym tego taki pewny. – Florin wskazał długopisem na ekran komputera. – Cytat, który Owner przysłał, wygląda mi na modyfikację Kartezjusza, a on był matematykiem.

– Jak Liebscher!

– No właśnie. Dlatego byłbym raczej skory założyć, że to nie miejsce ukrycia zwłok Sigarta, tylko podane na tacy współrzędne *Stage 4*. Gdzie znajdziemy kolejne części ciała Liebschera. Zupełnie, jakby wiedział, że chcieliśmy przestać się z nim bawić.

Wskazane miejsce znajdowało się dokładnie na skrzyżowaniu dwóch ruchliwych tras, niedaleko Bischofshofen, gdzie nad rzeką Salzach rozpiął się most. Woda i charakterystyczny punkt – najwyraźniej Owner miał do nich słabość.

Nie przyjechali sami. Przywieźli ze sobą trójkę przewodników z psami tropiącymi i cztery wozy patrolowe, które w razie znalezienia ciała miały zablokować obie trasy. Drasche i Ebner pracowali przy zabezpieczeniu śladów po włamaniu do któregoś ze sklepów jubilerskich, więc przysłali zastępstwo.

Współrzędne wskazywały dokładnie na most tak zbudowany, że kamiennymi stopniami dało się zejść pod jego przęsła i spacerować poniżej poprowadzonej górą drogi.

Trójka przewodników z psami pracowała już na dole, wspierana przez czterech funkcjonariuszy przeszukujących teren w promieniu trzydziestu metrów. Dotychczas bez rezultatu.

Poniżej szumiała rzeka, tocząc wody na północ, w kierunku stolicy. Beatrice stanęła na kamiennym moście i wychyliła się nad murkiem. Starła się nie zwracać uwagi na gryzący zapach moczu. Jeśli Owner nie był dostatecznie ostrożny, rzeka już dawno uniosła to, czego szukali. Pod sklepieniem było wilgotno i ślisko, więc mocniejszy podmuch wiatru bez trudu mógł zrzucić pojemnik do wody.

Obawy Beatrice zdawały się potwierdzać, bo po trzech godzinach żmudnych poszukiwań wciąż nie trafili na żaden ślad skrytki. Psy nie zwietrzyły niczego poza truchłem wiewiórki. Ani zwłok, ani cache'a. O drugiej po południu złożyli broń.

– Kpi sobie z nas. – Beatrice mówiła gorzkim głosem. – Podsuwa nam jakieś współrzędne, my rzucamy się na poszukiwania i robimy w ten sposób dokładnie to, czego on chce.

Usiadła w trawie kawałek od ulicy i przyglądała się w milczeniu, jak przewodnicy po raz ostatni prowadzą psy pod mostem.

A jeśli to miał być *micro cache*? Na przykład wyłupione oko w woreczku, zamknięte w pojemniczku po filmie do aparatu wciśniętym w jedną z niezliczonych dziur w murze? Czy psy potrafiły wyczuć coś tak małego?

Pewnie tak. Jednak dotychczas Owner tak chował pojemniki, żeby przy odrobinie dobrych chęci i cierpliwości nie mieli problemów z ich znalezieniem.

– Dużo bym dał, żeby wiedzieć, po co nas tu wysłał. – Zawiał chłodny wiatr. Florin zapiął kurtkę.

– No właśnie. Po co nas tu ściągał? Może po to, żebyśmy nie byli gdzieś indziej. Jeśli wszyscy skupią się na punkcie A, on, nie niepokoiony przez nikogo, może robić, co chce w punkcie B.

Wiecie wszystko, a nie znajdujecie nic.

Czy miał na myśli dosłownie to, co napisał? Wiedzieli wszystko. Znali współrzędne, a jednak niczego nie znaleźli. A może to była jakaś przenośnia? Może nie należało brać tego dosłownie?

Przez całą drogę powrotną Beatrice analizowała wiadomości, które jej przesłał. Tylko dziś dostała SMS-a i bilecik do kwiatów. Zrobił się zaskakująco towarzyski. Niestety, to mogło oznaczać, że zbliża się do kulminacji swojego krwawego planu.

Na parkingu, w pobliżu wejścia do budynku, czekał Achim. Sądząc po pozie, w jakiej stał, tkwił tam już od dłuższego czasu. Musiała się z nim spotkać, bo nie dało się inaczej wejść do biura. Przez kilka chwil miała wrażenie, że nie może ani nabrać oddechu, ani wypuścić powietrza, które miała w płucach.

Wszystko w porządku, uspokajała się. Tym razem nie zawaha się wezwać pomocy, jeśli zacznie krzyczeć albo ją obrażać. Kogo jak kogo, ale prawników tu nie brakuje.

Florin również go zauważył i westchnął niezadowolony.

– Ale ma wycucie czasu, niech go szlag. Mam go spławić?

– Nie, dam sobie radę. Spokojnie. – Powoli wysiadła z auta i poczekała, aż pozostali wejdą do środka.

Achim patrzył, jak idzie w jego stronę. Jego blond włosy rozwiewał wiatr.

– Cześć, Beatrice.

Stała przed nim bez słowa i skrzyżowała ramiona na piersi. Spróbował się uśmiechnąć, ale nie wyglądało to przekonująco. Chyba sam też to poczuł, bo zawstydzony spuścił wzrok.

„Przyjechał, bo czegoś chce” – pomyślała Beatrice. Powoli zaczęło schodzić z niej napięcie. Gdyby nie to, nie zachowywałyby się tak spokojnie.

– Jesteś bardzo zapracowana, prawda? – Empatyczny, pełen zrozumienia ton. Niemal szczery.

– Co nieco. Czas nas ciśnie.

– Rozumiem. No bo... wiem, że dzieci chętnie zostają u twojej matki i ona bardzo chętnie się nimi zajmuje, ale... – Z wyraźnym trudem usiłował zachować spokojny i rzeczowy ton.

Beatrice widziała, jak zaczyna się czerwienić, z początku szyja, a potem twarz. Zbyt dobrze go znała, żeby nie wiedzieć, co to oznacza.

– ...tak rzadko je widuję. Jeśli nie masz czasu, chętnie bym się nimi zajął. Choćby na trochę. Ja bym pomógł tobie, a ty mnie.

Nie miała wątpliwości, że akurat w tym momencie mówił zupełnie szczerze, lecz mimo to nie potrafiła odpuścić.

– Miałbyś podwójną satysfakcję – odparowała. – Spędzałbyś więcej czasu z dziećmi i zyskałbyś nowe argumenty przeciwko mojej pracy.

Uniósł dłonie.

– Teraz nie chodzi mi o nas i nasze nieporozumienia, tylko o Jakoba i Minę. Wiem przecież, że oni też chętnie częściej by mnie odwiedzali.

Uklucie, gdzieś głęboko.

– Od nich to usłyszałeś?

– Od Miny. A co, uważasz, że to niewłaściwe? Że nie wolno jej tęsknić za tatą?

Tak. Nie. Oczywiście, że wolno.

– Oczywiście, że jej wolno. Za to na pewno niedobre jest to, że nastawiasz je przeciwko mnie. Niedawno, gdy odwoziłam je do babci, usłyszałam, że je „porzucam”. – Skarciła się w myślach za niepotrzebnie tak ostry ton. – Ode mnie tego nie usłyszała, a już na pewno nie w tym kontekście.

Achim miał na końcu języka jakąś ciętą odpowiedź, ale zacisnął zęby i nic nie powiedział. Widziała, że ze sobą walczy. Z kieszeni na piersi wyjął napoczętą paczkę cameli, zawahał się i schował je z powrotem.

– Niech będzie, może raz mi się wyrwało... Nie potrafię sobie jeszcze poradzić z tym wszystkim... nowym. Nie chciałem tego. Cały czas żałuję, że tak jest.

No pewnie. Czyli to wszystko jej wina.

– Nie tylko dla ciebie to nowa sytuacja, my też musimy się przyzwyczaić. No dobrze, muszę wracać do biura, ale... ale masz rację. Następnym razem, kiedy będę potrzebowała pomocy, najpierw zadzwonię do ciebie.

Uśmiechnął się, tym razem radośnie. Beatrice odpowiedziałaby tym samym, gdyby nie była pewna, że dostrzegła w jego oczach delikatny błysk tryumfu.

– Miłego dnia, Achim.

Podala mu dłoń, czym wprawiła go w osłupienie. Dopiero po chwili ją uścisnął.

– Serio, Beatrice, bardzo mi zależy, żebyśmy znów się lepiej rozumieli – powiedział.

– Mhm. – Cofnęła rękę. – Odezwę się.

– Kobieta, która nadała kwiaty, była brunetką z lekką nadwagą. Zapłaciła gotówką. – Stefan zajrzał do notatnika. – Sprzedawczyni nie potrafiła rozpoznać jej akcentu. Twierdziła, że to albo turecki, albo węgierski.

– Mogła się pomylić, prawie identyczne języki – mruknął Florin z głosem ociekającym ironią. Oparł się wygodniej i rozejrzał. Po raz pierwszy, od kiedy zaczęli pracę nad tą sprawą, był naprawdę zdenerwowany.

Beatrice jednym uchem przysłuchiwała się tej wymianie zdań. Informacje od operatora komórkowego znów nie wniosły nic nowego. Po porannym SMS-ie Owner wyłączył komórkę i ani razu już jej nie uruchomił.

Z poczuciem, że teraz jej kolej, zabrała się do pisania nowej wiadomości: „Dziękuję za kwiaty i gratuluję znajomości szczegółów. Proszę o odpowiedź na jedno tylko pytanie: jak się czuje Bernd Sigart?”.

Czy Owner ją wyśmiej? Możliwe. Ale nie miała już ochoty na aluzje i zagadki.

Przez chwilę się wahała, czy nie wspomnieć o moście i współrzędnych, lecz uznała, że nie w tej wiadomości. Nie chciała odwracać jego uwagi od głównego pytania.

Wysłała SMS-a i wstała. Chciała iść do bufetu i kupić butelkę herbaty mrożonej. Z napojem w dłoni ruszyła na dwór, żeby poszukać jakiegoś spokojnego miejsca. Herbata była przeraźliwie słodka i tak zimna, że przy każdym łyku bolały ją skronie.

Chciała mieć trzydzieści minut dla siebie, więc piła, nie spiesząc się. Nie, te pół godziny to był czas dla niego – skoro dotychczas ani razu nie logował się do sieci, pewnie zrobi to niebawem. Mogłaby natychmiast wysłać odpowiedź. Podobało mu się, że korespondowali. To było oczywiste. Bawił się aluzjami i cieszył, kiedy wprawiał ją w zaskoczenie. W końcu będzie chciał zobaczyć jej reakcję na żywo.

Jednak dopiero około trzeciej w nocy Beatrice usłyszała piosenkę *Message in a bottle*. W ułamku sekundy otrzeźwiała, usiadła i sięgnęła po telefon. Serce waliło jej jak szalone, kiedy czytała wiadomość: „Interesuje Panią, czy Sigart żyje? Ano żyje. Jeszcze. Tylko że nie jest z nim za dobrze. Skoro Pani tak na nim zależy, zachowam go na sam koniec, specjalnie dla Pani. Mam nadzieję, że Pani to docenia”.

Na sam koniec. Jeśli jego wiadomości miały drugie dno, to ta na pewno się do nich zaliczała. Przede wszystkim wciąż istniała szansa, żeby uratować Sigarta, ale jednocześnie Owner ostrzegał, że nie skończył z zabijaniem. To akurat wiedziała już wcześniej, bo nie rozwiązali zagadki etapu czwartego, a na miejsce dotarli jedynie dzięki jego podpowiedzi. Stefan dalej przekopywał się przez stopy danych, lecz nawet, gdyby jakimś cudem udało mu się trafić na właściwą osobę i nikt nie miałby wątpliwości, że to on, „kluczowa postać” otrzymałaby policyjną ochronę. Na pewno nie próbowaliby z nim rozmawiać. Gdyby Owner trzymał się gdzieś w pobliżu, licząc, że zobaczy, jak policja staje przed drzwiami jego przyszłej ofiary, być może udałoby się go namierzyć i zatrzymać.

Czy czekał ich jeszcze jeden, piąty etap? *Stage 5*?

Po raz kolejny przeczytała wiadomość.

Następną rzeczą, jaka przebiła się do jej świadomości, był sygnał budzika. Po raz kolejny zdarzyło się jej zasnąć, ściskając w dłoni telefon niczym drogocenny talizman.

*

Kossar nie znajdował uzasadnienia dla jej teorii.

– To, że chce go zachować dla pani na sam koniec, przede wszystkim może oznaczać, że zachowa jego zwłoki. Więcej ostrożności, on zamierza uspić pani czujność. – Spojrzenie, jakim lustrował ją zza cienkich szkieł okularów, było pełne tej przenikliwej pobłażliwości, której nie znosiła już od czasu studiów. Wykładowcy spoglądali wówczas na nich w taki sposób. – Niech pani tylko pomyśli o śladach w mieszkaniu Sigarta. Stracił ogromnie dużo krwi, a przecież kiedy znalazł się w aucie, nie przestał w magiczny sposób krwawić, prawda?

Mógł sobie darować ten przemądrzały ton. Beatrice nie miała zamiaru wdawać się w dyskusję. Poczekala, aż zostanie sama z Florinem, i zadzwoniła do Draschego.

– Bez profesjonalnej pomocy, raczej nie – wyjaśnił autorytatywnie. – Może nie zszedł na miejscu, ale większych nadziei bym sobie nie robił.

– To była tylko jego krew?

– Tak. – Odpowiedź była natychmiastowa. – AB minus. Trudno o rzadszą grupę. Palce i cała krew w mieszkaniu pochodzą od jednej osoby. Porównałem nasze wyniki z wynikami z kartoteki od lekarza rodzinnego Sigarta i wszystkie parametry się zgadzają. Jego palce, jego krew. Żadnych śladów krwi osób trzecich. Sprawca najwyraźniej nie odniósł ran.

– Dzięki – powiedziała Beatrice cicho. Resztkę optymizmu, która towarzyszyła jej od wczesnego ranka, słowa Draschego zmieniły w pył. Do końca dnia czekała na kolejną wiadomość od Ownera, najlepiej na MMS, który potwierdziłby jego słowa, pokazując Sigarta żywego. Lecz telefon milczał.

*

Wskazówki zegara w kuchni nieuchronnie zbliżały się do północy. Beatrice, owinięta w płaszcz kąpielowy i z mokrymi włosami, stała przed lodówką, kiedy zadzwonił telefon.

– Mamy zwłoki. – Florin mówił nieskończenie zmęczonym głosem. – Masz trzy próby, zgaduj, gdzie go znaleźliśmy.

– O, *fuck*... Sigart. – Czyli nie dotrzymał słowa. Zamordował go albo pozwolił umrzeć z wcześniejszych ran. I tak wszystko na jego konto.

– Otóż nie. Sądząc po opisie, jaki do nas wpłynął, to nie on. Ale za to bez wątplenia robota Ownera.

– Skąd wiesz?

– Ciało leży na moście. Dokładnie tam, gdzie zaprowadziły nas przesłane współrzędne. Jestem już w drodze. Dobrze by było, żebyś też przyjechała.

47°26,210'N 13°12,543'E

Czerwono-białe taśmy policyjne trzepotały na wietrze, a mocne reflektory zalewały oślepiająco białym światłem teren pod mostem. „Zimno, bardzo zimno” – pomyślała Beatrice, wysiadając z samochodu. Trzęsa się, lecz uznała, że to przez mokre włosy. Przed wyjściem zdążyła je jedynie związać w gruby warkocz. Miała teraz wrażenie, że nosi na karku truchło jakiegoś utopionego zwierzątka.

Stefan ruszył biegiem w jej stronę.

– Florin zszedł na dół, jest przy zwłokach. Tam jest bardzo mało miejsca, depczą sobie po piętach. Zresztą zaraz go chyba wyciągną. Bea, mówię ci, to jakieś szaleństwo. Gość wygląda paskudnie.

W milczeniu skinęła głową i pociągnęła młodszego kolegę w stronę murku, przy którym stał szperacz.

Biała skóra i potężne męskie zwłoki. Ciało nie mogło należeć do drobnego i chudego Sigarta. Powykręcane nogi, bosa stopy. Nie udało jej się więcej zobaczyć, bo nad zwłokami pochylał się i Florin, i doktor Vogt, a obaj mieli trudności z zachowaniem równowagi na stromym, śliskim brzegu. Drasche również dotarł na miejsce. Bardziej leżał, niż siedział, siłując się z zamkiem kufra z przyborami do zabezpieczania śladów.

– Wygląda to tak, jakby Owner po prostu zrzucił zwłoki z mostu – stwierdziła Beatrice. – Nie miał czasu ani możliwości, żeby znieść je na dół i ułożyć w jakiejś spektakularnej pozycji, bo trasa prowadząca górą nawet nocą jest bardzo ruchliwa. Dlaczego tutaj? Nie znalazł żadnego lepszego miejsca? Czyżby zdecydował się zmienić taktykę i zrezygnował z odosobnionych lokalizacji, które preferował dotychczas?

– Udało się chociaż wstępnie zidentyfikować ciało?

– Nie. Nie ma żadnych zgłoszonych zaginięć. Ale za to wiemy, że był żonaty. Drasche zabezpieczył jego obrączkę. – Stefan schował głowę między ramiona. – Paskudna śmierć. Gość musiał swoje przejść. Vogt powiedział, że jeszcze nigdy nie widział czegoś takiego.

Trzech mężczyzn wspinało się właśnie jeden za drugim po stromym zboczku, a kilku umundurowanych funkcjonariuszy przygotowywało się do operacji przetransportowania zwłok na most. Drasche pierwszy przeszedł nad niewysokim murkiem i pokazał Beatrice torebkę z dowodem. Obrączka.

– Graciella, dziewiętnastego czerwca dwa tysiące pierwszego – odczytał.
– Kolejna wdowa w żałobie.

Przepisała grawerunek do notatnika. Niespotykane imię było sporym ułatwieniem, które oszczędzi im pracy.

– Cześć, Bea. – W świetle policyjnych reflektorów Florin wydawał się

równie blady jak znalezione zwłoki. Nie odmówił, kiedy Drasche poczęstował go papierosem. To się zdarzyło chyba po raz pierwszy. – Jeśli chodzi o sekcję – powiedział i zaciągnął się głęboko – ja wezmę w niej udział. Chcę wiedzieć, jak ciało wygląda od środka.

Beatrice zamierzała właśnie zapytać, co ma na myśli, lecz w tym momencie dwóch funkcjonariuszy ze zwłokami stanęło przy murku i podało nosze na drugą stronę. Położyli denata na ziemi, na plandece, a Beatrice dała im znać, żeby zaczęli z przykrywaniem.

Ledwie na niego spojrzała, natychmiast pożałowała tego kroku, lecz zmusiła się, by nie odwrócić głowy.

W miejscu, gdzie wcześniej znajdowało się prawe oko mężczyzny, ział teraz czerwono-czarny krater toczący rzekę ropnej lawy. Ściekając, obrzydliwe jęzory płynnego ciała wyryły w twarzy zmarłego głębokie rowy, odsłaniając kości i ciało.

Martwy szczyrzył zęby jak pies przed atakiem. Minęło kilka chwil, zanim Beatrice zrozumiała, że zastygła twarz swój odrażający grymas zawdzięcza nie złości czy cierpieniu, a brakującej dolnej części ust. Jakby się... rozpuściła. Między zębami sterczał szerniały język. Przypominał tłustą, napęczniałą pijawkę. Wnętrze ust zamordowanego mężczyzny było jedną krwawobrazową raną.

– Co mu się stało? – zapytała Vogta, który stanął obok niej.

– Obstawiałbym kwas solny. Ewentualnie kwas octowy albo fluorowodorowy. Widzi pani te czarne miejsca na śluzówce? Charakterystyczne dla tych substancji.

– Chce pan powiedzieć, że... że on wypił kwas solny?

– Z własnej woli raczej nie, ktoś go zmusił. Ale więcej będę mógł powiedzieć dopiero po otwarciu ciała. Obawiam się jednak, że znajdę tam spalony kwasem przełyk i stwierdzę perforację żołądka w wyniku działania kwasu, a prócz tego jeszcze zapalenie śródpiersia. Zobaczymy. Na razie mogę powiedzieć jeszcze to, że nadgarstki i kostki zmarłego noszą takie same ślady krępowania, jakie miał Beil, tyle że głębiej werżnięte w ciało. Moim zdaniem to plastikowe opaski samozaciskowe.

Beatrice przypomniała sobie zwłoki Nory Papenberg. Oczyma wyobraźni zobaczyła ją, jak leży na brzuchu, z dłońmi skrępowanymi za plecami. Opaski zaciskowe, białe jak skóra pod nimi.

Vogt dał znać policjantom w mundurach, żeby przykryli ciało. Tym razem Beatrice nie próbowała ich powstrzymać.

– A co z jego okiem? – zapytała.

– To samo, co z resztą. Drastyczna sprawa, bo raczej *ante mortem*. – Policjantka popatrzyła na niego pytająco. – Powieka została spalona. Musiał walczyć. Zaciskał ją pewnie, żeby ochronić oko. To tyle.

Zostawił ją samą i ruszył w stronę samochodu. Ze schowka przed siedzeniem

pasażera wyjął batonik musli.

Po drugiej stronie ulicy stała kapliczka z rzeźbą przedstawiającą jakąś świętą w długich szatach. U jej stóp siedział Florin i palił kolejnego papierosa. Patrzył w jej stronę.

– Nie uzależnij się – powiedziała.

– Spokojna głowa. Anneke nienawidzi dymu. – Zaciągnął się jeszcze dwa razy i zdusił niedopałek w trawie. – Chciałbym jeszcze raz porozmawiać z Konradem Papenbergiem. Ciekawe, czy ma alibi na dzisiejszy wieczór. Kto jeszcze by pasował? Żona Beila? Dałaby w ogóle radę przyciągnąć tu takiego gościa? – Przekrzywił głowę i spojrzał na Beatrice. – Ty byś dała radę?

– Sama na pewno nie. Poza tym... – Starła się zebrać myśli i ułożyć w słowa. – Nie wierzę, żeby to był Papenberg albo żona Beila. Była żona Liebschera również nie pasuje.

– To jeszcze nie jest argument, żeby sobie odpuścić.

– Pewnie, że nie. Ale też nie możemy skupiać się tylko na nich. Czy czytając wiadomości, które dostaję od Ownera, odniosłeś wrażenie, że mógłby je napisać Papenberg? Albo Vera Beil? To przecież zupełnie nie ich styl.

Florin milczał przez chwilę. Zamyślony, z wyraźnym żalem obserwował zduszone niedopałki w trawie obok.

– To nie ma nic do rzeczy. Za daleko odeszliśmy od naszych standardów prowadzenia dochodzenia. Daliśmy się wodzić za nos, bo jak ostatni naiwniacy uwierzyliśmy, że Owner będzie trzymał się reguł, które zresztą sam ustalił. Na początku zawsze czekał, aż znajdziemy osobę, która miała być jego kolejną ofiarą i uderzał po rozmowie z nami. A teraz albo kończy mu się cierpliwość, albo zaczął się zbyt dobrze bawić, albo diabli wiedzą, co jeszcze!

Beatrice zadrżała. Przez ułamek sekundy była pewna, że dostrzegła w końcu decydujący szczegół, coś, co mogło przesądzić o losach dochodzenia, lecz ostatecznie pozostała z pustką głowie i przeświadczeniem, że umknęło jej coś bardzo ważnego. Na początku sprawca czekał, a teraz był o krok przed nimi... Coś się za tym kryło, coś znacznie ważniejszego. W myślach powtórzyła słowo po słowie wszystko, co powiedział Florin, lecz nie udało jej się przywołać tego momentu oświecenia. Czmychnął jak płochliwa mysz pośród chaszczki.

Florin wstał i ruszył na spotkanie ekipy zajmującej się transportem ciała, która wreszcie dotarła na miejsce – czarna sylwetka w oślepiającym świetle policyjnych szperaczy. Przyglądał się, jak okaleczone ciało niezidentyfikowanego mężczyzny trafia do metalowej trumny.

„Wszyscy skończymy w jakichś pojemnikach” – pomyślała Beatrice.

– Czy ja rozmawiam z kompletnymi żółtodziobami, do diabła?! – ryczał Hoffmann, plując przy tym niemilosiernie, a kaskada kropelek jego śliny lądowała

na blacie stołu w sali odpraw.

Mimo że było dopiero wpół do ósmej rano, wszyscy funkcjonariusze wyglądali na wyczerpanych.

– Cztery trupy! A pewnie nawet pięć! I to tylko w dwa tygodnie! Przecież musicie mieć jakichś podejrzanych! Albo świadków!

Przy ostatnich słowach głos mu się lekko załamał, jakby nie ganił ich, a błagał o wyniki. Kiedy sam się zorientował, że tak to zabrzmiało, zmarszczył groźnie brwi i założył ramiona na piersi.

– Kaspany! Może koleżanka zechce nas oświecić? Co wiemy o ostatniej ofierze?

Beatrice wyprostowała plecy.

– Mężczyzna, czterdzieści do czterdziestu pięciu lat, silna budowa ciała. Zgodnie ze wstępną analizą doktora Vogta przyczyną śmierci było przyjęcie większej ilości silnie żrącej substancji.

– Ale ja pytam o tożsamość! Jakież informacje?

– Denat nie miał przy sobie żadnych dokumentów, a w ostatnim czasie nie wpłynęły na policję zgłoszenia zaginięcia osób pasujących do znalezionych zwłok. Zabezpieczyliśmy jednak obrączkę, w środku której znajduje się grawerunek z imieniem żony.

– Macie szczęście. Czyli pójdzie gładko, tak? Bo chyba zdajecie sobie sprawę, jak mnie ciśnie prokuratura? Dzwonią po kilka razy dziennie!

– Wczoraj wieczorem zaczęliśmy szukać świadków, którzy w określonych godzinach przejeżdżali mostem – wtrącił Florin. – Niemal wykluczone, żeby sprawca mógł tam zaparkować i pozbyć się ciała tak, żeby nikt go nie zauważył. Poza tym wystąpiliśmy o nakaz przeszukania domu Konrada Papenberga.

– Dobrze. – Hoffmann otarł pot z czoła. – A co z ostatnią zagadką? Tą z kluczowym kimśtam? Znaleźliście kogoś, kto pasowałby do opisu?

Stefan podniósł rękę.

– Trzy osoby. Najważniejsze punkty się zgadzają, ale to trochę jak wrózenie z fusów...

– No i co z tego? Sprawdźcie ich, na Boga! Nie bądź baba, Gerlach, do roboty! – Z przesadnie zrozpaczoną miną Hoffmann opadł na oparcie fotela. – Jak tylko będziecie coś mieli, natychmiast z tym do mnie. Dziennikarze już zwietrzyli temat kolejnego morderstwa, a to znaczy, że będę musiał zwołać konferencję prasową. I biada, jeśli puścicie mnie tam z pustymi rękoma!

Internetowa książka telefoniczna okazała się szybsza niż urząd meldunkowy, który nie zdążył jeszcze odpowiedzieć na zapytanie policji. W okolicach Salzburga Beatrice znalazła ledwie trzy Gracielle. Wydrukowała listę wraz z telefonami i zastanowiła się, w jakiej kolejności dzwonić. Jedna z kobiet figurowała w spisie

razem z mężem Carlosem Assantem.

Jak na kogoś o personaliach Carlos Assante, denat z poprzedniego wieczora zbyt mało przypominał południowca, więc policjantka przesunęła ich na koniec listy. Do dwóch pozostałych kobiet podane były jedynie telefony komórkowe.

– Perner, słucham?

– Dzień dobry, Beatrice Kaspary z tej strony, policja kryminalna Salzburg.

Przestraszone westchnienie.

– Coś się stało?

– Chciałam tylko zapytać o miejsce przebywania pani męża.

– Słucham?

– Pani mąż. Czy wie pani, gdzie się obecnie znajduje?

– Oczywiście. W łazience. Właśnie się goli. Mam go zawołać?

– Nie, dziękuję, w takiej sytuacji to nie będzie konieczne. Miłego dnia!

I nie czekając na reakcję swojej rozmówczyni, Beatrice przerwała połączenie. Zostały jej jeszcze dwa numery. Jeśli żaden z nich nie okaże się strzałem w dziesiątkę, przyjdzie jej poczekać na odpowiedź z urzędu meldunkowego. Trzeba będzie również pomyśleć o sprawdzeniu Gracielli z sąsiednich landów, ba, może nawet w Bawarii.

– Tak, słucham? – odezwał się lekko zachrypnięty i radosny kobiecy głos.

– Dzień dobry, Beatrice Kaspary, policja kryminalna.

– Dzień dobry, w czym mogę pomóc? – Kobieta wyraźnie zniekształcała głoskę „r”.

– Czy rozmawiam z panią Graciellą Estermann?

– Tak, ale...

– Czy może mi pani powiedzieć, gdzie w tej chwili przebywa pani mąż?

Gdzieś w tle Beatrice usłyszała dziecięce głosy i głuche szurnięcie, jakby kobieta zasłoniła mikrofon dłonią. Po kilku sekundach jej głos znów był wyraźny, a hałas ucichł.

– A czego pani chce od mojego męża? – W pytaniu Gracielli nie było wrogości, tylko ostrożność.

– Nic konkretnego, muszę jedynie ustalić, gdzie obecnie przebywa.

– Niestety, nie mogę pani pomóc, bo sama nie wiem. Od tygodnia nie ma go w domu. Delegacja.

Serce Beatrice gwałtownie przyspieszyło.

– Kiedy po raz ostatni mąż się z panią kontaktował?

Graciella Estermann się zastanowiła.

– W sobotę... albo w niedzielę. Nie, na pewno w sobotę. Powie mi pani, o co chodzi?

Beatrice zignorowała jej prośbę.

– I od czterech dni nie ma pani od niego znaku życia? Czy to nie jest powód

do niepokoju?

– Nie, dlaczego? – Tym razem Graciella nie czekała z odpowiedzią. – Często tak jest. Dzwoni tylko, kiedy ma po co. Ale teraz musi mi pani powiedzieć, co się dzieje!

– Oczywiście. Jeśli to pani nie przeszkadza, chciałabym przyjechać z partnerem i osobiście z panią porozmawiać. Za godzinę?

– Chcecie do mnie przyjechać? Policja? – Po raz pierwszy od początku rozmowy w głosie kobiety pojawiła się nutka zaniepokojenia. – Znowu napytał sobie problemów, tak? Tylko że ja nic nie wiem. W zasadzie w ogóle się nie widzimy.

Jak dotąd nie było jeszcze cienia dowodu, że kobieta po drugiej stronie to rzeczywiście żona ofiary, lecz Beatrice czuła, że tak jest.

– Może wyda się to pani dziwne, ale czy pamięta pani datę, kiedy się pobraliście?

Milczące zdumienie rozmówczyni trwało nieco krócej, niż się spodziewała.

– To był czerwiec... tak, czerwiec dwa tysiące jeden. Dziewiętnastego czerwca dokładnie.

– Dziękuję. Za godzinę będziemy u pani, proszę na nas poczekać.

Beatrice się rozłączyła. W oknie wyszukiwarki Google wpisała „Estermann Salzburg” i kliknęła wyszukiwanie. Wśród wyników znalazła Waltera i Rudolfa.

Rudolf Estermann sprzedawał roślinne preparaty na odchudzanie i balsamy wyszczuplające na bazie olejków naturalnych. Dostarczał je do aptek w całym kraju. Delegacja. Bingo.

Poza tym, choć na mniejszą skalę, trudnił się też sprzedażą wysyłkową przez Internet. „Pięć kilogramów w dziesięć dni!” – kusily wielkie czerwone litery na stronie głównej jego sklepu. Co za bzdury.

Odsunęła się od biurka. Florin był gdzieś poza biurem. Znalazła go u Stefana, z którym omawiał wyniki analizy danych z komputera Liebschera.

– Na pierwszy rzut oka same głupoty – westchnął. – Stefan przeczytał wszystkie mejle z ostatnich trzech miesięcy, ale nic nie znalazł. Żadnych powiązań między Liebscherem, Beilem i Papenberg albo Sigartem.

– Za to ja na coś trafiłam. – I podała mu wydruk z numerami telefonicznymi. – Na dziewięćdziesiąt dziewięć procent nasz denat z wczoraj nazywa się Rudolf Estermann i sprzedaje jakieś idiotyczne preparaty odchu...

Przerwała. Dopiero w tej chwili zrozumiała, co tak naprawdę powiedziała.

– Bea?

Lecz ona już go nie słyszała. Biegła korytarzem z powrotem do biura, myśląc gorączkowo, jak najszybciej zebrać potrzebne informacje.

– Rzeczy, których nikt nie potrzebuje – wyszeptała i wpisała w wyszukiwarce „Felix Estermann”.

Felix Estermann miał dziewięć lat i był adeptem jednej ze szkół judo. Na ostatnich zawodach klubowych zajął trzecie miejsce w swojej kategorii wiekowej. Beatrice kliknęła galerię i już na czwartym zdjęciu znalazła to, czego szukała. Drobnego dzieciaka o ciemnych włosach, opalony i uśmiechnięty. „Od lewej Felix Estermann (9), Robert Heiss (9), Samuel Hirzer (10)” – głosił podpis pod fotografią.

– Ma dwóch synów, jeden z nich ma na imię Felix.

– Słucham?

Beatrice podskoczyła jak oparzona i odwróciła się. Rany, czy on zawsze musi się tak skradać?

– Wybacz, jeśli cię przestraszyłem, ale myślałem, że mówisz do mnie.

Nie. Mówiła do siebie, bo łatwiej było jej poukładać i zrozumieć wirujące myśli, kiedy wypowiadała je na głos. Potarła dłonią czoło, porządkując swoje ustalenia.

– To nasza kluczowa postać. Rudolf Estermann. – Nerwowo przerzucała zdjęcia leżące na stosiku przy monitorze. Kilka zsunęło się na podłogę. Zaklęła pod nosem. – No dobra, to słuchaj teraz: „Na życie zarabia, sprzedając rzeczy, których – jak sam twierdzi – nikt nie potrzebuje. I jest w tym dobry. Ma dwóch synów, jeden z nich ma na imię Felix” – odczytała, po czym podała mu wydrukowaną fotografię i wskazała palcem odpowiedni fragment. – Wszystko układa się w całość.

Florin od razu zrozumiał, o czym mówi.

– Estermann jest przedstawicielem handlowym?

– Tak. Sprzedaje po aptekach tabletki na odchudzanie. Żona od czterech dni nie ma z nim kontaktu. Kurczę, Florin, wszystko pasuje! – zawołała, wskazując na ekran. – I jeszcze jego syn ma na imię Felix! Rozmawiałam z jego żoną i powiedziałam, że zaraz u niej będziemy.

– Świetnie. Vogt zaplanował sekcję na dwunastą, więc mamy niecałe dwie godziny. – Sięgnął po kluczyki do samochodu. – Ruszamy?

Nie zdążyli wyjść z biura, kiedy odezwała się komórka Beatrice. Sygnał przychodzącego SMS-a sprawił, że natychmiast dostała gęsiej skórki. Będzie musiała go zmienić. Jak tylko rozwiążą tę sprawę. „FTF. Ale proszę się nie przejmować, głowa do góry”.

I to wszystko. Ponownie skrót używany przez geocacherów. Pamiętała, że widziała go wcześniej na liście. W drodze na parking zajrzała do biura Stefana.

– Zadzwoń do telekomu i sprawdź, gdzie jakieś dwie minuty temu logowała się komórka Owenera.

Podniósł głowę.

– Okej!

– Aha, jeszcze jedno. Co oznacza skrót FTF?

– *First to find*. Kiedy znajdziesz jakiś *cache* pierwsza, możesz...

– Dzięki, to mi starczy!

First to find. Był szybszy od nich. Domyślił się, że każdą kolejną osobę, którą wskaże w swoich zagadkach, będą chronili jak oka w głowie. A na to nie mógł pozwolić... Więc Estermanna napoił kwasem...

I jeszcze to ociekające sarkazmem pocieszanie. Głowa do góry, nic się nie stało. Co za skurwysyn. Czy naprawdę odczuwał przyjemność, robiąc to, co robił?

– Wydaje mi się, że staje się coraz bardziej okrutny – zauważyła, kiedy wyjeżdżali z policyjnego parkingu.

Florin spojrzał na nią z boku.

– Nie sądzę. Nora Papenberg zginęła stosunkowo szybko, ale Liebscherowi przed śmiercią zdążył obciąć ucho. Poza tym nie mamy pojęcia, jak go zabił. Sigart jak dotąd stracił dwa palce, a nie wiemy, co jeszcze zamierza z nim zrobić, zanim...

Mimo że policjant nie dokończył zdania, Beatrice wiedziała, co ma na myśli. Nie wierzył, że uda im się odnaleźć Sigarta żywego.

Pięć ofiar w piętnaście dni. Boże.

Stefan zadzwonił, jeszcze zanim dotarli do Gracielli Estermann.

– Bea? Nie uwierzcie! Ostatni SMS od Ownera... Bea, on był zalogowany do stacji przekaźnikowej u nas na dachu!

– Kurwa mać! – Tak szybko nie mógł się stamtąd wycofać. Może go minęli? Beatrice powstrzymała się, żeby nie zawracać Florina. W tej chwili nie miałyby to sensu. – Dzięki, Stefan. Przespacerowałbyś się po ulicy i trochę porozglądał? Tylko dla zasady, bo nie wierzę, żeby jeszcze tam był, ale...

– ...ale nie zaszkodzi sprawdzić. Pewnie. Już lecę.

Zrelacjonowała Florinowi odkrycie Stefana.

– Chce być w pobliżu nas. Całkiem możliwe, że odcięcie prasy od informacji przyniosło taki efekt. Gość jest spragniony wieści na swój temat.

Odwróciła się i wyjrzała przez tylną szybę. Za nimi jechał biały opel astra prowadzony przez blondynkę.

– Gdy się zatrzymasz, rozejrzyjmy się, czy ktoś nie parkuje w tym samym momencie.

– Albo – odparł Florin powoli – albo czy już tu na nas nie czeka. Mógł założyć, że szybko ustalimy nazwisko żony ofiary. Nie trzeba geniusza, żeby stwierdzić, że będziemy chcieli rozmawiać z wdową.

Ostatnie pięć minut drogi Beatrice w milczeniu wyglądała przez szybę. Będzie musiała raz jeszcze porozmawiać z Kossarem. To, że Owner szukał ich bliskości, było szansą, której nie wolno im było zmarnować.

Wysiedli z samochodu i rozejrzeli się, lecz nie zauważyli nikogo

podejrzanego. Również na nich nikt nie zwrócił uwagi. Po chodniku szła jedynie kobieta z koszykiem z zakupami i ciągnęła za sobą rozwrzeszczane dziecko. To wszystko.

Graciella Estermann okazała się ładną ciemnowłosą kobietą po trzydziestce, do tego tak ruchliwą, że nie mogła usiedzieć spokojnie.

– Po waszym telefonie odwiozłam dzieci do szkoły, a potem pięć albo sześć razy usiłowałam dodzwonić się do męża, ale włączała się tylko poczta głosowa.

Mówiła z delikatnym obcym akcentem, lecz nie popełniała żadnych błędów gramatycznych. Założyła ręce na piersi i spojrzała uważnie na Florina.

– No dobrze, to co się dzieje?

Ani na ścianach, ani na meblach nie było widać żadnego zdjęcia Rudolfa Estermann, a jedyne fotografie przedstawiały życie dwójki jego dzieci – od niemowlęstwa aż do dziś.

– Zanim przejdziemy do meritum, chcielibyśmy zobaczyć jeszcze zdjęcie pani męża.

– Ale po co?

Kobieta w ogóle się nie martwiła, a jeśli już przejawiała jakieś emocje, to raczej zainteresowanie. I była opanowana.

– Odpowiemy pani na to pytanie, kiedy zobaczymy zdjęcia.

Nie kryła tego, że nie podoba jej się taka kolejność, lecz ostatecznie wzruszyła ramionami i z jednej z półek wyjęła album.

– *Madre de dios* – mruknęła i położyła go na ławie przed Florinem i Beą.

Zdjęcia ślubne. Już pierwsze nie pozostawiało wątpliwości: znaleźli odpowiednią osobę. Rudolf Estermann z fotografii, mimo że znacznie szczuplejszy i młodszy, był bardzo podobny do denata. No i nie brakowało mu oka i dolnej części twarzy.

Beatrice i Florin odrobinę zbyt długo milczeli, bo Graciella Estermann zdążyła połączyć wszystkie fakty w całość i wyciągnąć właściwe wnioski.

– Coś się stało Rudolfowi, prawda? Powiedzcie w końcu, o co chodzi.

– Ubiegłej nocy znaleźliśmy ciało. Denat nie miał przy sobie żadnych dokumentów. Niestety, okazuje się, że to...

– Rudo? – zapytała podniesionym głosem, jakby myśl o śmierci męża ją rozżłościła. – Znów jechał po pijaku? I tym razem wylądował na drzewie?

– Nie. Wiele wskazuje na to, że został zamordowany.

Kobieta zamilkła. Powoli uniosła dłonie i zasłoniła usta, jakby chciała mieć pewność, że żaden dźwięk nie wydobędzie się z jej gardła.

– Zamordowany? – powtórzyła w końcu. – Ale... to znaczy, że to nie była bójka? Albo kłótnia? – zapytała po chwili.

Dziwne pytanie.

– Rozumiem, że tego by się pani spodziewała?

Graciella Estermann zrobiła minę wyrażającą żal, jakby przez chwilę chciała cofnąć swoje pytanie.

– Może spodziewała to złe słowo... ale na pewno nie byłabym zaskoczona.

Beatrice nachyliła się lekko.

– Proszę opowiedzieć nam o swoim mężu.

– Bardzo dużo pije i obmacuje wtedy kobiety. – Wstała, podeszła do okna, a potem do regału. Wzięła z półki jedną z książek, przyjrzała się jej i odstawiła na miejsce. Sięgnęła po inną. – Rudo nie jest dobrym człowiekiem. Nikt, kto go zna, nie będzie twierdził inaczej. – Znieruchomiała. – Ale jeśli myślicie, że to ja, to nie, nie zabiłam go.

Graciella nie dała im możliwości, żeby zareagowali na jej słowa, i po prostu mówiła dalej. Po dziesięciu minutach znali większość historii ich życia, ale przede wszystkim historię ich małżeństwa. Estermann poznał żonę w Meksyku, gdzie pracowała w hotelu. Szybko im poszło: miłość, otrzeźwienie, dystans, niechęć. Dwójka dzieci.

– Nie wygląda pani na zaskoczoną – stwierdziła Beatrice. – Kiedy widzimy taką reakcję w przypadku morderstwa, zaczynamy być bardzo ostrożni.

– Też byście nie byli zdziwieni – wyjaśniła kobieta. – Rudo przez całe życie szedł od jednej awantury do drugiej. Nikt, kogo znam, nie wywołuje burd z takich powodów. Ktoś krzywo spojrział? Jemu to wystarczyło. Ktoś zaparkował na jego miejscu? Rudo tłukł mu reflektory. A kiedyś pobił kelnera, bo chłopak podał mu złą przystawkę do steka.

Mówiąc to, nie odrywała wzroku od trzymanej w dłoniach książki.

Starając się zachowywać dyskretnie, Beatrice przyglądała się uważnie, czy kobieta ma na nogach, ramionach albo szyi jakieś siniaki. Ale nie. Nie miała.

– Mnie już od dawna nie tyka – wyjaśniła Graciella z uśmiechem. Była naprawdę bystra i mimo całej dyskrecji przejrzała myśli policjantki. – Ani tak, ani w żaden inny sposób. Dzieci też nie bije. Poza tym bardzo rzadko bywa w domu. – Uśmiech zniknął jej z twarzy. – W zasadzie, jeśli mam być szczerą, to jestem trochę zaskoczona. Zawsze myślałam, że to Rudo kogoś zabije, a nie że ktoś jego.

Objęła się rękoma i po raz pierwszy w jej oczach pojawił się wyraz żalu.

Rudolf Estermann musiał mieć wrogów, ba, prawdopodobnie nawet był już karany. Beatrice domyślała się, że informację, której szukała, znajdzie w jego aktach. Mimo to zapytała:

– Gdzie urodził się pani mąż?

Nawet jeśli nagła zmiana tematu rozmowy zaskoczyła Graciellę, kobieta nie dała tego po sobie poznać.

– W Schaffhausen. Jego ojciec jest Szwajcarem.

S oznaczało dziewiętnaście, C trzy, H osiem. Z niemalże wzruszającym

zaangażowaniem Stefan rozszyfrowywał kolejne elementy współrzędnych etapu czwartego – doskonale dawał sobie z tym radę w pojedynkę. Żeby mu nie przeszkadzać, Beatrice starała się rozmawiać przez telefon półgłosem.

– Myślę, że ciągnie go do nas. Chce być gdzieś w pobliżu. Dzisiaj znów dostałam od niego SMS-a i okazało się, że jego komórka zalogowała się do przekaźnika u nas na dachu. Dlaczego tak się zachowuje? Chciał patrzeć w moje okno, pisząc wiadomość?

– Całkiem możliwe – odparł Kossar po chwili namysłu. – Z jednej strony czuje się dostatecznie pewnie, żeby odważyć się na taki ruch, a z drugiej widocznie podnieca go ryzyko, że coś może pójść nie tak. Chce być jak nieznajomy, który po ciemku klepie panią w ramię i zniknie, zanim pani zdąży się odwrócić.

Beatrice zadrżała, jakby ktoś polał jej plecy lodowatą wodą.

– Powiem szczerze, że mi się to nie podoba.

– Nie dziwię się. Owner wybrał sobie panią, Beatrice, i tylko z panią się kontaktuje. Obawiam się, że zanim doprowadzi swój plan do końca, będzie dążył do osobistego spotkania.

– Ale dlaczego? – Odruchowo obróciła się w fotelu, żeby wyrzeć przez okno. Nic niepokojącego nie dojrzała. Nikt nie zwracał na siebie uwagi. Wcześniej Stefan również nie stwierdził niczego, co mogłoby wzbudzić ich podejrzenia.

„Owner chce nam pokazać, że jesteśmy powolni” – pomyślała. „Chce się chwalić kolejnymi wiadomościami FTF i ironicznie dziękować im za wysiłki. TFTH”.

– Mógł sobie wybrać mnie do kontaktu jako przedstawiciela pewnej grupy, policjantkę.

– Nie można tego wykluczyć, oczywiście. Podobnie jak tego, że uważa panią za wyjątkowo atrakcyjną kobietę i dlatego to panią wciąga do swojej gry, a nie Florina czy Hoffmanna. – Kossar odchrząknął. – W takim przypadku musi pani zachować daleko posuniętą ostrożność. Beatrice, ostatnio poradziłem pani, żeby spróbować przywabić go jakimś osobistym szczegółem. Możliwe, że to nie był najlepszy z moich pomysłów.

Czyżby Kossar przyznawał się w ten sposób do błędu?

– Nie ma obaw. Wysłałam mu jedynie wers z pewnej piosenki. Nie wierzę, żeby cokolwiek mógł z tego wyciągnąć.

– W porządku. – Wyraźnie mu ulżyło. – I na tym poprzestańmy, dobrze? Proszę nie zdradzać mu nic więcej na swój temat.

„Bo i po co. I tak wie znacznie więcej, niż bym sobie życzyła” – dodała w myślach.

Florin wrócił z sekcji błady i bardzo przybity. W jego oczach Beatrice dostrzegła ten sam wyraz, który widziała wczoraj w nocy. Tyle że teraz nie miał

pod ręką uspokajających papierosów.

– Przełyk Estermanna był cały szerniały. Od środka. Obumarła śluzówka, perforacja żołądka. Zmarł w wyniku wstrząsu septycznego. Vogt twierdzi, że potwornie cierpiał dwa do trzech dni. Do tego zapalenie śródpiersia i liczne wrzody, które popękały.

– A oko?

– Wypalone czterdziestoprocentowym kwasem fluorowodorowym. To, co Estermann musiał wypić, to też ten kwas, tylko w znacznie niższym stężeniu. Gdyby podał mu czterdziestoprocentowy, skróciłby okrutną zabawę. – Florin położył dłonie na blacie i rozczapierzył palce. Kontynuował, nie odrywając wzroku od rąk: – Kwas fluorowodorowy to naprawdę świetny wybór. Wysoko stężony rozpuszcza nawet szkło. Ale i przy niskim stężeniu niszczy żywe tkanki i nawet kości. Niezbyt szybko, ale pewnie. Raz zaaplikowany przez kilka dni będzie penetrował ciało. Całe. – Westchnął ciężko i zacisnął pięści. – Mamy jakieś nowe informacje?

Nagła zmiana tematu zbiła ją z tropu, lecz tylko na kilka sekund.

– Współrzędne. Stefan zajął się ich wyliczeniem. Tutaj znajduje się *Stage 5*.

– Podała mu wydruk fragmentu mapy z serwisu Google.

– Przy Wallersee.

– Zgadza się. Ślepa uliczka, zagajnik. Dookoła pola. Najbliższy dom pół kilometra dalej.

Wyjechali czterdzieści minut później. Sposób, w jaki Florin prowadził, już po drugim skrzyżowaniu zaczął ją niepokoić. Zbyt szybko. Zbyt nerwowo.

– Jeśli chcesz, możemy się zamienić – zaproponowała ostrożnie, trzymając się prawą dłonią uchwyty przy drzwiach.

– Nie chcę. – Otrąbił przeciągle taksówkarza, który zjechał z pasa dla autobusów.

Kiedy Florin wpadał w ten stan, nie było sensu odwoływać się do jego rozsądku. Beatrice odwróciła się i spojrzała na Stefana, który zajął miejsce na tylnej kanapie i drzemał z rękoma złożonymi za głową. Jeśli w ten sposób da radę przespać się kilka minut, to bardzo dobrze.

– Bea, on zaczyna wyprowadzać mnie z równowagi. – Z trudem rozumiała, co do niej mówi, bo hałas uliczny wszystko zagłuszał. – Kiedy tak długo prowadziliśmy dochodzenie, nie mając żadnego podejrzanego? – Zwolnił. Jechał z normalną prędkością i przyspieszył dopiero, kiedy znaleźli się na autostradzie.

– Nie wiesz, bo nie masz porównania. Nigdy jeszcze nie mieliśmy sprawcy, który postępowałby w sposób choćby zbliżony do tego. – Nawet jeśli jej słowa nie uspokoiły Florina, na nią zadziałały bardzo dobrze. – Owner jest bardzo zorganizowany, wyjątkowo dobrze przygotowany i ma wszystko zaplanowane w najdrobniejszych szczegółach... on jest jak... jak reżyser, który wystawia sztukę.

Florin nie odpowiedział. Spojrzała na niego kątem oka. Zmarszczone brwi, uchylone usta. Nagle poczuła nieodpartą chęć, by odsunąć mu włosy z czoła. Szybko wzięła się w garść.

„Genialne wycucie czasu, Bea, po prostu cała ty” – zganiała się w duchu.

– Jeśli się zdecydujemy nie przestrzegać jego reguł i nie podążać za jego wskazówkami – zaczęła – zostaniemy z niczym. Popraw mnie, jeśli się mylę.

Jego jedyną odpowiedzią było chmurne spojrzenie.

– Na razie nie popełnia poważnych błędów. Zresztą jedyny, jaki zauważyłam, to odcisk na schodach w domu Sigarta. A i tak nic nam to nie dało.

Florin gwałtownym ruchem kierownicy wyprzedził jeepa cherokee na wiedeńskich numerach, zmuszając ją do milczenia.

– Czy to przypadkowe ofiary? Bea? Jak myślisz? Działa tak samo, jak ten snajper z Waszyngtonu w dwa tysiące drugim?

Chórzysta. Pechowiec. Kluczowa postać.

– Nie. Wcale nie. On... – szukała właściwych słów. – On widzi, co je łączy. Może to jakaś sprawa, którą tylko on dostrzega. Może to coś tak idiotycznego, że głowa boli, ale dla niego ma znaczenie? W każdym razie założę się, że ofiary są ze sobą jakoś powiązane.

„Co gorsza, widzi też powiązanie ze mną” – pomyślała. „Choć innego rodzaju. Kossar miał rację. Prędzej czy później stanę z nim twarzą w twarz”.

47°54,067'N 13°09,205'E

Delikatny wiatr kołysał trzcina na polu, na którym zebrali się policjanci przed rozpoczęciem poszukiwań. Drasche specjalnie kupił aplikację do nawigacji i zainstalował ją na swoim smartfonie. Klócił się teraz ze Stefanem, którego nawigacja turystyczna firmy Garmin po wprowadzeniu współrzędnych wskazywała na punkt oddalony mniej więcej o piętnaście metrów od miejsca wyznaczonego przez Draschego.

Dotychczas żaden z nich niczego jeszcze nie znalazł, a psy wyszkolone do poszukiwania zwłok miały dotrzeć najwcześniej za pół godziny.

Krzaki, drzewa i jezioro. Brak jakichkolwiek skał, rozpadlin czy jaskiń, które nadawałyby się na dobrą kryjówkę. Jeśli Owner zatopił pojemnik w jeziorze, współrzędne, które im przesłał, byłyby bardzo nieprecyzyjne, bez względu na to, czy według wskazań Stefana, czy Draschego.

Stąpając bardzo ostrożnie, Beatrice badała teren między wyznaczonymi punktami. Drzewa rosły tu gęsto, a ziemia była rozmiękła, lecz nigdzie nie było widać śladów świadczących o tym, że ktoś tu niedawno kopał.

Ruszyła w stronę jeziora i przez chwilę wsłuchiwała się w plusk fal, które wiatr rozbijał o brzeg. Z każdym metrem głosy pozostałych stawały się cichsze, aż nie mogła zrozumieć pojedynczych słów. Dotarła do pnia przewróconego drzewa i przysiadła na nim.

„Gdybym to ja miała tu coś schować, które miejsce bym wybrała?” – zastanawiała się.

Rozejrzała się, chłonąc z otoczenia wszystko, co tylko mogła. Starła się nie myśleć. Tylko czuć. Woda. Drzewa. Ziemia. Tak, najbardziej prawdopodobna wydawała się wersja z zakopaniem cache'a.

Ale zaraz... drzewa. Beatrice położyła dłoń na chropowatej korze pnia, który wyrastał tuż obok niej. Na liście skrótów używanych przez geocacherów znajdował się jeden, który bardzo by tu pasował. Zamknęła oczy. Jak to szło? No tak. JAFT.

Just Another Fucking Tree.

Skrytki związane z drzewami były bardzo lubiane i popularne, Beatrice dużo czasu poświęciła na przeszukiwanie forów i stron poświęconych geocachingowi i wiedziała, że niektórzy potrafili bardzo kreatywnie podejść do tematu – korzenie, które tylko maskowały otwór, wydrążone gałęzie czy atrapy domków dla ptaków. Nie wiedziała, czy Owner poszedł w tę stronę, lecz przynajmniej miała od czego zacząć.

Przebłysk przyszedł dokładnie w momencie, kiedy wstała z leżącego pnia i chciała zawrócić, żeby dołączyć do pozostałych.

„Wicie wszystko, a nie znajdujecie nic”.

Wiedzą, owszem, ale tylko dlatego, że to on postanowił ich poinformować.

– Florin! – Kiedy biegła, pod jej butami trzaskały gałązki i szeleściły liście.
– Trzeba szukać na górze! W koronach drzew! Pewnie będziemy potrzebowali drabiny.

Zatrzymała się w miejscu wyznaczonym przez sprzęt Stefana i zadarła głowę, przyglądając się gałęziom najbliższej stojącego drzewa.

– Ale dlaczego na górze?

– Bo Owner kazał nam tam szukać. Tylko na początku go nie zrozumiałam.

– Spojrzała na Florina. – Napisał przecież: „Głowa do góry”, prawda? Dobra, ma ktoś lornetkę?

Po chwili znaleźli skrytkę, przymocowaną dobrych osiem metrów nad ziemią do gałęzi buka, który rósł tuż obok punktu wskazanego przez Stefana. Policjant promieniał ze szczęścia.

Pojemnik był największy z dotychczasowych i miał wymiary przenośnego telewizorka sprzed dwudziestu lat.

Stefan zgłosił się na ochotnika do wspinaczki. Kierując się uwagami i poradami Draschego, rudy funkcjonariusz szybko dotarł na miejsce.

– Pojemnik jest przymocowany do pnia srebrną taśmą – zawołał z góry. – Odetnę go i spuszczę do was na sznurku!

Beatrice targają mieszane uczucia, kiedy przyglądała się, jak kołysząc się, *cache* zjeżdża w ich stronę. Jeszcze zanim dotknął ziemi, wiedziała, co zawiera. Wielkość się zgadzała, a słowa Ownera...

Tym razem nawet Drasche nie krył niecierpliwości i natychmiast zaproponował, że otworzy skrytkę.

– Nie niszcząc śladów, to przecież oczywiste – burknął, kiedy Beatrice stanęła tuż obok.

Wiek zamknięte było na zatrzaski, które jeden po drugim odskakiwały pod naciskiem palców. W końcu można było unieść pokrywę i zajrzeć do środka.

Miała rację. „Głowa do góry”. To wyrażenie można było rozumieć w przenośni i dosłownie.

To, co skrywało niegdyś myśli Herberta Liebschera, co kierowało jego postępowaniem i przechowywało wszystkie wspomnienia, leżało przed nimi, zamknięte szczelnie w grubej folii, w której odnajdywali dotychczas wszystkie inne części ciała zamordowanego nauczyciela.

Beatrice wymieniła milczące spojrzenie z Florinem. Tym razem Vogt nie będzie miał najmniejszych problemów z ustaleniem przyczyny zgonu. Postrzał poważnie uszkodził mu głowę, a pocisk, wychodząc, zostawił po sobie pokaźną wyrwę w okolicach prawej skroni. W okolicach rany wewnętrzna strona folii oblepiona była kawałkami mózgu.

Brak uszu nie rzucał się tak bardzo w oczy, lecz trudno było przeoczyć ślady

po obu stronach głowy – jeden był wyraźnie opuchnięty i chropowaty, a drugi blady i gładki. Krzywe, wyszczerzone zęby pokrywał szarżółty nalot.

„Lubił herbatę” – pomyślała Beatrice. „Albo palił papierosy”.

Wewnątrz zgrzanego szczelnie plastikowego opakowania zbierały się gazy. Było ich tyle, że napięta folia groziła rozerwaniem.

– Niedługo będziemy mogli go złożyć do kupy – zauważył Drasche. Ostrożnie wyjął spod głowy Liebschera dwa liściki. – Zdjęcia prześlę wieczorem, wiadomości zaraz. Więc spokojnie.

– O nie, czekaj! – Beatrice stanęła za nim. – Chcę je przeczytać tu i teraz. I zobaczyć charakter pisma.

Zignorowała postękiwania Draschego i nachyliła się nad jego ramieniem.

I znów charakter pisma Nory Papenberg. Jakby patrzyła na list od starej znajomej.

Stage 5

Szukasz rozdartej. Niezdecydowanie wpędziło ją w chorobę, a w końcu ją zabije. Jest jednocześnie winna i niewinna, jak większość z nas, lecz znacznie ciężiej od reszty znosi brzemień swojej odpowiedzialności.

Szukaj ciemnych włosów, imienia albo może nazwiska, które będzie do nich pasować, umiejętności gry na flecie i w zakresie kompozycji.

Kluczem raz jeszcze będzie rok urodzenia: dodaj dwie ostatnie cyfry do piętnastu i pomnóż razy dwieście pięćdziesiąt. Dodaj dwieście pięćdziesiąt cztery, a wynik odejmij od szerokości geograficznej etapu czwartego. Dwa pierwsze pola roku urodzenia pomnóż przez dwa ostatnie, dodaj sto sześćdziesiąt trzy i powiększ wynik o długość geograficzną etapu czwartego.

Tam znów się zobaczymy.

Kobieta. Po raz pierwszy. Chociaż nie, nie do końca – cała sprawa zaczęła się od Nory Papenberg, choć z nią nie wiązała się żadna zagadka.

Czyżby Owner lubił symetrię? Na początek kobieta, potem czterech mężczyzn i na koniec kolejna kobieta? Nie, przecież na koniec obiecał zachować Sigarta.

Drasche odczytał na głos drugą wiadomość:

– „Gratulacje, znalazłeś! Warto było się postarać, prawda?”

Beatrice słuchała go jednym uchem. Flet i kompozycja. Wniosek nasuwał się sam – studentka lub nauczycielka akademii muzycznej. Ciemne włosy i pasujące do nich imię lub nazwisko.

Florin uruchomił już silnik. Tym razem uprzedzą Ownera.

„Rozdarta” brzmiało dość niepokojąco, tym bardziej że ostatnio Owner stawał się dosłowny. Jeszcze zanim wsiadła do samochodu, poprosiła w Mozarteum o przygotowanie listy kobiet studiujących grę na flecie, studiujących kompozycję oraz drugiej listy z nazwiskami nauczycielek i trzeciej z danymi absolwentek tych dwóch kierunków.

– Dobry początek. – Florin odezwał się po raz pierwszy, od kiedy ruszyli.
– Ale nie zapomnij o prywatnych akademiach muzycznych.

– Spokojnie, pamiętam, tylko najpierw chciałam jeszcze coś sprawdzić.

W notatkach odszukała telefon do dyrygenta chóru, w którym śpiewał Christoph Beil.

– Dzień dobry, Kaspary, policja kryminalna. Chciałam tylko zapytać, gdzie zazwyczaj macie próby?

– W kościele. Mamy wyznaczone stałe godziny, w których możemy z niego korzystać.

– Rozumiem. I tylko tam?

– Generalnie tak – zawahał się. – Czasem, przed ważnymi koncertami, spotykamy się w Uniwersytecie Mozarteum.

– Dziękuję. – Beatrice rozłączyła się i schowała telefon. W końcu miała poczucie, że trafiła na coś bardzo ważnego. – Zobaczysz – zwróciła się do Florina – że poza Mozarteum nie będziemy musieli szukać.

Później jednak trafiły na ich biurka listy, które nie potwierdziły domysłów Beatrice. Ciemne włosy i pasujące do nich imię lub nazwisko – miała nadzieję, że wskazanie właściwej osoby nie będzie nastroczało trudności. Szukała personaliów brzmiących południowo lub wręcz jednoznacznych, jak Schwarz. Nie wzięła jednak pod uwagę, że ogromna część studentek pochodziła z Chin i Japonii. I bez względu na to, czy chodziło o flet prosty czy poprzeczny, Azjatki stanowiły większość w obu grupach.

– Cholera... – jęknęła, wertując wydruki. – Nie ma szans, żeby je wszystkie sprawdzić. Absolwentki dawno mieszkają gdzie indziej, a pozostałe...

Ukryła twarz w dłoniach i zamknęła oczy. A gdyby na początek w ogóle nie brać pod uwagę studentek z Dalekiego Wschodu? Oczywiście tym razem zagadka mogła dotyczyć jednej z nich, lecz dotychczas wszystkie ofiary pochodziły z Austrii.

Zabrała się więc ponownie do sprawdzania list, lecz trafiła tylko na jedno nazwisko nawiązujące do ciemności, a mianowicie Keller, jak piwnica – Alexandra Keller.

Poleciała ją sprawdzić, choć podświadomie czuła, że to nie jej szukają.

Przeczytała wskazówki Ownera jeszcze raz, a potem kolejny. Rozdarta. Chora z niezdecydowania. Winna i niewinna. Sprawca i ofiara?

Umiejętność gry na flecie i w zakresie kompozycji. Umiejętność! Czyli nie flectistka i kompozytorka! Musiała przerwać studia.

Obraz w jej głowie zaczynał nabierać wyraźnych konturów. Dziewczyna, naznaczona traumatycznym przeżyciem, rozpaczą i poczuciem winy. Rozdarta. A może oddarta? Wydarta z dotychczasowego życia? Ze studiów? Beatrice sięgnęła po słuchawkę telefonu.

– Witam ponownie, Kaspary z tej strony. Czy mogłabym otrzymać zestawienie osób, które przerwały studia? Znow chodzi o flet i kompozycję.

Kobieta po drugiej stronie westchnęła ciężko.

– Trudno będzie. Pewnie, że da się ustalić, kto przerwał naukę, ale jak się nie wie, czego się szuka, to to zajmie dużo czasu. I pracy. – Tonem głosu dawała do zrozumienia, że ani myśli marnować na to sił. – Czy chociaż potrafi pani wskazać, kiedy ta osoba zabrała papiery?

– Nie. – Nie dać się zdominować, nie teraz. – Wie pani co, proszę podesłać mi dane z ostatnich dziesięciu lat. To powinno wystarczyć.

Kolejne westchnienie.

– Spróbuję.

– Używał nicka DescartesHL, a jego login to himmelblau.

W biurze Stefana było gorąco i duszno. Bechner, który również tam pracował, zabraniał otwierać okna – miał alergię na pyłki.

– Znalazł ponad dziewięćset skrytek, z czego większość w okolicy i w Bawarii, ale wygląda na to, że również wakacje poświęcał na poszukiwania.

Stefan przesunął stronę, by zaprezentować zestawienie krajów, w których Liebscher poszukiwał cache’ e. Włochy, Francja, Wielka Brytania. Nawet USA.

– Większość geocacherów uwielbia statystyki – wyjaśnił Stefan. – Patrzenie, tutaj jest procentowe zestawienie dni tygodnia, w które najczęściej wyprawiał się na poszukiwania. Niedziela na czele. Też mi zaskoczenie.

– Świetna robota, dzięki. – Beatrice zanotowała dane potrzebne do logowania.

Descartes. „To, co jest tylko prawdopodobne, prawdopodobnie jest błędne”. Owner znał jego nick i wykorzystał go do swojej zagadki. Musiał wiedzieć, że Liebscher jest geocacherem. Czy to właśnie dlatego jego rozczłonkowane ciało poukrywał w pojemnikach? Jakby Liebscher był układanką, którą oni mają złożyć w całość...

Nie. To zbyt proste. I zbyt banalne.

– DescartesHL – poinformowała nieco później Florina. – HL to jego inicjały, Herbert Liebscher, tak w każdym razie sądzę. Nawet w wolnym czasie nie rozstawał się z matematyką.

Tego wieczoru wcześniej skończyła pracę, lecz najpierw podjechała do matki odwiedzić dzieci. Dopiero wtedy wróciła do domu, postawiła komputer na stole w salonie i usiadła przed monitorem.

Geocaching.com. Nazwa użytkownika: DescartesHL. Hasło: himmelblau.

Kliknięcie myszką i była na koncie Liebschera. Pod linkiem Geocache można było sprawdzić listę znalezień z ostatnich trzydziestu dni. I rzeczywiście, nawet krótko przed śmiercią Liebscher szukał kolejnej skrytki. Ostatnie znalezienie zostało dodane dwadzieścia dwa dni wcześniej – *multi cache* niedaleko jeziora Traunsee.

„Wymagająca, ale warto było!” – skomentował. „TFTC!”.

Trzy dni wcześniej zrobił dużą pętlę, podejmując aż osiem skrytek. Żaden komentarz do nich nie przykuł uwagi policjantki. Chwalił oryginalne pomysły na ukrycia albo wyjątkowe widoki, które towarzyszyły poszukiwaniom, i za każdym razem dziękował.

Beatrice sprawdzała coraz starsze logi, jeden po drugim. Po chwili dotarła do poprzedniego miesiąca. Zagmatwany *mystery cache*. Liebscher z dumą informował o rozwiązaniu zagadki i o tym, że zostawił w skrytce piękną monetę, jedną z tych, które znaleźli u niego w domu. W tym samym miesiącu dodał logi trzech *multi cache*'y i dwudziestu czterech tradycyjnych, co oznaczało zwyczajne skrytki o niskim stopniu trudności.

Kiedy dotarła do połowy marca, była o krok od złożenia broni. Najbardziej emocjonujący wpis, jaki znalazła, brzmiał: „Na początku zła skała, ale kiedy się rozejrzałem, wszystko stało się jasne. Niedokładne współrzędne!”.

Lecz wtedy trafiła na wpis z dwunastego marca. Chodziło o zwykłą, tradycyjną skrytkę, lecz Beatrice poczuła przypływ nadziei. *Cache* ukryty był w Salzburgu, w parku przy zamku Leopoldskron.

„Oryginalny pomysł!” – skomentował Liebscher. „Znaleziony razem z Shinigami. TFTC!”.

To był pierwszy i dotychczas jedyny wpis, w którym znalazła się wzmianka o towarzyszu! Pozostałe trzy skrytki, których podjęcie zapisał w logach z dwunastego marca, również odnalazł z kolegą. Tamtego dnia musiał umówić się z Shinigami na wspólne „kieszowanie”.

Przewijała dalej. Dziesiątego marca. Dwie skrytki, ale żadnych informacji o towarzyszu. Lecz cztery dni wcześniej, szóstego marca, Liebscher znów ruszył na łowy z Shinigami.

„Świetna skrytka, ale logbook jest prawie pełny! Znalezione do spółki z Shinigami. TFTC!”.

Okej. Każdy znalazca osobno zgłaszał znalezienie *cache*'a na jego stronie, więc była szansa, że i Shinigami zostawił jakiś komentarz. Otworzyła stronę skrytki i przewinęła logi do szóstego marca. Znalazła komentarz DescartesHL,

a zaraz nad nim komentarz Shinigami, jednak zapisany trzy dni później.

Przeczytała go i natychmiast wiedziała, że to coś, a raczej ktoś, od którego można zacząć poszukiwania.

„Znaleziony wspólnie z DescartesHL. Czasem my znajdujemy, czasem jesteście znajdowani, prawda? TFTC.

I specjalnie dla Was: TFTH”.

„Dla was” – pomyślała Beatrice. „Dla nas”.

Wystarczyło kliknąć, żeby obejrzeć profil Shinigami, lecz brakowało w nim jakichkolwiek informacji. Oczywiście. Jedyne, co dało się odczytać, to data rejestracji i znalezione skrytki. Lista była krótka: łącznie siedem cache’y, wszystkie z marca i kwietnia tego roku. Data rejestracji: dwudziesty szósty lutego. Ledwie tydzień przed pierwszą wspólną wyprawą z DescartesHL.

Wystarczyły jej niecałe trzy minuty, żeby potwierdzić swoje przypuszczenia. Wszystkie siedem skrytek Shinigami odnalazł do spółki z Herbertem Liebscherem. I we wszystkich siedmiu komentarzach dziękował nie tylko za kesza, ale również za polowanie.

Florin nie wyszedł jeszcze z biura, więc natychmiast odebrał telefon.

– Coś się stało?

– Co? Nie, nie, wszystko w porządku. Ale coś odkryłam. – Upiła łyk zimnej kawy, która niczym smutne wspomnienie śniadania stała na komódce, i się skrzywiła. – Jestem na dziewięćdziesiąt procent pewna, że Liebscher szukał skrytek razem z Ownerem. Zaraz podeślę ci link, to sam zobaczysz, o czym mówię.

Po krótkiej chwili Florin otworzył mejla. Beatrice słyszała, jak klika myszką. I jeszcze raz.

– Chodzi o wpis nad komentarzem DescartesHL z szóstego marca.

– Shinigami. – Głos Florina brzmiał tak czysto i wyraźnie, jakby siedział tuż obok. Albo nawet bliżej. – Hm. Brzmi trochę z japońska.

Beatrice przypomniała sobie o studentkach z Azji. „Może jednak trzeba będzie uwzględnić je w poszukiwaniach” – pomyślała. W tej chwili nie można było wykluczyć niczego, ale to absolutnie niczego.

– Sprawdzimy go. Zaraz podejść do Stefana i zerknę, czy jest jeszcze w biurze. On albo Bechner. Musimy poznać prawdziwą tożsamość człowieka korzystającego z tego nicka. To ogromny krok naprzód, Bea. Dzięki.

Podziękowania od Florina nie były czymś zwyczajnym i pozostawiły jakiś dziwny posmak. Czyżby chciał w ten sposób wynagrodzić jej wszystkie gorzkie słowa, jakie usłyszała od Hoffmanna?

Westchnęła.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

– A teraz marsz do łóżka. Ja też zaraz kończę.

– Za chwilę. – W tle usłyszała dzwonek jego komórki. Tę melodię miał przypisaną jedynie do numeru Anneke. Będzie chciał szybko odebrać. – Do jutra, Florin. – Rozłączyła się, zanim on zrobił to pierwszy.

Pierwszy *cache* Liebscher znalazł siedem lat wcześniej. Musiał zasmakować w nowej rozrywce, długo zanim stała się modna. W swoich komentarzach nie krył ogromnego entuzjazmu. Niemal co weekend ruszał na poszukiwania. Większość odnalezionych wtedy skrytek już nie istniała – czerwone przekreślenie oznaczało ich archiwizację. Można było odnieść wrażenie, że rzadko którym udawało się przetrwać więcej niż cztery czy pięć lat.

Przez cały rok zabawa w poszukiwanie *cache'y* z GPS-em w dłoni pochłaniała większość wolnego czasu zamordowanego nauczyciela. A potem nagle...

Beatrice znieruchomiała. Przesunęła listę w górę i w dół, żeby sprawdzić daty. Nie, nie pomyliła się. Po weekendzie w Wiedniu, który przyniósł mu osiemnaście nowych skrytek, nastąpiła półtoraroczna przerwa. Ani jednego *cache'a*. Nic.

Czy był wtedy chory? A może to przez rozwód zabrakło mu czasu na hobby? Następnego dnia będzie musiała zapytać w szkole, w której uczył.

Kiedy wrócił po tak długiej pauzie, zaczął poszukiwania jakby ostrożniej, od jednej, najwyżej dwóch skrytek w miesiącu. Nawet komentarze online brzmiały bardzo zdawkowo.

„Sprawnie poszło, TFTC”.

Rzadko kiedy trafiała na cokolwiek więcej.

Dlaczego? Beatrice spojrzała na zegarek. Wpół do jedenastej. Zdecydowanie zbyt późno, by zadzwonić do Romany Liebscher. Jutro.

Wyłączyła i zamknęła komputer, podeszła do lodówki i przez chwilę nie mogła się zdecydować, na co ma ochotę: na wodę czy na ostatnią butelkę piwa, która od miesiący stała na drzwiczkach.

Woda. Napiała się prosto z butelki. Podobało jej się drapanie bąbelków gazu w ustach, przetyku i w żołądku. Stłumiła beknięcie, po czym potrząsnęła głową. Niby dla kogo miałaby się zachowywać teraz kulturalnie?

Postanowiła wykorzystać ostatnie dziesięć minut kończącego się dnia i zrelaksować się, zanim pójdzie spać. Stała przy oknie i spojrzała na niebo nad miastem. Niedługo pełnia księżyca, jeszcze najwyżej trzy dni.

– Shinigami – wyszeptwała, upiła łyk wody i zasunęła zasłony, tak na wszelki wypadek. W następnej chwili uderzyła się otwartą dłonią w czoło i ruszyła biegiem w stronę stołu.

Dlaczego od razu nie sprawdziła? Teraz musiała od nowa uruchamiać komputer, ten stary, rżący złom.

Google nie szczędził jej odpowiedzi: Shinigami był japońskim bogiem śmierci, złym omenem. Po omacku sięgnęła za siebie, ściągnęła narzutę z kanapy i zarzuciła ją sobie na ramiona.

Już w chwili założenia konta na geocaching.com, Owner dawał do zrozumienia, po co się tam pojawił. Przynosił śmierć. Lecz nikt nie rozumiał jego przesłania – nawet Herbert Liebscher.

Dagmar Zoubek była jedną z tych kobiet, które już na pierwszy rzut oka wzbudzają respekt. Wysoka, zawsze wyprostowana, z włosami związanymi na karku przypominała Beatrice nauczycielkę baletu, która niecierpliwymi kościstymi dłońmi ustawiała jej palce u stóp, kiedy miała sześć lat. Jednak Zoubek uczyła nie tańca, lecz gry na flecie.

Beatrice spontanicznie zdecydowała się na to spotkanie. Myśl o nużącym przedzieraniu się przez listy nazwisk, i to z samego rana, wydała jej się tak trudna do zniesienia, że wybrała drogę na skróty. Postanowiła nie szukać ciemnowłosej dziewczyny o mrocznym imieniu czy nazwisku, lecz dziewczyny rozdartej.

Siedziały w jednej z sal do ćwiczeń, zdominowanej przez fortepian Steinwaya.

– Wie pani, wiele studentek przeżywa różne kryzysy – oznajmiła Zoubek po dłuższym zastanowieniu. – Presja tutaj jest jak najbardziej znośna, lecz niektóre z nich mimo to nie dają rady. Musiałaby pani sprecyzować pytanie. Może jakieś szczegóły?

– Poza fletem musiała studiować również kompozycję. I najprawdopodobniej ma ciemne włosy.

Trzeba było oddać pani Zoubek, że mimo wszystko starała się zamaskować kpiące błyski w oczach.

– Ciemnowłosa... Czy zdaje pani sobie sprawę, że większość dziewcząt co miesiąc ma inny kolor włosów?

Czy studenci lubili panią Zoubek? Beatrice nie potrafiła sobie tego wyobrazić. Nauczycielstwo było zakorzenione w jej tonie i spojrzeniu, jakby stało się jej nieodłączną częścią.

– Problem polega na tym – wyjaśniła Beatrice – że nie potrafię nawet wskazać, o jaki przedział czasowy mi chodzi. Dziewczyna mogła rzucić studia sześć lat albo sześć miesięcy temu. Najgorsze, że nie da się wykluczyć, że wciąż jest na liście. Informacje, jakimi dysponuję, są bardzo skromne.

– Cóż, nie będę zaprzeczać. – Szczere wyznanie Beatrice zrobiło na pani Zoubek dobre wrażenie. – Kryzysy i załamania. Hm, niech chwilę pomyślę... Jedna ze studentek w zeszłym roku straciła w wypadku samochodowym oboje rodziców. Zaraz potem wróciła do Monachium. To było bardzo smutne wydarzenie. – Nauczycielka przez chwilę siedziała z przekrzywioną głową.

– Bardzo uzdolniona dziewczyna. Jednak to raczej nie o nią pani chodzi, bo jej drugim kierunkiem był śpiew, a nie kompozycja, no i miała jasne włosy.

– Czy mimo to mogłaby mi pani podać jej nazwisko?

– Tamara Hassmann.

Hass jak nienawiść? Czy to słowo miało w sobie ciemność? Gdyby choć jeden punkt się zgadzał, warto by było poświęcić czas i skontaktować się z Tamarą, lecz Beatrice nie miała wątpliwości, że to nie jej szuka. Owner przekazywał bardzo precyzyjne wskazówki.

– Ktoś jeszcze przychodzi pani na myśl? Może były jakieś próby samobójcze? Zachowania budzące niepokój kadry? Osoby agresywne wobec innych?

Sposób, w jaki pani Zoubek odwróciła głowę i zaczęła się zastanawiać, świadczył o tym, że pytania policjantki naprowadziły ją na jakiś trop.

– Tak? – dopytywała się Beatrice. – Cokolwiek przyszło pani do głowy, proszę się tym podzielić, bo może się okazać, że właśnie tej osoby szukamy.

– Była taka zahukana dziewczyna... trochę puszysta, wciąż się odchudzała. No właśnie, miała też ciemne włosy. Chodziła do mnie na zajęcia z fletu poprzecznego, a o ile dobrze pamiętam, studiowała też kompozycję. Bardzo się starała. Może nie miała tyle talentu, ile jej koleżanki, ale za to wyjątkowo sumiennie przykładała się do pracy.

Beatrice zdążyła się już zorientować, że w świecie pani Zoubek pracowitość należała do najwyższej cenionych cnót.

– Co się z nią stało?

– To było naprawdę dawno temu. Nie uczęszczała już na moje zajęcia, bo przepisała się do grupy doktora Hornera, ale wydaje mi się, że to było coś w rodzaju załamania nerwowego. Wezwano pogotowie i odjechała stąd w karetce, a potem dość szybko zabrała papiery i przerwała naukę.

– Może pani pamięta, jak to załamanie wyglądało? To znaczy, czym się objawiało? Albo co je wywołało?

Energiczne przeczenie ruchem głowy.

– Nie było mnie przy tym, ale słyszałam, że zaczęła krzyczeć i płakać. Nikt nie mógł jej uspokoić. Może niech pani porozmawia z doktorem Hornerem, on powinien wiedzieć więcej.

„Na pewno” – pomyślała Beatrice.

– Pamięta pani nazwisko tej dziewczyny?

Dagmar Zoubek demonstracyjnie zmarszczyła usta, by zaznaczyć, że szuka w pamięci.

– To było długie nazwisko, nie tak łatwe do zapamiętania... Musiałabym sprawdzić.

– Byłabym zobowiązana.

Z wyrazem urażonej dumy na twarzy pani Zoubek podniosła się z krzesła i wyszła, by po dziesięciu minutach wrócić z niebieskim skoroszytem pod pachą.

– Znalazłam. Melanie Dalamasso. Flet, kompozycja. Na koniec zapisana uwaga: eksmatrikulacja z powodów zdrowotnych. To było pięć lat temu.

– Dziękuję. – Beatrice uściśnęła nauczycielce dłoń i wyszła na dwór, do ogrodu obsadzonego mirabelkami, rozświetlonego przez słońce nieśmiało przebijające się przez chmury. Znalazła wolną ławkę, usiadła i wyprostowała nogi.

Strzał w dziesiątkę. Dalsze poszukiwania były zbyteczne. Dalamasso jako włoskie nazwisko idealnie pasowało do ciemnych włosów, o których wspomniał Owner. Poza tym Beatrice nie będzie nawet musiała szukać w Internecie dalszych informacji, by rozwiązać zagadkę. Jako dziecko miała leksykon imion i z zapalem sprawdzała znaczenie imienia każdej nowo poznanej osoby.

Dzięki temu jej własne imię stawało się często powodem wybuchów weselości, gdyż oznaczało osobę przynoszącą szczęście. Imieniem jej najlepszej przyjaciółki było Nadine, co z kolei oznaczało nadzieję. A w ławce przed nimi siedziała Melanie – rudoblond dziewczyna o twarzy, szyi i ramionach udekorowanych niezliczonymi piegami. Ileż to razy zaśmiewały się do rozpuku z powodu tego, że jej imię znaczyło czarna.

Melanie Dalamasso nie tylko przerwała studia. Wszystko wskazywało bowiem na to, że porzuciła całe dotychczasowe życie. Zamieszkała z rodzicami, a całe dnie, od ósmej rano do wpół do piątej po południu, spędzała w otwartej klinice psychiatrycznej.

– Trzeba ją mieć pod stałą obserwacją, ale nie będziemy próbowali z nią rozmawiać. Przynajmniej jeszcze nie. – Florin przesunął wzrokiem po twarzach zebranych i zatrzymał się na Hoffmannie.

Szef w końcu skinął głową.

– Każda osoba, która się do niej zbliży, ma zostać dokładnie sprawdzona. Rozmawiałem już z jej rodzicami i z jej lekarzem i mamy ich pełne wsparcie. Niestety, nie powiedzieli niczego, co mogłoby nam pomóc: nikt nie ma pojęcia, co mogło wywołać kryzys. – Stefan podał mu szklankę wody, a on z wdzięcznością się napił. – Podobno nigdy nie była stabilna emocjonalnie i zawsze miała skłonności do depresji.

Beatrice jeszcze przed odprawą przeczytała raport z rozmowy z rodzicami Melanie. Nie mieli pojęcia, co jest ich córcie i jak można jej pomóc. Opisali ją jako osobę cichą, zamkniętą w sobie, która od dziecka chciała grać na flecie. Kiedy miała osiem lat, po raz pierwszy trafiła do psychoterapeutki, bo odmówiła przyjmowania posiłków. Okazało się, że dwie koleżanki z klasy wymyśliły jej przezwisko „włoski hipopotam”.

Większość dzieci zareagowałaby płaczem, skargą u wychowawczyni albo

rodziców lub solidnym kopniakiem w goleń przezywającego. Melanie przeżyła to znacznie ciężiej i przez wiele tygodni nie mogła odzyskać równowagi. Zaszantażowała rodziców, że nie zacznie jeść, jeśli nie przeniosą jej do innej szkoły. Matka i ojciec nie chcieli z nią walczyć i zapisali córkę do prywatnej szkoły o profilu muzycznym. Minęło kilka lat i wszyscy zaczęli wierzyć, że Melanie uporała się ze swoimi problemami – że z nich wyrosła, jak wyraziła się jej matka – lecz wtedy przyszedł wiek dojrzewania i zaczęły się ekstremalne wahania nastroju, którym towarzyszyły fazy głodzenia się i napady bulimiczne. Rodzice uważali, że gdyby nie gra na flecie, dziewczyna już wtedy by się zmarnowała. Po kolejnej interwencji psychoterapeuty i trzech miesiącach wakacji spędzonych w klinice dla nerwowo chorych sytuacja na powrót się ustabilizowała.

Melanie skończyła osiemnaście lat i dostała się na Uniwersytet Mozarteum. Przeprowadziła się do małego mieszkania w pobliżu Salzburga i zaczęła marzyć o karierze solistki. Zakochała się też w koleźce ze studiów. On, choć nie odwzajemniał jej uczuć, potraktował ją bardzo serdecznie i się z nią zaprzyjaźnił. Dzięki niemu przyłączyła się do grupy studentów, którzy razem wychodzili do pubów, kina czy też wspólnie przygotowywali się do egzaminów teoretycznych. Przez jakiś czas Melanie z dwiema dziewczynami z tej grupy wynajmowała nawet wspólnie mieszkanie.

– „Może nie była w centrum tej paczki, ale też nie była poza nią i bardzo jej to odpowiadało” – brzmiały zacytowane słowa jej matki.

Nikt jednak nie potrafił odpowiedzieć na pytanie, co się wydarzyło później: Melanie nagle odwróciła się od znajomych i ruszyła własną drogą. Zamknęła się w sobie i po raz kolejny usiłowała stracić na wadze. Próby dotarcia do niej czy nawet normalnej rozmowy na nic się nie zdawały. Tak źle jeszcze nigdy nie było. Jedna z dawnych znajomych doniosła jej matce, że widziała Melanie z mężczyzną, który, sądząc z wieku, mógłby być jej ojcem. Objęci i przytuleni spacerowali między straganami jarmarku bożonarodzeniowego w Hellbrunn i nie widzieli świata poza sobą.

Matką Melanie targały sprzeczne emocje. Jednocześnie odczuwała radość i niepokój. Jej dziecko było szczęśliwie zakochane, lecz nie zamierzało przedstawić rodzicom swojego wybranka, ba, słowem o nim nie wspominało. Kiedy w czasie tradycyjnych niedzielnych obiadów ktoś próbował ostrożnie poruszyć ten temat, dziewczyna wstawiała i wychodziła z domu.

Załamanie przyszło pół roku później, bez ostrzeżenia. Tuż po zakończeniu roku akademickiego, o dziesiątej rano pani Dalamasso została telefonicznie poinformowana o stanie córki. W czasie próby do koncertu letniego Melanie zaczęła krzyczeć i płakać i nie dała się uspokoić. Kiedy kobieta dotarła na miejsce, lekarz z karetki zdążył już zaordynować jej środki uspokajające.

– Od tamtego czasu jest całkowicie wycofana i zamknięta. Właściwie

przestała się odzywać, a jeśli już coś mówi, to niepowiązane ze sobą urywki zdań. Lekarze przypuszczają, że od dziecka cierpiała na jakąś rzadką formę autyzmu i akurat teraz choroba przybrała ostrą formę – zakończył rozmowę jej ojciec.

Tylko dlaczego Owner miałby chcieć mordować kogoś takiego jak ona?

– ...mimo wszystko porozmawiać. – Beatrice usłyszała tylko końcówkę wypowiedzi Hoffmanna. – Kossar mógłby się tym zająć. W końcu jest psychiatrą, więc umie rozmawiać z chorymi.

– Kossar jest biegłym sądowym, a nie praktykującym lekarzem – zaprotestował Florin. – Nie sądzę, żeby lekarze Melanie Dalamasso byli zachwyceni tym pomysłem. Dlatego byłbym za tym, żeby nie próbować nawiązywać z nią kontaktu, tylko zapewnić jak najlepszą ochronę. Warto wziąć pod uwagę, że dotychczasowe rozmowy z ofiarami Ownera nie dały nam absolutnie nic. – Florin splótł palce i ruchem głowy wskazał na zdjęcia rozłożone na stole. – Rodzicom Melanie pokazałem wszystkie ofiary Ownera, zaczynając od Papenberg, a na Estermannie kończąc. I nic. Nawet śladu reakcji. Żeby pokazać zdjęcia dziewczynie, potrzebowalibyśmy zgody lekarzy. Tylko że nawet jeśli uda nam się ją zdobyć, obawiam się, że wyrządzimy jej jedynie szkodę i nic nie zyskamy. Melanie od lat z nikim nie rozmawia i nie sądzę, żeby to się zmieniło pod wpływem kilku zdjęć. W ten sposób i tak nie dowiemy się od niej, co wie albo co myśli...

Florin wzruszył ramionami.

Rozdarta Beatrice siedziała w swoim biurze, pochylona nad zdjęciami, których Florin użył w czasie odprawy, dodawszy do nich jeszcze jedno: Melanie Dalamasso. Ciemne włosy okalające okrągłą twarz. Ciężkie powieki, brązowe brwi i lekko zadarty nos. Ładne usta, lecz o rozmazanych konturach, co sprawiało, że wyglądała, jakby miała kwaśną minę.

Papenberg. Liebscher. Beil. Sigart. Estermann. Dalamasso. Nierozwiązywalny pasjans. Kilkoma ruchami Beatrice zmieniła kolejność fotografii. Pośrodku znalazła się Nora Papenberg, Beil obok Dalamasso, Estermann po prawej na zewnątrz, Liebscher w połowie nad nim. Sigart lekko przekrzywiony, a prawy górny róg jego zdjęcia dotykał ust Nory Papenberg.

Jako siódmą kartę Beatrice dołożyła wydrukowane zdjęcie ostatniej wiadomości. Joker. Owner, korespondujący z nimi odręcznym charakterem pisma pierwszej ofiary.

„Coś was łączy” – pomyślała Beatrice. „Zagadka w zagadce”.

Osoby na zdjęciach milczały. Strzegły tajemnicy jak martwi.

47°28,813'N 13°10,983'E

Dalamasso urodziła się w 1985 roku i to nie podlegało dyskusji, za to współrzędne kolejnego etapu budziły spore wątpliwości. Policjanci i zespoły wspierające poszukiwania znów zgromadzili się na poboczu drogi krajowej ledwie kilka kilometrów od mostu, u którego stóp znaleziono zwłoki Rudolfa Estermanna. Wąski zjazd prowadził przez osiedle domków jednorodzinnych, lekko pod górkę, a niecały kilometr dalej droga zniknęła wśród drzew.

– Przecież tutaj nie da się niczego schować! – Drasche chodził tam i z powrotem, wpatrzony w ekran nawigacji GPS. – Tutaj mieszkają ludzie. No chyba że planował podrzucić komuś kilka kawałków zwłok na trawnik.

– Albo niezbyt precyzyjnie podał współrzędne. – Beatrice zmrużyła oczy i obracała się powoli wokół własnej osi. Okolica oferowała kilka dobrych skrytek, a piętnaście, dwadzieścia metrów dalej rosły drzewa („*fucking trees*” – pomyślała). Wzdłuż drogi ciągnęły się bariery energochłonne i pas trawy. A jednak tutaj, dokładnie w miejscu, które wskazały starannie wyliczone współrzędne, nie było zupełnie niczego poza drogą i znakiem drogowym ograniczającym prędkość na zjeździe do trzydziestu kilometrów na godzinę.

Gdzieś musieli popełnić błąd. Owner zawsze był bardzo precyzyjny – bez wyjątku.

– A drugi GPS?

Stefan wziął dzień wolnego, na wyraźne polecenie przełożonego.

– „Masz tak czerwone oczy, że robią konkurencję twoim rudym włosom” – powiedział Florin i kazał mu zrobić dobrą przerwę.

Przez chwilę ścierały się w Stefanie chęć pozostania na stanowisku i ulga. W końcu wygrało zmęczenie. Policjant wręczył Florinowi sprzęt do nawigacji i ruszył do domu – autobusem, bo obawiał się, że zaśnie za kółkiem. Jednak nawet jego sprawdzona i bardzo dokładna nawigacja turystyczna Garmin Etrex nie chciała wskazać innego miejsca niż smartfon Draschego z odpowiednią aplikacją.

Wcześniej się zdarzyło, że lokalizacja była prawidłowa, ale pojawili się zbyt wcześnie. Znaleźli się na miejscu, zanim Owner podrzucił ciało Rudolfa Estermanna. Czyżby teraz planował zrobić to samo?

Spuściła wzrok i przyjrzała się mokrej asfaltowej nawierzchni, na której stali. Jeszcze przed chwilą padało. Wąskie nitki deszczu, jakby chmury tkwały chustę, by zakryć nią krajobraz. Teraz jednak zaczynało się przejaśniać.

„Dalamasso jest rozwiązaniem kolejnej zagadki, lecz nie ma najmniejszych szans, by ją uprowadził, zamordował i podrzucił tutaj” – pomyślała Beatrice.

W domu i w klinice, gdzie przebywała w czasie dnia, towarzyszyło jej dwóch uzbrojonych i umundurowanych funkcjonariuszy. Kiedy Melanie po raz

pierwszy ich zauważyła, z oczu pociekły jej łzy i zaczęła wyć, więc na prośbę matki policjanci zmienili uniformy na cywilne ubrania i trzymali się w większej odległości. Dziewczyna przestała ich wtedy zauważać, jakby stali się niewidzialni.

Na asfalcie pojawiły się cienie. Słońce wyszło zza chmur i mokra nawierzchnia zaczęła odbijać jego promienie. Beatrice przysłoniła oczy dłonią. Nikt się nie spodziewał tak szybkiej zmiany pogody, więc nie pomyślała nawet, że warto wziąć ciemne okulary. Oślepił ją jakiś błysk. Na znaku drogowym znajdowała się okrągła odblaskowa naklejka, dokładnie pośrodku zera. Obok ktoś dopisał czarnym mazakiem: „Nie jedzcie zwierząt!”.

– Może w końcu udało nam się pokrzyżować mu plany. – W tonie Florina nie było wielkiej nadziei, lecz Beatrice mimo to pokiwała głową.

– Może. Mógł założyć, że będziemy potrzebowali więcej czasu na znalezienie Melanie Dalamasso. Albo nie spodziewał się, że obejmiemy ją ochroną. – Sama nie wierzyła w to, co mówi.

Owner musiał wiedzieć, że ani na chwilę nie spuszczą dziewczyny z oka. Że nie mogą sobie na to pozwolić. Sprawa Sigarta pokazała im, że nie wolno zwlekać z policyjną ochroną.

– Przeszukajcie wszystko w promieniu stu metrów – zdecydował Florin. – Rozglądajcie się za pojemnikami, zapisanymi papierami i wszystkim, co mogłoby być wiadomością. Bądźcie uważni, bo mógł to bardzo starannie ukryć.

Trójka przewodników z psami ruszyła do pracy. Jeśli gdzieś w pobliżu ukryto części ciała, na pewno je znajdą.

Jednak tym razem coś się nie zgadzało. Nagle Beatrice poczuła wibrowanie komórki, którą wcześniej przełączyła w tryb cichy i schowała do kieszeni. Miała wrażenie, że jej serce na chwilę przestało bić. To na pewno on! Kolejny SMS i kolejna szarada – lecz kiedy zobaczyła numer, westchnęła i odrzuciła połączenie.

Wiedziała, że kolejna fala telefonów od byłego męża to tylko kwestia czasu. Tyle że teraz nie miała na to zupełnie ochoty.

Wiatr zasłonił chmurami niebo i słońce. Beatrice schowała słuchawkę do kieszeni marynarki. Miała wyrzuty sumienia, jak zawsze, kiedy w ten sposób odprawiała kogoś z kwitkiem. To mogło być coś ważnego. Może jakiś wypadek.

Niespodziewanie przypomniała sobie Evelyn. Nie mogła sobie pozwolić, by przyjaciółka zajęła jej myśli. Nie chciała skupiać się na tym, co Richard nazwał „tamtą sprawą sprzed lat”. Odsunąć to od siebie. Skoncentrować się. Miała na głowie zupełnie nową historię, a ta musiała się skończyć zgoła odmiennie.

Psy nie znalazły niczego konkretnego.

– Liebscher zginął już jakiś czas temu, a temperatury są na tyle wysokie, żeby gazy gnilne rozerwały folię – tłumaczył Drasche. – A nawet jeśli nie rozerwały, psy i tak znalazłyby pojemniki. Zrobiliśmy odpowiednie próby.

– Ale co Owner miałby dla nas schować? – Beatrice przerwała przygnębione milczenie, w jakim przebiegał powrót do biura.

Florin powoli odwrócił głowę w jej stronę i nie odrywając wzroku od ulicy, zapytał:

– Jak to co? Przecież nie znaleźliśmy wszystkich części ciała Liebschera. Brakuje stóp, członków, tułowia... Jeśli będzie chciał, ma materiał na dwadzieścia albo trzydzieści skrytek.

– Mamy przecież jego głowę, więc dalej nie może eskalować. Głowa jest ważniejsza niż wszystkie inne części ciała i pozwala jednoznacznie zidentyfikować ofiarę. Czym chciałbyś to przebić? Wnętrznosciami? Stopami? To byłoby jak pas.

– Przebić?

– A nie? – Nie wybrała tego słowa celowo, ale bardzo dobrze pasowało do sytuacji. Jego ruch, ich ruch. Grali bardzo fair, choć zdawali sobie sprawę, że każdej ze stron przyjdzie za to zapłacić.

Beatrice przypomniała sobie pasjansa ze zdjęciami, jakiego ułożyła na biurku. Kolejną partię zamierzała rozegrać sama.

– Pani koledzy z policji przywiozą moją córkę do domu. Mam wrażenie, że Melanie nie czuje się z tym swobodnie, ale spróbowałam jej wyjaśnić, że to bardzo ważne.

Carolin Dalamasso była piękną kobietą tuż po pięćdziesiątce. Na pytanie Beatrice, czy mogłaby wpaść porozmawiać, odpowiedziała serdecznym zaproszeniem, a czas do wizyty policjantki wykorzystała, by upiec ciasto. Zapach świeżego słodkiego wypieku wypełniał całe mieszkanie.

Beatrice uśmiechem przykryła wyrzuty sumienia. Wizyta u rodziny Dalamasso w gruncie rzeczy nie była konieczna – Florin zadał matce Melanie wszystkie ważne pytania i zestawiał jej odpowiedzi w raporcie. Za to nie rozmawiał z dziewczyną, ba, nawet jej nie spotkał. Beatrice uznała, że to za mało. Chciała – nie, to złe słowo – sama musiała się przekonać, jaka jest Melanie. Rozdarta. Czy stając z nią twarzą w twarz, cokolwiek poczuje?

– Napije się pani kawy? Mocnej, słabej? Mam też bezkofeinową.

Nie była głodna i zdecydowanie nie potrzebowała piątej już tego dnia filiżanki kawy, lecz chciała kupić sobie trochę czasu. W najgorszym razie wciągnie matkę Melanie w jakąś niezobowiązującą rozmowę, dopóki córka nie wróci do domu.

– Bardzo chętnie. Z dużą ilością mleka i odrobiną cukru, jeśli można.

Kobieta uśmiechnęła się i skinęła głową. W jej oczach kryła się czujność, lecz policjantka podejrzewała, że to nie z powodu jej wizyty: Carolin Dalamasso dzień w dzień od kilku lat uważnie obserwowała psychicznie chorą córkę.

Dziesięć po wpół do piątej. Teoretycznie Melanie w każdej chwili mogła

pojawić się w domu, to zależało tylko od ruchu na ulicach.

– Co mogłabym pani powiedzieć, czego nie powiedziałam pani koledze o pięknych ciemnych oczach? – Szybкими, precyzyjnymi ruchami Carolin ukroiła trzy kawałki ciasta i podała filiżanki. Potem usiadła naprzeciwko gościa.

– Chciałabym zapytać, jak wyglądało życie pani córki przed załamaniem. Czy zauważyła pani jakieś sygnały, które z późniejszej perspektywy można oceniać jako ostrzeżenia?

Kobieta nie przestała się uśmiechać, lecz jej twarz wyrażała teraz również ból.

– Oczywiście. Z biegiem czasu człowiek staje się mądrzejszy. Po tamtym załamaniu udało nam się z Carlem zrekonstruować dziesiątki sytuacji, w których, wiedząc to, co teraz wiemy, powinniśmy byli szukać pomocy lekarskiej. Tylko że wtedy myśleliśmy, że córka łatwo się denerwuje, bo po raz pierwszy jest tak poważnie zakochana. Miała wtedy chłopaka, ale to pewnie pani wie. Niestety, nigdy go nie poznaliśmy... A moja teoria jest taka... – Westchnęła i wyrzła przez okno na balkon. Na poręczy usiadł kos, rozejrzał się i odleciał. – Myślę, że on po prostu z nią zerwał. Ona wtedy wynajmowała mieszkanie z dwiema koleżankami i pewnego wieczoru zadzwoniła, ale nie zrozumieliśmy ani słowa. Strasznie szlochała, prawie krzyczała. Natychmiast do niej pojechaliliśmy, lecz Melanie zamknęła się już w swoim pokoju i nie chciała z nami rozmawiać. Jej koleżanki były równie bezradne jak my. Chyba bardzo im ulżyło, kiedy córka trafiła do kliniki. To było dokładnie pięć dni później.

– I nigdy nie pojawił się choćby cień przypuszczenia, co mogło wywołać atak?

– Nie. Rozmawiałam już o tym z pani kolegą.

Jej spojrzenie stało się jeszcze ostrożniejsze, a uśmiech bardziej oszczędny.

– Czy podała pani wczoraj nazwiska dziewczyn, z którymi Melanie wynajmowała mieszkanie?

– Oczywiście. – Upiła łyk kawy.

Beatrice zdecydowała się na ucieczkę do przodu.

– Sprawa, nad którą pracujemy, jest wyjątkowo wymagająca, mam nadzieję, że pani to rozumie. Dlatego komunikacja między nami też nie zawsze jest tak intensywna, jak byśmy sobie tego życzyli. – Czyżby przed domem zatrzymał się jakiś samochód? Oby! – Wiem na pewno, że pan Florin Wenninger pokazywał już pani te zdjęcia. – Mówiąc to, wyjęła z torebki wydrukowane fotografie kolejnych ofiar Ownera. – Wiem również, że wczoraj nie rozpoznała pani żadnej z tych twarzy, jednak często jest tak, że już jeden dzień przerwy pozwala przypomnieć sobie jakieś szczegóły. Nawet gdyby skojarzyła pani choć jedną z tych osób, byłoby to bardzo pomocne.

Rozłożyła fotografie na stole przed Carolin Dalamasso. Nierozwiązywalny

pasjans.

– Jesteśmy przekonani, że oni wszyscy w jakiś sposób są powiązani z pani córką. Niestety, nie mamy pojęcia, co mogłoby ich łączyć. Dlatego chciałam poprosić o jeszcze jedną próbę. Mam nadzieję, że nie weźmie mi pani tego za złe.

Kobieta wzruszyła bezradnie ramionami i nachyliła się nad kartkami.

– Oni wszyscy zostali zamordowani?

– Przynajmniej czworo z nich. Jeden wciąż ma szansę na ratunek.

– Boże... – westchnęła. Wzięła do ręki zdjęcie Nory Papenberg i ze zmarszczonymi brwiami przyjrzała się jej uważnie, lecz po chwili potrząsnęła głową i je odłożyła. – Bardzo się cieszę, że zapewniacie Melanie ochronę – powiedziała cicho. – Nie rozumiem tylko, dlaczego ktoś miałby chcieć ją skrzywdzić.

– Właśnie tego staramy się dowiedzieć. Dajemy z siebie wszystko, może mi pani wierzyć.

Beil, potem Sigart. Za każdym razem przeczenie ruchem głowy.

– Czy Melanie dalej gra na flecie? – zapytała Beatrice.

– Tak. Ale nie w taki sposób jak dawniej. Dźwięki, które produkuje, nie mają wiele wspólnego z muzyką.

Beatrice słyszała szuranie, skrzypnięcie i przeciągły szum, zakończony metalicznym szczęknięciem. Winda.

– O, już chyba są. – Carolin Dalamasso wstała. – Zdaje sobie pani sprawę, że nie wolno pani o nic jej pytać, prawda? W tej chwili jest emocjonalnie stabilna, a lekarze mają nadzieję, że jej stan się jeszcze poprawi. Bo musi pani wiedzieć, że było bardzo źle, bardzo...

Dzwonek do drzwi. Kobieta wyszła do przedpokoju i otworzyła. Beatrice zebrała zdjęcia. Wyrzuty sumienia przyprawiały ją o mdłości, ale nie miała wyjścia – musiała zrobić to, co sobie założyła.

Usłyszała dochodzący z zewnątrz radosny głos jednego z policjantów.

– Wszystko w jak najlepszym porządku, nic niepokojącego się nie wydarzyło. Miłego dnia!

Wiedziała, że obaj funkcjonariusze zajmą teraz stanowisko w samochodzie na zewnątrz i zaopatrzeni w hot-dogi i red bulle będą czekali na zmianę warty. To byli ci dobrzy gliniarze. Ona wręcz przeciwnie. Mogła im tylko zazdrościć.

W drzwiach stanęła dziewczyna o okrągłej twarzy. Zatrzymała się gwałtownie, kiedy ją zauważyła. Ciemne włosy miała zaplecione w warkocz, a w jej oczach pojawił się wyraz zaskoczenia, potęgowany silnymi szklami krzywo nałożonych okularów.

– Melanie, mamy gościa. – Carolin Dalamasso objęła córkę i przyciągnęła do siebie. – To jest pani Kaspary.

Beatrice założyła torebkę na ramię i wstała, trzymając zdjęcia w lewej dłoni.

Dziewczyna to spoglądała na nią, to odwracała wzrok, tylko po to, żeby znów na nią popatrzeć. „Już nie taka dziewczyna” – pomyślała policjantka. „Niedługo skończy trzydzieści lat”.

– Miło mi cię poznać, Melanie. – Wyciągnęła prawą dłoń, lecz ona jej nie ujęła.

Milczała.

– Nie będę zajmowała już czasu, ale może się zdarzyć, że będę miała jeszcze jakieś py... – Teraz. Beatrice rozluźniła palce lewej dłoni. Poczowała, jak zdjęcia zsuwają się na podłogę i słyszała, jak upadają z szelestem. – Przepraszam, już zbieram.

Nachyliła się. Fotografie Papenberg, Estermana i Beila wylądowały twarzami do góry. Pozostałe odwróciły się tyłem. Beatrice udawała, że zaczyna je zbierać, lecz Carolin Dalamasso musiała się zorientować, że zajmuje jej to zbyt dużo czasu...

Dyszenie. Policjantka uniosła wzrok i spojrzała prosto w wykrzywioną grymasem twarz Melanie. Dziewczyna wpatrywała się w zdjęcia. Nagle z jej gardła wydobyło się przeciągłe, zwierzęce wycie. Okulary uderzyły o posadzkę.

– Wynocha! – ryknęła jej matka.

– Nie chciałam...

– Wynocha!

Wycie Melanie zmieniło się w wyższy, niemal piskliwy wrzask. Obiema dłońmi zasłoniła oczy, a Carolin musiała ją powstrzymać, by nie próbowała rozbić głowy o futrynę.

– Złożę skargę!

Beatrice przymknęła oczy i potaknęła z rezygnacją.

– Proszę zgłosić się prosto do Waltera Hoffmanna. On wysłucha pani z prawdziwą przyjemnością.

Niemalże uciekła z mieszkania, a potem pospiesznie opuściła dom i ulicę, lecz wciąż dręczyły ją mdłości.

Nie miała wątpliwości, że Melanie kogoś rozpoznała i że bardzo się jej to nie spodobało.

Tylko że ta wiedza nic jej nie dawała. Siedziała w samochodzie, w dłoni wciąż ściskając zdjęcia, i czuła w ustach posmak kawy, która unosiła się jej z żołądka. Nie miała pojęcia, która z fotografii wywołała taką reakcję. Jedna z nich? Kilka? Może wszystkie? Tylko jedna kwestia znalazła potwierdzenie – Owner nie wybierał ofiar przypadkowo, lecz powiązania między nimi wciąż krył mrok. A Melanie Dalamasso nie mogła jej niczego wyjaśnić.

– Pewnie też bym tak zrobił – usiłował pocieszyć ją Florin, lecz zbyt dobrze go znała, żeby w to uwierzyć. Od samego początku starał się chronić Melanie i nie

chciał pozwolić na jej przesłuchanie. Poza tym w wyniku jego pracy żadna dziewczyna nigdy nie wyla wniebogłosy. I nie groziło mu zawieszenie.

– Shinigami – powiedziała, nie reagując na jego słowa. – Kiedy Stefan będzie miał dla nas jakieś informacje?

– Za chwilę powinien tu być. Twierdzi, że administrator strony jest bardzo otwarty na współpracę. Dostaniemy od nich adres mejlowy, który Owner podał przy zakładaniu konta, i adres IP komputera, z którego się logował. Jeśli miałyby to zająć więcej czasu, to tylko dlatego, że minęły ponad trzy miesiące od ostatniego logowania na stronie. Geocaching.com generuje ogromny ruch użytkowników.

„Może się okazać, że Owner zapomniał usunąć po sobie akurat ten jeden ślad” – pomyślała Beatrice.

Gdyby szczęście zechciało się wreszcie do nich uśmiechnąć... To się im po prostu należy.

I rzeczywiście, niecałe pięć minut później w drzwiach biura pojawił się Stefan i przywitał ich szerokim uśmiechem.

– Jego adres mejlowy to gerold.wiesner@gmx.net, więc zaraz przeszukałem bazy danych i znalazłem jednego Gerolda Wiesnera zameldowanego w Salzburgu. Ma pięćdziesiąt osiem lat i pracuje dla kolei. Wygląda na to, że go mamy!

Ich radość, choć bardzo ostrożna, i tak trwała nie dłużej niż kwadrans. Beatrice wiedziała, jak łatwo założyć konto na geocaching.com, a utworzenie skrzynki pocztowej na nieprawdziwe dane również nie nastręczało trudności. Zasiedli więc do komputerów i zaczęli przeszukiwać swoje rejestry. Już po niedługim czasie wiedzieli na pewno, że kimkolwiek była osoba ukrywająca się pod pseudonimem Shinigami, z całą pewnością nie był to pracownik kolei Gerold Wiesner. Okazało się, że dwudziestego piątego lutego tego roku w czasie prac przy konserwacji linii w pobliżu dworca głównego Gerold zginął porażony prądem. Zmarł kilka miesięcy przed przejściem na emeryturę. Zostawił żonę i osierocił dwie dorosłe córki.

Dwudziestego piątego lutego. A dwudziestego szóstego Shinigami zakłada konto na geocaching.com. Musiał siedzieć przed komputerem i w wiadomościach zauważyć wzmiankę o tym wypadku. Dzięki temu nie musiał wymyślać jakichś dziwacznych nicków. Tak prosto to załatwił. Tak zwyczajnie.

Miała jeszcze odrobinę nadziei, że analiza adresu IP przyniesie jakieś wyniki, lecz i tutaj musieli obejść się smakiem, bo Owner przewidział i ten ruch policji: komputer, którego użył, stał w jednym z salzburskich hoteli wyższej klasy i był dostępny dla wszystkich gości.

– Oczywiście, klienci naszej restauracji również czasem z niego korzystają – wyjaśnił menedżer. – To część naszej oferty, dla wszystkich.

– Czy gdybym zapytała, kto korzystał z komputera dokładnie dwudziestego szóstego lutego bieżącego roku o godzinie piętnastej czterdzieści dwie, byłby pan

w stanie udzielić mi odpowiedzi?

– Obawiam się, że nie. – Jeśli żal w głosie menedżera nie był szczery, to był przynajmniej świetnie udawany.

– Rozumiem. Mężczyzna, którego poszukujemy, musiał korzystać z waszego komputera jeszcze dziewiątego, czternastego i dwudziestego marca, a potem po raz ostatni trzeciego kwietnia. Może jednak ktoś zwrócił na niego uwagę?

– Ma pani rację, to możliwe. Zaraz sprawdzę, który z kelnerów miał wtedy dyżur we foyer i dam znać, co ustaliłem.

Gadanie. Prózne obietnice, nic więcej.

„I specjalnie dla Was: TFTH”. Już przed trzema miesiącami Owner wiedział, że zabije Liebschera. Przynajmniej jego śmierć miał już w planach. I podziękował policji za polowanie, jeszcze zanim mieli szansę je zacząć.

Ku jej zaskoczeniu, dwadzieścia minut później menedżer rzeczywiście zadzwonił. Rozmawiała akurat z Bechnerem, bo chciała, żeby sprawdził, czy może w okolicach nie znajdzie się jeszcze jeden Gerold Wiesner, który mógłby być powiązany z tą sprawą. Nieświadomie spychała na Bechnera wszystkie zadania, które miały być tylko formalnością bez szans na jakiegokolwiek wyniki.

– Sprawdziłem to, o co pani prosiła, i dwukrotnie w podanych dniach foyer obsługiwał Georg Lienhart – obwieścił menedżer. – Twierdzi, że rzeczywiście coś zapamiętał. Godziny również by się zgadzały.

– Fantastycznie! – Beatrice zatrzymała gestem Bechnera, który wykorzystując, że jest zajęta, próbował ulotnić się do swojego biura. Mężczyzna westchnął teatralnie, na co ona równie sztucznie się uśmiechnęła.

– Mogłabym zamienić kilka słów z panem Lienhartem?

– Oczywiście, już podaję słuchawkę.

Kelner miał bardzo młody głos, ale mówił rozsądnie i spokojnie.

– To był silnie zbudowany mężczyzna, brodac. Ani na chwilę nie zdjął płaszcza, chociaż przecież pomieszczenia są naprawdę dobrze ogrzewane. Za każdym razem zamawiał kawę, którą bardzo szybko wypijał, i zawsze wybierał stolik jak najbliżej komputera. Szybko płacił i dawał bardzo wysoki napiwek. – Młody mężczyzna przerwał i zamyślił się na chwilę, rozpamiętując najpewniej finansowe aspekty spotkania z nieznanym. – Potem siadał przy komputerze, tak blisko, jakby chciał zasłonić sobą ekran. Pewnie dlatego zostawał w płaszczu.

– Czy mimo to nie zobaczył pan przez przypadek, jakie strony odwiedzał?

– Jesteśmy szkoleni, żeby zachowywać dyskrecję i szanować prywatność naszych klientów.

Beatrice potrafiła wyobrazić sobie pełen tupetu uśmiech kelnera, kiedy to mówi.

– Rozumiem, że w poszanowaniu dyskrecji dla tego człowieka mimo wszystko rzucił pan okiem na ekran?

Georg Lienhart się zawahał.

– Nie. Chociaż byłem bardzo ciekaw, co takiego ogląda, że robi z tego tajemnicę. Dlatego po tym, jak pojawił się po raz drugi, sprawdziłem historię przeglądarki.

Genialnie.

– No i?

– No i nic. Wyczyścił całą historię.

Beatrice przetarła dłonią czoło, starając się zapanować nad wzbierającym w niej gniewem. Wszystko było w porządku, ba, to nic nie zmieniało. Już sam fakt, że nieznajomy mężczyzna usunął wszystkie ślady, które mogłyby ich do niego doprowadzić, wiele mówił o jego zamiarach.

– Bardzo nam pan pomógł, dziękuję. Chciałabym jeszcze poprosić o podanie dokładnego opisu tego mężczyzny. Wszystko, co uda się panu przypomnieć. Każdy szczegół może mieć kluczowe znaczenie.

Kelner się zastanowił.

– Miał na sobie ciemnoniebieski płaszcz i czarne buty. Zwróciłem na to uwagę, bo obie części garderoby zupełnie do siebie nie pasowały, choć wyglądały na bardzo drogie. Do tego skórzane rękawiczki i jasny szalik.

– Pamięta pan, jaki miał kolor włosów?

– Był łysy. Ale tak zupełnie, jakby był chory. Za to miał ciemną brodę, z kilkoma jaśniejszymi pasmami. Dość gęstą brodę.

Ileż Beatrice by dała, żeby wszyscy świadkowie mieli taką pamięć!

– Jest pan niesamowicie spostrzegawczy, naprawdę. Świetna robota. Pamięta pan jeszcze jakieś szczegóły? Znamiona, tatuaże albo blizny?

Znów chwila zastanowienia.

– Nie. Ale też nie widziałem niczego poza głową i twarzą, więc nie wiem, czy nie miał tatuaży gdzieś na ramionach.

– Racja.

– Za to powiedział coś, co zapadło mi w pamięć. I chyba właśnie przez to mam jeszcze w głowie tyle szczegółów... bo to idealnie pasuje do tej sytuacji. Chociaż wtedy myślałem, że się wygłupia.

Beatrice odchyliła się na oparcie.

– Tak?

– Powiedział: „Możliwe, że ktoś będzie o mnie pytał. Powiedz im wtedy, że są łatwiejsze sposoby. I powtórz jeszcze: dzięki za polowanie”.

Niebo nad jego głową było czyste, a jaskółki latały wysoko. Wspaniała pogoda, może utrzyma się jeszcze przez dwa albo trzy dni.

Dni oczekiwania. Myśłami znów był przy tamtej kobiecie, jak często ostatnimi czasy. To nie mogło już długo potrwać. Jeśli podążali śladami, które im

zostawił, musieli w końcu zrozumieć, o co mu chodzi.

Zakręciło mu się w głowie od wpatrywania się w niebo. Niewiele brakowało, a by się przewrócił. Spokojnie, bądź ostrożniejszy i nie eksploatuj się aż tak bardzo, zganiał się w myślach. Ta uwaga miała w sobie coś komicznego. Szkoda, że nie miał się z kim nią podzielić.

Może z wyjątkiem tej kobiety. Wszystko było przygotowane. Rzucił im na przynętę wykrwawionego, pozbawionego palców mężczyznę. Połknął haczyk, nie mogą inaczej.

Począł, aż przestanie wirować mu w głowie, i ponownie spojrzął w górę. Dokładnie ponad nim samolot przecinał nieskazitelnie błękitne niebo, ciągnąc za sobą jasną linię – długi minus, który na końcu rozplątywał się w powietrzu. Pięć minus dwa daje trzy, minus jeden...

Nie dało się tego uniknąć. Wzruszył ramionami. Niebo to niebo, a on był tu, na ziemi, i musiał się zająć bardziej przyziemnymi rzeczami. Ostrza. Krew. Ból.

Ostatnie tygodnie były tego pełne. Najbardziej zaskoczyło go to, czego się nauczył, a mianowicie, że rzeczywistość może drastycznie różnić się od wyobrażeń.

Ale to nie dotyczyło samego planu. Tutaj wszystkie tryby pasowały do siebie dokładnie tak, jak powinny. Jednak samo to, że to robił, różniło się bardzo od fantazjowania na ten temat.

Rozejrzał się i ruszył w ciemność. Uśmiechnął się, czując delikatny wiatr. Pięknie.

Ktoś westchnął. Minęła chwila, zanim się zorientował, że to on sam nabrał głęboko powietrza. Jak ktoś, kto musi wracać do pracy. Brutalnej, ponurej i pełnej bólu. Niezmiennie niechętnie, bo i jak? Ale to był najlepszy sposób. Wszystko czekało przygotowane. Nie było powodu, by to odwlekać.

Skończył w ciągu zaledwie dwóch godzin. Był coraz lepszy. I teraz niewiele go już kosztowało, żeby się przemóc.

Posprzątał. Zużył trzy wiadra wody, żeby usunąć krew. W porządku. Jeszcze wiadomość. Dobrze to wyglądało, choć patrząc, z trudem nabierał powietrza. Walcząc o każdy oddech, poczekał, aż się uspokoi, po czym wsunął telefon do jednej kieszeni, baterię do drugiej i odszukał kluczyki do samochodu. Bez pośpiechu. Mógł sobie na to pozwolić. Dziesięć, może piętnaście kilometrów. Tyle starczy. Potem z powrotem. I trochę snu. W końcu.

Jakob dał jej buziaka i się przytulił, a potem popędził prosto do sąsiadów. Za to Mina była znacznie bardziej marudna. Przypominała Beatrice. Sprzed trzydziestu lat. I sprzed pół godziny. „Jest moją wierną kopią” – pomyślała. „Może dlatego tak trudno nam się dogadać”.

– Jeśli nie masz dla nas czasu, zawsze możesz odesłać nas do taty. On się ucieszy. Zawsze to powtarza.

– Myślałam, że lubicie być u babci?

– Tak. Pewnie. Ale... – Przez chwilę szukała właściwych słów. – Zawsze mówisz, że to tylko na kilka dni, a potem wychodzi, że na znacznie dłużej.

Jeśli Mina chciała w ten sposób wyrazić, jak bardzo za nią tęskni, to wybrała najbardziej zagmatwaną i najtrudniejszą do zrozumienia konstrukcję. Każde jej słowo było zarzutem.

– Masz rację – przyznała Beatrice. – To trwa tak długo. Ale jesteśmy już blisko. Lada chwila zamkniemy sprawę. A najbliższy weekend należy do taty. Może zabierze was na żagle, jeśli pogoda dopisze.

Ta perspektywa odpowiadała dziewczynce, bo skinęła w końcu głową i prawie się uśmiechnęła.

– Może być. A co zrobimy, kiedy ty będziesz miała dla nas czas?

– Kiedy zamkniemy tę sprawę, wezmę urlop, a wy wymyślicie, na co macie ochotę. To jak, umowa stoi?

– Ale możemy wybrać cokolwiek? I ty się zgodzisz?

– Jeśli będzie mnie stać i jeśli to nie jest nic nielegalnego.

Przyciągnęła córkę do siebie i ją przytuliła. Z początku miała się opierać, ale po chwili jej drobne ramiona objęły mamę w talii.

– Nie jest. Chyba – mruknęła Mina, wtulona w matczyne brzuch.

Richard, dziś znacznie łaskawiej do niej nastawiony, próbował ją nawet uspokoić, ledwie Mina znalazła się poza zasięgiem słuchu.

– Przez cały dzień była w świetnym nastroju, więc się nie przejmuj. Gdybyś częściej wpadała wieczorem zobaczyć dzieci, a nie tylko telefonowała, w ogóle nie byłoby proble...

I'll send an SMS to the world

I'll send an SMS to the world

I hope that someone gets my

I hope that...

– Cholera... – Beatrice sięgnęła do torebki, szybko odnalazła komórkę i wyłączyła dźwięk. Na ekranie widniała informacja o jednej nowej wiadomości.

MMS. Na początku widziała tylko numer nadawcy. Ten numer. Po chwili pojawił się obraz. Beatrice usłyszała świst, kiedy gwałtownie nabrała powietrza.

– Co się dzieje? – Richard błyskawicznie znalazł się obok niej i spojrzał na wyświetlacz. – O Boże, Bea... co to? Człowiek? Czy... Boże, przecież to ludzka ręka! Co za rzeźnia...

Uwolniła nadgarstek z jego uścisku, którym przytrzymał jej dłoń, by dokładniej obejrzeć zdjęcie. Rzeźnia.

– Muszę lecieć. – Zarzuciła torebkę na ramię i bez pożegnania wybiegła do samochodu. Kiedy uruchamiała silnik, upuściła komórkę. Odszukała ją na podłodze i wybrała numer do Florina.

– Jesteś jeszcze w biurze?

– Nie, już wróciłem do domu. Co się dzieje? Mam...

– Za piętnaście minut będę u ciebie.

Odcięty zakrwawiony palec środkowy na czymś jasnym, a obok okaleczona dłoń. Świeża rana, krwawy ochłap. Ślady po amputacji na małym i serdecznym palcu lepiej czy gorzej, ale zaczęły się goić. Kciuk i palec wskazujący – jedyne, jakie mu zostały – stykały się opuszkami jak szczypce raka. Albo jak końcówka rogalika. Beatrice oddychała gwałtownie.

Florin powiększył zdjęcie na swoim komputerze. W ten sposób widać było znacznie więcej szczegółów niż na małym wyświetlaczu komórki. Jakaś gazeta, częściowo przesiąknięta krwią. W powiększeniu udało się odczytać nawet datę. Dzisiejsze wydanie.

– Sigart jeszcze żyje.

Trudno było ocenić, czy Florin uznawał to za złą, czy dobrą wiadomość. Nie odwracał wzroku od zdjęcia. Przesuwał je w dół i w górę, w prawo i w lewo i przyglądał się każdemu fragmentowi.

– Drewniany stół, wewnątrz raczej bardzo ciemne. Zdjęcie robione z lampą błyskową. – Wskazał na jaśniejszą plamę na kałuży krwi. – Owner coś podłożył. Wygląda jak biała cerata. Stara się robić wszystko, żeby osiągnąć jak najmocniejszy efekt.

Najmocniejszy efekt osiągnąłby, gdyby fotografia pokazywała również twarz Sigarta. Lecz jak poprzednim razem, tak i teraz kończyła się na jego ramieniu.

Czyżby dlatego, że Sigart zmarł z upływu krwi?

– Możesz powiększyć samą ranę?

Po dokładniejszej analizie tego fragmentu zdjęcia hipoteza Beatrice została obalona. Miejsce odcięcia palca wyglądało świeżo i było zaróżowione, a nie szare.

Dłoń również była blada, a nie pociemniała. Nie miała też wątpliwości, że patrzy na rękę Sigarta – chyba że Owner wprowadził jeszcze jedną ofiarę z podobnymi śladami po poparzeniach.

Florin sięgnął po telefon i polecił Stefanowi jak najszybciej ustalić miejsce logowania się komórki, a potem przesłał zdjęcie do kolegi, doktora Vogta i do Draschego. Powtarzał czynności, które dotychczas wykonywane nie przynosiły efektów.

– Dlaczego nie pokazuje nam jego twarzy? – mruknęła Beatrice.

– Mnie bardziej zastanawia, po co wysyła nam te zdjęcia? Albo nie, inaczej. Dlaczego wysyła je właśnie tobie?

Beatrice usłyszała w głowie odpowiedź, zwielokrotnioną niekończącym się echem.

– Możliwe, że jego zdaniem mamy ze sobą coś wspólnego – wyjaśniła. Poczula ciarki na plecach. – Bo uważa mnie za sprawczynię. W pewien sposób.

Dotąd nie pokazała Florinowi tekstu, który Owner dołączył do MMS-a. Był niczym piętno, które chciała ukryć przed oczyma innych. W końcu wyjęła z torebki komórkę i w myślach powtórzyła otrzymane słowa, zanim wypowiedziała je na głos:

– „Kto konieczności nie pełni rozkazów, / Niebezpieczeństwo sam sobie kupuje”.

Obnażyła ranę, która nigdy się nie zagoiła. Lecz Florin nie zrozumiał.

– Tak napisał? Znowu Goethe?

– Nie. Szekspir¹. Ale to bez znaczenia. Liczy się to, co miał na myśli. A miał na myśli mnie.

Tym razem Florin odwrócił się w jej stronę i ujął jej dłoń w swoje dłonie.

– Miał na myśli ciebie i Evelyn?

– Nic innego nie przychodzi mi do głowy.

William Szekspir, *Troilus i Kresyda*, w: *Dzieła dramatyczne*, tom V. *Tragedie*, tłum. Leon Ulrich, PIW, Warszawa 1973, s. 91. [\[wróć\]](#)

Nie zauważyła nawet, że na dworze zrobiło się ciemno. David jeszcze na niej leży, wtulając usta w zagięcie jej szyi, nuci coś albo mruczy. Czuje wibrowanie na skórze i przez chwilę nie potrafi sobie wyobrazić, że mogłaby chcieć czegokolwiek więcej. „Dziękuję” – mówi w myślach i ma ochotę się śmiać. Albo płakać.

– Beabeabea – szepce David, zsuwa się z niej, ale nie wypuszcza jej z objęć. Przyciąga ją do siebie, wtula w ramiona. – Zostańmy tutaj do końca świata. Tylko ty i ja. Dajmy sobie spokój z tamtym światem. Zbudujemy nasz własny.

Kładzie ramię na jego klatce piersiowej i wdycha jego zapach. Nigdy nie czuła piękniejszego.

– Ale na zawsze to za krótko...

– Masz rację. Piękna i mądra. – David całuje ją po powiekach. Ledwie muska je ustami, a dla niej to za mało. Szuka jego ust, wpija się w nie, tonie.

– Przyniosę coś do picia, ale będę musiał cię puścić – mówi David, kiedy wynurzają się na powierzchnię.

– Śmierć z pragnienia nie jest wyjściem – odpowiada Bea i czule daje mu kuksańca w ramię. Nie spuszcza go z oczu, kiedy wstaje i idzie przez pokój, nagi i piękny – zbyt piękny dla niej. Od zawsze była o tym przekonana. Witała go przyjacielskim pocałunkiem w policzek, zegnała w ten sam sposób, i tylko w marzeniach zastanawiała się, jakby to było. Gdyby... Z nim...

Do wczorajszego wieczoru. Kiedy jego dłoń niespodziewanie znalazła się na jej dłoni. Rozłożyła palce, a on wplótł w nie swoje, nadrywając biało-niebieski papierowy obrus w pizzerii.

– On od miesięcy nie może oderwać od ciebie wzroku, Myszko. – Evelyn weszła za nią do łazienki, cała ona, i robi teraz głupie miny, kiedy poprawia tusz na rzęsach. – Czy ja ci tego nie mówiłam, hm? No pewnie, że mówiłam!

– Mówiłaś, mówiłaś. – Beatrice czuje, że we wnętrzu szaleje z radości i jeśli nie będzie uważać, zaraz zacznie skakać i się wygłupiać jak małe dziecko, które dostało lizaka. – Myślisz, że on tak serio? No wiesz, że to nie jest jakiś kaprys albo coś?

– Dziewczyno, mówimy o Davidzie, a nie o mnie! – Evelyn szerzy zęby w uśmiechu. Mierzwi jej włosy i niemal równocześnie wyjmuje z torebki szczotkę. – On jest nieco zbyt porządny, żeby był ekscytujący. Inaczej miałabyś konkurentkę: mnie. – Wyrzuca kilka ogniście rudych włosów, które zaplątały się w szczotce. – Dobra, księżniczko, odstrzel się dla księcia. Hej, tylko nie okazuj mu wdzięczności, rozumiano? Jeśli już, to on tobie może być wdzięczny. Jesteś złota, nie zapominaj o tym!

– *You're indestructible, always believe in, because you are gold* – nuci Beatrice pod nosem, kiedy David wraca z kuchni. Jak kelner przewiesił przez ramię ręcznik i niesie butelkę taniego wina musującego i dwie szklanki.

– Sorry, bardziej stylowo się nie dało – mówi i podaje jej ładniejszą szklankę. – Mam nadzieję, że dostrzegasz w tym ślad romantyzmu.

O tak. Raj jest słabo przewietrzoną kawalerską klitką ze zlewem pełnym niezmytych naczyń i górą prania w łazience. Ale to bez znaczenia. Bez znaczenia.

Korek długo stara się zachować status quo i się nie poddaje. Kiedy David wreszcie pokonuje jego opór, jedna trzecia zawartości natychmiast opuszcza butelkę. Ale to też bez znaczenia. Przytulają się do siebie i piją wino ze starych szklanek, ze swoich ust i szałowywują je ze swoich ciał.

Potem dzwoni komórka.

– Nie odbieram. – Podsuwa Davidowi pustą szklankę, a on napelnia ją do połowy.

Piją. Telefon dalej dzwoni, pika dokładniej rzecz ujmując, przenikliwym sygnałem draży bolesne dziury w romantycznej atmosferze.

– Niech będzie. – Beatrice zsuwa nogi z łóżka. Gdzie zostawiła torebkę? Tam.

– Dlaczego nie włącza się poczta głosowa?

– Nie używam jej, więc nie działa. Inaczej nigdy bym nie zdążyła odebrać. Poczta włączała się, zanim udawało mi się znaleźć telefon.

Evelyn. O Boże, no tak! Ta durna impreza... Wypadła jej z głowy.

– *Hi*, Eve.

– Hej, Myszko, gdzie utknęłaś?

– Jestem trochę zajęta.

– Za... ach, no tak. Posągowy David. Rozumiem. Długo jeszcze?

– Trudno powiedzieć. – Stoi teraz za nią, odsuwa jej włosy z karku i całuje wrażliwe, odsłonięte miejsca. – Ale raczej długo. Bardzo.

– Czyli co, nie będziesz u Noli? Ja już jestem na miejscu i możesz mi wierzyć, nie wiesz, co tracisz.

Tłumi lubieżne westchnienie.

– Raczej nie.

– Proszę, proszę... to może weź go ze sobą, co? Niech inni ci zazdroszczą.

– W zasadzie całkiem dobry pomysł, ale... – Czy naprawdę musiała powiedzieć to wprost?

Evelyn wzdycha.

– No dobra, wracajcie do łóżka. Nie wiem tylko, jak się stąd wydostanę. Jesteśmy na totalnym zadupiu. Bardzo na ciebie liczyłam.

Jak zawsze. Po raz pierwszy poczuła, że jej euforia jakby słabnie. Bea jest tą z samochodem i prawem jazdy, a Evelyn za długo się pieści z egzaminami. Bo

gdyby zdała, pojawiłyby się pytania, kto może pić, a kto prowadzi.

– Będzie masa ludzi. Ktoś cię na pewno podrzuci.

– Niby tak. – Evelyn chichocze. – Jest takie blond ciacho z brązowymi oczami. Miejmy nadzieję, że mieszka gdzieś w pobliżu.

Rozłączyła się.

– Evelyn? – pyta David. – Twoja współlokatorka o ognistych włosach?

– Ta sama. Wystawiłam ją, nie jest do tego przyzwyczajona.

Z uśmiechem wraca z Davidem do łóżka, w jego ramiona, w miejsce poza czasem i przemijalnością, do raju ukrytego w chaosie.

Cztery godziny później znów odzywa się telefon.

– Słuchaj, Myszko. Nikt mnie nie podrzuci. Część już pojechała, a część zostaje na noc.

Ona również już spała, choć niedługo, najwyżej piętnaście minut. W głowie ma pustkę, nie rozumie, o co chodzi Evelyn.

– Oj, to też zostań, co za problem.

– Odpada. Nie ma miejsca, to raz, chyba że na podłodze. A dwa, to przyczepiło się do mnie dwóch pijanych gości. I są strasznie namolni. Uratujesz mnie?

To chyba żart.

– Sorry, ale jestem zmęczona, piłam alkohol, a...

– A David właśnie się do ciebie dobiera. – Wzdycha. – Zazdroszczę ci. Idiotyczna sytuacja, ale co robić, sama jestem sobie winna. W końcu muszę się wziąć do roboty i zdać to prawko. Co tam. Dawno już nie jechałam na stopa. – Evelyn znów chichocze. – To co, widzimy się rano? Opowiesz mi wszystkie świństwa, jakie wyczyniacie?

Jest o krok od poddania się. Zaraz się ubierze, przejedzie trzydzieści kilometrów po nocy, żeby odebrać przyjaciółkę z imprezy i podrzucić ją do domu. Ale nagle czuje dłonie Davida na plecach, na swojej talii, na pośladkach, między udami...

– Tak. Do zobaczenia rano.

– Tylko nie rób niczego, czego ja bym nie robiła. – Evelyn przesyła jej buziaka i kończy połączenie.

Noc kończy się tuż po siódmej rano. David musi wstać, żeby zdążyć na ósmą do call center, gdzie zarabia na studia medyczne. Wychodzą razem z domu. Oddycha głęboko wiedeńskim powietrzem, wyszukuje po kieszeniach kilka monet, żeby kupić rogaliki na śniadanie. W domu zaparzy kawę. Ma nadzieję, że zostało jeszcze trochę dżemu malinowego, który przysłała jej mama.

– Widzimy się wieczorem? – szepce David, wtulając usta w jej włosy.

Cieszy się, że zapytał. Inaczej ona by musiała. Potakuje i całuje go. Jego słowa ogrzewają jej serce, jeszcze kiedy siedzi w metrze.

Sześć przystanków linią U6. David mieszka w dziewiątej dzielnicy, a ona w szóstej. Czuje jeszcze zapach Davida na dłoniach. Przymyka oczy, uśmiecha się do siebie i wciąga głęboko powietrze. Niewiele brakuje, a minęłaby swój przystanek. W małym punkcie wielkiej sieci piekarni kupuje rogaliki i znów się cieszy, bo trafia na promocję. *You are gold*, chce zaśpiewać na głos, kiedy idzie uliczką Turmgasse. Już blisko.

Evelyn jest w domu i najwyraźniej na nogach. *The Wall* dudni w całej klatce schodowej, a stara pani Heckel, sąsiadka z parteru, krzywo na nią patrzy, kiedy wchodzi do środka.

– Zobaczysz pani, że zadzwonię po policję. Nie możecie robić takiego hałasu! I to tyle godzin! Jak tak można?

– Bardzo przepraszam, to już się nie powtórzy.

Uściskałaby ją, a co, taka jest szczęśliwa. Tego szczęścia nic nie może zepsuć.

Pędzi schodami na trzecie piętro jak na skrzydłach. I mogłaby jeszcze długo tak się wspinać. *The Wall* towarzyszy jej przy każdym kroku. Od kilku tygodni nie wyjmują tej płyty z odtwarzacza. Evelyn i ona znają każdą piosenkę na pamięć. *One of my turns* to jedna z jej ulubionych, choć akurat teraz jej ponury tekst aż śmiesznie nie pasuje do sytuacji.

*Day after day, love turns grey
Like the skin of a dying man.
Night after night, we pretend it's all right
But I have grown older and
You have grown colder and
Nothing is very much fun anymore.*

– Akurat. – Szuka w torebce i wsuwa klucz do zamka. Heckel ma rację, aż tak głośno nie powinno się puszczać muzyki. Całe szczęście, że większość mieszkań w kamienicy wynajmują studenci, więc nikt się nie oburza.

And I can feel one of my turns coming on.

Beatrice śpiewa z płytą. Torebkę z rogalikami trzyma przy twarzy niczym mikrofon.

*I feel cold as a razor blade,
Tight as a tourniquet,*

Dry as funeral drum

Czuje, zanim widzi. Sama jest zaskoczona, dlaczego serce nagle bije jej szybciej. I że coś chce, żeby zawróciła.

Potrząsa głową i zamyka drzwi. Pachnie... tu pachnie...

– Evelyn?

Cisza. Przechodzi przez maleńką kuchnię i chce zapukać do jej pokoju, lecz drzwi są lekko uchylone. Popycha je.

*Run to the bedroom,
In the suitcase on the left
You'll find my favorite axe.
Don't look so frightened
This is just a passing phase,
One of my bad days.*

Evelyn tam nie ma. Ktoś zrobił jej kipsisz i chyba zabił coś na jej łóżku. Krew opryskała ściany i kapie na podłogę, jest wszędzie. Ktoś nie uważał.

To, co zostało zaszlachtowane, leży teraz na łóżku, w pościeli. Nic nie widać, bo wszystko jest czerwone, lecz w niektórych miejscach jaśniej połyskuje.

Coś uderza Beatrice w głowę. Futryna? Dlaczego? Przytrzymuje się jej. Ze świstem nabiera powietrza. Teraz coś uderza ją w lewe kolano. Podłoga. Czerwony rozbryzg jest centymetry od jej twarzy. Nie może odwrócić wzroku. Co będzie, jeśli ruszy w jej stronę? Jeśli podejdzie? Jeśli jej dotknie...?

*Would you like to watch TV?
Or get between the sheets?
Or contemplate the silent freeway?
Would you like something to eat?*

Potrzebuje wszystkich sił, żeby unieść głowę i zmusić się do spojrzenia na łóżko.

*Would you like to learn to fly?
Would'ya?
Would you like to see me try?*

Tak! Coś srebrzystego. Mieni się i błyszczy, ożywione promieniami słońca.

Lakier do paznokci.

Lakier Evelyn.

Lakier do paznokci.

Podłoga jest coraz bliżej. Wszystko się zbliża, szkarłat jest tuż obok. Najpierw croissanty lądują w czerwonej kałuży wielkości dłoni. Szkarłat chwytając papierową torebkę i wpija się w nią. Wydrukowany na niej piekarz dalej się uśmiecha, kiedy czerwień sięga jego ust... oczu...

Dopiero kiedy ktoś chwytając ją za ramiona, orientuje się, że cały czas krzyczy. Ten ktoś odwraca ją do siebie, przyciąga i przytula. Jej wrzaski giną zduszone w przepoconej spranej koszulce. Biję, rzuca się, gryzie i drapie, aż w końcu udaje jej się zobaczyć jego twarz. Holger, mieszka obok. Ciągnie ją, chce zaprowadzić do kuchni.

– BożemójBożemójBoże... – powtarza przerażony.

Chce zamknąć oczy, ale to niemożliwe. Zapomniała o czymś... tylko o czym?

Rogaliki.

Jeden wysunął się z torebki. Ma rożek czerwony od krwi. „Dżem malinowy” – myśli Beatrice i wymiotuje na podłogę w kuchni.

Policjantka, która z nią rozmawia, jest bardzo przyjazna i bardzo się stara, lecz Beatrice widzi w jej oczach odbicie swojego własnego przerażenia. Nienawidzi jej za to. I za to, że każde jej słowo potwierdza coś, co nie miało prawa się zdarzyć.

– Mieszkała pani tutaj z panią Rieger, tak?

„Rriegerrr” – warczy Evelyn w głowie Bei. „Nieustraszona, niezrównana. Tygrrysica!”

– Kiedy widziała ją pani po raz ostatni?

– Wczoraj w południe. Miałyśmy... – przerywa, bo widzi jak dwaj mężczyźni wchodzą do pokoju Evelyn. Dwie anonimowe postaci w białych kombinezonach, z twarzami ukrytymi za jednorazowymi maseczkami.

– To nasi ludzie – wyjaśnia policjantka. – Wspomniała pani, że zamierzałyście coś zrobić, tak?

Iść na imprezę. Ponownie jej ciało reaguje szybciej niż głowa. Zgina się wpół i zanoszą szlochem.

Policjantka jest cierpliwa.

– Spokojnie, proszę się nie spieszyć – mówi.

Słowo po słowie, Beatrice wyrzuca z siebie kolejne strzępy informacji. Podaje na przykład adres Noli, gdzie odbyła się impreza. Orientacyjne godziny

pierwszego i ostatniego telefonu Evelyn.

Mniej więcej w tym momencie Beatrice zaczyna swoją grę w „Co by było, gdyby”. Stanie się ona jej nieodłącznym towarzyszem na najbliższe kilka lat. Gra w „Co by było, gdyby” może trwać godzinami i zawsze kończy się torturą.

„Gdybym tylko po nią pojechała, gdybym pojechała tam z Davidem, gdybym nie zostawiła jej samej, gdybym...”.

– Wezwiemy dla pani pomoc psychologiczną – oznajmia policjantka, kiedy Beatrice po raz kolejny się załamuje.

Dostaje zastrzyk, który kończy grę w „Co by było, gdyby” i przegania z jej głowy krwawe obrazy. Na krótko. Potem wszystko zacznie się od nowa.

Policja rekonstruuje ostatni wieczór Evelyn. Goście Noli zdają szczegółowe relacje z przebiegu imprezy i dość szybko wiadomo, co musiało się stać. Telefon o wpół do czwartej nad ranem, który pijaną miłością Beatrice wyrwał z krótkiego snu, był ostatnim telefonem Evelyn. Nie próbowała ani wzywać taksówki, ani dzwonić do innych znajomych.

– Chciała jechać stopem, tak powiedziała. – Nola szlocha w słuchawkę. – Przecież mogła zostać u mnie... pierwszy autobus do miasta odjeżdża o piątej rano...

Kolejne „Co by było, gdyby” do gry Beatrice. Gdyby tylko Evelyn poczekała... gdyby była ostrożniejsza...

Ale to właśnie ją, ją, ją i tylko ją Evelyn poprosiła o pomoc.

Nie może już znieść obecności Davida, stał się dla niej współwinny. Przestaje jeść, mało śpi. Włóczy się ulicami i spogląda ludziom w twarze. Czy ktoś z nich byłby zdolny do czegoś takiego? Kto? Może właśnie stoi obok niej w metrze? Albo w kolejce do kasy w sklepie. Może to ten młody chłopak po drugiej stronie ulicy, ten, który pcha wózek dziecięcy w niebieskie grochy, albo łysy facet w rozciągniętych spodniach, który czyta gazetę. To oczywiste. Szuka informacji na temat swojej ofiary.

Beatrice zamęcza prowadzących śledztwo telefonami. Policjantka dała jej numer, na wszelki wypadek, gdyby sobie coś przypomniała. Wybiera go przynajmniej trzy razy dziennie. Przekazuje drobiazgi z życia Evelyn, które z jakiegoś powodu nagle wydają się jej niezwykle ważne. Ale przede wszystkim chce wiedzieć. Wiedzieć. Wiedzieć.

Tylko że nikt nie udziela jej informacji. Dowiaduje się wyłącznie tego, co napiszą w gazetach. Że morderstwo Evelyn Rieger jest bardzo podobne do morderstwa sprzed trzech lat, które nigdy nie zostało wyjaśnione. Wtedy również ofiara została zgwałcona, rozcięta i niemal pozbawiona organów wewnętrznych.

Do tego artykułu zawsze ilustrują zdjęciem, które Beatrice zrobiła jej dwa miesiące wcześniej. Piękna, cudowna Evelyn. Anioł o ciemnorudych lokach

i przenikliwie zielonych, mądrych oczach.

Tak bardzo za tobą tęsknię.

Tak bardzo cię przepraszam.

Gdybym tylko wiedziała...

Gdybym zrobiła, o co mnie prosiłaś...

Gdybym tylko...

W czasie pogrzebu stara się zapamiętać twarz każdego obecnego mężczyzny, lecz tłum jest zbyt wielki. Jest też dwójka funkcjonariuszy, ale trzymają się na uboczu i wyglądają na raczej przybitych.

Przyjechali również jej matka i Richard, choć właściwie nie znali Evelyn. Na dwa dni zamknęli gospodę. Beatrice potrafiła docenić ten gest. Opowiedziała im o swojej winie. „Mogłam temu zapobiec, to by było takie proste”.

– Nie wiesz tego, nie mogłaś wiedzieć – protestuje matka. – Winę ponosi tylko człowiek, który dzierżył nóż. To on ją zabił. On i nikt inny.

Słowa matki pocieszają ją ledwie na kilka minut. Potem tracą znaczenie jak zbyt długo żuta guma smak.

Na pogrzeb przybywa również David. Mimo dwudziestu czterech stopni Celsjusza ma na sobie czarny golf. Staje obok i chce ją wesprzeć. Odpycha go.

– Nie jestem niczemu winny – mówi smutno. – Ty też nie.

Nie ma o niczym pojęcia, lecz wydaje się, że jego uczucie względem Beatrice jest szczere. Stara się na niego nie spoglądać, za to katuje się patrzeniem na matkę Evelyn. Chłonie melodię i słowa *Stabat Mater* Rheinbergera i próbuje pozbyć się z ust metalicznego posmaku. Wina smakuje jak ołów.

Przez następnych kilka tygodni czeka. Sprawa znika z gazet, a policja nikogo nie aresztuje. David się poddaje i przestaje zabiegać o ponowne spotkanie. Beatrice rzuca studia. Pewnego dnia pod jej drzwiami staje Richard, żeby wziąć ją z powrotem do Salzburga.

Nie broni się. Do policjantki z Wiednia dzwoni już tylko raz w tygodniu, lecz nie dowiaduje się niczego nowego. Nienawidzi policji. Jakiś czas później – cztery albo pięć miesięcy po śmierci Evelyn – mówi to policjantce:

– Jesteście zgrają nieudaczników i partaczy!

Słyszy, jak kobieta nabiera powietrza. Jest przygotowana na ostrą odpowiedź. A jednak policjantka jest bardzo spokojna.

– Wie pani co? Skoro jest pani taka mądra, to może pani nam pokaże, jak to się robi?

– Z przyjemnością.

Beatrice przerywa połączenie, lecz zrodzony w tamtej chwili pomysł nie chce jej opuścić. Za każdym razem, kiedy dopuszcza go do siebie, brzemień na jej barkach staje się odrobinę lżejsze. Kiedy po sześciu miesiącach terapii w końcu

podejmuje decyzję, zostaje przyjęta z pocałowaniem ręki.

Jest w trakcie pierwszego roku szkolenia. Z pięcioma kolegami ma służbę w czasie balu na zamku Hohensalzburg. Młody blondyn w smokingu co chwila przechodzi obok i uśmiecha się do niej. Widzi, że się waha.

– W sali balowej jest kilkaset kobiet w eleganckich sukniach, lecz żadna nie wygląda tak pięknie jak pani w mundurze.

Achim Kaspary pracuje niedaleko Salzburga, w tartaku należącym do ojca. Stara się, jest cierpliwy. Nawet w połowie nie jest tak ekscytujący jak David, ale to dobrze – dla niego nie zostawi żadnej przyjaciółki w potrzebie.

Dobry kandydat na męża.

Płomyk podgrzewacza do herbaty stojącego na ławie przed kanapą słabł z każdą chwilą, bo resztką knotu tonęła w płynnym wosku. Beatrice uwolniła dłoń z uścisku Florina i odsunęła włosy z czoła. Przez całą opowieść ani razu jej nie przerwał, lecz czuła, że pod koniec coraz mocniej zaciskał palce. Spojrzała mu w oczy. Spodziewała się zobaczyć w nich litość albo pogardę, lecz na szczęście się myliła.

– Nie sądzisz chyba, że to ten sam człowiek? Morderca Evelyn?

Potrząsnęła głową.

– Nie. Ona padła ofiarą przestępstwa na tle seksualnym. – Boże, skąd ta poprawność? Dlaczego używała tak oględnych słów? Jakby miała nadzieję, że tak będzie źlej... – Została zgwałcona. Waginalnie, analnie i za pomocą różnych przedmiotów. A potem zaszlachtował ją nożem, takim zwykłym, kuchennym, który Evelyn dostała od babci. – Szkarłat. Beatrice zaschło w ustach. – Nikt nigdy nie kwestionował motywów sprawcy. Za to Owner nie przejawia nawet śladu seksualnego zainteresowania ofiarami, niezależnie od tego, czy chodzi o mężczyzn, czy kobiety. Nie znamy motywów, które nim kierują.

Ostatnie słowa wypowiedziała przy akompaniamencie skrzypiec. Dzwonek przypisany do numeru Anneke.

– Potem oddzwonię – zaproponował Florin. – To na pewno nic waż...

– Nie, nie. Odbierz. I tak muszę na chwilę... – Ruchem głowy wskazała na toaletę.

Mimo zamkniętych drzwi słyszała głos Florina, poważny i czuły. Nie rozumiała pojedynczych słów, ale tak było pewnie lepiej. Dwukrotnie się zaśmiał. Przez chwilę Beatrice czuła się zdradzona.

Dopiero kiedy zapanowała cisza, nacisnęła spłuczkę i opuściła swój jasnozielony azyl.

– Jak się czujesz? – Przygotował herbatę. W ciemniejącym szybko naparze unosiły się brązowe liście.

– Nieszczerólnie – wyznała zgodnie z prawdą. – I pewnie nie będzie lepiej,

dopóki nie znajdziemy Sigarta. Wciąż mam przed oczyma jego okaleczoną dłoń.
– Zamilkła. Miała nadzieję, że zrozumiał, dlaczego.

„Zadzwoił do mnie, bo potrzebował pomocy” – wyrzucała sobie. „Brzmi znajomo, prawda?”

– Wracam do domu – powiedziała, spoglądając z żalem na dzbanek świeżej herbaty. – Poszperam w sieci. Mamy nowe współrzędne. Nie chce mi się wierzyć, że nic tam nie ma – dodała.

– Chyba nie chcesz tam jechać teraz sama?

Prychnęła.

– W środku nocy? Mając nadzieję, że po ciemku potknę się o coś, co przeoczyliśmy za dnia? No co ty.

Florin przytulił ją krótko i odprowadził do drzwi. Przez chwilę czuła rozczarowanie, że nawet nie próbował jej zatrzymać.

W mieszkaniu panował zaduch, bo przez cały dzień nikt nie wietrzył. Beatrice z tęsknotą myślała o balkonie i o tym, żeby usiąść tam z komputerem, lecz ilekroć wychodziła na zewnątrz, miała wrażenie, że ktoś ją obserwuje. Oczywiście, że to tylko jej wyobraźnia. Mimo to lepiej czuła się w mieszkaniu, choć kilka razy sprawdziła, czy na pewno dobrze zamknęła drzwi.

Postawiła komputer na stole i na geocaching.com wpisała współrzędne związane z Dalamasso. Żadnego cache'a w promieniu czterech kilometrów. Zalogowała się na konto Liebschera i zaczęła czytać jego komentarze, nie wiedząc jeszcze, czego konkretnie szuka.

Pół godziny później wyłączyła komputer, żeby zamiast wpatrywać się w ekran, wbić wzrok w sufit. Reakcja Melanie Dalamasso była jednoznaczna. Gdyby tylko mogła z nią porozmawiać... pokazać jej wszystkie zdjęcia po kolei...

Życzenie, które się nie spełni. Miała już szansę. Beil zareagował na zdjęcie Nory Papenberg. Ale ją zaprzepaściła. I tylko siebie mogła za to winić. Tylko siebie.

– Wspaniale, naprawdę wspaniale. Wpadła pani jak śliwka w gówno. – Hoffmann nawet nie próbował ukryć satysfakcji. Musiał czatować na nią w drzwiach swojego biura. Siedział teraz w skórzanym fotelu, a ona stała przed nim jak uczennica na dywaniku u dyrektora. – Wpłynęła na panią skarga od Carolin Dalamasso. Ponoć pokazała pani jej córce zdjęcia ofiar. Czy to prawda?

– To był przypadek. Wypadły mi z ręki.

– No co za pech, koleżanko, co za pech. Stan córki pani Carolin znacznie się przez to pogorszył. Lekarze bardzo się o nią boją, a matka jest wściekła. Przed chwilą rozmawiałem z nią przez telefon – przerwał, żeby z dezaprobatą pokręcić głową. – Mój Boże, jak pani mogła coś takiego zrobić? Znęcać się nad niepełnosprawną dziewczyną? Przecież pani też ma dzieci! Czy naprawdę nic pani

nie powstrzyma? Czy wszystkie środki są dozwolone, żeby przykryć brak umiejętności?

Milczała. Cokolwiek by powiedziała, pogorszyłaby tylko swoją sytuację.

– I jakież to wyniki przyniosła ta pani niezdarność? Jakież informacje? Czy ta biedna niepełnosprawna dziewczyna cokolwiek pani powiedziała?

– Nie.

– Nie. – Hoffmann bawił się ołówkiem. – Czy w ogóle pomyślała pani, jak bardzo szkodzi dobremu imieniu policji? Jak bardzo szkodzi wszystkim funkcjonariuszom, którzy trzymają się zasad? Bardzo mnie pani zawiodła. Bardzo. I może być pani pewna, że to nie rozejdzie się po kościach. Poniesie pani konsekwencje. – Czekał, jak zareaguje, ale że milczała, zniecierpliwionym gestem wyprosił ją z gabinetu.

Przy jej własnym biurku siedział Kossar. Uśmiechnął się szeroko, kiedy ją zobaczył, i wskazał na dwie teczki na blacie: jedną żółtą, drugą czerwoną.

– Trochę lektury, Beatrice. Włożyłem sporo pracy, żeby wszystko przygotować. Niestety, część jest tylko po angielsku. Mam nadzieję, że to nie problem?

– Potem porozmawiamy.

– W czerwonej teczce znajdzie pani wszystkie ważne informacje na temat sprawy Raymonda Willera, seryjnego mordercy z Ohio. Najciekawszy jest bodaj wywiad, który przeprowadził z nim mój znajomy z Quantico. Willer wybierał swoje ofiary zupełnie przypadkowo, lecz zostawiał zaszyfrowane wiadomości, żeby policja myślała inaczej. Powiedział, że to była konfrontacja, on sam przeciwko gigantycznemu aparatowi władzy. Był wybitnie inteligentny, miał IQ na poziomie stu czterdziestu siedmiu. Dopadli go dopiero po dwunastym morderstwie.

Beatrice wzruszyła ramionami.

– Owner nie wybiera ofiar przypadkowo.

– Żółta teczka – ciągnął Kossar, jakby nie słyszał, co powiedziała – to sprawa Mike’a Gonzaleza. Zamordował dziewięć osób, żeby im pomóc. Chciał, żeby dostały zbawienia. To akurat częsty motyw. Obłąd religijny – tutaj przypadek w wyborze ofiar jest tylko pozorny. W czasie przesłuchania mówił, że widział światło nad głowami konkretnych osób i od razu wiedział, że są już gotowe wstąpić do Królestwa Niebieskiego. Chciał im pomóc i skrócić ich czas oczekiwania na swoją kolej. A że trochę musieli przy tym pocierpieć, to tylko zyskiem dla nich: chciał im oszczędzić czyśćca...

– W naszej sprawie ofiary nie są przypadkowe! – Dopiero po chwili Beatrice zorientowała się, że krzyczy. Natychmiast pożałowała swojego wybuchu. Utrata kontroli nad sobą to bardzo zła rzecz, bardzo zła. Jednak w ten sposób udało jej się przerwać potok słów, wylewający się z ust Kossara.

– Znali się. Może nie wszyscy, ale Beil na pewno znał Norę Papenberg.

Dalamasso również znała przynajmniej jedną z ofiar. Przykro mi, że na darmo zadał pan sobie tyle trudu.

– Na darmo tylko w wypadku, gdyby miała pani rację. – Kossar nie dał się zdeprymować. – *That's not so certain.*

– *It is.* – Też znała angielski. – *You can bet your fucking glasses on it.*

*

„Wiecie wszystko, a nie znajdujecie nic. Wiecie wszystko, a nie znajdujecie nic”.

„Wiem, że Shinigami to ty” – myślała. „Wiem, że znałeś Liebschera i że razem szukaliście skrytek w plastikowych pojemnikach. Wiem, że zgromadziłeś sporo informacji na mój temat, choć nie mam pojęcia, w którym momencie – czy już po tym, gdy się okazało, że jestem w zespole, który cię szuka? I po co?”

– Może robi to tylko ze względu na ciebie – podsunął Florin, kiedy rozmawiali poprzedniego wieczoru.

Beatrice sprawdzała ten pomysł na wszelkie możliwe sposoby, analizowała wszystkie za i przeciw, aż uznała, że może go porzucić.

Nie, to nie przez nią. Ale rzeczywiście, uczynił ją jedną z aktorek swojego przedstawienia. To do niej przesyła wiadomości. I teraz to ona musi je zrozumieć.

„Coś przeoczyłam” – pomyślała. „Muszę wrócić na sam początek, ale nie mam na to czasu. Nie mam w ręku żadnych mocnych kart”.

Ale dlaczego by nie rzucić okiem na początki Ownera, przynajmniej te, o których Beatrice miała jakąś wiedzę?

Dwudziestego szóstego lutego na scenę wchodzi Shinigami. Rejestruje konto na geocaching.com. Po co? Wygląda na to, że tylko po to, by nawiązać kontakt z Herbertem Liebscherem. Po siedmiu wspólnych znalezieniach strona geocaching.com przestaje go interesować.

Skrytki muszą być częścią rozwiązania. Inaczej te wszystkie zagadki, skróty i współrzędne to byłby czysty idiotyzm.

Cały ten wysiłek tylko przez hobby Liebschera? Jej instynkt protestował jak szalony. To nie tak, to niemożliwe!

Zaczęła wertować swoje notatki, których dotąd zebrała już grubą teczkę. Szukała protokołu z pierwszej rozmowy z Konradem Papenbergiem.

O, proszę. Nora uwielbiała przyrodę. Była wysportowana i chętnie chodziła na wędrowniki. Jednak nie bawiła się w geocaching, jeśli oczywiście wierzyć słowom jej męża. Choć trudno było w nie wątpić, bo po dokładnej analizie zawartości komputera ofiary nie znaleziono żadnej informacji, która mogłaby świadczyć o czymś przeciwnym. Również administrator strony potwierdził słowa

Konrada Papenberga: w spisie użytkowników nie widniała żadna Nora Papenberg. I to było w zasadzie decydujące, bo bez komputera i bez założenia konta geocaching był po prostu niemożliwy.

Coś kazało jej się zatrzymać i skupić na tej myśli. A co, jeśli...

Jeszcze dwukrotnie przeczytała zeznania męża Nory.

Dwa lata małżeństwa, poznali się rok przed ślubem. Komputer Nory miał trzy lata, co przy dzisiejszym tempie postępu czyniło z niego prawie zabytek. Ale mimo to...

Rzut oka na zegarek. Było już za późno, żeby dzwonić do Stefana, ale co tam, pewnie się ucieszy, że to nie jego była żona. Wybrała najpierw numer jego komórki, potem telefonu stacjonarnego, lecz za każdym razem włączał się automat zgłoszeniowy i prosił o pozostawienie wiadomości.

Cholera jasna. Zapisała wszystkie pytania na kartce, żeby nie stracić żadnego z nocnych pomysłów.

„To, że nic nie znaleźliśmy, nie znaczy, że nie ma nic do znalezienia” – pomyślała, odkładając ołówek. „Znacznie bardziej prawdopodobne jest to, że szukaliśmy nie tego, co trzeba”.

– Hasła, nicki i loginy ze wszystkich forów, na których się udzielała. Przygotuj mi, proszę, pełną listę.

Niesforny kosmyk rudych włosów na jego prawej skroni sterczał w bok pod dziwnym kątem, jakby Stefan dopiero co wstał z łóżka. Był nieogolony, co zdawało się potwierdzać tezę o długim śnie, lecz oczy miał całkowicie trzeźwe i uważne.

– Papenberg, tak? Pewnie, zaraz się tym zajmę.

– To przy okazji sprawdź też Beila i Estermanna. Siegart i Dalamasso nie mają komputerów, więc ich na razie sobie daruj. Chociaż z Dalamasso lepiej będzie się upewnić, czy na pewno nie ma. – Spróbowała poprawić mu fryzurę, lecz włosy Stefana dzielnie stawiały opór jej staraniom. – Hej, mam nadzieję, że nie obudziłam cię wczoraj w nocy?

Szeroki uśmiech i potrząśnięcie głową.

– Nie. Wyłączyłem dzwonek w telefonie. Nie było mnie w domu.

Aha.

– Zdradzisz, jak ma na imię?

Jego lewy kącik ust powędrował jeszcze trochę w górę, a zaraz po nim prawy.

– Obawiam się, że na razie muszą ci wystarczyć nicki Nory Papenberg.

Całe biuro miała dla siebie. Florin prowadził kolejną serię przesłuchań. Zgłosił się pewien świadek, który przypomniał sobie, że dwa tygodnie wcześniej,

późnym wieczorem, jakaś czerwona honda civic parkowała przy Wallersee.

Samochód Nory Papenberg. Czy pojechała na miejsce z Ownerem, żeby umieścić na drzewie pojemnik z głową Liebschera? Nora alias NoPap1, Norissima. radishes_are_red.

Ostatni nick sprawił, że Beatrice się wyprostowała i z wrażenia uniosła brwi. Kto wpada na pomysł, by nazywać się rzodkiewką?

FrankaC, Wishfulthinker28.

Nora Papenberg korzystała z tych wszystkich nicków, logując się na różnych forach, a przynajmniej te na razie udało się ustalić. Stefan przypuszczał, że to nie koniec.

– Ale już pięć to naprawdę dużo. Człowiek zaczyna się gubić i mylić – powiedział.

I miał dużo racji, o czym Beatrice przekonała się chwilę później, zachodząc w głowę, jaki nick wybrała do rejestracji na stronie geocaching.com. Dopiero po jakimś czasie przypomniała sobie o pluszowej sowie Jakoba. Elvira Druga.

Zalogowała się na stronie i wybrała zakładkę „Znajdź użytkownika”. Zero trafień NoPap1 i Norissima. Jedna FrankaC, lecz dziewczyna żyła i miała się całkiem dobrze, przynajmniej wnosząc z tego, że ostatnią skrytkę znalazła dwa dni wcześniej. Jej profil na geocaching.com był kompletny, wzbogacony zdjęciami przedstawiającymi miejsca, do których dotarła, szukając cache’y: większość z okolic Hanoweru, gdzie mieszkała.

Wishfulthinker28. Szukaj. Beatrice zacisnęła kciuki. Bingo.

Profil właściwie pozbawiony informacji i zdjęć – może nigdy ich nie było, a może ktoś je usunął. Za to z całą pewnością istniał ktoś, kto posługiwał się takim nickiem. Sto trzydzieści trzy uśmiechnięte emotikony. Sto trzydzieści trzy poszukiwania zwieńczone sukcesem.

Mając przecucie, że trafiła na sekretne drzwi, Beatrice kliknęła listę znalezionych skrytek, ułożonych chronologicznie od ostatniej daty ukrycia.

Użytkowniczka Wishfulthinker28 prowadziła poszukiwania na obrzeżach jeziora Mondsee. Wpis był przekreślony na czerwono, co oznaczało, że *cache* został zarchiwizowany – jak większość ze stu trzydziestu trzech skrytek znalezionych przez tę użytkowniczkę.

„No dobra” – pomyślała Beatrice. „W takim razie przyjmijmy, że to na pewno konto należące do Nory Papenberg. Większość skrytek jest w okolicach Salzburga, więc miejsce się zgadza. A pięć lat temu nie znała jeszcze męża... oczywiście! Musiała nosić inne nazwisko!”

Stefan odebrał po kilku sekundach.

– Nazwisko panińskie Nory Papenberg to Winter, o ile dobrze zapamiętałam. Zapytaj administratora, czy konto Wishfulthinker28 zostało zarejestrowane przez jakąś Norę Winter.

Beatrice czytała ostatni wpis, odruchowo krążąc wokół niego kursorem.

„Piękne widoki, na pewno jeszcze tu wrócę. Oryginalna skrytka, mimo to szybko sobie poradziłam. Świetna zabawa! TFTC!”

Jej komentarz nie brzmiał jak pożegnanie, ani nawet jakby traciła chęć do kontynuowania zabawy w geocaching. Okej, są setki powodów, dla których ktoś zrywa z dotychczasowym hobby – nowy chłopak, nowa praca, ciąża albo choroba. Jednak policjantka nie potrafiła uwierzyć, żeby to przez któryś z nich...

Wiedziona impulsem otworzyła profil Herberta Liebschera i zaczęła przesuwając listę jego komentarzy, by trafić na ten sam czas, kiedy Nora zamieściła swój ostatni wpis. Zaczynała dostrzegać jakąś prawidłowość.

I miała rację! Znalazła coś wspólnego! Nie, na razie nic konkretnego, ale mimo wszystko ślad, bardzo obiecujący ślad.

Ostatni komentarz Nory Papenberg pochodził z trzeciego lipca. Herbert Liebscher między szóstym a ósmym lipca tego samego roku przebywał w Wiedniu, gdzie znalazł osiemnaście skrytek – a potem nagle przerwał zabawę. Na półtora roku. Papenberg zerwała z geocachingiem na zawsze.

To nie przypadek, mowy nie ma! To ten sam impuls!

Beatrice wydrukowała obie listy i porównała logi. Owszem, niektóre się powtarzały, jednak szukając w tych samych okolicach musieli trafić na te same skrytki. Jednak żadne z nich, w żadnym komentarzu nie wspominało o sobie nawzajem. Pojemniki, które pojawiały się na listach DescartesHL i Wishfulthinker28, były odnajdywane w odstępach sięgających miesięcy czy nawet lat i nic nie wskazywało na to, by tych dwoje się znało.

– Trafiony, zatopiony. – Krótco przed południem w jej biurze pojawił się Stefan. Wciąż miał świetny humor i udało mu się nawet poskromić krnąbrny kosmyk włosów na skroni. – Konto Wishfulthinker28 zostało założone przez niejaką Norę Winter i powiązane z adresem mejlowym z austriackim rozszerzeniem. Właśnie przyszło potwierdzenie. – Położył na jej biurku wydruk. Potrząsnął przy tym delikatnie głową, jakby chciał przepędzić jakąś irytującą myśl. – Myślisz, że ten człowiek celowo morduje geocacherów?

– Za wcześnie, żeby wyciągać takie wnioski. Ale mam do ciebie jeszcze jedną prośbę. Zadzwoń do Caroline Dalamasso i zapytaj, czy jej córka bawiła się w geocaching, kiedy jeszcze...

Przerwała. No oczywiście! Coraz więcej fragmentów układanki trafiało na swoje miejsca.

– Kiedy jeszcze była zdrowa? Pewnie, zaraz zadzwonię. Coś jeszcze?

Daty.

– Sorry, Stefan, muszę szybko coś sprawdzić.

Melanie Dalamasso. Załamanie. Tak, oczywiście. Te same wakacje. Dokładnie dwanaście dni po tym, jak Nora Papenberg znalazła ostatnią skrytkę.

*

Cztery filiżanki kawy później Beatrice nie miała pewności, czy dręczący ją niepokój ma swoje źródło w kofeinie, czy też rzeczywiście znalazła się o krok od punktu, który z Florinem określali jako ostatni obrót kalejdoskopu. Jeszcze jeden szczegół, jedna informacja i z pozornego chaosu wyłoni się sensowny obraz. Beatrice czuła, że ten moment się zbliża, zawsze tak było. Chciała już wiedzieć i jednocześnie się bała, bo zazwyczaj ten ostatni obraz był naprawdę paskudny.

O dziesiątej wieczorem spakowała torebkę. Popołudnie nie przyniosło przełomu. Jeśli już, to regres. Podczas gdy ustalenie konta, jakim na geocaching.com posługiwała się Nora Papenberg, poszło gładko, to w wypadku Christoha Beila i Rudolfa Estermana wszystkie wysiłki spełzły na niczym.

Beil udzielał się tylko na kilku forach internetowych, lecz nigdy nie ukrywał swojej tożsamości. Po sprawdzeniu wszystkich kombinacji imienia i nazwiska – bo tak tworzył swoje nicki – żadna z nich nie pojawiała się na geocaching.com.

Podobnie jak podane przez żonę przezwisko.

Za to Rudolf Estermann wydawał się korzystać z komputera jedynie w celach zawodowych. Historia wyszukiwarki wypływała mieszaninę stron aptek, drogerii i salonów kosmetycznych.

Rudo, zdrobnienie, którego używała jego żona, również nie dało żadnych wyników, nawet kiedy Stefan próbował różnych kombinacji. Beatrice czuła zmęczenie. Bała się, że przez brak skupienia przeoczy coś ważnego.

Zapięła pas bezpieczeństwa i wsunęła kluczyk do stacyjki, a wtedy odezwała się jej komórka.

– Jutro zabieram dzieci do siebie – oznajmił Achim na powitanie. – Co ty sobie właściwie myślisz, co? Jak długo chcesz skazywać je na tułaczkę, bo nie pasują do twojego stylu życia?

Dobra wola, którą okazywał podczas ostatniego spotkania, ulotniła się gdzieś bez śladu.

– Przede wszystkim nie skazuję ich na tułaczkę. Prowadzę śledztwo w najtrudniejszej sprawie, z jaką kiedykolwiek miałam do czynienia. Zwykle jest przecież inaczej. – Westchnęła. – Zwykle wszystko się układa. Teraz to stan wyjątkowy. Myślałam, że to zrozumiałeś.

Kiedy znów się odezwał, jego głos był głuchy i pozbawiony intonacji, ale za to nie aż tak lodowaty.

– To wszystko jest nie tak, Bea, wszystko jest źle. Ja, Jakob i Mina moglibyśmy stworzyć wspaniałą rodzinę. Wiem to, Bea. I to bez stanów wyjątkowych. Jedyne, co stoi nam na przeszkodzie, to twój egoizm.

Boli, bo trafił w sedno?

– Jesteś nie fair. – Zamknęła oczy. – Dobrze. Odbierz jutro dzieci. Dam mamie znać. Za dwa dni przyjadę porozmawiać o wszystkim. Możliwe, że do tego czasu sytuacja się uspokoi.

Parsknął, jakby naprawdę go rozbawiła.

– Jakby kiedykolwiek była spokojna. Kogo chcesz okłamywać, Bea? Mnie? Opuść sobie. Mnie już nie nabierzesz.

Wpół do jedenastej. Wzięła prysznic, gorąca woda, zimna i znów gorąca, lecz tępe rwanie w całym ciele nie chciało ustąpić.

Dziś żadnego Internetu więcej. Położyła się naga na łóżku. Czowała pod plecami chłodną pościel. Tęskniła za dziećmi i za tym, żeby spały w pokoju obok.

Pod sufitem falowało coś niewyraźnie. Pajęczyna? Rano musi wziąć miotłę i ją sprzątnąć. To musi być wspaniałe uczucie, w końcu załatwić coś prosto i bez komplikacji, jednym ruchem miotły...

Ze snu wyrwał ją sygnał komórki. Omal nie dostała zawału... coś musiało się stać...

– Co jest? Obudziłem wielką panią komisarz? – mówił bardzo niewyraźnie.

– Achim, jeszcze raz i gwarantuję, że cię pozwę!

– Mam to gdzieś. Rozmawiałem z matką i...

Beatrice przerwała rozmowę i odłożyła telefon na łóżku obok siebie. W świetle lampki nocnej, której wcześniej nie zgasiła, przyjrzała się swoim drżącym dłoniom.

Pal diabli. Jutro weźmie urlop na żądanie i sama odbierze dzieci ze szkoły. Koniec ze stanami wyjątkowymi. Tak dalej się po prostu nie da...

Serce waliło jej zbyt szybko i zbyt mocno. Pieprzona kawa. Spojrzenie na zegarek – dopiero wpół do pierwszej, Bogu dzięki. Przewróciła się na bok, zwinęła i po samą szyję otuliła kołdrą. Zamknęła oczy. Regularny oddech spowolni serce, tylko musi się na tym skupić i nie dopuszczać innych myśli, bo to znów zaangażuje jej mózg.

Jednak w ciemności pod przymkniętymi powiekami pojawiła się Melanie Dalamasso, jak krzyczy i usiłuje rozbić głowę o framugę.

Nie. Koniec!

Ale Dalamasso nie chciała zostawić jej w spokoju. To ona była Rozdartą. Dlaczego więc w miejscu wyliczonych współrzędnych niczego nie znaleźli? Czyżby znowu mieli dotrzeć na arenę, na której spektakl dopiero ma się odbyć? Czy Owner planował porzucić zwłoki Dalamasso przy drodze krajowej?

Beatrice przewróciła się na drugi bok. „Spokój” – zganiała się w myślach.

U Dalamasso pojawił się atak choroby. Liebscher przez półtora roku nie dotknął nawigacji GPS. Papenberg nigdy nie wróciła do geocachingu. Przełomy.

Małe i duże, w tym samym okresie.

Ale nie tego samego dnia.

Beatrice się poddała. Sen odsunął się daleko, jak woda od wybrzeża w czasie odpływu. Włożyła bieliznę i koszulkę z krótkim rękawem, w kuchni naląła sobie szklankę wody i włączyła komputer.

Matowa zieleń, kolor, w jakim utrzymana była domena geocaching.com, rozświetlała mrok salonu. Nie wiedząc jeszcze, czego konkretnie szuka, otworzyła profil Nory Papenberg. Część użytkowników w polu „Lokalizacja” podawała nazwę swojego miasta. Wishfulthinker28 i DescartesHL zostawili to miejsce puste.

Postanowiła przejrzeć wszystkie sto trzydzieści trzy wpisy, jeden po drugim, od najnowszych do najstarszych. Może trafi na jakiś ślad spotkania z Shinigami albo choćby wzmiankę o kimś, z kim bywała w terenie. O Beilu na przykład.

„Zabawnie ukryty pojemnik, gratki!” – pisała, komentując kolejne znalezisko. „Prawie się poddałam, ale w ostatniej chwili mnie oświeciło i zobaczyłam właściwą drogę. TFTC”.

Wcześniejszy wpis, osiemnasty czerwca.

„Łatwo, ale nie łatwizna. TFTC!”.

I jeszcze jeden z tego samego dnia:

„Skomplikowane, ale daliśmy radę. Juhu! TFTC, Wishfulthinker28”.

Ani słowa, z kim była, że użyła formy „my”. Beatrice otworzyła stronę zarchiwizowanej skrytki i sprawdziła, kto zgłosił jej znalezienie tego samego dnia co Nora. BibiWalz. Użytkownik wciąż był aktywny, a obok nazwy użytkownika, w nawiasach, znajdowała się liczba 1877. W galerii Beatrice znalazła ponad trzydzieści zdjęć i wszystkie je dokładnie obejrzała. BibiWalz była piegowatą krągłą i całkowicie anonimową blondynką. Na wszelki wypadek policjantka zanotowała jej nick.

Kolejny *cache*, piętnastego czerwca. Z komentarza Nory przebijał czysty zachwyty:

„Mój pierwszy *night cache*! Razem z Krabbeltier! Wyekwipowane w czekoladę, chipsy i latarki ruszyliśmy na spotkanie przygody i po nieco ponad godzinie byliśmy u celu! Znaki niezawodnie wskazywały drogę i ani przez chwilę się nie bałyśmy. Gratki dla właściciela! TFTC × 1000!”.

Krabbeltier? Robal? Beatrice odszukała profil użytkownika, lecz brakowało w nim wielu ważnych informacji, jak w profilach Nory i Liebschera. Nieważne. Nick zanotowany.

Kolejny *cache*, tydzień wcześniej.

„Świetny kesz, nie znałam tego kościoła, a jest ekstra! TFTC!”.

Beatrice zrobiła się senna, jednak zignorowała zmęczenie i dalej niestrudzenie przeglądała wpisy Nory, jeden po drugim. W końcu opadła na oparcie, odchyliła głowę i zamrugała, oślepiona lampą.

Nagle, z siłą ciosu boksera przyszło niespodziewane skojarzenie. Światło. Odbicie. Gdzie to było...? Odszukała właściwe miejsce. Tak, to tu. Zachwyt nad cudowną przygodą. Na stronie skrytki znajdowały się nawet fotografie, choć dołączone przez innych użytkowników. „Pokaż galerię dla 25 obrazków”.

Jedno kliknięcie i wszystko jasne. Beatrice zatrzasnęła komputer, włożyła dzinsy i na koszulkę z krótkim rękawem zarzuciła kurtkę. Była już przy drzwiach, kiedy uświadomiła sobie, że zapomniała bardzo ważnej rzeczy – źródła światła.

Jakob dostał na urodziny od Achima latarkę, z diodami LED zamiast żarówki i bateriami, które nie miały się nigdy skończyć. Gdzie on ją położył? Chyba że wziął ze sobą...

Nie, na szczęście jest. Beatrice wsunęła ją do torebki i w biegu złapała komórkę.

Dopiero w samochodzie uświadomiła sobie, że o tej porze dodzwoni się jedynie do centrali na numer alarmowy. Ale może to i lepiej? Nie miała nawet pewności, że jej hipoteza się obroni.

Bzdura. Czują, że ma rację. „Wiecie wszystko, ale nie znajdujecie nic”. Owner bardzo jasno się wyraził.

Mimo to nie czuła się dobrze z myślą, by w pojedynkę weryfikować prawdziwość swojego pomysłu. Za kolejną samowolną akcją na pewno nikt jej nie pogłaszcze po głowie i nie poklepie po plecach. Wręcz przeciwnie...

Pierwsza czterdzieści trzy nad ranem. Wybrała numer Florina. Przygotowała się na zaspane pytania i dezorientację, lecz nikt nie odbierał ani po drugim, ani trzecim, ani nawet po piątym dzwonku. Zrezygnowała, zanim włączyła się poczta głosowa.

Niech będzie. Nawet lepiej, że śpi. Przecież nie będzie ryzykować, pojedzie jedynie sprawdzić, czy ma rację. Całkiem możliwe, że tylko jej się wydaje.

Nie ujechała pół kilometra, kiedy zadzwoniła jej komórka.

– Co się dzieje?

Najchętniej zanosłaby się histerycznym śmiechem ulgi. Florin miał całkowicie normalny, przytomny głos.

– Obudziłam cię?

– Tak, ale to bez znaczenia. Mów, o co chodzi.

– Jadę do punktu wskazanego przez współrzędne Dalamasso. Coś tam znaleźliśmy, ale nie zwróciliśmy na to uwagi.

– Jedziesz... dokąd?! – Usłyszała, jak sapie. – Ale po co? I dlaczego w środku nocy?

– Bo tylko teraz to ma sens.

Piętnaście minut później podjechała po niego. Uparł się, że też pojedzie, a ona nie miała ochoty oponować.

– Cześć – przywitał się, wsiadając. Nie wystarczyło mu czasu na to, by się

uczesać ani żeby dobrze zapiąć koszulkę polo, za to wziął kaburę z bronią służbową.

– Dzięki, że oddzwoniłeś. Prawdę mówiąc, we dwójkę będzie znacznie różniej.

– Nie ma o czym mówić. Jeszcze lepiej by było, gdyby pojechało nas tam ze dwadzieścia osób. Dlatego powiadomimy centralę, kiedy tylko potwierdzimy, czy masz rację.

– Super. – Włączyła radio. Phil Collins. *In the air tonight*, piosenka z najlepszą partią perkusyjną wszech czasów. Ilekroć Evelyn miała okazję, wybijała ją sztućcami na blacie.

Ograniczenie prędkości. Trzydzieści kilometrów na godzinę. Okrągła naklejka odbłaskowa pośrodku znaku świeciła w świetle latarki Beatrice niczym mały księżyc w pełni.

– *Night cache*. Skrytka nocna. – Policjantka przesunęła snopem światła dookoła. – Tu się zaczyna. Jeśli się nie pomyliłam, gdzieś w pobliżu znajdziemy kolejny odbłask...

– ...a potem kolejny i kolejny? – Florin obracał się powoli dookoła własnej osi, trzymając latarkę na wysokości głowy. – Tam! – Wskazał na drzewo na poboczu, jakieś pięćdziesiąt metrów dalej. Tuż za nim odchodziła wąska ścieżka.

– Nie czekamy do rana – stwierdziła Beatrice, widząc wahanie Florina. – Mamy jeszcze trzy albo cztery godziny ciemności, może wypełnimy *Stage* piąty przed wschodem słońca.

Florin nie odpowiedział. Podszedł do oznaczonego drzewa i dopiero wtedy skinął głową.

– Ty dzwoń do Stefana. Niech przyjedzie, jeśli nie śpi. Ja skontaktuję się z centralą. Będziemy raportować do nich w godzinnych odstępach.

Stefan nie odbierał, więc Beatrice zostawiła mu wiadomość na poczcie głosowej:

– Etap piąty to *night cache*. Idę o zakład, że jeszcze w czymś takim nie brałeś udziału.

Zaparkowali samochód na rozwidleniu, tak żeby było go dobrze widać, i ruszyli. Droga była wąska i wiła się stromym zboczem przez pastwiska i obok gospodarstw. Na drewnianej ścianie szopy Beatrice dostrzegła kolejny odbłask.

– Owner oznacza nimi rozwidlenia – stwierdziła. – Czyli teraz w prawo.

Podążyli drogą wyznaczoną przez naklejki odbłaskowe niczym Jaś i Małgosia za okruchami chleba, coraz dalej od ludzkich siedzib. Kręgi światła rzucone przez ich latarki przesuwwały się po okolicy, wyławiając z mroku szare, brązowe i zielone fragmenty. Niedaleko rozległo się głuche pobrzękiwanie krowiego dzwonka. Beatrice natychmiast pomyślała o miejscu, gdzie znaleziono

ciało Nory Papenberg: na brzuchu, pośród trawy pastwiska, w otoczeniu krów. Czy krowi dzwonek był ostatnim dźwiękiem, jaki słyszała przed śmiercią?

Po chwili mroczna ścieżka zanurzyła się w jeszcze gęstszy mrok lasu. Błysk z zagłębienia w konarze utwierdził ich w przekonaniu, że idą we właściwym kierunku.

Coś przemknęło obok i natychmiast zniknęło w krzakach po lewej stronie. Jakiś ptak uskarżał się wysokimi piskami, że przeszkadzają mu w nocy.

Droga wiodła meandrami ostro pod górę, aż Beatrice pożałowała, że nie pomyślała, by wziąć coś do picia. Gdzieś pośród szumu liści usłyszeli plusk strumienia, lecz żeby go znaleźć, musieliby chyba posuwać się na czworakach między drzewami.

Po godzinie zarządzili przerwę. Florin zadzwonił do centrali i dał znać, że jak dotąd wszystko jest w porządku.

– Tylko dwie kreski – mruknął i zmarszczył czoło. – A jak u ciebie z zasięgiem?

– Nie lepiej. Tutaj nie stawiają tak gęsto masztów.

To samo dotyczyło domów i gospodarstw. Ostatnie zabudowania minęli dwadzieścia minut wcześniej i od tego czasu nie trafili na żadne ślady ludzi. Dobrze, że przynajmniej droga była w przyzwoitym stanie, mimo że bez asfaltu.

Nieco później ponownie trafili na rozwidlenie i przez kilka sekund Beatrice miała wrażenie, że znalazła się pod wodą, głęboko, zbyt głęboko, by samodzielnie wydostać się na powierzchnię. Świecili dookoła, lecz kręgi światła padały ledwie na najbliższe pnie, a las poza nimi dalej tonął w ciemnościach. Wysoko nad ich głowami kołysały się czubki drzew poruszane powiewami nocnego wiatru. Beatrice marzyła. Gdzie był ten cholerny odbłask?! Miała nadzieję, że w prawo, bo tam droga prowadziła po płaskim terenie. Ale oczywiście okazało się, że w lewo, gdzie znów trzeba było się wspinać. Sama w końcu dostrzegła małą naklejkę umieszczoną w kolczastych zaroślach.

Ograniczyli wymianę zdań do niezbędnych uwag i w milczeniu torowali sobie drogę w nieznaną. W ciągu ostatnich kilku minut krajobraz dookoła uległ zmianie: las dalej był mroczny, lecz wyglądał inaczej. Był niższy i nie tak gęsty. Beatrice oświetliła drzewa z boku. Szerniały resztki pni, a między nimi młode świerki i soczysta zieleń. I znów ponura czern.

Coś jej to przypominało. Ćwiczenie na wytrzymałość.

Kpi z ofiar. Wyśmiewa się z policji. Pewnie zostawi im palce Sigarta i wiadomość, w której będzie się rozpisywał, jak brutalne jest życie.

Nieświadomie przyspieszyła kroku. Gwałtownie nabierała powietrza, a serce szybko pompowało krew. Nie chciała się zatrzymać. Florin ją dogonił. Poczowała na sobie jego pytające spojrzenie. Potrząsnęła głową.

Niewiele brakowało, a ominęliby następny odbłask. Wyszli właśnie z lasu.

Niespodziewanie błysnął w ciemności po lewej stronie, umieszczony na płaskim kamieniu.

Cache musi być ukryty pod nim! Beatrice była tego pewna, lecz kiedy go podnieśli, znaleźli tylko jakiegoś robaka i dwa chrabaszczki, które natychmiast uciekły przed światłem. Głośny trzask, jakby uderzenie gałęzią w pień, obwieścił im, że płoszą również większe zwierzęta.

– Moim zdaniem teraz musimy iść tędy.

– Jak to, tędy? Przecież tu nie ma drogi. – Przed nimi łagodnie opadało zbocze porośnięte krzakami i chwastami sięgającymi bioder. – Musielibyśmy mieć maczetę!

– Musimy sobie poradzić bez niej. – Florin spojrział na zegarek i z kieszeni wyjął komórkę. – Cześć, Chris. – Mówił ciszej niż zwykle. – Na razie wszystko okej. Teraz musimy zejść z drogi w las. Za godzinę... halo? Słyszysz mnie? Dobra, za godzinę się odezwę!

Florin ostrożnie wszedł w gęstwiny.

– Chodź, Bea. – Przeszedł pod jakąś gałęzią i wziął ją za rękę. – Kiedyś musiała tędy prowadzić droga.

Jeden krok. Drugi. Trzeci. Posuwali się powoli, bardzo powoli, porośniętym zboczem, aż w pewnej chwili Beatrice zahaczyła nogą o jakiś korzeń i straciła równowagę. Upuściła latarkę i zamachała rękoma, szukając podparcia. W ostatniej chwili trafiła na coś dłonią i natychmiast poczuła piekące ukłucie i ból promieniujący aż do łokcia.

„Drut kolczasty” – pomyślała w pierwszym momencie, lecz na szczęście okazało się, że dotknęła pokrzyw. Florin pomógł jej wstać i wtedy to zobaczyła.

Błyszcząca piątka. Jedną dłonią wskazała kierunek, a drugą zaczęła szukać na ziemi swojej latarki. Cyfra została przymocowana na jakiejś drewnianej konstrukcji i wydawało się, że się kołysze.

– Trzymaj się za mną.

Czy to powiew wiatru wprowadził ją w ruch, czy może ktoś czał się w ciemnościach? Florin wyjął broń i razem zaczęli wsłuchiwać się w ciemność. Wiatr. Szum potoku. Krzyk ptaka dalej niż poprzednio. I delikatne ocieranie, pochodzące najpewniej od kołyszącej się cyfry.

Ruszyli w jej stronę. „Powoli” – przypomniało się Beatrice. „Powoli – owszem, ale nie bezgłośnie” – dodała w myślach. Suche liście i drobne gałązki, którymi usłana była ziemia, zdradzały ich ruchy.

– To tylko wiatr – uznał Florin, kiedy znaleźli się przy drewnianej konstrukcji. Piątka została przymocowana do metalowego, miejscami powgniatanego pojemnika, zawieszona na kawałku pordzewiałego drutu. Beatrice wyjęła z kieszeni parę lateksowych rękawiczek.

„Palce” – pomyślała to samo, co wcześniej. „Dłoni albo stóp. Może oczy”.
Co jeszcze można by zmieścić w małej puszcze?

Ostrożnie zdjęła drucianą pętlę ze sterczącego kawałka drewna. Nie dało się go za to zdjąć z puszek, bo był wokół niej owinięty i starannie przymocowany kilkoma warstwami taśmy izolacyjnej.

– Na nowe to to coś nie wygląda.

– Zdecydowanie nie. – Beatrice zmagala się z wieczkiem puszek. Szarpnęła za nie kilka razy, aż ze zgrzytem się poddało i można było je odkręcić. Zacisnęła zęby i przygotowana na każdą zawartość zajrzała do środka. Z początku nie mogła zrozumieć, co widzi w świetle latarki.

Jasnoniebieska gumka do włosów. Jeden jen. Klucz. Kamień w kształcie serca. Poniżej plastikowy woreczek z pomarańczową zawartością.

– *Logbook*. – Beatrice wcisnęła Florinowi w dłoń swoją latarkę i wyjęła niewielką książeczkę.

Mimo starannego zabezpieczenia papier notatnika nieco zawilgł, lecz na szczęście nie na tyle, by posklejały się kartki.

– Najzwyklejszy kesz – stwierdziła zaskoczona, czytając wpisy z podziękowaniami. – Dlaczego etap piąty jest nagle zupełnie inny niż wszystkie poprzednie?

Kartkowała dalej dziennik znalezień. Skrytka była stara, a pierwsze wpisy pochodziły sprzed mniej więcej sześciu lat.

Wiedziona instynktem przewracała kolejne strony, nie czytając wiadomości od znalazców, aż dotarła do samego końca listy.

W końcu mieli to, czego szukali, czarno na białym. Związek, którego tak długo szukali. Ostatnie podziękowanie zapisane zostało dobrze im znanym charakterem pisma Nory Papenberg.

„12.7.

Dwie godziny marszu w upale i taka skrytka! Ale się opłacało! TFTC, Wishfulthinker28, Siegertyp, GarfieldsLasagne, DescartesHL, AxtimWald”.

– Pięć lat temu, dokładnie dwunastego lipca, wszystkie ofiary Ownera spotkały się właśnie w tym miejscu. – Beatrice mówiła cicho i powoli, starając się pozbiierać rozbiegane myśli. – Po nich nikt już tej skrytki nie znalazł, Nora porzuciła geocaching, a Herbert Liebscher zrobił sobie przerwę i dopiero półtora roku później wrócił do dawnego hobby. A co najciekawsze, Florin, żadne z nich nie odnotowało faktu znalezienia tego cache’a. – Coś musiało się stać, lecz już po tym, jak Nora wpisała podziękowanie do logbooka. Bea uniosła notatnik i przyjrzała się ostatniej stronie. – AxtimWald to musi być Christoph Beil, bo Axt i Beil to synonimy słowa topór.

Czarne drzewa. Zniszczone życia. Beatrice przyjrzała się podpisom. Pięć etapów. Pięć nazwisk.

Jednego brakuje.

Potrząsnęła głową. Czy na pewno wiedziała, co się stało? A może tylko jej się wydawało? Dwunastego lipca, koniecznie musi sprawdzić tę datę, ale to możliwe, nie, to prawdopodobne, że tego dnia miał miejsce pożar lasu.

Pięć ofiar. Pięć nazwisk. Jeden joker w pasjansie.

Słowa z logbooka odbijały się echem w jej głowie, kiedy przesuwiała dookoła snopem światła z latarki. Coś przykuło jej uwagę w miejscu, gdzie zbocze było mniej strome. Zobaczyła regularny kształt, chyba z kamienia.

– Florin, patrz!

Krok za krokiem, ruszyli w tamtą stronę. Beatrice była przekonana, że rozpozna oświetlone miejsce, lecz gdyby Florin nie przytrzymał jej za ramię, potknęłyby się i przewróciła.

Kamienny fundament, częściowo w lesie, częściowo już poza linią drzew. A pośrodku coś w rodzaju kłapy, kwadratowej, wykonanej z metalu. Była nieco odsunięta, w taki sposób, że z boku powstała szpara szeroka na dłoń. Z pomieszczenia poniżej wydostawało się światło, wyraźnie kontrastując z otaczającym ich mrokiem nocy.

Wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Błędem okazało się założenie, że trafią tu tylko na skrytkę z pojemnikiem. Nie byli tu sami, a osoba w oświetlonym pomieszczeniu dawno usłyszała ich nadejście. Florin wyjął pistolet.

– Najwyższy czas wezwać wsparcie. Żadnych ruchów, dopóki nie przyjadą. Poproszę o dwa samochody, może nawet trzy. Nie ma sensu ryzykować – zdecydował.

Cofnęli się w las i schowali w ciemności między drzewami. Komórka z trudem łapała zasięg, lecz na szczęście udało się jej zatelefonować. Wsłuchiwała się w sygnały wołania i własny oddech. Oba dźwięki wydawały jej się znacznie głośniejsze niż zazwyczaj.

– Chris? Coś znaleźliśmy, przyślij nam proszę kilku ludzi. Piwnica, w środku światło. Podejrzewamy, że ktoś tam jest. Nie, na razie nie ma oznak życia.

Podając miejsce, gdzie będą oczekiwali na wsparcie, pomyślała o swoich ostatnich słowach. Na razie nie ma oznak życia. Przypomniała sobie zdjęcia przesłane w MMS-ie, przedstawiające dłoń z odciętymi palcami. Z trudem dotarło do niej zapewnienie dyżurnego, że najpóźniej za dwadzieścia minut przyjadą trzy radiowozy.

– Wiesz chyba, co to za piwnica, prawda? – szepnęła, kiedy się rozłączyła.

– Tak, już skojarzyłem. W lesie dookoła pełno śladów pożaru.

Nieco z boku nad ich głowami świecił sierp księżyca, a bezchmurne niebo zdobiły migoczące gwiazdy. Na tym tle poświata wydobywająca się z piwnicy przed nimi wydawała się słaba i żółtawa. Beatrice nie spuszczała wzroku z wejścia, czekając, aż nagle zrobi się jaśniej, kiedy ktoś otworzy kłapę, a potem znów

ciemniej, gdy ktoś wychodząc, zasłoni sobą otwór. Na razie panował bezruch.

Minuty ciągnęły się w nieskończoność. Wszystko w niej wręcz rwało się do przodu. Chciała zakraść się w pobliże, otworzyć klapę i zejść do środka. Jeśli to była kryjówka Ownera, trafią wreszcie na Sigarta.

Przez myśl o rannym weterynarzu jej cierpliwość została wystawiona na jeszcze cięższą próbę. Florin złapał ją za kostkę, zanim się zorientowała, że wysuwa się z krzaków. Bez słowa wciągnął ją z powrotem w mrok i objął ramieniem.

– Tym razem żadnej samowoli, okej?

– Ale jeśli tam na dole czeka Sigart?

– To te pięć minut nie robi mu wielkiej różnicy.

Wsunęła dłoń do kieszeni i poczuła pod palcami puszkę ze skrytki, zamkniętą w plastikowym woreczku na dowody. Zawartość pojemnika rzuciła nowe światło na dotychczasowe wydarzenia, lecz nie wyjaśniała, co naprawdę się zdarzyło. Zamknęła oczy i odliczała minuty. Czyżby usłyszała jęk? Wiatr przyniósł słaby, niemalże niesłyszalny dźwięk... choć może tylko jej się zdawało.

Kiedy na drodze powyżej parkowały radiowozy, Beatrice klęczała już przy klapie do piwnicy. Ledwie usłyszała szum zbliżających się samochodów, wyskoczyła z ukrycia i głucha na ostrzeżenia Florina popędziła do kłapy.

Co właściwie słyszała? Jakiś głos? Oddech?

Przysunęła ucho do szpary i zdjęta przerażeniem odruchowo odskoczyła, kiedy poczuła zapach wydobywający się z ukrytego pomieszczenia.

Natychmiast wróciło wspomnienie pokoju Evelyn i woni krwi. Tutaj na dodatek mieszała się z fetorem rozkładającego się ciała. Beatrice przysiadła, odetchnęła głęboko i przepędziła niechciane wspomnienia. I szkarłatne obrazy.

Zboczem w ich stronę schodziły niewyraźne postaci uzbrojone w mocne latarki. Słyszała ciche wskazówki, stłumione głosy.

W końcu obok niej pojawił się Florin.

– Najwyższy czas sprawdzić, co jest w środku.

Nie dotarli jeszcze do połowy schodów, a Beatrice już zaczęła przeklinać się w myślach za czas zmarnowany na niepotrzebne czekanie.

Na ziemi leżał Sigart i cały się trząsał. Okaleczoną dłoń przyciskał prawą ręką do piersi i bezgłośnie poruszał ustami.

– Wezwijcie karetkę! – Florin zwrócił się do jednego z przybyłych funkcjonariuszy.

Beatrice przyklękła przy Sigarcie. Z boku na jego szyi dostrzegła ślad po cięciu, lecz nie martwiła się nim przesadnie, bo rana dobrze się goiła. Nie zwracała też uwagi na potworny smród bijący od skulonej postaci. Mimowolnie rozejrzała

się po pomieszczeniu – pod sufitem wisiała pętla. Z boku drewniany stół, który znała ze zdjęć od Ownera. Na ścianie piła mechaniczna. Skupiła się tylko na Sigarcie i położyła mu dłoń na czole. Drgnął i spróbował się odsunąć, jakby jej dotyk poraził go prądem. Potem znieruchomiał, jęknął i spróbował coś powiedzieć.

„Muszę go uspokoić. I wyjaśnić, że później będziemy rozmawiać” – pomyślała Beatrice. Lecz ciekawość okazała się silniejsza. Nachyliła się, wstrzymała oddech i przysunęła ucho do jego ust.

– Błagam... – wyszeptał. – Nie... tylko... nie... kolejny... błagam...

Zawstydzona wstała z kolan.

– Co powiedział? – zapytał Florin.

– Nic, co mogłoby nam pomóc. Prosi, żeby nie obcinać mu więcej palców.

*

Gdy wreszcie przyjechała karetka, lekarz ocenił stan Sigarta i stwierdził silne odwodnienie oraz mocny stan zapalny okaleczonej kończyny.

– Wygląda na to, że od dwóch dni niczego nie pił. Jeśli nie dojdzie do wstrząsu septycznego, ma duże szanse na wyzdrowienie.

Dopiero kiedy Sigart odjechał do szpitala, mieli czas, żeby dokładnie obejrzeć wnętrze piwnicy. Mniej więcej dwadzieścia metrów kwadratowych. Drewniany stół i trzy krzesła. Po drugiej stronie Beatrice natrafiła na urządzenie wielkości drukarki laserowej. Dopiero kiedy obok znalazła kilka plastikowych torebek, zorientowała się, że Owner wykorzystywał tę maszynę do hermetycznego zamykania części zwłok. W narożniku, niemal ginąc pod stosem starych zakrwawionych bandaży, stała para czerwonych damskich szpilek.

Drasche przybył na miejsce, kiedy już świtało. Bez słowa zabrał się do pracy. Nie zagadywali go, żeby nie rozpraszać. On ich też nie, rozumiejąc, że muszą dokładnie obejrzeć miejsce, gdzie zginęli Liebscher, Beil i Estermann. Na niewielkiej metalowej butelce znajdowała się naklejka z napisem HF. Kwas fluorowodorowy.

Blat drewnianego stołu znaczyły liczne nacięcia i rdzawobrazowe plamy. Beatrice znalazła miejsce, z którego Owner robił zdjęcia, żeby wysłać je na jej telefon. Na szczęście patrzyła teraz na pusty stół, bez odciętych palców i okaleczonych członków.

Pętla pod sufitem przypomniła jej o dwóch bruzdach na szyi Christopa Beila.

Zatem tutaj to miało miejsce.

Drasche zabezpieczył również metalowy *cache* i wziął go do analizy, lecz Beatrice zdążyła zapamiętać wszystkie osoby wymienione w ostatnim wpisie.

Wishfulthinker28. Siegertyp. GarfieldsLasagne. DescartesHL. AxtimWald. Pięcioro znalazców.

Myśl, że oto trafiła na najważniejszą bodaj lukę w ciągu przyczynowo-skutkowym, nie wywoływała już tak intensywnej reakcji jak za pierwszym razem, kiedy przeczytała ostatni wpis. Wtedy poczuła lodowate zimno paraliżujące jej kręgosłup. Wciąż czuła się nieswojo, ale już nie aż tak. Myśl jednak wciąż tam była, gotowa, by się przypomnieć. Czekwała na swoją kolej w słabo strzeżonej celi muru zbudowanego ze wspomnień i przemyśleń, który dzień po dniu wznosiła wokół tej sprawy.

Lekarze w szpitalu byli bardzo optymistyczni. Oczyszczili i opatrzyli rany Sigarta, a jego organizm świetnie reagował na antybiotyki, które mu zaordynowano. Zaniepokojeni byli natomiast jego stanem psychicznym, który ocenili jako poważny. Mężczyzna okresowo przestał reagować na bodźce z otoczenia, przejawiał objawy głębokiej depresji i apatii.

– Musicie uzbroić się w cierpliwość – wyjaśnił lekarz prowadzący.

Chcąc nie chcąc, Beatrice skupiła się na poszukiwaniu informacji w Internecie. Całkiem niedawno Stefan jej wyjaśnił, że raz założone konto na stronie geocaching.com pozostaje tam już na zawsze, bo nie da się go skasować. W ten sposób policjantka bez trudu znalazła profile osób wpisanych do logbooka z etapu piątego. Siegertyp – Typ Zwycięzcy. Ten nick należał najpewniej do Estermanna, choć brzmieniem przypominał najbardziej nazwisko Sigart. Nie, to na pewno nie on. Liczba cache'y znalezionych przez Siegertypa sięgała dwóch tysięcy stu czterdziestu czterech, a to Estermann miał być kluczową postacią z ponad dwoma tysiącami punktów. Zatem to musiał być on. Przy dorobku Estermanna czterysta dwadzieścia trzy skrytki Christoph'a Beila wyglądały nader skromnie. GarfieldsLasagne – czy Dalamasso miała dość poczucia humoru, żeby nazwać się na cześć grubego kota, bohatera popularnych kreskówek, i jego ulubionej potrawy? Właścicielka profilu zebrała ledwie dwadzieścia cztery punkty. Z analizy logów przy konkretnych skrytkach wynikało, że wszystkie znalazła do spółki z AxtimWaldem.

„Byli parą” – pomyślała Beatrice. Christoph i Melanie. Spotkali się w Mozarteum, pewnie na próbie jego chóru.

Mężczyzna, który mógłby być jej ojcem. Tak powiedziała Carolin Dalamasso. W dodatku żonaty. Nic więc dziwnego, że Melanie nie chciała przedstawić go rodzinie. Albo nie mogła.

Była jedyną osobą, której nic się nie stało. Beatrice nie potrafiła sobie wyobrazić, by Owner miał to tak zostawić, lecz jak dotąd obstawa nie zauważyła niczego niepokojącego.

– Ślady krwi należącej do Liebschera, Beila, Sigarta i Estermana. Nieliczne ślady krwi Papenberg. Piła została wykorzystana do poćwiartowania zwłok Herberta Liebschera, a na uchwytach zabezpieczyliśmy odciski palców Nory Papenberg. Zabezpieczyliśmy również urządzenie do pakowania próżniowego. Znalezione woreczki są identyczne z tymi, w których otrzymywaliśmy części ciała Liebschera. – Drasche stał za swoim krzesłem w sali odpraw i przemawiał, trzymając dłonie na oparciu, jakby nie był w stanie utrzymać się na nogach. – To pozwala nam stwierdzić, że wszystkie zbrodnie zostały popełnione właśnie w tej piwnicy. I tyle. Ustalenie pozostałych faktów należy do was. Macie wszystko, czego potrzebujecie.

– To znaczy, że Owner porwał Sigarta i przetrzymywał go w piwnicy domu, w którym spłonęła jego rodzina? – Hoffmann spojrzął na Florina.

– Tak jest, właśnie tam.

– Wyjątkowo perfidna forma sadyzmu? – Tym razem zwrócił się do Kossara.

– Również byłbym skłonny do takiej interpretacji. – Biegły wolał wyrażać się bardzo oględnie, bo miał świadomość, że jego teoria przypadkowego doboru ofiar runęła jak domek z kart. Beatrice zauważyła to nie bez odrobiny złośliwej satysfakcji.

– Za tym przemawiałby również fakt, że Sigart dłużej od pozostałych został przy życiu. W przekonaniu sprawcy wszyscy mieli związek z tamtym pożarem: piątka geocacherów, która tego samego dnia przeczesuje las w tamtych okolicach, i Sigart, który wszem wobec ogłaszał, że ponosi winę za śmierć swojej rodziny.

Hoffmann potaknął.

– To by mogło znaczyć, że mamy do czynienia z kimś, kto również został poszkodowany w wyniku tamtego pożaru. Choć nie wiemy jeszcze, w jaki sposób. – Przesunął wzrokiem po twarzach zebranych, celowo omijając Beatrice. W końcu zatrzymał się na Florinie. – Florian, proszę się skontaktować z kolegami z wydziału podpaleń, dobrze?

I nie czekając na potwierdzenie, uderzył dłońmi o blat stołu i obwieścił zakończenie odprawy:

– Dobrze. Mam nadzieję, że teraz szybko się z tym uwiniecie.

Pierwszym funkcjonariuszem, z którym Sigart zamienił kilka słów, był Florin. W czasie porannych odwiedzin trafił na właściwy moment i udało mu się nawiązać pięciominutową rozmowę, choć w obecności dwóch lekarzy, którzy czuwaliby gotowi, by go wyrzucić, gdyby uznali, że nadmiernie obciąża pacjenta.

– Zapytałem go o Ownera, ale twierdzi, że go nie zna. Opisał go tak, jak potrafił. Rysopis zgadza się z tym, który dostaliśmy od kelnera z hotelu. Łysy, broda, średniej budowy ciała. Nie był pewny, jaki ma kolor oczu. Niebieski albo

zielony. Mówi właściwie bez lokalnych naleciałości i ma normalny głos. Ani na chwilę nie zdjął rękawiczek. To wszystko, czego się dowiedziałem przez te pięć minut.

Florin nawet nie próbował ukryć rozczarowania. Gdyby Sigart znał swego oprawcę i potrafił podać jego nazwisko lub imię, szybko zamknęliby sprawę. Marzenie Hoffmanna.

– Gdybym była mężczyzną – zaczęła Beatrice powoli – i chciała się zmienić nie do poznania, ale bez pomocy peruki czy sztucznych zębów, zapuściłabym brodę i zgoliła włosy. Każdy, kto by mnie widział, zapamiętałby mnie jako łysego brodacza, choć na co dzień mogłabym chodzić z twarzą gładką jak pupa niemowlęcia i staranną fryzurą.

Florin uśmiechnął się delikatnie.

– Hoffmann byłby zachwycony, gdybyś zapuściła brodę. Nie bądź baba, Kaspary.

Zanieśli się śmiechem. Potrzebowali tego.

– Ale masz rację – potaknął w końcu. – Ten opis nam się nie przyda. Sprawca nie zamierza nam niczego ułatwiać.

Przysiadła na łóżku Sigarta i czekała, aż się obudzi. Od trzech dni przebywał w szpitalu. Lekarze orzekli, że jego stan jest stabilny. Nie mieli nic przeciwko temu, by złożyła mu wizytę, lecz akurat teraz spał podłączony do kroplówki podającej mu nieprzerwanie elektrolity wprost do żyły. Na ten widok Beatrice poczuła coś, co już wcześniej za nią chodziło – jakby zaczynała coś rozumieć. Czekala. Fragmenty kolorowego szkła w kalejdoskopie potrzebowały jeszcze chwili, żeby wskoczyć na swoje miejsca.

Sigart się poruszył. Zadrżały mu powieki, a po chwili otworzył oczy. Przechylił głowę i zobaczył ją, a Beatrice miała pewność, że natychmiast przypomniał sobie, kim jest.

– Bardzo się cieszę, że pan żyje – powiedziała.

Nie uśmiechnął się. Patrzył na nią nieobecny wzrokiem.

– Może pan mówić?

Wzruszenie ramionami i zaraz po nim bolesny grymas twarzy. Odchrząknął. Czyżby lekko skinął głową?

Beatrice uznała, że tak to zinterpretuje.

– To bardzo dobrze. Nie chcę pana przeciążać, ale mam w tej chwili straszny mętlik w głowie. Bardzo mi przykro, że nie zdążyliśmy przyjechać do pana na czas i przeszkodzić w porwaniu. Spieszyliśmy się, ale sprawca działał zaskakująco szybko.

Sigart ponownie zamknął oczy. Oddychał ciężiej. Wspomnienia tamtych wydarzeń nie poprawiały jego stanu.

– Chodzi tylko o to – ciągnęła Beatrice – że chciałabym wiedzieć, dlaczego zlekceważył pan nasze ostrzeżenia? Zaproponowaliśmy panu policyjną ochronę, ale pan odmówił. Prosił, żeby był pan ostrożny i nikomu nie otwierał, a pan mimo to wpuścił sprawcę do środka. Drzwi do pana mieszkania nie były uszkodzone.

Przerwała, żeby dać mu czas na zastanowienie się nad odpowiedzią. Nie otworzył oczu, za to po kilku sekundach odwrócił głowę, żeby nie leżeć twarzą do policjantki.

– Dlatego podejrzewamy, że musiał pan znać sprawcę – ciągnęła. – Ustaliliśmy jeszcze całą listę takich poszlak, które pozwalają nam założyć, że tak właśnie jest. A jednak na pytanie kolegi Wenningera odparł pan, że nie znał tego człowieka.

Sigart leżał nieruchomo. Beatrice czuła coraz większe zniecierpliwienie, więc w myślach policzyła do pięciu. Dała czas sobie i jemu. Oddech. Sigart nie pachniał już krwią, ekskrementami i moczem. W sali unosiła się woń środków dezynfekcyjnych.

– Skoro go pan nie znał, dlaczego otworzył mu pan drzwi? Nie potrafię tego zrozumieć.

Czyżby znowu usnął? A może po prostu nie chciał odpowiedzieć na trudne pytanie? Beatrice jeszcze raz spróbowała nawiązać z nim kontakt, lecz Sigart nie reagował.

Ostatnim kontaktem ze strony Ownera był MMS z obciętym środkowym palcem Sigarta. Cały teren wokół piwnicy, w której się ukrywał, został gruntownie przeszukany, w tym również przez policjantów z psami, lecz niczego nie znaleziono. Drasche nie mógł opanować nerwów, kiedy mówił o śladach zabezpieczonych w piwnicy.

– Mamy odciski palców wszystkich ofiar, ale brak choćby fragmentu odcisku palca sprawcy! Musiał przez cały czas nosić rękawiczki.

Przynajmniej to pokrywało się ze słowami Sigarta.

Pogrążona w myślach raz jeszcze zaczęła przeglądać wszystkie informacje przesłane przez Ownera. „Powoli”. „Zimno, bardzo zimno”.

Czyżby jego nagłe milczenie miało coś wspólnego z Dalamasso? Czyżby wpadł we frustrację, bo nie mógł się nawet do niej zbliżyć?

„Nie” – pomyślała. „To nie to. Mógł ją przecież porwać, jeszcze zanim trafiliśmy na jej ślad. Tak, jak postąpił z Estermannem”.

Melanie. Numer telefonu do Carolin Dalamasso Beatrice miała zapisany w komórce. Wiedziała, że jeśli nie zrobi tego od razu, później nie znajdzie już dość odwagi.

– Dalamasso, słucham.

– Dobry wieczór, Beatrice Kaspari, LKA.

Głębokie westchnienie.

– Tak?

Krótkie pytanie przepełnione niechęcią. Na szczęście nie rzuciła słuchawką.

– Chciałam tylko przeprosić. Nie zachowałam się w porządku. Jak się czuje Malenie?

– Melanie... nieco lepiej. Cały czas próbuje się okaleczać i prawie nie śpi. Pomagają jej tylko silne barbiturany.

– Bardzo mi przykro.

Cisza w słuchawce.

– Czy to wszystko? – zapytała w końcu Carolin Dalamasso. Krótko, zwięźle i lodowatym tonem. Chciała usłyszeć: „tak”.

– Nie, jeśli mam być szczerą. Chciałabym zapytać o coś jeszcze. – Milczenie po drugiej stronie uznała za zgodę na kontynuowanie rozmowy. – Czy Melanie wcześniej na cokolwiek reagowała w podobny sposób? Czy określone sytuacje albo osoby wywoływały w niej reakcje podobne do tych, jak na moje zdjęcia?

Spodziewała się, że Carolin Dalamasso będzie chciała ją zbyć, albo nawet w ogóle nie udzieli jej odpowiedzi, ale na szczęście się pomyliła.

– Dzieci.

– Słucham?

– Kilkakrotnie zareagowała tak gwałtownie na dzieci, szczególnie bardzo głośne i rozkrzyczane. Ale tylko w pierwszym roku po kryzysie. Później jej reakcje się uspokoiły. – Carolin Dalamasso westchnęła. – Kiedy chodziła do szkoły, było kilkoro uczniów, którzy strasznie ją dręczyli. Dziś nazwałaby to pani mobbingiem. Lekarze wytłumaczyli nam, że to mogło być powodem reakcji na głośne dzieci.

– Rozumiem... – „Tak, chyba rozumiem, ale zupełnie inaczej, niż pani przypuszcza” – dodała w myślach. – Bardzo pani dziękuję. Mam nadzieję, że Melanie szybko wróci do zdrowia. Nasi ludzie nadal będą jej pilnować.

– Wiem. Czy to wszystko?

– Tak. I jeszcze raz dziękuję. Do usły... – Nie zdążyła dokończyć. W słuchawce rozległ się tylko sygnał. Carolin Dalamasso się rozłączyła.

Podejrzenie, które Beatrice nosiła w sobie przez całą noc i kolejny dzień, nie miało jasnego uzasadnienia i było zbyt ogólne, by podzielić się nim z pozostałymi. Florina, który zapytał o powód jej małomówności, spławiła jakimś banalnym wyjaśnieniem i wróciła do swoich rozważań.

Kilkakrotnie łapała się na tym, że siedzi przy biurku i wpatruje się w blat. Ktoś, kto zobaczyłby ją w takim stanie, musiałby uznać, że nic nie robi, lecz ona cały czas działała. W jej głowie bezustannie obracał się kalejdoskop, w którym znalazły się nowe kolorowe szkiełka.

Drasche i jego zaskoczenie stanem piwnicy. Milczenie Ownera. Igła od wenflonu.

Różne stopnie trudności kolejnych zagadek.

Potrząsnęła głową. No właśnie, zagadki. Po co w ogóle zagadki?

I jeszcze te aluzje do Evelyn, które, Bogiem a prawdą, znacznie wcześniej powinna była pojąć.

– Kawy? – Florin stał koło ekspresu i pokazywał jej dwie filiżanki.

Miała ochotę zakląć. Nienawidziła, kiedy ktoś wyrywał ją z zamyślenia.

– Tak, poproszę. Mocną.

Policjant wybrał odpowiednie przyciski.

– Kiedy wreszcie zdradzisz, o czym tak intensywnie myślisz?

– Jak będę miała pewność, że to nie bzdury.

– Niech ci będzie. – Wiedziała, że to mu nie wystarczy. – Chociaż pewnie wiesz, że moim zdaniem nowe pomysły lepiej omawiać w szerszym gronie. Albo przynajmniej w cztery oczy.

– Spokojnie, jeszcze cię to czeka. Jak tylko będę gotowa. – Trudno, najwyżej uzna, że jest przemądrzała. Niektóre myśli i koncepcje były tak delikatne, że nie dało się ubrać ich w słowa, nie niszcząc struktury. – Daj mi jeszcze kilka godzin, okej?

I znów zobaczyła przed sobą igłę sterczącą z przedramienia Sigarta. Trudno to sobie wyobrazić. „Skoro Pani tak na nim zależy, zachowam go na sam koniec, specjalnie dla Pani”.

„Koniec. To już całkiem niedaleko” – pomyślała.

Wcześniej niż zwykle wyszła z biura, bo uważne spojrzenia Florina nie pozwalały jej się skupić. Ledwie znalazła na dworze, straciła wrażenie, że drepce w kółko. Dziś wieczorem dzieci znów były w gospodzie, bo Achimowi zdarzyła się kolacja z ważnym klientem. No ale to oczywiście w porządku, teraz nie oburzało go oddawanie dzieci babci. On przecież wszystko robi dobrze i nie popełnia błędów. Najważniejsze, że trafiły do jej matki i że dobrze się tam czują.

Tym razem Jakob uczepił się jej jak małpka gałęzi.

– Chcę już do domu – mrucał. – Zabierzesz nas dzisiaj?

Niedługo. W przyszłym tygodniu. Jutro. Przytuliła synka i ukryła twarz w jego włosach.

– Już prawie skończyliśmy. Zawrzyjmy układ, co? Albo złapiemy tego złoczyńcę w trzy dni, albo powiem Florinowi, że dalej musi szukać go sam, okej? Będę zajmowała się tylko jakimiś drobiazgami i codziennie odbierała was ze szkoły.

– Słowo?

– Słowo. – Myśl, że miałyby zrezygnować z doprowadzenia do końca

sprawy, w którą od samego początku zaangażowała się całą sobą, była ciosem w jej dumę i ambicję. Jednak wiedziała, że nie może już dłużej obciążać w ten sposób dzieci.

– Bosko! – Jakob rzucił się biegiem za bar, żeby dobrą wiadomością podzielić się z babcią. Beatrice przytuliła Minę.

– Tak bardzo się cieszę, że znów będę mogła spędzać z wami więcej czasu – powiedziała.

Córka potaknęła bez słowa.

Wieczór spędzili, jedząc i grając w karty w gospodzie. Beatrice robiła, co mogła, żeby przegrywać w makao, opychała się pieczenią z rusztu z cebulką i ze zdziwieniem musiała przyznać, że od dawna nie była tak głodna. Richard podał jej własnoręcznie skomponowany wybór deserów, które pochłonęła do ostatniego okruszka.

– Trzy dni? – upewnił się Jakob, kiedy niosła go do łóżka.

– Trzy dni i ani jednego więcej.

W drodze do domu przekonywała się usilnie, że to nie wstyd ani hańba zrobić krok wstecz. Jej obowiązki mógł przejąć Stefan, cedując swoje na Bechnera. A ona zajęłaby się robotą Bechnera. Czyli wszystkim, co od początku traktowała jako rutynowe formalności.

Na samą myśl o tym miała ochotę się roześmiać, lecz nie zdążyła, bo rozdzwoniła się jej komórka.

– Sigart zniknął. – Florin mówił zachrypniętym głosem. – Sprawdzimy szpital, bo teoretycznie istnieje możliwość, że sam odłączył się od kroplówki i wyszedł na spacer, ale od dwóch godzin nikt go nie widział.

Beatrice poczuła ucisk w żołądku. Kalejdoskop znów się obrócił.

– Dzięki za info. Jestem w pobliżu Theodebertstrasse, więc podskoczę i sprawdzę, czy nie pojawił się w mieszkaniu.

– Świetnie. Informuj mnie na bieżąco.

Beatrice spojrzała na zegarek. Zbliżała się dwudziesta druga. Postanowiła zostawić samochód na parkingu naprzeciwko centrali autobusowej i resztę drogi pokonać piechotą.

W oknach mieszkania numer trzystaście nie paliło się światło. Stała przy wejściu i przypomniała sobie ślady krwi, które znaleźli, kiedy byli tu ostatnio. AB minus, rzadka i cenna grupa. Pomyślała o igle.

Obok przejechał jakiś samochód i na chwilę omiół ją światłem reflektorów. Poczula się dziwnie bezbronna, lecz sekundę później zobaczyła coś jeszcze, co przyciągnęło jej uwagę.

Czerwona honda civic, naprzeciwko. Krzywo zaparkowana.

Dość popularna marka, nie mogła się dziwić na widok każdego auta tego

modelu. Ale mimo wszystko ciekawy zbieg okoliczności. Beatrice przeszła na drugą stronę ulicy i szybkim krokiem ruszyła w stronę samochodu. Kiedy się zbliżyła, poczuła wielkie rozczarowanie. Pudło. Węgierskie tablice rejestracyjne. Żeby mieć całkowitą pewność, nachyliła się do okna od strony pasażera. Słaba poświata ulicznych latarni pozwoliła jej dostrzec dwie puste, zgniecione butelki po wodzie, gazetę i... torebkę.

Zmrużyła oczy, żeby lepiej widzieć. A jednak. To oczywiście żaden dowód, bo musiałyby się najpierw włamać do środka i...

– Wspaniale, byłem właśnie w drodze do pani.

Nie zdążyła się odwrócić, żeby zobaczyć, kto do niej mówi. Uderzenie w szyję, ostry, piekący ból i świat nagle zaczął wirować, by po chwili pograżyć się w ciemności.

Uderzenia po całym ciele. Nogi, plecy, tyłek. Jak przez mgłę. Tylko nie w głowę. Potem znów pustka.

Wynurzenie. Czas przestał płynąć. Otworzyć oczy... nie da rady. Ciemność. Odpływa.

Oddychała powoli i ciężko. To było pierwszą rzeczą, jaką sobie uświadomiła po odzyskaniu świadomości. Poczła nawet delikatną radość, że jeszcze żyje. Próbowała sobie przypomnieć, co się wydarzyło, zrozumieć wszystko, lecz myśli wymykały się jej jak mydło z mokrych dłoni.

Przynajmniej jej ciało reagowało. Poruszyła palcami u stóp i zakasłała. Chciała dotknąć czoła, lecz nie mogła unieść dłoni. Wreszcie otworzyła oczy.

Znała to miejsce. Skąd? Nie podobało jej się to, lecz wiedziała, że już wcześniej tu była. Z... z tym mężczyzną. Nie, nie, z innym. Z Florinem.

Jego imię podziałało jak hasło do pamięci. Głowę Beatrice zalała nagła kaskada wspomnień, jeszcze niepokładanych, jeszcze chaotycznych... Z trudem przełknęła ślinę i celowo starała się nie widzieć pokrytego plamami drewnianego stołu tuż przed sobą. Znów spróbowała unieść dłonie.

Jedyne, co osiągnęła, to tępy ból w ramionach. Uświadomiła sobie, że jest związana i natychmiast przed oczyma stanął jej obraz martwej kobiety na pastwisku, ze spętanymi nadgarstkami. Tylko nie mogła przypomnieć sobie jej nazwiska... Wszystko było rozmyte i niewyraźne, jakby pływała w brudnej wodzie. Wiedziała jedynie, że siedzi. Na krześle. A ręce ma... z tyłu.

Nora Papenberg. W końcu sobie przypomniała. No właśnie. Tak się nazywała.

Zamknęła oczy, próbując uporządkować chaos w głowie. Z dobrze zamkniętego miejsca gdzieś w jej podświadomości zaczął wydostawać się ból, jakby tylko czekał na taki moment. Wczepił się w plecy. Objął biodra. I nadgarstki.

Beatrice napięła mięśnie ramion. Dało się wytrzymać. Niewysoka cena za odzyskanie zdolności logicznego myślenia. Zaczęła nasłuchiwać.

Nie była tu sama. Gdzieś zza niej dobiegły ciche kroki. Szelest. Gdyby tylko była w stanie odwrócić się choć trochę, mogłaby go zobaczyć. Ale na konfrontację była jeszcze za słaba, jeszcze musiałyby dojść do siebie. Pytanie tylko, czy da jej tyle czasu?

– Dobry wieczór – usłyszała jego głos. Cichy i uprzejmy.

Miała rację.

– Dobry wieczór. – Czekwała. Myślała, że Sigart minie ją i usiądzie przy stole naprzeciwko, lecz on się nie ruszał. Nie słyszała jego kroków na kamiennej posadzce.

Spróbowała sobie przypomnieć, co znajduje się za jej plecami. Pętla zwisająca z sufitu. Buty Nory Papenberg, czerwone jak obraz w atelier Florina i jak krew na podłodze pokoju Evelyn. Stos opatrunków usztywnionych zakrzepłą krwią.

Nie, oczywiście, że nie. To wszystko zabrał Drasche do laboratorium.

Nie było również piły. Został tylko stół i krzesła, miejscami obsypane proszkiem daktyloskopijnym. Za to na ziemi, tuż przy schodach, leżało coś nowego: torba lekarska, którą Beatrice zauważyła na przednim siedzeniu hondy civic.

– Jak się pani czuje? – Sigart zadawał pytania jak chirurg, który rozmawia z niedawno operowaną pacjentką.

Beatrice zdecydowała, że w odpowiednim momencie rzuci się na niego. Wystarczyło, żeby na chwilę uwolnił ją z więzów, bo fizycznie był w znacznie gorszym stanie niż ona. Nie mógł używać lewej ręki.

– Nie jest najgorzej – odparła. – Kręci mi się w głowie. I mam chyba poobijane biodra.

– To by się zgadzało, ale nic na to nie poradzę. – W końcu stanął z boku, tak że mogła go zobaczyć. Wciąż był jeszcze blady, lecz trzymał się prosto, znacznie pewniej, niż kiedy widziała go wcześniej, jeszcze przed porwaniem. Biały opatrunek na jego lewej dłoni sięgał łokcia. – Nie byłem w stanie znieść pani po schodach, więc zostało mi ciągnięcie. Obawiam się, że bez siniaków się nie obeszło.

– Niestety. – Czy był na środkach przeciwbólowych? Najprawdopodobniej. – Za to pan czuje się chyba znacznie lepiej niż ostatnio? Kiedy zobaczyłam pana w szpitalu, pomyślałam, że... – Pomyślała dokładnie to, co miała pomyśleć. Beatrice nie dokończyła ostatniego zdania.

Sigart obszedł stół, odsunął jedno z krzeseł i usiadł. W zdrowej, prawej ręce, trzymał pistolet. Odłożył go naznaczony nacięciami blat, lufą w stronę policjantki.

– Cieszę się, że w końcu mamy szansę porozmawiać w cztery oczy.

Jej głowa wciąż pulsowała otępiająco. Co jej wstrzyknął? I czego od niej chciał?

Jestem jego publicznością. Tak twierdził Kossar. „Miejmy nadzieję, że chociaż w tym punkcie się nie pomylił” – pomyślała.

– Pewnie liczy pan na to, że jestem zaskoczona – powiedziała. – Niestety, muszę pana rozczarować.

Nie odwróciła wzroku, kiedy patrzył jej w oczy, choć dopiero teraz poczuła, jak lodowate palce strachu oplatają jej szyję. Bez względu na to, jakiego środka użył, żeby pozbawić ją przytomności, specyfik przestawał działać.

Skinął głową.

– Od kiedy pani wie?

– Od wizyty w szpitalu. Zakładaliśmy, że przy takiej utracie krwi nie powinien pan już żyć. Gdyby był pan lekarzem, a nie weterynarzem, pewnie szybciej dodałabym dwa do dwóch. – Na jego ustach pojawił się cień uśmiechu.

– Ale przecież jako weterynarz doskonale pan wie, jak pobierać krew, jak ją przechowywać i ile trzeba było wylać, żebyśmy wyciągnęli odpowiednie wnioski. Odpowiednie, czyli błędne. Czego pan użył, żeby na klatce schodowej zostawić ślady wleczenia? Worka z piaskiem?

– Mniej więcej.

– Kiedy odwiedziliśmy pana w mieszkaniu, był pan chorobliwie blady. Za to w szpitalu wyglądał pan już znacznie zdrowiej. Więcej krwi w żyłach niż kilkanaście dni wcześniej. A ślady na ścianach? Ścisnął pan torebkę do przechowywania zapasów krwi?

– Dokładnie tak. Gratuluję.

Coś w tonie jego głosu budziło w niej niepokój, lecz mimo to mówiła dalej:

– Również doskonale zna się pan na znieczuleniach miejscowych, ba, pewnie znacznie lepiej niż większość chirurgów w szpitalach, bo oni korzystają z pomocy anestezjologów. Mimo to nie potrafię sobie wyobrazić, jak pan się przemógł, żeby obciąć sobie palce?

Uniósł obandażowaną dłoń, spojrział na nią i z powrotem oparł na blacie.

– Miałem przed oczyma właśnie tę chwilę. To wystarczyło. Proszę mi powiedzieć, ile pani z tego wszystkiego zrozumiała.

Beatrice się zastanowiła.

– Wie pan o Evelyn i uważa pan, że coś nas łączy, mianowicie poczucie winy z powodu błędnych wyborów. Tak przy okazji, skąd znał pan te wszystkie szczegóły?

– Pani brat to prawdziwa gaduła. Nie może pani tego wiedzieć, ale z żoną często bywaliśmy w gospodzie Mooserhof. Śledziliśmy w gazetach sprawę morderstwa Evelyn Rieger, a od Richarda dowiedzieliśmy się, że byliście

przyjaciółkami. Wystarczyło o coś zapytać, a on otwierał się przed nami jak przed przyjaciółmi. Pokazał mi kiedyś nawet zdjęcia z pogrzebu tej dziewczyny. Pani mieszkała jeszcze wtedy w Wiedniu i usiłowała się pozbierać, a pani brat twierdził, że nie ma na to szans. Wielokrotnie rozmawialiśmy wtedy z żoną o poczuciu winy. – Spuścił wzrok i spojrzał na pozostałe dwa palce lewej dłoni. – Wtedy uważałem tak samo jak większość: winny jest ten, kto świadomie zrobił coś złego. Miriam uważała inaczej. Twierdziła, że winna nigdy nie leży po jednej stronie.

Sigart się zamyślił, jakby szukał w pamięci wspomnienia głosu zmarłej żony.

– Dopiero po jej śmierci dotarło do mnie, że miała rację. Dźwigałem na barkach brzmie winy. Mój błędny wybór i poprzestawiane priorytety... Dobrze pani wie, jak to jest, prawda? Dlatego postanowiłem, że to pani poprowadzi moją sprawę.

– Jak to: pan postanowił?

– Upewniłem się, że Norę Papenberg znajdą akurat wtedy, kiedy pani będzie miała służbę. To dało jej dodatkowy dzień życia.

Dodatkowy dzień strachu, bólu, przerażenia i fałszywej nadziei. Miała nadzieję, że jej również da tyle czasu. Florin prosił, żeby informowała go na bieżąco. Po jakim czasie spodziewał się jej telefonu? Po godzinie? Po dwóch? Może wcześniej? Na pewno poruszył już niebo i ziemię, żeby ją znaleźć.

Zmieniła pozycję, starając się wyczuć, czy ma jeszcze komórkę w kieszeni marynarki. W ten sposób łatwo dałoby się ustalić jej pozycję i trasę, jaką się poruszała.

Kieszeń była pusta. Może zgubiła telefon, kiedy Sigart ścigał ją ze schodów? Albo gdzieś w lesie, kiedy włókł ją od auta do piwnicy? To była najlepsza opcja, o jakiej mogła pomarzyć, bo na pewno jej już nie znajdzie...

I wtedy ją dostrzegła. Na jednej z kilku cegieł, które ktoś zostawił w narożniku piwnicy. Leżała obok nokii N8 Nory Papenberg, razem z wyjętymi akumulatorami.

Sigart odwrócił głowę i podążył za jej wzrokiem.

– A tak, niestety, jest pani czasowo niedostępna – powiedział. – Na szczęście jeszcze z Theodebertstrasse wysłała pani współpracownikowi SMS-a, żeby się nie martwił: „Padam z nóg, jadę się położyć. Do jutra”. Dzięki temu powinniśmy mieć trochę czasu dla siebie.

Najchętniej zaczęłaby krzyczeć, choć nie wiedziała, czy to ze złości, strachu czy tylko po to, żeby we własnym krzyku znaleźć zapomnienie. Nie zrobiła tego. Przygryzła dolną wargę, aż poczuła ból. „Padam z nóg, jadę się położyć”. Ale ani słowa o tym, czy zastała Sigarta, czy nie. Może Florin zwróci na to uwagę? Jeśli uznał, że to dziwne, próbował się pewnie dodzwonić, ale musiała włączać się poczta głosowa. Za każdym razem. Czy samo „padam z nóg” było wystarczającą przesłanką, żeby usnąć jego czujność? Może coś wzbudzi jego podejrzliwość?

Może podjedzie do jej mieszkania, by się upewnić?

Nie miała pojęcia, jak się zachowa.

– Jednak to nie oznacza – ciągnął Sigart – że mamy nieograniczony czas. Wcześniej zapytałem, jak pani myśli, co się właściwie stało, ale nie otrzymałem odpowiedzi. Proszę, niechże się pani skupi. – Zdrową dłońią chwycił pistolet i uniósł go, jakby trzymał zabawkę. Lufa celowała w ścianę, potem w Beatrice, zatrzymała się, i znów powędrowała dalej. W końcu Sigart odłożył broń i zmarszczył czoło, jakby sam nie wiedział, co z nią począć.

– Stracił pan rodzinę w pożarze lasu – wyjaśniła policjantka pośpiesznie. – To było dokładnie tutaj. Jesteśmy w piwnicy domu, który wynajął pan na rodzinne wakacje.

– Zgadza się. – Pokiwał głową.

– W czasie pożaru nie było pana na miejscu. Wyjechał pan w sprawach zawodowych i dlatego przypisuje pan sobie winę za tę tragedię. Ale najwyraźniej nie tylko sobie.

– Znów prawidłowa odpowiedź. – Pozostałymi dwoma palcami lewej dłoni przesunął wzdłuż głębokiego nacięcia w blacie stołu. – Z początku było zupełnie inaczej. Wtedy jeszcze myślałem, że to tylko i wyłącznie moja wina, moja i niczyja inna. Potem... no właśnie, Beatrice, co wydarzyło się potem?

Przypomniała sobie blaszany pojemnik. TFTC.

– Potem trafił pan na skrytkę i dowiedział się pan, że tego samego dnia, którego wybuchł pożar, w pobliżu domu bawiło się pięcioro młodych ludzi.

– Żeby tylko to! Proszę myśleć dalej, przecież już mówiłem, że macie wszystkie wiadomości. Niech się pani zastanowi i wyciągnie właściwe wnioski. Proszę mnie nie rozczarować!

Policjantka zaczęła się zastanawiać.

– I... w pojemniku był klucz. Nie jakiś klucz... tylko klucz do drzwi domku?

– No właśnie. Którym zamknęli ich w środku. Wiedziałem, że drzwi były zablokowane od zewnątrz.

Wbrew rozsądkowi Beatrice poczuła, że nie może ot tak, po prostu zaakceptować tego, co usłyszała.

– Ale oni tylko się tu bawili! Nie przeczytał pan wpisu do logbooka? Skąd ma pan pewność, że to akurat oni zamknęli drzwi do domu? Co chcieli w ten sposób osiągnąć?

– Spokojnie, wszystko w swoim czasie. Na razie przyjmijmy, że to jednak oni. – Szybkim, gwałtownym haustem nabrał głęboko powietrza. Ostrożnie przesunął palcami po opatrunku w miejscu, gdzie znajdowały się rany po amputacji. – To chyba oczywiste, że z początku zadawałem sobie dokładnie to samo pytanie. Czysty przypadek? A może jednak istniał jakiś związek? Może mi pani wierzyć, że nie chciałem popełnić błędu. Potem przyjrzałem się ich kontom na

geocaching.com, nick po nicku. Chyba już pani wie, że raz założony profil pozostaje tam na zawsze?

– Czyżby któreś z nich zgłosiło znalezienie skrytki i w komentarzu napisało coś, co ich zdradziło?

Sigart potrząsnął głową.

– Nie. Za to wszyscy pousuwali wiadomości ze swoich profili. Tylko DescartesHL wciąż szukał kolejnych skrytek. Pozostała czwórka po tamtym dniu nie dodała ani jednego komentarza. Wtedy już wiedziałem, że muszą mieć coś wspólnego z pożarem. Potem, w osobistej rozmowie wszyscy się przyznali. Tak, tutaj, przy tym stole. – Sigart zamknął oczy i się skrzywił. – Proszę mi na chwilę wybaczyć.

Z torby lekarskiej wyjął ampułkę z jakimś specyfikiem, napełnił strzykawkę i zaaplikował sobie lek w ramię.

– Ostatnich kilka dni wypełniał mi ból, jak się pani domyśla.

Obserwowała go, jego każdy wyćwiczony ruch. Miała zupełnie sucho w ustach i najchętniej poprosiłaby Sigarta o coś do picia, lecz domyślała się, że nie będzie chciał przerywać finału swojej wielkiej inscenizacji tylko po to, by przynieść jej wodę ze strumienia. A w piwnicy nie dostrzegła niczego do picia.

– Po co mnie pan tu ściągnął? – zapytała cicho, kiedy schował strzykawkę i fiolkę do torby. – Ja też mam zginąć?

Nie odpowiedział od razu. Przekrzywił głowę w zamyśleniu i skrzywił się z żalem.

– Zamierza mnie pan zabić?

– Spokojnie. Akurat pani ma szanse na przeżycie. Okej, może nieszczególnie wielkie szanse, ale zawsze to lepiej niż żadne. Pani współpracownicy są bystrzy? Kojarzą fakty? Jeśli tak, to proszę się nie niepokoić. – Uśmiechnął się. – Trafiła tu pani przede wszystkim po to, żebym mógł pani podziękować. *Thanks for the hunt*, Beatrice. Bardzo dziękuję. Dzięki za polowanie.

– Jest pan bodaj pierwszą osobą, która dziękuje policji za to, że ją ściagała.

To go chyba rozśmieszyło. Spojrzał na nią, przekrzywiając głowę.

– Pani jeszcze nie skojarzyła, prawda? – Nachylił się, jakby chciał zdradzić jej jakąś tajemnicę, której nikt poza nią nie powinien usłyszeć. – Przecież wy nie ścigaliście mnie.

Spojrzał na nią wyczekująco.

Jakaś nowa gra?

– Ścigaliśmy człowieka, który zamordował Norę Papenberg, Herberta Liebschera, Christoha Beila i Rudolfa Estermana – wyjaśniła. – Ostatnią ofiarą miała być Melanie Dalamasso. Wszystko wskazuje na to, że pan jest tym człowiekiem. Ownerem.

– Tak mnie nazwaliście? Pięknie. Najśmieszniejsze, że właściwie niczego

już nie posiadam. – Oparł łokcie na stole, jakby chciał złączyć opuszki palców obu dłoni, lecz w połowie ruchu zorientował się, że to niemożliwe. – Prawdę mówiąc, obstawiałem kryptonim Shinigami. Bardzo starannie wybrałem sobie nick, ale widzi pani, nie wszystko da się zaplanować. – Westchnął, wręcz nieco błogo. – Wy nie ścigaliście mnie. Niechże pani ruszy głową, przecież ma pani wszystkie wskazówki, żeby w końcu to zrozumieć. Dotarliśmy do miejsca, gdzie znajduję skrytkę i jestem o krok od ustalenia, co się wtedy stało i kto jest odpowiedzialny za śmierć moich dzieci i żony. No właśnie, miałem wszystko, co najważniejsze.

– Zgadza się. Wiedział pan, kto tu był.

– Tak jest. – Spojrzał na nią, uśmiechając się jak nauczyciel, który wie, że jego najlepszą uczennicę stać na więcej. Cieszył się na to, co miał usłyszeć.

I wtedy nagle Beatrice zrozumiała i dotarło do niej, za co Sigart jej dziękował. Świadomość tego otworzyła się przed nią niczym bezdenna, czarna otchłań, w którą miała zaraz runąć.

Plastikowe opaski zaciskowe unieruchamiające jej dłonie wrzynały się coraz głębiej w jej skórę, lecz mimo to nie potrafiła przestać się szamotać. Nic to nie dawało.

– Nie, proszę. – Sigart uniósł dłoń, przy której ostały się tylko dwa palce, wyglądające jak szcypce kraba. W ten sposób chciał ją uspokoić. Lecz dopiero ból rozcinanej skóry sprawił, że Beatrice zarzuciła skazane na porażkę próby uwolnienia się.

Sigart pokiwał zadowolony głową.

– Wiedziałem, że to będzie dla pani trudne.

– Robiliśmy dokładnie to, czego pan od nas oczekiwał – wyszeptwała Beatrice. – Miał pan nicki, ale nic poza tym. Potrzebował pan nazwisk, bo pseudonimy nic panu dawały...

Nie skomentował tego w żaden sposób, lecz jego oczy zachęcały ją do dalszego mówienia.

– Rozwiązaliśmy te zagadki dla pana, mając do dyspozycji kilka szczegółów, które udało się panu zgromadzić. Ustaliliśmy ich imiona i nazwiska, żeby pan mógł ich zamordować... Pan nas wykorzystał do przeprowadzenia zemsty. Śledził pan nas, prawda? W ten sposób dowiedział się pan, kogo znaleźliśmy.

Jego mina mówiła sama za siebie. Trafiła w sedno. Ale nie mogli przecież postąpić inaczej! Co mieli zrobić? Przestać pracować nad sprawą? Nie podążać za śladami? Nie ustalać, o kogo chodziło?

Zastanowiła się i trafiła na jedną nieściskość.

– Przynajmniej jedno z nich musiał pan znaleźć bez naszej pomocy. I ten ktoś musiał zdradzić panu informacje o pozostałych. To był Herbert Liebscher, prawda? To on był na tyle głupi, że nie zrezygnował z tej zabawy i wrócił do

geocachingu... To z nim się pan skontaktował?

– Zgadza się. Napisałem do niego wiadomość prywatną na geocaching.com. Descartes, co za idiota. Powiedziałem, że dopiero co założyłem konto i pierwszych skrytek chciałbym poszukać z jakimś starym wyjadaczem. I że obaj jesteśmy z Salzburga, a po jego nicku wnoszę, że mam do czynienia z kimś inteligentnym. Natychmiast połknął haczyk.

A on z cierpliwością godną pozazdroszczenia usypiał jego czujność... przez siedem skrytek.

– Obezwładnił go pan, żeby tu trafił? Czy raczej skorzystał pan z dobrodziejstw farmakologii?

– To drugie. Tak samo jak u pani. Bardzo nie chciałem uszkodzić mu głowy. Zależało mi na jego wspomnieniach z dwunastego lipca. I na nazwiskach.

Kalejdoskop przestał się obracać, a obraz był w końcu kompletny i wyraźny.

– Wtedy się okazało, że to nie koniec problemów, bo Liebscher nie znał pozostałych. – Beatrice zgadywała dalej. – Znał tylko jedną z nich – Norę Papenberg.

Tym razem w spojrzeniu Sigarta można było dostrzec uznanie.

– Brawo. Dokładnie tak było. Liebscher i Papenberg ustalili na którymś ze spotkań geoacherów, że razem będą szukali tej skrytki. Pokonali długą drogę, ale na końcu i tak coś się nie zgadzało i zaczęli wracać z pustymi rękoma. W połowie drogi trafili na kolejną ekipę z nawigacją satelitarną w dłoni. Zawrócili i jeszcze raz poszli szukać skrytki. Mieli mało czasu na wymianę uprzejmości. Spieszyli się. Jeśli padły jakieś imiona, nie pamiętali ich.

Ale Liebscher znał Norę Papenberg, a przynajmniej jej nazwisko panięńskie. Może wiedział też, w której agencji pracuje? Zdradził to Sigartowi, bo się bał... może zresztą krzyczał już z bólu... Sigart mógł sprowadzić do piwnicy Norę. Wymyślił jakiś pretekst, zadzwonił do agencji, w której pracowała, dowiedział się, jak się teraz nazywa, ba, może nawet podali mu numer jej komórki... ta część nie była trudna. Całość mogła mu zająć ze dwadzieścia minut.

Beatrice wciąż miała w głowie zdjęcia z ostatniego firmowego obiadu Nory. Pamiętała jej przerażoną minę. Teraz wiedziała już, co się stało – przez telefon dopadła ją przeszłość.

– Co pan jej powiedział, kiedy pan z nią rozmawiał?

– Że od Herberta Liebschera wiem, co się wydarzyło dwunastego lipca przed pięcioma laty. I że wiem też, jaką odegrała w tym rolę. Zaproponowałem, że za dziesięć tysięcy euro mógłbym milczeć. To bardzo skromna suma za to, żeby mogła dalej wypierać to z pamięci. Ostrzegłem, że jeśli odrzuci moją propozycję, z przyjemnością prześlę dowody jej mężowi i szefowi w pracy. No i oczywiście policji.

– A co ona na to?

– Próbowwała negocjować. Twierdziła, że nie ma tyle pieniędzy i że nie sądzi, żeby istniały jakiegokolwiek dowody, bo przecież niczego wtedy nie zrobiła. Ustaliliśmy miejsce spotkania, a ona przyjechała. – Wzruszył ramionami. – Strasznie się bała, że straci wszystko, co sobie zbudowała. Powiedziałem jej, że doskonale to rozumiem, bo strata byłaby sto razy gorsza, niż sobie wyobraża. A kiedy była już nieprzytomna, zapakowałem ją do auta i przywiozłem tutaj.

Tak po prostu. Beatrice odetchnęła głęboko i poczuła klucie w mięśniach prawego ramienia.

– Tutaj przetrzymywał pan wszystkie swoje ofiary? – zapytała. – Przez cały czas? A potem jechał pan do siebie do mieszkania albo na terapię?

– Lepszego miejsca nie mógłbym znaleźć. Kamienne mury są tak grube, że tłumią każdy krzyk i każde wołanie o pomoc. A nawet gdyby nie, to w te okolice mało kto się zapuszcza. Dawniej stały tu dwa gospodarstwa, ledwie kilkaset metrów od siebie.

– I oba spłonęły. Dwunastego lipca. – Beatrice przypomniała sobie, co przeczytała w aktach tamtej sprawy. Brak ofiar śmiertelnych, ogromne straty materialne. – Nora – ciągnęła dalej. – Zagadki, które znajdowaliśmy, były zapisane jej charakterem pisma.

Sigart wzruszył ramionami.

– Pisała teksty reklamowe. Podobał mi się sposób, w jaki je formułowała. Czytając je, dosłownie czuło się tajemnicę. Poza tym to od niej dowiedziałem się większości rzeczy o pozostałej trójce. Kobiety znacznie lepiej niż mężczyźni zapamiętują szczegóły. Przez dwa dni bardzo intensywnie pracowaliśmy we trójkę. Wkład Liebschera był bardzo ograniczony, za to z powodzeniem wykorzystywałem go, żeby zachęcić Norę do wysiłku.

Beatrice przełknęła.

– To po to obciął mu pan ucho?

– Takie triki bardzo przyspieszają pracę. Nagle Nora przypomniała sobie o znamieniu i mszy Schuberta. Gdy maszeruje się godzinę po lesie, ludzie opowiadają sobie różne głupoty.

Znamię. Utwór, nowy w repertuarze. Luźno rzucona uwaga o nie lubianej pracy. Imię syna. Beatrice spróbowała przypomnieć sobie wszystkie listy, włącznie z tym, który wskazywał na Sigarta. Pechowiec.

– Znaleźć pana nie było żadnym wysiłkiem.

– A po co było marnować czas? Nie mogłem się doczekać pani odwiedzin. I już przy pierwszym spotkaniu dostałem od pani miłą niespodziankę – zapytała mnie pani, czy przypadkiem nie znam Christopha Beila. Już wcześniej za wami jechałem i wiedziałem, że byliście u niego w domu. Następnego ranka poszedłem tam, poczekałem na jego ulicy, aż wyjdzie z domu, a potem zagadnąłem. Ale nie dostrzegłem znamienia na jego ręce. Nie byłem pewny, lecz kiedy podała mi pani

jego nazwisko, wiedziałem, że wy wszystko sprawdziliście i że to na pewno on. W ten sposób miałem trzecią osobę.

„Odwaliliśmy za niego całą robotę” – wyrzucała sobie Beatrice. „Odszukaliśmy dla niego ofiary”.

Ale...

– A co z Estermannem? Do niego nie udało nam się dotrzeć, bo wskazówki były zbyt ogólne? Chociaż... no tak, to oczywiste. Beil go znał, prawda?

Sigart spojrział na hak w suficie, na którym wisiał strzykawkę.

– Christoph Beil wypełnił większość luk, które pozostawili Papenberg i Liebscher. Znał się trochę z Estermannem. Na dwóch czy trzech spotkaniach geocacherów wypili razem piwo. No i Beil zadzwonił do Estermanna po waszej wizycie. Ostrzegł go. Tyle że Rudolf sądził, że to policja węszy, a mnie się nie spodziewał. – Zatopiony w myślach zaczął skubać opatrunek. – Na sam koniec Beil bardzo szczegółowo opisał, co się wtedy stało.

– Wieszał go pan, prawda?

– Oj tam, zaraz wiesział. Podwieszałem go i zdejmowałem. Nigdy nie miałem w sobie skłonności do sadyzmu i naprawdę wolałbym tego uniknąć, jeśli o to pani pyta.

– A w jaki sposób powstały rany na jego udach? Takie dziwne, szarpane?

Siegart oparł się wygodniej. Lufą pistoletu przesunął po bandażu.

– Twierdził, że nigdy wcześniej nie widział tego klucza. Uznałem, że w takim razie powinni się bliżej poznać – przerwał. Znacząca chwila ciszy, jakby się zastanawiał, czy w takim momencie wypada się śmiać. – Wiedziała pani, że bardzo kochał żonę? Kochał i zdradzał. Ale tego proszę jej nie mówić.

Nie rozumiała, do czego zmierza. Co to miało do rzeczy, że ją kochał?

– Czyli? Dlatego dźgnął go pan nożem w serce? To znaczy, że każda z ofiar zginęła w znaczący sposób?

– W jakimś stopniu tak.

Wspomnienie zwłok Rudolfa Estermanna wróciło samo z siebie i znacznie wyraźniej, niż tego by sobie życzyła. Beatrice się zastanawiała, czy kiedy Sigart wypalał mu oko kwasem, mężczyzna siedział na tym samym krześle, co ona teraz.

– Skąd pomyślał, żeby przy Estermannie użyć kwasu? – zapytała cicho.

Czyżby jej nie usłyszał? Patrzył gdzieś obok niej, na podłogę. Miał nieruchomą twarz.

– Bo miało palić – wyjaśnił w końcu. – Miało go wypalać od środka. Za to, co zrobił.

Kluczowa postać.

– Czy to on zamknął domek?

Sigart nie odpowiedział. W jego myślach Estermann ginął właśnie kolejny raz, przynajmniej sądząc po minie, jaką robił.

– A Melanie Dalamasso? – Może to nazwisko skłoni go do dalszego mówienia. – Przecież to ciężko chora dziewczyna, wie pan o tym. Rozdarta. Co by pan z nią zrobił, gdyby wpadła w pana ręce? Poćwiartował?

Gdziekolwiek był myślami, ostatnie słowo przywołało go na miejsce.

– Poćwiartowałem tylko sam siebie – powiedział, unosząc dłoń. – Jej włos by z głowy nie spadł.

– Dlatego, że choroba to wystarczająca kara?

– Nie. – Westchnął. – Niechże pani tego nie robi, dobrze? Żadnych nieprzemyślanych hipotez. Trzymamy się faktów i pewników, dobrze?

Tracił cierpliwość? To byłaby zła wiadomość, bo potrzebowała czasu. Przy dobrym podejściu mogłaby ciągnąć tę rozmowę do samego rana. W myślach gorączkowo szukała jakichś sprawdzonych informacji.

– Nora Papenberg miała na sobie krew Herberta Liebschera. Zmusił ją pan, by go zabiła? I go potem... – Zamilkła i spojrzała wymownie na miejsce, gdzie jeszcze kilka dni temu wisiała piła.

– Zgadza się. – Zdrową dłonią bawił się pistoletem i kręcił nim po stole jak bączkiem. – Ale to pani mi powie, dlaczego – zażądał.

– Żebyśmy wyciągnęli błędne wnioski. Pan zyskał w ten sposób na czasie.

– To był ledwie pozytywny efekt uboczny.

Beatrice nie mogła oderwać wzroku od pistoletu. Myśl, że mógłby ją zastrzelić albo postrzelić za błędną odpowiedź, nie wydawała się już tak bardzo wydumana. Być może zemsta za śmierć rodziny obejmowała również jej egzekucję, choć nie mogła pojąć, dlaczego.

– To wszystko jest związane z kwestią winy – powiedziała ostrożnie. – Nie potrafię tylko zrozumieć, co Nora Papenberg musiała zrobić, żeby zasłużyć na taką karę. – Znów przypomniała sobie jej tatuaże – pierwsze współrzędne, które przesłał im Sigart. I to jeszcze w tak wrażliwym miejscu jak podbicie stopy. Każdy krok musiał sprawiać jej katusze.

Każdy krok...

Beatrice uniosła gwałtownie głowę. Żadnych nieprzemyślanych hipotez, ostrzegł ją przed chwilą. Mimo to zaryzykowała.

– Nora uciekła. Wtedy. Mogła sprowadzić pomoc albo wziąć klucz i otworzyć drzwi, ale uciekła.

Zadrzał jeden z mięśni na twarzy Sigarta.

– Nieźle. A dlaczego zostawiłem jej Liebschera?

Gorączkowo szukała odpowiedzi, lecz żadna myśl nie wydawała się logiczna.

– Nie mam pojęcia – skapitulowała.

Sigart nachylił się nad stołem, ściskając pistolet w prawej dłoni.

– Bała się podejmowania decyzji. Nie potrafiła jej podjąć, kiedy to było

konieczne. Chciałem, żeby poćwiczyła, i to jej pozostawiłem podjęcie decyzji. Dwóch decyzji: pistolet albo nóż i które z nich zginie: on czy ona. – Oparł się. – Wybrała pistolet i jego. To były jej decyzje.

Przeciągnął się, choć wyraźnie nie sprawiło mu to ulgi. Chodziło tylko o zapobiegnięcie skurczom.

– No dobrze, już czas ruszać na zewnątrz.

To ją zaskoczyło, ale dostrzegła też swoją szansę – do tego musiał uwolnić jej ręce. Kiedy tylko wróci jej krążenie i czucie w dłoniach, będzie miała przewagę, przynajmniej taką, że uda jej się uciec.

– Proszę sobie nie robić nadziei. – Lufa pistoletu powoli wędrowała w prawo, aż zatrzymała się wycelowana w jej pierś. – Bardzo starannie przemyślałem, co będzie dalej. Jeśli cokolwiek mi pani zepsuje próbą ucieczki albo walki, nie zawaham się i zastrzelę panią. Niechętnie, ale natychmiast. – Odsunął krzesło i wstał. Nigdy jeszcze nie wydał się jej tak wysoki. – Jeśli mnie pani zmusi, nie będzie pani jedyną osobą, która straci przez to życie. Niedawno ponownie odwiedziłem Mooserhof. I wie pani co? Kawę podała mi Mina. Śliczna dziewczynka, poważnie. I zaczyna sobie zdawać z tego sprawę. Ze wszystkich zabawek, jakie jej zaproponowałem, wybrała sobie lusterko Hanny.

Beatrice aż sapnęła. Tak, pamiętała. „A Mina takie śliczne lusterko, z błyszczącymi kwiatkami na brzegach”.

– Jakobowi podarował pan mały świat, który świeci.

Czy to był jej głos? Ten zachrypnięty zgrzyt, który wydobywał się z jej gardła? Beatrice walczyła z poczuciem, że spada w otchłań. Przed oczyma widziała twarze Jakoba i Miny, jak śpią w pokoju na poddaszu, gdzie wszystko jest z drewna...

– Pomyślałem, że jeśli pani i moje dzieci musiałyby podzielić ten sam los, to dlaczego nie miałyby podzielić się zabawkami. – Sigart spojrzał na nią uważnie. Czyżby czekał na jej reakcję? Gdyby miała wolne ręce, natychmiast by się na niego rzuciła. – Nie chcę tego – wyjaśnił Sigart przyjaźnie. – Zależy mi tylko na pewności, że będzie pani współpracować. Wtedy nic im się nie stanie, słowo. Jeśli nie, mam gotowy plan B. Uważam, że to po prostu uczciwe, żeby pani o tym wiedziała.

Beatrice potrzebowała kilku chwil, by fala mrocznego przerażenia i wściekłości opuściła jej głowę, umożliwiając chłodną kalkulację. Musi poczekać na całkowicie pewną sytuację, wtedy go obezwładni.

– Dobrze. Będę posłuszna.

– Do samego końca?

„Do jakiego końca?” – To pytanie cisnęło się jej na usta. „Do czyjego końca? Mojego? Twojego? Czego w ogóle chcesz?”

Zacisnęła zęby i milczała. Potem odetchnęła tak głęboko, jakby się bała, że

po raz ostatni nabiera powietrza i odpowiedziała:

– Tak. Do samego końca.

Opaski na jej nadgarstkach przeciął za pomocą noża do tapet. Zajął mu to trochę czasu, bo operował nim dwoma palcami lewej ręki, a prawą trzymał pistolet. Beatrice czuła wylot lufy przyciśnięty do jej głowy tuż za uchem. Nie ruszała się, oddychała płytko i czekała tylko, aż ostrze noża omsknie się na twardej plastikowej opasce i Sigart skaleczy ją w dłoń. Mężczyzna pracował jednak spokojnie i w skupieniu, aż w końcu uwolnił jej dłoń. Opaska przykleiła się do rany na jej prawym nadgarstku. Beatrice oderwała ją ostrożnie, lecz dopiero za którąś z kolei próbą, bo z początku nie miała czucia w ścierpniętych palcach.

Sigart odsunął się kawałek. Nie czuła już broni przy głowie.

– Teraz poczekamy, aż będzie mogła pani poruszać palcami – oznajmił. – Ktoś musi nieść latarkę i oświetlać drogę.

– Dobrze. – Beatrice zaciskała i rozprostowywała palce. Miała wrażenie, że w jej dłonie wbijają się setki igiełek, ale powoli odzyskiwała czucie. Masowała dłonie, unikając spoglądania na poranione nadgarstki. Całą uwagę skupiała na Sigarcie i broni. Gdyby szybko się schyliła i go pchnęła... albo cisnęła w niego stołem...

Nie, to wszystko było zbyt ryzykowne. Nie mogła go zaskoczyć. Nawet przez sekundę nie spuszczał z niej uważnego wzroku.

Skinęła głową dopiero, kiedy poczuła, że palce na powrót stały się częścią jej ciała.

– Możemy ruszać – powiedziała.

– Świetnie. Proszę się odwrócić. W narożniku leży wełniany koc, a na nim latarka. Proszę wziąć latarkę i wyjść schodami na zewnątrz.

Beatrice sięgnęła po latarkę. Aluminiowa obudowa, diody LED. Niezbyt ciężka i trudna do użycia w charakterze broni. Za to bardzo jasno świeciła. A gdyby go tak oślepić?

Kolejny z chybionych pomysłów. Nie może tego zrobić, dopóki nie będzie miała pewności, że zyska w ten sposób przewagę.

Z latarką w dłoni wspięła się schodami do klapy i wolną ręką otworzyła wyjście. Poczowała chłodne, nocne powietrze.

Teraz! Wyłączyć światło i uciekać!

I tę myśl natychmiast porzuciła. Przy panujących ciemnościach nie miała szans w terenie, którego nie znała. Wiedziała natomiast, że Sigart zna tu każde drzewo i każdy kamień.

– Aż trudno w to uwierzyć, co? – usłyszała go. – Tyle przestrzeni dookoła, a jednak nie ma dokąd uciec.

Wiedziała, że jego słowa nie dotyczą tylko jej.

– Co dalej? – zapytała.

Oświetliła latarką drzewa i krzaki dookoła. Szukała drogi, którą mogłaby nadejść pomoc. Jeśli w ogóle nadejdzie...

– Teraz uzupełnimy wszystkie braki w pani wiedzy. Dobrze, gdzie znaleźliście pojemnik? Tę puszkę z odblaskową piątką?

– Tam – odparła Beatrice i skierowała latarkę na drewnianą konstrukcję. Tym razem z jednej strony była otwarta. Policjantka dostrzegła pod nią niewyraźny zarys czegoś niewysokiego, z całą pewnością wykonanego z kamienia.

– Zgadza się. Kiedyś *cache* był schowany w środku. Wiedziała pani, że to studnia? A pojemnik wisiał na drucie dwa metry poniżej poziomu gruntu. Tylko dzięki temu ogień nie strawił jego zawartości. – Sigart stanął obok niej, jednak nie na tyle blisko, żeby miała szansę zaskoczyć go i rozbroić. – Pięć lat temu, dwunastego lipca o osiemnastej, przybyli tutaj Nora Papenberg, Herbert Liebscher, Christoph Beil, Melanie Dalamasso i Rudolf Estermann. To był bardzo gorący dzień, a upały utrzymywały się od dobrych kilku tygodni. Cała piątka była bardzo zmęczona, ale humory im dopisywały i nie opuszczała chęć znalezienia skrytki. Nora pokazywała reszcie wszystkie miejsca, które poprzednio sprawdziła, lecz na nic nie trafiła. Wśród nich była również drewniana osłona studni, która pierwsza rzucała się w oczy. Śmiali się. Dalamasso wyjęła wałówkę i poczęstowała pozostałych pokrojonymi jabłkami i słonymi paluszkami. Na razie poruszamy się po pewnym gruncie, wszyscy uczestnicy potwierdzili tę wersję. Proszę przesunąć latarkę nieco w lewo.

Zrobiła, co kazał, lecz nie dostrzegła tam niczego poza gęstymi zaroślami, krzakami malin i pokrzywami, z którymi miała okazję się zapoznać.

– Od tego miejsca ich relacje zaczynają się od siebie różnić, jednak podstawowe fakty nie podlegają dyskusji. Ktoś wyciągnął piersiówkę. Beil twierdził, że to Estermann, a Estermann, że Beil, za to żaden nie miał wątpliwości co do jej zawartości: nalewka gruszkowa. Siedzieli dokładnie tam, gdzie pani świeci. Tyle że wówczas rosła tam łąka usłana kwiatami – dzwonkami, jastrunami, goździkami polnymi. Wtedy z lasu wyszedł Lukas.

– Pański syn.

– Tak. Beil pamiętał, że miał łuk i strzały i był cały umorusany ziemią. Zagadali do niego i rozmawiali przez chwilę. Powiedział, że jest tu na wakacjach, a jego rodzice się pokłócili i dlatego poszedł do lasu polować. Na to Estermann podał mu piersiówkę i zachęcił, żeby się napił.

Głos Sigarta stał się nieco cichszy. Odchrząknął i dalej mówił normalnie.

– Estermann twierdził oczywiście, że to był Beil. Pozostali ponoć tego nie widzieli, bo za daleko siedzieli, natomiast Papenberg pamiętała, że w pewnym momencie rozmowa między Lukaszem, Beilem a Estermannem zrobiła się głośna i nerwowa. W końcu chłopak się napił i pobiegł do domu.

Beatrice zobaczyła tę scenę oczyma wyobraźni, lecz nie było w niej Lukasa, tylko Jakob. Pospiesznie potrząsnęła głową.

– Miriam, moja żona, była cudowną kobietą, naprawdę wspaniałą. Tylko kiedy wpadała w złość, stawała się trochę nieobliczalna. Tamtego dnia była już spięta po kłótni ze mną, a do tego doszedł Lukas, który zaraz po wejściu do domu opowiedział jej o mężczyznach, którzy poczęstowali go wódką... Chyba potrafi sobie pani wyobrazić, jak Miriam zareagowała. Papenberg opowiedziała ze szczegółami, jak wypadła z domu, nawrzeszczała na Estermanna, wyrwała mu z ręki piersiówkę i wylała resztę alkoholu na ziemię.

Czyżby Sigart nie był już taki skupiony? Beatrice miała wrażenie, że bardziej niż na niej, koncentrował się na obrazach, które w miarę jak mówił, rodziły się w jego wyobraźni. Mimo to uważnie śledził każdy jej ruch i ani na chwilę nie opuścił broni. Zdecydowała, że jeszcze nie nadszedł właściwy moment.

– Estermann zareagował na jej wybuch w dość idiotyczny sposób. Zaczął na nią wrzeszczeć, że zniszczyła jego własność i ma mu to natychmiast wynagrodzić. Zażądał od niej pięćdziesięciu euro. Miriam odpowiedziała mu na to, że jedyne, co może od niej dostać, to doniesienie na policję oraz zgłoszenie uszkodzenia ciała i nakłaniania dziecka do picia alkoholu.

W świetle latarki poruszały się jedynie cienkie gałązki młodych świerków, lecz Beatrice miała wrażenie, że widzi scenę rozgrywającą się w opowieści jej oprawcy. Pamiętała też słowa Gracielli Estermann, która powiedziała, że jej mąż nie jest dobrym człowiekiem.

– Największym błędem Miriam było to, że zagroziła mu policją – ciągnął Sigart. – Wróciła do chatki. On ruszył za nią. Pozostali ponoć próbowali go uspokoić. Beil i Liebscher zarzekali się, że chcieli go powstrzymać, lecz Estermann ich odepchnął. Otworzył sobie drzwi i zaczął przeszukiwać wnętrze domku, aż w końcu znalazł komórkę mojej żony. „Gówno zgłosi” – powiedział i rozbił jej telefon o kamień. To kolejny fakt, który wszyscy potwierdzili.

Niemalże odruchowo Beatrice się odwróciła, żeby oświetlić latarką miejsce, gdzie znajdowała się chatka. Sigart nie protestował.

– Dzieci płakały. Podczas gdy Christoph Beil, który z nich wszystkich najlepiej znał Estermanna, usiłował uspokoić kolegę, Melanie Dalamasso rozmawiała z Hanną i Lukaszem. Zaczęła im nawet śpiewać, choć sama się przy tym trzęsła. Miriam zajmowała się Oscarem, który głośno zawodził. Liebscher i Papenberg trzymali się z boku. Trochę w lewo? – poprosił ją. – Jeszcze trochę. O, tak. Dokładnie.

W miejscu, na które padało światło latarki, o dominację walczyły krzaki jeżyn i malin.

– Papenberg chciała odejść. Uważała, że „dupek w koszuli w kratę”, jak raczyła opisać Estermanna, jest obrzydliwy i wplątuje ich w paskudną sytuację.

Liebscher nie oponował, jednak powiedział, że najpierw muszą się upewnić, że kobieta z chatki nie będzie wzywała do nich policji. Był nauczycielem, a jego dyrektor nieprzychylnym okiem patrzył na jakiegokolwiek naruszenia prawa przez swoich podwładnych. Tym argumentem przekonał Norę, która tak naprawdę była tego samego zdania, bo dopiero co zaczęła pracę w agencji reklamowej i za żadne skarby nie chciała dać się wplątać w żaden skandal. Czekali więc, aż Estermann się uspokoi, bo chcieli porozmawiać z Miriam i zaproponować, że pokryją koszty nowej komórki.

„Dobry pomysł” – pomyślała Beatrice. Co w takim razie się stało, że sprawy przybrały tak tragiczny obrót?

– Estermann się ciskał, klął i po chamsku zwracał do Miriam, ale w końcu udało się go przekonać, że czas ruszać w drogę powrotną. Beil go przekonywał, że kobieta nie może zgłosić go na policję, bo nie wie nawet, jak się nazywa. To, jak wyznał mi w czasie naszej długiej rozmowy, musiała usłyszeć również moja żona. Była biała ze złości. Wypadła z domu i biegiem rzuciła się w dół zbocza, żeby wezwać sąsiadów na pomoc.

Sigartowi łamał się głos. Zgarbił się, jakby skurczył i zapadł w sobie. Dalej celował w Beatrice, oparłszy broń na obandażowanym lewym przedramieniu. Policjantka nie miała wątpliwości, że strzał by ją dosięgnął.

Co tam. To pierwsza jako taka okazja.

Odetchnęła, spięła się i już chciała skoczyć, lecz w tym momencie Sigart odzyskał panowanie nad sobą.

– Spokojnie – powiedział. – Jeszcze nie skończyliśmy.

– Wiem przecież.

– Na początku, kiedy miałem tu samego Liebschera i usłyszałem od niego, jak Miriam wypadła z domu i ruszyła wezwać pomoc, zacząłem się zastanawiać, czy sam to sobie wymyślił. Podejrzywałem, że mógł przesadzać, żeby umniejszyć swoją winę. Ale później dokładnie to samo usłyszałem od każdego z nich. Zdałem sobie sprawę, że od początku to wiedziałem. Miriam... ona po prostu taka była. Zawsze bezpośrednia. Nigdy nie myślała o kosztach. Gdyby tylko się opanowała i poczekała, aż sobie pójdą... albo przynajmniej im nie mówiła, co chce zrobić...

Co by było, gdyby.

„Gdybym nie pojechała do Sigarta w pojedynkę”.

„Gdybym nie zostawiła dzieci u matki”.

„Gdybym...”.

Bea nienawidziła tej gry.

– Estermann ściągnął ją z powrotem?

Na twarzy Sigarta pojawił się cień czegoś nowego, czego jeszcze nie widziała, lecz trwało to ułamek sekundy.

– Nie. Złapał Oscara i przycisnął mu kciukiem oko. Zagroził, że zrobi to

mocniej, jeśli Miriam natychmiast nie wróci do chatki. Pozostali twierdzili, że błagali go, żeby dał z tym spokój. Melanie Dalamasso miała nawet głośno płakać – zbyt głośno, jak uznał Estermann, więc kazał jej się zamknąć, bo jeśli nie, to mogła już zacząć robić zasłonkę na oko małego.

Oko za oko. Wyciśnięte czy wypalone kwasem... Beatrice poczuła ucisk w żołądku. Estermann był przecież ojcem, więc jak mógł coś takiego...?

– Miriam wróciła.

– Oczywiście, że tak. Estermann zamknął całą czwórkę w domu i na dodatek zaryglował okiennice. Ciężkie, drewniane, pomalowane na biały i zielony kolor... Zamykało się je nie tylko od środka. Od zewnątrz też się dało. Wszystko zablokował, a potem usiadł przy studni. Beil powiedział, że po raz pierwszy widział go zadowolonego.

Ona zobaczyła go dopiero po śmierci. Zwłoki były paskudnie okaleczone, a jednak czuła do niego nienawiść, choć wiedziała, że musi z tym walczyć.

„O nie, nie daj sobą manipulować” – pomyślała. „Estermann jest ofiarą, tak samo jak pozostała trójka, która nikogo nigdzie nie zamknęła”.

– Papienberg nie wytrzymała. Oznajmiła, że wraca, i nie czekając na ich reakcje, rzeczywiście ruszyła. Nie oglądała się na Liebschera, z którym przyszła, a on nie zareagował tak szybko jak ona. Dalamasso zawołała, że musi zawiadomić policję, najszybciej, jak się da. Beil mówił, że zaciskała dłońmi uszy, żeby nie słyszeć walenia w drzwi i krzyku dzieci. Estermann udaremniał każdą próbę podejścia do chatki. „Wyjdą, jak ta stara idiotka pokapuje, co zrobiła źle” – powiedział. I przypomniał Beilowi, że jemu również powinno zależeć na zamknięciu tej sprawy bez mieszania kogokolwiek z zewnątrz. „Myślisz, że twoja żona będzie zadowolona, jak się dowie, że znalazłeś sobie młodszą?”. Beil przyznał mi w rozmowie, że w ogóle o tym nie pomyślał. Nagle zaczęło mu się spieszyć, jak przed chwilą Norze. – Sigart spojrzał na wąską dróżkę prowadzącą nieco powyżej w stronę głównej drogi.

Beatrice tęsknym wzrokiem wypatrywała na niej niebieskich błysków policyjnych radiowozów.

– Nora na odchodnym krzyknęła, żeby się nie martwili, bo zaraz wezwie pomoc i że się pospieszy. Beil chciał zrobić to samo i uderzył w podobną nutę, lecz Melanie pokrzyżowała mu plany. Postanowiła zostać i poczekać, aż dzieci wyjdą z chatki. Wtedy Liebscher włączył się do gry. Dotychczas trzymał się z boku, bo, jak powiedziała potem Nora, nie chciał uwierzyć w to, co się działo. Kiedy podszedł do pozostałych, był bardzo zdenerwowany. Estermannowi oznajmił, że ma natychmiast otworzyć domek i że trzeba tę kłótnię wyjaśnić w sposób cywilizowany.

W odpowiedzi na to Estermann wyjął z kieszeni klucz do drzwi, ze studni wyciągnął pojemnik z cache'em, włożył klucz do środka i umieścił skrytkę na

swoim miejscu. Dwa metry niżej.

– To dlaczego nikt jej nie wyciągnął? Przecież wisiała na drucie?

– Melanie pewnie by to zrobiła. Gdyby tylko miała dość czasu...

Kolejne gdyby... Nie mogła już tego słuchać.

– Liebscher wciąż rozmawiał z Estermannem, testując na nim wszystkie sztuczki pedagogiczne przećwiczone na uczniach. W trakcie tej konwersacji zapalił papierosa. Potem setki razy mnie zapewniał, jak strasznie mu z tego powodu przykro. Że skupił się na przekonywaniu Estermannu. Za to Beil natychmiast się zorientował, że las i łąka dookoła są suche jak pieprz. Wyrwał Liebscherowi papierosa z dłoni i chciał go zdeptać w ziemi.

Beatrice domyśliła się, co stało się potem.

– Zrobił to dokładnie tam, gdzie Miriam wylała alkohol...

– Wszyscy to potwierdzili, tak jest. Kiedy trzymałem przy jego ustach naczynie z kwasem, Estermann wył, że jest niewinny. W końcu to Liebscher zapalił papierosa, a pożar wywołał Beil. Do samego końca był przekonany, że jestem niesprawiedliwy.

Bo przecież tego akurat nie chciał. Beatrice zrobiło się niedobrze. A ona nie chciała słuchać opowieści Sigarta, nie chciała się dłużej bać i nie chciała pamiętać zdjęć zwęglonych ciał.

– W raporcie policji nie było ani słowa o jakichkolwiek substancjach łatwopalnych, które miałyby przyspieszyć rozprzestrzenianie się ognia. A alkohol tak właśnie by zadziałał.

Sigart wzruszył ramionami.

– Co w tym dziwnego? Przynajmniej sama pani w końcu zauważyła, że policja nie przykładała się tutaj do pracy.

W jego słowach pojawiła się złowroga nuta, groźba, która była skierowana bezpośrednio do niej.

– I co, żadne z nich nie próbowało nawet gasić ognia? – zapytała pospiesznie, żeby zmienić temat.

– Od lat nikt nie korzystał z tej studni i nie było czym zaczerpnąć wody. Usiłowali zdusić płomień ubraniami, ale tylko zmarnowali czas. Płomień rosł błyskawicznie i przy studni zrobiło się na tyle gorąco, że nikt nie odważył się do niej podejść, żeby wyjąć klucz. Melanie chciała spróbować, ale Beil jej nie pozwolił.

Beatrice świeciła na drewnianą konstrukcję przykrywającą studnię. Po pożarze ktoś musiał ją odbudować. Być może nawet sam Sigart. Spojrzała na niego. Twarz mężczyzny była mokra od łez i potu, lecz jednocześnie pełna ulgi.

– Dlaczego nie wystarczyło panu zabicie Estermannu?

– To jeszcze nie jest oczywiste? – Poczekał na jej reakcję, a kiedy potrząsnęła głową, mówił dalej: – Przecież czytała pani te akta. Straż pożarna

wezwał jeden z rolników, których gospodarstwa również spłonęły tamtej nocy. I ani przedtem, ani potem nikt inny nie dzwonił.

Przez chwilę Beatrice miała wrażenie, że Sigart zacznie płakać, jednak po kilku sekundach odzyskał panowanie nad sobą i westchnął głęboko.

– Wiedzieli, kto tam został, wystawiony na pastwę płomieni. A jednak ani jedna osoba z tej piątki nie zgłosiła pożaru. Nawet anonimowo! Żadne z nich.

Z tym nie mogła się kłócić. W duchu zaczęła się zastanawiać, co by się stało, gdyby Nora jednak zawiadomiła policję, tak jak obiecała, gdyby Liebscher nie bał się tak o swoją pracę, a Beil miał więcej odwagi przed żoną. Co by było, gdyby...

– A Dalamasso? – zapytała. – Dlaczego ona nie zadziałała? Czy tak bardzo wierzyła Norze, że wezwie pomoc? Przecież tamta wcześniej poszła i nic nie wiedziała o pożarze!

Przypomniała sobie chwilę, kiedy upuściła zdjęcia przed Melanie Dalamasso.

– Wyrwała się Beilowi, bo nie mogła znieść krzyków dochodzących z chatki. Chciała wracać i ostrzec sąsiadów, ale Beil i Estermann jej nie pozwolili. Tak przedstawił to Liebscher. „Gruba dziewczyna o ciemnych włosach” – powiedział. „Wrzeszczała jak wariatka, aż ten potężny gość w koszuli w kratę zdzielił ją w twarz, a ten drugi, ten ze znamieniem na dłoni, zaczął coś jej tłumaczyć i do końca właściwie ją niósł”. – Zabandażowanym przedramieniem przesunął po lufie pistoletu. – Tak naprawdę nie mam pewności, co z nią zrobili, ale podejrzewam, że Beil zagroził jej zerwaniem, jeśli się nie uciszy. Estermann zachował się pewnie mniej subtelnie, ale to tylko moje domysły.

Melanie. Rozdarta – między uczuciem do Beila a wyrzutami sumienia. Całkiem możliwe, że Estermann celowo pokazał się jej w czasie próby przed koncertem.

– Dlaczego... – wyszeptała. – Dlaczego akurat Liebscher został pocięty na kawałki? Chyba nie za to, że zapalił papierosa?

Krótki śmiech.

– Nie. Ale widzi pani, pozostali czuli się tak winni, że nie potrafili wrócić do geocachingu. Albo może się bali, że ktoś się dowie? Nieważne. Żadne z nich nie szukało więcej cache'y, a kiedy porównałem wpisy na stronie z komentarzami w logbooku ze skrytki, ich profile były nieaktywne. Wszystkich, tylko nie Liebschera. Te pieprzone pojemniczki były dla niego tak cholernie ważne, że za naturalne uznałem, żeby go do nich zapakować.

Powoli cierpło jej ramię i dłoń, w której trzymała latarkę.

– Co z resztą, która nie zmieściła się do skrytek? Nogi, ramiona, tułów?

Tym razem Sigart prawie się uśmiechnął.

– Spalone – szepnął.

Oczywiście. Wszystko, co robił, było odpowiedzią na to, co mu zrobiono.

Żadna z jego decyzji nie została podjęta przypadkowo.

Beatrice nie mogła opanować drżenia dłoni, a światło latarki przesuwano się zygżakiem po okolicznych drzewach. Skoro dotarł do kresu swojej opowieści, nieuchronnie zbliżało się to, co sam nazywał końcem. Wyteżęła słuch, czekając na jakieś znajome dźwięki. Nic. Żadnych syren, żadnych silników. SMS, który Sigart wysłał Florinowi, musiał uśpić jego czujność.

Odchrząknęła. Chciała, by głos brzmiał optymistycznie.

– Potrafię zrozumieć pańskie działania. Ale ja nie pasuję do schematu. Nie było mnie tu wtedy i z całą tą sprawą nie miałam nic wspólnego.

W powietrzu zawisła jej niewypowiedziana prośba: „Niech mnie pan uwolni”.

Jego milczenie dawało jej nadzieję i jednocześnie wzmagало strach. Zastanawiał się, czy ją oszczędzić? Przecież wcześniej, jeszcze w piwnicy, mówił, że ma szansę na przeżycie. To znaczy, że nie planował strzelić jej w głowę. Beatrice zmusiła się, by nie patrzeć na broń, tylko w twarz swojego oprawcy.

Kiedy się odezwał, mówił głosem tak cichym, że niemal ginął w szumie drzew:

– Cztery lata. Przez cztery lata łamałem sobie głowę, czy wychodząc, rzeczywiście zamknąłem drzwi na zamek. Odruchowo, bo myślami byłem już przy zrzebiącej się klaczy. A to, że nie było mnie na miejscu, by przeciwstawić się Estermannowi, będzie mnie prześladować do końca życia. – Zmierzył ją zamyślonym wzrokiem. – Potrafi pani sobie wyobrazić, jak to jest, przez cztery lata bez przerwy zadawać sobie pytanie, czy własnymi rękoma zastawiło się pułapkę, w której żywcem spłonęła żona i dzieci? Codziennie starałem się przywołać z pamięci każdy ruch i każdy gest, które wykonałem, wychodząc z domu, aż do chwili, kiedy wsiałem do samochodu. Potrafi sobie pani wyobrazić, jak to jest, nie mieć pewności? Czasem w mojej pamięci drzwi do wynajętego domku zostawały otwarte, kiedy indziej znów zamknięte, a klucze trzymałem w dłoni. A może włożyłem je do kieszeni? Codziennie, przez cały czas. To wszystko zostałoby mi oszczędzone, gdyby policja przyłożyła się do pracy.

Siegart stanął tuż za nią. Beatrice bała się, że zaraz poczuje lufę pistoletu przyciśniętą do głowy, lecz nie, nie zrobił tego. Słyszała za sobą jego oddech.

– To ja znalazłem pojemnik w studni. Dlaczego nie pani koleżdy po fachu? Dotarłem do osób, które skrywały się za dziwacznymi nickami, przesłuchałem podejrzanych i wyjaśniłem okoliczności śmierci mojej żony i dzieci. Wszystko musiałem zrobić sam, choć to przecież zadanie policji!

Musiła mu odpowiedzieć, choć nie miała pewności, czy to rozsądne.

– Tylko że korzystał pan ze środków i sposobów, po które my nigdy byśmy nie sięgnęli.

– Nie musicie, bo macie inne. Lepsze. Policja dysponuje gigantycznym

zapleczem techników, laboratoriów i ludzi. Macie nieograniczone możliwości.

Drgnęła, kiedy położył jej na ramieniu okaleczoną, zabandażowaną rękę.

– Ja przy tej sprawie nie pracowałam – zaprotestowała, czując nagłe oburzenie, bo przypisywanie jej win całej policji było nie fair. – Nie miałam z nią nic wspólnego!

– Zgadza się. Ale kiedyś, wcześniej, przeżywała pani dokładnie to samo, co ja – wyszeptał Sigart. – Richard opowiedział nam, że do tego stopnia była pani wściekła na policję, że zwymyślała pani jakąś funkcjonariuszkę przez telefon. Ponoć właśnie przez ich niekompetencje podjęła pani decyzję, by wziąć sprawę w swoje ręce. I stąd to nasze dzisiejsze spotkanie. Bo tylko pani może mnie zrozumieć.

Czego od niej chciał? Szukał poplecniczki? Wspólniczki? Cholera, musiała się skupić i spróbować zrozumieć coś z tego, co powiedział!

– Racja. Doskonale wiem, że czasem dobrze porozmawiać z kimś, kto stracił kogoś bliskiego w równie okrutny sposób. Ja akurat rozumiem, o czym pan mówi.

Zaśmiał się cicho.

– Niestety, Beatrice, właśnie skończyliśmy rozmawiać. Teraz czas na inne atrakcje.

Brutalnie wbił jej lufę pistoletu w kręgosłup. Odruch był tak silny, że musiała zagryźć zęby, żeby nie posłuchać instynktu i nie rzucić się do ucieczki. Jeśli da się postrzelić w plecy, zaprzepaści szansę na przeżycie. Rozpaczliwie spoglądała w stronę drogi powyżej. Miała nadzieję, że nawet jeśli Florin nie przyprowadzi kawalerii, może przyjdzie chociaż w pojedynkę, piechotą? Może przyprowadzi tylko Stefana? Jakieś minimalne wsparcie?

Lecz dookoła jedynie tańczyły cienie. Nie było słyhać ani kroków, ani tym bardziej warkotu silników.

– Teraz będzie trochę tak, jakbyśmy się zakładali. Pani twierdzi, że policja ma kompetencje, ja mówię, że nie. I już nie mogę się doczekać, kto zwycięży.

Pchnął ją naprzód. Niezbyt mocno, ale wystarczyło, by ruszyła z miejsca.

– Policja nie znalazła pojemniczka zawieszzonego w studni, ale niech będzie, puszka była mała i nie rzucała się w oczy. Za to pani, Beatrice, to coś zupełnie innego.

Kolejne pchnięcie. W tym momencie Beatrice pojęła znaczenie jego słów.

– Ja będę...

– Zgadza się, pani będzie ukryta jako *cache*. Duży zamiast małego. Pani koledzy powinni wykazać się większym zaangażowaniem niż poprzednio, kiedy chodziło o starą puszkę z kluczem w środku. Problem tylko, że puszka była bardziej wytrzymała, więc pozostaje mieć nadzieję, że tym razem dadzą z siebie wszystko.

Zmusił ją, żeby podeszła do drewnianej osłony nad studnią. Omiotła

światłem latarki stare deski. „Mój nagrobek” – pomyślała. Kiedy ktoś pojawi się w pobliżu? Technicy zabezpieczyli wszystkie ślady i nie mieli tu już nic do roboty, a cały teren otaczała żółta taśma policyjna, której trzepot było słycać w ciemności. Czy ktokolwiek wpadnie na to, żeby właśnie tutaj szukać zaginionego Sigarta? Raczej nie, bo wszyscy traktowali go jeszcze jako ofiarę. Po co miałyby wracać do miejsca, w którym przed laty przeżył największą wyobraźną tragedię, a potem jakiś szalony morderca więził go tu i torturował?

Beatrice się zatrzymała. Było coraz bardziej pod górkę, a ona miała wrażenie, że nie jest w stanie zrobić już ani jednego kroku.

– Jaka jest głęboka?

– Około czterech metrów do lustra wody. Na początku kawałek można zejść po starych klamrach wmurowanych w cembrowinę, ale na koniec trzeba zeskoczyć.

Znajdzie się w wodzie. W najlepszym razie będzie sięgała nogami dna, a w najgorszym będzie musiała pływać.

– Proszę, niech pan tego nie robi. Wie pan już wszystko, czego chciał się pan dowiedzieć, i dokonał pan zemsty. Proszę, niech pan mnie puści, a ja...

– ...a pani się postara, żebym dostał odpowiednią pomoc – przerwał jej. – I sprawiedliwy proces. Sędzia uwzględni moją szczególną sytuację i traumę wywołaną stratą bliskich... tak? To chciała pani powiedzieć?

Tak jest. I jeszcze dodać, że Jakob i Mina będą jutro czekali, żeby zabrała ich od babci. Nie, nie jutro. Dzisiaj. Musiało być już dawno po północy. Mogła sobie darować takie opowieści. Przecież doskonale wie, że ona ma dzieci.

Kolejny krok. Jeszcze jeden. I jeszcze jeden. Źle postawiła stopę i straciła równowagę. W prawej ręce trzymała latarkę, więc upadek usiłowała zamortyzować jedynie lewą. Wbiła sobie w dłoń coś ostrego.

– Skaleczyła się pani? – W głosie Sigarta pojawiła się szczerza troska, a Beatrice musiała zacisnąć zęby, żeby nie wybuchnąć histerycznym śmiechem.

– Trochę. – Oświetliła latarką ranę na dłoni i przeszła jej ochota na śmiech. – Chyba nadziałam się na jakiś ostry kamień.

– Kamieni tu nie brakuje. – Krótkim ruchem pistoletu nakazał jej wstać.

Beatrice podniosła się z ziemi. Od studni dzieliło ją kilka kroków. Ostatnia szansa – gdyby tylko udało jej się przewrócić i potoczyć w dół zbocza, gdyby udało jej się podciąć Sigarta i pociągnąć ze sobą, gdyby mogła odebrać mu broń...

Musiał wyczuć jej zamiary.

– Z tej odległości na pewno nie spudłuję – ostrzegł ją niespodziewanie. – Strzeżę, jeśli zrobi pani coś głupiego. I to nie jest pusta groźba. Zakończę to tu i teraz.

Jego poważny ton sprawił, że przestała planować atak. Kolejny krok. Potem jeszcze jeden. Drewniana konstrukcja znajdowała się dokładnie przed nią. Czowała wilgotne, ciężkie powietrze. Jeszcze cztery kroki. Mogła już dotknąć starych desek.

Wiedziona jakimś instynktem przycisnęła do nich skaleczoną dłoń, lecz nie na długo, bo nie miała na to czasu. Płynnym ruchem przesunęła nią po drewnie. Miała nadzieję, że ktoś zauważy ślad krwi. Celowo nie oświetliła tego miejsca latarką, nie chciała, żeby Sigart zwrócił na nie uwagę.

Musiała się schylić, żeby wejść pod drewnianą konstrukcję. Kłapa była już uniesiona, a pod nią dostrzegła studnię – czarny, okrągły otwór otoczony sięgającą kolan cembrowiną.

– Po dwóch pierwszych stopniach proszę o latarkę – rozkazał Sigart. Celował jej prosto w twarz.

Posłusznie wykonała jego polecenie. Starła się zapomnieć o strachu i wyostrzyć zmysły. Gdyby udało jej się zapamiętać każdą wnękę, każdy wystający kamień w murze, miałyby później szansę wspiąć się na powierzchnię. Wystarczyłoby dosięgnąć najniższego stopnia, a wtedy byłaby bezpieczna.

Beatrice przytrzymała się krawędzi i weszła do środka. Ostrożnie postawiła stopy na pierwszej klamrze. Skorodowana i krzywa. Druga. Oddała Sigartowi latarkę.

– Poświeci mi pan?

– Oczywiście.

Trzecia. Nie sięgała głową ponad krawędź cembrowiny. Otaczało ją piwniczne powietrze, ciężkie i pachnące pleśnią.

Czwarta klamra. Po lewej stronie, całkiem niedaleko, Beatrice dostrzegła kamień wystający z muru. Wystarczył, żeby się przytrzymać. Świetnie.

Kolejna klamra. I jeszcze jedna. Potem ostatnia. Mimo że Sigart wciąż świecił w głąb studni, coraz trudniej było jej dostrzec szczegóły. Cień, który sama rzucała, zasłaniał wszystko poniżej.

– Stamtąd trzeba już skoczyć.

Prawie go nie widziała, oślepiąca światłem latarki.

Mimo że wiedziała, co ją czeka, nie tak to sobie wyobrażała. Poniżej czekał na nią mrok, otchłań, która mogła mieć dwa albo dwadzieścia dwa metry. Zawahała się.

– Poniżej jest woda. Nic się pani nie stanie.

„Musiał być bardzo dobrym weterynarzem” – pomyślała Beatrice. „Jego głos ma ten ton, który sprawia, że chce mu się wierzyć”.

A jednak nie skoczyła. Zaciśnęła dłonie na ostatniej klamrze i powoli się z niej opuściła. Woda. Kiedy wisiała, sięgała jej do kostek.

– Proszę się puścić! – Głos Sigarta odbijał się echem od ścian studni. Potem rozległ się charakterystyczny trzask. Odbezpieczył pistolet.

Beatrice rozluźniła palce i skoczyła. Lodowata woda ją paraliżowała, wciągała, zamknęła się nad nią.

Jest! Dotknęła nogami dna! Odbiła się, wynurzyła i gwałtownie nabrała

powietrza.

– Powodzenia, Beatrice.

Przeciągle skrzypnięcie gdzieś wysoko ponad nią. Sigart zamknął klapę. Ciemność. Nieprzenikniona. Tylko plusk wody, jej oddech i mrok.

47°28,275'N 13°10,296'E

Przez chwilę Beatrice miała ochotę zalać się łzami z żalu za tym, czego nigdy już nie będzie jej dane oglądać. Słońce, niebo, twarze dzieci... Lecz płacz oznaczał utratę sił i odbierał motywację.

– Później będziesz miała na to dość czasu – powiedziała do siebie. Jej głos odbił się głuchym echem od ścian studni, lecz brzmiał pocieszająco i rozsądnie. Dokładnie tego teraz potrzebowała: głowy i wszystkich zmysłów.

Woda, jak się szybko okazało, była zbyt głęboka, żeby mogła w niej stać. Wyprostowana na baczność i z obciążniętymi palcami zanurzała się do nosa, żeby poczuć cokolwiek pod nogami, lecz dno pokrywał grząski muł. Nie miała wyjścia. Musiała pływać. Oszczędne ruchy rąk i nóg miały pomóc jej utrzymać głowę nad wodą i nie pozwolić na wychłodzenie organizmu. Albo przynajmniej maksymalnie je spowolnić.

Sięgnęła pod wodę i zdjęła buty i skarpetki. Dobrze. Czas na sprawdzenie muru. Zabrała się do tego po omacku, jak niewidoma.

Co kawałek niewielkie występy, lecz żaden nie wyglądał obiecująco. Wszystko porastał śliski mech. Nawet kiedy trafiła na bardziej wystający kamień i próbowała go złapać i się podciągnąć, jej palce natychmiast się z niego ześlizgiwały.

Nie poddawała się. Studnia miała niewielką średnicę i wystarczyło rozłożyć ramiona, żeby obiema dłońmi dotknąć ścian.

Świetnie. W takim razie odwróci się zaraz na plecy i odpychając się stopami po jednej stronie, przycisnie plecy po drugiej, kiedy będzie musiała odpocząć. Tak, tak właśnie robi. Niedługo. Oczywiście jeśli nie poradzi sobie ze wspinaczką...

Nagle uświadomiła sobie, że nie ma pojęcia, z której strony są klamry. Tyle razy obróciła się w okrągłej studni dookoła własnej osi, że całkowicie straciła orientację.

„Mała strata” – pomyślała. „Co miałyby mi dać ta wiedza? I tak ostatnia klamra jest zbyt wysoko, żeby do niej doskoczyć”. Pozostała jej tylko wspinaczka, lecz na to ściany wydawały się zbyt śliskie.

Mimo to nie poddawała się. Pamiętała, jak wspinacze na filmach pokonywali kominy skalne. Rozkładając ramiona i nogi, spróbowała się wspinać, klinując ciało między ścianami, lecz po czwartym podejściu, kiedy krztusząc się, znów wylądowała w wodzie, zarzuciła tę metodę. Rana na lewej dłoni pulsowała żywym ogniem.

Nie pozostało jej nic innego, jak czekać. Oszczędzać siły i mieć nadzieję, że Sigart nie docenił policji.

Jeden. Dwa. Trzy. Cztery. Pięć. Sześć. Siedem. Osiem.

Jeden. Dwa. Trzy. Cztery. Pięć. Sześć. Siedem. Osiem.

Beatrice liczyła oddechy. Skoro tu, na dole, mijał czas, to musiał mijać również na górze, gdzie ciemność nie była wieczna.

Zgoda, ale na pewno nie mijał równie powoli. Liczyła dalej. Liczyła i marzyła o zegarku, żeby móc sprawdzić, ile już wytrzymała.

Najgorsze było zimno. Nie mogła zapanować nad szczękaniem zębami. Od dłuższego czasu nie czuła palców u rąk i nóg, więc kolejne próby wspinaczki skazane były na niepowodzenie. Mimo to nie dawała za wygraną i raz po raz znów próbowała.

Ależ była zmęczona.

Lecz zasnąć w wodzie oznaczało tyle, co umrzeć. Bezruch to śmierć. Mimo to obróciła się na plecy i zaparła nogami i plecami o cembrowinę. Spojrzała w górę. Czy rozpozna, kiedy słońce wstanie? Czy przez szczeliny między deskami wpadnie do środka trochę światła?

Byłoby cudownie.

Znów pływała. Z coraz mniejszym przekonaniem. Poruszała nogami i rękoma bardzo oszczędnie, ledwie tyle, żeby utrzymać nos i usta nad wodą. Kiedy świat się obudzi, ktoś zauważy, że jej nie ma. Florin się zdziwi, że nie przysłała do biura. O dziewiątej albo wpół do dziesiątej wybierze jej numer. Dlaczego tak późno?

No chyba że pojawią się jakieś nowe informacje. Wtedy będzie dzwonił już o ósmej rano.

Zgiąć palce. Wyprostować. Raz. Dwa. Raz. Dwa. Nie miała pojęcia, czy naprawdę nimi porusza. Nic nie czuła.

Unosić się na wodzie? Nie da się. Studnia była za mała. Ale ramiona tak strasznie bolą...

Nagle poczuła wodę w ustach. Zakrztusiła się. Nie mogła przestać kaszleć. Czyżby przysnęła? Zimno odbierało jej władzę nad ciałem i paraliżowało myśli. Nie wolno zamykać oczu. Ani na chwilę.

Beatrice zaczęła śpiewać. Pierwszą piosenką, która przysłała jej na myśl, była *Lemon Tree Fool's Garden*. Głośno. Znacznie głośniej, niż zamierzała, ale to pewnie przez akustykę studni.

Jeśli ktokolwiek tam był, może ją usłyszy?

Śpiewała dalej, co tylko przychodziło jej do głowy. Robiła też przerwy i wstrzymywała oddech, żeby nasłuchiwać, czy z góry dochodzą jakiegokolwiek dźwięki.

Nie. Nic. Cisza i plusk wody wywoływany jej ruchami.

Świat był zbyt daleko i nic o niej nie wiedział.

Przestała śpiewać dopiero, kiedy się zorientowała, że kosztuje ją to

niebezpiecznie dużo sił. Ale mogła przynajmniej nucić... Przypomniała się jej pierwsza angielska piosenka, której Jakob nauczył się w szkole.

*Twinkle, twinkle little star,
How I wonder what you are
Up above the world so high,
Like a diamond in the sky...*

Zaprezentował ją w kuchni, skacząc przy tym i śmiejąc się radośnie, a przy wersji *Like a diamond in the sky...* jego oczy za każdym razem robiły się wielkie.

Czy zaczynała płakać? Paliły ją oczy i miała zapchany nos. Nie mogła dłużej nucić. Piosenka utkwiała jej w gardle jak niestarannie pogryziony kęs.

Jeden. Dwa. Trzy. Cztery. Pięć. Sześć. Siedem. Osiem.

Jeden. Dwa...

Mina robi gwiazdę na dywanie w salonie.

– Mamo! Popatrz! Popatrz!

Jakob. Za plecami trzyma trzy wymiętoszone lewkonie.

– To dla ciebie.

– Hej, głowa do góry, Myszko! – śmieje się Evelyn, a Achim mówi: – Żadna nie wygląda tak pięknie jak pani w mundurze.

Pięć. Sześć.

Rogalik bez dzemu. Zaciśnięte palce.

– Nie rób niczego, czego ja bym nie zrobiła – woła Evelyn radośnie.

– I głowa do góry!

Głowa. Do góry. Zimno. Bardzo zimno.

Filizanka aromatycznej kawy. Pianka z mleka. Dłoń Florina na jej dłoni.

Długi kosmyk włosów zsunął mu się na czoło, dotykając brwi.

– Beatrice.

– Tak – odpowiada. Chyba. Usłyszał ją?

Jakob obejmuje ją za szyję.

– Pani Siebert dała mi gwiazdkę!

No tak. Beatrice widzi, jak błyszczy. *Twinkle, twinkle...*

Huk. Jaki głośny.

You're indesctructible, always believe in, because you are gold. Evelyn śpiewa pięknie jak nikt.

Bea. Popatrz na mnie.

David też tu jest. Czego chce? Chwyta ją i szarpie. To boli. Gdyby tylko mogła mówić, powiedziałaaby mu, że nie chce go już widzieć. Tak by mu powiedziała.

Ciągnie ją. Leci.

– Mamy ją!

– Bea!

Nie przeszkadzajcie. Nie teraz.

– Nie możemy jej stracić. Bea!

Szarpanie. Coś naciska na jej twarz. Światło.

– Otworzyła oczy! Bogu dzięki! Wszystko będzie dobrze, Bea! Słyszysz mnie?

Tak. Nie. „Powoli”.

Potem wracają inne rzeczy. Kształty. Imiona. Florin.

Chłód.

*

Czuje, że leży na czymś twardym. Szarość poranka przeganiają potężne reflektory. Ludzie. Biegają dookoła. Wielu ludzi.

– C... C... C...

Język jej nie słucha.

Ktoś ją unosi, sadza i ściąga z niej mokrą bluzkę.

– Gdzie są koce? Dlaczego tak długo! Stefan! Dawaj marynarkę!

Zapach gumy do żucia.

Obok klęczy Florin. Ocieka wodą. Bechner podaje mu koc. Natychmiast ją okrywa i owija tak ciasno, że nie może ruszyć rękoma. Potem sam zdejmuje mokrą koszulę.

– Karetka w drodze. Zaraz tu będą.

Florin przyciąga ją i przytula do piersi.

– Nie możesz zasnąć, słyszysz? Nie możesz. Jesteś wychłodzona.

– Jaaa... jaaa... jakkkk...

Przytula ją jeszcze mocniej.

– Twój SMS był dziwny. Przez pięć minut nie dawał mi spokoju, więc zadzwoniłem, ale miałaś już wyłączoną komórkę. Stacjonarnego nie odbierałaś, ale to wiem, bo przecież Achim... – Nie dokończył. – Sigart zniknął, musieliśmy go szukać, a mi coś nie dawało spokoju. Kto mógłby uprowadzić go ze szpitala, nie zwracając przy tym niczyjej uwagi? Dlatego jeszcze raz zadzwoniłem do jego lekarza i zapytałem, w jakim był stanie. Powiedział, że w całkiem niezłym. Twierdził, że bardzo szybko wracał do zdrowia, a jeśli po oczyszczeniu ran po amputacji palców nie byłoby komplikacji, to za dwa albo trzy dni by go wypisali. Wtedy zapytałem o utratę krwi. Nic strasznego. Rana na szyi? Powierzchnowa, żadne ważne naczynia krwionośne nie zostały uszkodzone. – Beatrice czuła, że

potrząsa głową. – To wiele wyjaśniało. Wsiadłem w samochód i pojechałem sprawdzić jego mieszkanie, ale było puste. Potem pojechałem do ciebie. Sam nie wiem, dlaczego.

Klatka piersiowa Florina unosiła się i opadała. Beatrice dopasowała swój oddech do jego. Dookoła roiło się od policjantów. Z pourywanym strzępków zdań wiedziała, że szukają Sigarta.

– Rozglądałem się za twoim samochodem, ale mimo że przed domem było sporo wolnych miejsc, twojego auta nie było. Dlatego zadzwoniłem domofonem. Potem na komórkę. W końcu wróciłem pod mieszkanie Sigarta i przeszukałem okolicę. I znalazłem twój samochód.

I od razu wiedział, co dalej? Beatrice spróbowała zapytać, jak tu trafił. Zajęło jej to trochę czasu. Ale dała radę.

– To pierwsze, co mi przyszło do głowy. Piwnica w lesie. Zgadywałem, jeśli mam być szczerzy, ale kiedy na dole znaleźliśmy twoją komórkę, wiedziałem, że miałem rację.

– M... moją... i Nory...

– Nie. Tylko twoją. Ale ciebie tam nie było. Potem zobaczyliśmy znak na studni. Szóstkę. I wszystko było już jasne.

– Sigart – wyszeptała. – W-wiecie... g-gdzie...

– Nie. Wydawało mi się – ale mogę się mylić, bo było zupełnie ciemno – że widziałem, jak coś znika w lesie, kiedy tu dotarliśmy. Może to on, a może jakieś zwierzę. Nie wiem.

Czyżby czekał? Żeby się dowiedzieć, kto wygra zakład?

– W-wygrałam... – wyszeptała. – Florin? D-daj... mój... telefon... P-proszę.

– Serio?

Skinęła głową. Sigart zabrał ze sobą komórkę Nory Papenberg, a jej zostawił. Wiedziała, dlaczego.

– Stefan? – Florin jej nie puszczał. – Beatrice prosi o komórkę. Mógłbyś ją przynieść?

Czuła, jak głaszcze ją po mokrych włosach. Przymknęła oczy. Może jednak się zdrzemnie, tylko na chwileczkę.

– Co wygrałaś?

– Hm?

– Powiedziałaś właśnie, że wygrałaś. Co?

– Aaa... Coś... jakby zakład...

Florin nie dopytywał dalej. Za każdym razem, kiedy wzmagały się dreszcze trzęsące jej ciałem, przytulał ją mocniej do piersi, jakby własnym ciałem chciał ją osłonić. Co pewien czas z jego włosów skapywała kropla wody i niczym łązka ściekała po jej policzku.

Po chwili wrócił Stefan z jej telefonem. Przykucnął obok.

– Karetka zaraz będzie, właśnie dzwoniłem i sprawdziłem. – Uśmiechnął się nieśmiało do Beatrice. – Dajesz radę?

– Tak.

– Na szczęście. Mało zawału nie dostałem na widok ciebie w tej studni. Naprawdę nie słyszałaś wołania? – Nie czekał na odpowiedź. – Florin natychmiast zszedł tam na dół. On by cię i bez liny wyciągnął, mówię ci. – Teraz uśmiechał się już bardzo szeroko.

– Dzięki, Stefan. Daj jej już komórkę.

Beatrice próbowała się wyprostować, lecz każde napięcie mięśni sprawiało jej ogromny ból. Florin podparł jej plecy, kiedy sięgnęła po telefon. Miała jednak zbyt sztywne palce, żeby go złapać. Słuchawka wyslizgnęła się jej z dłoni i spadła na trawę. Spróbowała schwycić telefon całą dłonią, lecz miała wrażenie, że trzyma urządzenie, którego nie potrafi obsługiwać. Znow go upuściła.

– To wyście włożyli baterię?

– Nie, tak go znaleźliśmy – powiedział Stefan.

Florin wyciągnął rękę i sięgnął po telefon.

Czyli znowu Sigart. Gdyby miało nastąpić to, co nastąpiło.

– Zrób to za mnie – poprosiła Florina, kiedy Stefan wziął policyjne radio i wrócił do samochodu. – PIN to trzy siedem dziewięć dziewięć.

Znajome pikanie klawiszy. Melodyjka, którą telefon sygnalizował, że jest gotowy do użycia.

I to wszystko.

– Żadnych SMS-ów? – upewniła się.

– Żadnych. Odpocznij, dobrze? – Podciągnął koc i okrył ją aż po kark. – Twoje serce przeżyło hipotermię i możesz mieć problemy z krążeniem. Jesteś w stanie coś zjeść? Bechner ma ze sobą batonik czekoladowy, a lekarz powiedział przez telefon, że połączenie słodkiego i tłuszczu pomoże ci się rozgrzać.

Trzęsła się jednocześnie z zimna i śmiechu.

– Jak jeszcze ukradnę mu słodycze, to mnie na zawsze znienawidzi.

Florin znow ją przytulił, ale tym razem inaczej, jakby chciał ogrzać ją własnym ciałem.

– Obawiam się, że musisz zaryzykować.

– Niech będzie – wymamrotała.

Florin miał na piersi wąską, zakrzywioną bliznę tuż pod obojczykiem. Miała ochotę przesunąć po niej palcem, lecz palce były bez czucia.

– Szlag by trafił.

– Hm? O co chodzi?

O cholera, powiedziała to na głos?!

– Nie, nic... to zmęczenie i...

I'll send an SMS to the world
I'll send an SMS to the world
I hope that someone gets my
I hope that someone gets...

Beatrice podskoczyła, jakby poraził ją prąd. Nowa wiadomość. Wiedziała, od kogo. Nagle ogarnęło ją przerażenie, że Sigart mógł nie dotrzymać słowa. A jeśli przysłał jej zdjęcia płonącej gospody matki? Dlaczego nie pomyślała o tym wcześniej? Przecież mogła wysłać na miejsce radiowóz, żeby sprawdzili, czy jej rodzina jest bezpieczna. Że żyje.

– Bea? Coś się stało?

– Nie... ja... Ty sprawdź, co przyszło... – Zacisnęła kurczowo powieki. – Zdjęcie?

Sekunda ciszy. Bała się, że zaraz pęknie jej serce.

– Nie – odpowiedział w końcu. – Ale obawiam się, że nic nie rozumiem.

– Pokaż.

Florin podsunął jej komórkę. Z początku literki rozmywały się jej przed oczyma, lecz po chwili tekst stał się wyraźny: „*Thanks for the hunt, Beatrice. JAFT. 47°28,239'N 13°10,521'E*”.

Kamień powinien spaść jej z serca, lecz odczuwała ulgę, tylko jeśli chodzi o dzieci. Nie skrzywdzi ich. Już nikogo więcej nie skrzywdzi. Już po wszystkim. Powtarzała to sobie w myślach, lecz nic nie mogła poradzić na poczucie pustki, jakie ją ogarnęło.

– Przysłał nam nowe współrzędne. – Florin nie posiadał się ze zdziwienia. – Naprawdę nie dotarło do niego jeszcze, że zaraz wdrozymy potężną akcję poszukiwawczą? Nie będziemy już grali według jego reguł!

– Dobrze o tym wie. Z całą pewnością. – Będzie musiała wyjaśnić Florinowi, za co Sigart im za każdym razem dziękował. Tylko jemu. Ale nie dzisiaj.

– JAFT. To jakaś literówka?

Beatrice pokręciła powoli głową. Znała już ten skrót i dotychczas zawsze ją bawił. Dlatego tak łatwo go zapamiętała.

– *Just Another Fucking Tree* – mruknęła. Na drodze powyżej zatrzymała się karetka. – Skrytka na drzewie, konieczne zastosowanie technik linowych.

Florin się uparł i towarzyszył Beatrice w drodze do szpitala. Wiadomość dotarła, kiedy jeszcze byli w karetce. Sigart został znaleziony w miejscu, które wskazał, przesyłając współrzędne SMS-em. Powiesił się na drzewie.

Błyskawicznie to załatwił. To znaczyło, że wcześniej musiał wszystko zaplanować – pętlę znacznie łatwiej przygotować, mając komplet palców.

Lekarz sprawdził wenflon, przez który Beatrice podawano sól fizjologiczną. Policjantka zamknęła oczy. Pechowiec z bliznami, tymi na zewnątrz i tymi wewnątrz. Czy miał w ogóle szanse, by wygrać choćby na samym końcu?

Zakład? Może. Ale prędzej odejście na własnych warunkach.

Samolot okrążył łóżko Beatrice, wykonując isticie szalone akrobacje i wydając przy tym budzące zgrozę dźwięki.

– Tu Boeing siedem sześć siedem, ląduję w Afryce! – zaskrzeczał samolot.

– Hej, uspokój się, mama miała odpoczywać! – Mina siedziała obok Beatrice i trzymała ją za rękę. Dotyk córki był delikatny, jakby się bała, że może ją uszkodzić. – Zawsze robi tyle hałasu! Uważaj, zaraz coś zrzucisz!

Jakob rzeczywiście manewrował samolotem niebezpiecznie blisko stojaka do podwieszania kroplówek i łokciem zrzucił ze stolika plik gazet.

– Jakob! Natychmiast je podnieś. – Ostry rozkaz, ale jak na Minę i tak niemal czuły.

– Grrrrr, jestem batyskafem i wyciągam zatopione statki! – Podniesione z podłogi gazety wylądowały hałaśliwie z powrotem na stoliku.

Za dwa dni Beatrice będzie mogła wrócić do domu. Czekanie na wypis sprawiało jej niemal fizyczny ból.

– Pójdziemy coś zjeść, kiedy już wyjdę? Macie ochotę? Czy wolicie, żebym coś ugotowała?

– Nie, ty tak dobrze nie umiesz – uświadomił ją Jakob i pocałował głośno w czoło. – Pójdziemy do McDonalda.

– A ty? Na co masz ochotę? – Beatrice pogłaskała Minę po dłoni.

– Sama nie wiem. Chyba wolę w domu. Albo... moglibyśmy zjeść u babci w gospodzie. I tata też mógłby przyjść. – Spojrzała ostrożnie na Beatrice. – Myślisz, że to by się udało?

Ostatecznie nie musiałyby przecież siedzieć obok niej.

– No pewnie, kochanie. To zrobimy tak: raz pójdziemy do babci, raz do McDonalda, a raz ja przygotuję obiad.

– A potem od początku! – zawył radośnie Jakob i padł w poprzek łóżka, przygniatając ją sobą.

Rozległo się pukanie do drzwi i w progu stanął Richard. W lewej ręce żółte róże, w prawej dzisiejsza gazeta. Od kiedy się dowiedział, że człowiek, który omal nie zamordował jego siostry, wykorzystał go jako swojego informatora, ani razu nie pojawił się w szpitalu bez kwiatów.

– Znowu piszą o tej twojej sprawie – powiedział, uwalniając ją spod Jakoba. – Tym razem to wywiad z twoim szefem Hoffmannem.

– O Boże... – westchnęła. – Co powiedział? Że jest dumny, bo wyjaśnił sprawę mimo zgrai dyletantów, których ma do dyspozycji?

– Nie. Wszystkich chwalił. Siebie oczywiście najbardziej.

Przeczyta to później. Albo wcale.

Kiedy Richard starał się przekonać wzdychającą ciężko pielęgniarkę do użyczenia kolejnego wazonu, by wstawić róże do wody, Mina opowiadała nowe historie o Cinderelli, czyli kotce od ojca, a Jakob bawił się w parowóz, myśli Beatrice znów powędrowały do Bernda Sigarta. Gazety prześcigały się w publikacji analiz i wywiadów z biegłymi psychologami – przy czym prym wiódł oczywiście Kossar – przedstawiającymi Sigarta jako ofiarę stresu pourazowego z inklinacją do przemocy.

Same półprawdy. Nie, oczywiście, że mieli trochę racji. Ale nie we wszystkim.

Czy gdyby ukończyła studia, szybciej by się zorientowała, kto jest Ownerem? Beatrice od kilku dni głowiła się nad tym pytaniem. Poprosiła Richarda, żeby zebrał dla niej informacje na temat studiów wieczorowych albo zaocznych, ale nic nie wskórała. Miała się oszczędzać i już.

Pół godziny później Richard uznał, że najwyższy czas, żeby odpoczęła, więc obiecał dzieciom lody i zabrał do Mooserhofu.

„Mój były mąż je przywozi, brat odbiera, babcia im gotuje”. – Beatrice przewróciła się na bok i zamknęła oczy. Richard miał rację. Studia wieczorowe nie były rozsądnym pomysłem.

Kiedy się obudziła, obok łóżka siedział Florin. Domyśliła się, jeszcze zanim uniosła powieki, bo poczuła zapach jego wody po goleniu. Uśmiechnęła się mimowolnie. A potem znowu pociągnęła nosem. W powietrzu unosiła się woń jeszcze czegoś...

– *Focaccia* jest jeszcze ciepła – usłyszała. – Owczy ser, *prosciutto* i młody szpinak. Do tego wybór przystawek z suszonymi marynowanymi pomidorami i roladki z burakiem.

– Cudownie – mruknęła, wciąż jeszcze z zamkniętymi oczyma. – A co z *prosecco*?

– Niestety, brak. Ale spokojnie, nadrobimy. Za to mogę zaproponować trzy rodzaje świeżo wyciskanych soków: pomarańcza z mango, gruszka z czarnym bzem albo kiwi z papają.

Zamrugwała.

Siedział na krześle tuż obok jej łóżka i czekał, z brodą wspartą na dłoniach i łokciami na kolanach. Beatrice odgarnęła włosy z twarzy i usiadła prosto. Wzbraniał się, kiedy usiłowała mu podziękować za codzienne wizyty i wykwentne poczęstunki.

Codziennie budziła się z mocnym postanowieniem, by zapytać, dlaczego wkłada w to tyle wysiłku, lecz kiedy siedział już obok, nigdy nie starczyło jej odwagi. Nie wiedziała, jaką odpowiedź chciałaby usłyszeć.

– Dalamasso wycofała skargę. – Głos Florina wyrwał ją z zamyślenia. – Hoffmann był niepokieszony, ale w tej chwili zbyt rozkoszuje się byciem w centrum uwagi, żeby zaprzętał sobie głowę tobą.

Oddaliła się groźba zawieszenia. Beatrice odetchnęła. Starła się o tym nie myśleć, lecz dopiero ulga na wieść o wycofaniu skargi uświadomiła jej, jak bardzo ją to obciążało.

Sięgnęła po widelczyk, który Florin położył na ciemnobłękitnej serwetce, i spróbowała marynowanego pomidorka.

– Zjesz ze mną?

Przez chwilę patrzył na swoje dłonie, a potem spojrział jej w oczy.

– Nie. Anneke przyleciała. Za pół godziny idziemy na obiad.

– Aha. Rozumiem. – Przetransportowanie pomidorka do ust z pomocą kawałka pszennego chlebaka w taki sposób, by nie poplamieć oliwą szpitalnej pościeli, wymagało ogromnego skupienia. Ale to dobrze. Przynajmniej miała czas, żeby wziąć się w garść. – To może już idź, żebyś się nie spóźnił. Rzadko się widujecie, a mnie odwiedzasz codziennie.

Nie odpowiedział. Podał jej kawałek focaccii, pachnącej i ciepłej. Odebrała ją z jego rąk i wskazała głową na drzwi.

– No leć już. Niech nie czeka.

Florin skinął głową.

– Masz wszystko, czego potrzebujesz?

W tonie jego głosu usłyszała coś... Być może nie ma na myśli tylko jedzenia?

– Wszystko.

– Super. W takim razie do jutra.

– Florin, nie musisz przychodzić, skoro Anneke...

– Oczywiście, że nie muszę – przerwał jej. – Do jutra.

Stał w drzwiach i się odwrócił.

– Ach, zapomniałbym. Zostawiłem ci pewien drobiazg. Mam nadzieję, że ci się spodoba.

Rozejrzała się, lecz niczego nie dostrzegła, a kiedy chciała go zapytać, drzwi były zamknięte. Z westchnieniem, co do którego sama nie miała pewności, czy wyraża zadowolenie czy tęsknotę, opadła na poduszki i poświęciła się konsumpcji, aż nie zostały nawet okruszki. Potem przejrzała kanały w telewizji, lecz nie znalazła niczego ciekawego, więc sięgnęła po książkę o okropnościach lodu i mroku¹, którą zaczęła poprzedniego dnia. Od kilku lat stała u niej na półce i czekała na swoją kolej, lecz dopiero po nocy w spędzonej w studni poprosiła mamę, żeby przywiozła ją do szpitala. Nikt poza nią nie widział w tym niczego dowcipnego.

Podobał jej się styl autora i w czasie lektury tonęła razem z pozbawionymi

nadziei na ratunek rozbitkami z „Admirała Tegethoffa” pośród kry Morza Północnego.

Moon River – rozległ się niespodziewanie głos Franka Sinatry.

*wider than a mile
I'm crossing you in style
some day.
Oh, dream maker, you heart breaker,
wherever you're going
I'm going your way.*

Beatrice dużo wcześniej znalazła telefon. Ekran był podświetlony. Przyszła nowa wiadomość.

*Two drifters off to see the world.
There's such a lot of world to see.
We're after the same rainbow's end –
waiting round the bend,
my huckleberry friend,
Moon River
and me.*

„Zmienił mi sygnał przychodzących SMS-ów” – pomyślała. Wiadomość odczytała dopiero, kiedy skończyła się piosenka: „Śpij dobrze, Bea”.

Długo wpatrywała się w te trzy słowa. Odłożyła książkę i zapatrzona w sufit wsłuchiwała się w wieczorne odgłosy szpitala.

Sporo czasu upłynęło, zanim zgasła światło.

Mowa o niewydanej dotąd w Polsce powieści Christopha Ransmayra *Die Schrecken des Eises und der Finsternis* (1984). [\[wróć\]](#)

Posłowie

Keszerzy to generalnie mili ludzie. Wiem to, bo jestem jedną z nich. Kochają przyrodę, dbają o nią i usuwają czasem śmieci pozostawione po innych. Chciałam to podkreślić.

Jeśli posiadasz odbiornik GPS, przypadkiem znajdziesz się w pobliżu współrzędnych z powieści i będzie Cię korciło, żeby odwiedzić opisane lokalizacje, nie wahaj się! Zobaczysz kilka pięknych miejsc w Salzburgu. Choć zaznaczam, że kilkakrotnie musiałam nieco nagiąć rzeczywistość do ram powieści – na przykład przesunąć ścianę skalną o kilkaset metrów. Jednak większość miejsc zastaniesz takimi, jakie widzieli Beatrice i Florin, oczywiście z wyłączeniem pojemników i ich makabryczną zawartością. Jeśli chodzi o ostatnie współrzędne – uwaga na pokrzywy!

Znajdziesz tam także drewnianą osłonę, ale co się pod nią dokładnie znajduje, tego niestety nie mogę wyjawić (to w końcu nie jest moja własność); i w tym wypadku kilka rzeczy musiałam dopasować do mojej historii. Przy okazji bardzo przepraszam właścicieli sąsiedniej posesji za to, co z pomocą wyobraźni uczyniłam z ich własnością. Przepraszam również mieszkańców Theodebertstrasse 13, których dom opisałam jako znacznie mniej piękny, niż jest w rzeczywistości.

Podziękowania

Serdecznie dziękuję:

– Ruth Löbner za to, że pozbawiła Beatrice niezdecydowania i wraz ze mną poważyła się na kilka twardych orzechów do zgryzienia. Wszystkie superlatywy, w jakich wyraziłam swą wdzięczność dla Ruth, zdecydowałam się jednak usunąć, bo pewnie wprawiłyby ją w zakłopotanie. Nic to jednak nie zmienia w bezmiarze mojej wdzięczności;

– nadinspektorowi Andreasowi Huberowi, któremu zawdzięczam ważny i nader ciekawy wgląd w pracę salzburskiej policji kryminalnej. Była to dla mnie przy pisaniu nieoceniona pomoc. Wszelkie odstępstwa wynikają z przysługującej mi *licentia poetica*, z której czasem korzystałam, a za ewentualne błędy, które mi się przydarzyły, ponoszę odpowiedzialność tylko ja;

– mojej redaktorce Katharinie Naumann, która musiała nie tylko uporać się z moimi austriacyzmami, ale również ze znaczną liczbą zagadek matematycznych – z tym pierwszym pewnie nic się nie da zrobić, ale drugie już się nie powtórzy, słowo;

– mojej agencji, AVA international, która już od naszej pierwszej rozmowy wzięła sobie moje marzenie („Chciałabym żyć z pisania i byłoby super, gdyby to szybko poszło”) bardzo do serca;

– Leonowi i Michaelowi, którzy włączyli się ze mną po Salzburgu w poszukiwaniu dobrych miejsc na ukrycie fragmentów zwłok.

Fragmenty piosenek pochodzą z:

Message in a bottle – The Police

Muzyka i tekst: Sting

EMI Music Publishing Germany GmbH

One of my turns – Pink Floyd

Muzyka i tekst: Roger Waters

Musikverlag Intersong GmbH & Co. KG

Moon River – Frank Sinatra

Muzyka i tekst: Henry Mancini

Famous Music Publishing Germany GmbH & Co. KG

